

ANNA BRZEZIŃSKA

WIEDZMA
Z
WILZYŃSKIEJ DOLINY



Brzezińska Anna
Wiedźma z Wilżyńskiej Doliny
Runa
Wydanie I
Warszawa 2010

Copyright © by Anna Brzezińska, Warszawa 2010

Copyright © for the cover illustration by Artur Sadłos

Copyright © for interior illustrations by Piotr Szot

Copyright © 2010 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Jadwiga Piller

Korekta: Karolina Pawlik

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o. ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2010

ISBN: 978-83-89595-70-6

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.runa.pl

Konwersja: [NetPress Digital sp. z o.o.](http://NetPressDigital.sp.z.o.o)

PO PROSTU JESZCZE JEDNO POLOWANIE NA SMOKA

Babunia Jagódka kończyła właśnie zamiatać przyzębę, kiedy w krzakach na skraju lasu coś zaszurało, zatupało i zatarabaniło pomiędzy obdartymi z listowia gałązkami.

– Miotło, miotełko, brzozowe czupiradełko! – zaintonowała obronnie wiedźma.

Miotła natychmiast wyprysnęła jej z rąk, wyprężyła kij i nastroszyła ostrzegawczo witki. Ale stworzenie, czymkolwiek było, błysnęło tęczowo w promieniach słońca, po czym przemknęło sprytnie tuż przed miotłą i schowało się za spódnicą gospodyni.

– Poszło won! – rozdarła się z oburzeniem Babunia.

Przygarnianie zabłąkanych kotków i kulawych kacząt bynajmniej nie leżało w jej naturze. Usiłowała odepchnąć stwora znośnym filcowym buciorem, ale intruz był szybki, a co najgorsze, wciąż trzymał się za jej plecami i czepiał spódnicy. Raz nawet zaplątał się między halki. Wiedźma kwiknęła jak zarzynany prosiak, kiedy szorstkim grzbietem otarł się o jej gołe łydki. Rzadko komu pozwalała na podobne poufałości, a już na pewno nie przybłędzie nieznanej konduity. Wszak mogła się czymś paskudnym zarazić.

Właśnie obmyślała zaklęcie, które pozwoli raz na zawsze pozbyć się natręta, kiedy nieopodal zagrały myśliwskie rogi. W Babuni też zagrała krew. Ktoś polował z nagonką! W jej lesie!

Kopniakiem posłała zwierzaka za drewnię – teraz, kiedy miała na głowie intruzów, refleks się jej zdumiewająco poprawił – i zirytowana złapała za miotłę, która z absurdalną gorliwością nadal zamiatała ścieżkę

przed furtką. Wiedźma nie słynęła z gościnności. Jeśli odwiedzał ją ktoś z okolicznego chłopstwa, przemykał się ukradkiem i najchętniej ciemną nocką, nie witano go więc z honorami. Miotle nieczęsto trafiali się goście w biały dzień, najwyraźniej postanowiła więc z własnej inicjatywy przygotować obejście na przyjęcie nadjeżdżających.

Ci zaś wynurzali się już z lasu, bezsensownie połyskując wypolerowaną blachą w promieniach jesiennego słońca. Niektórzy nieśli jaskrawe proporce zatknięte na długich tyczkach. Pod blaszanymi hełmami nie dało się rozeznaczyć twarzy, dodatkowo przesłoniętych nosalami, ale Babunia Jagódka przysięgłaby, że żadnego z nich wcześniej nie oglądała. Ze złością zmrużyła powieki. Po ostatniej wojnie świat ostatecznie zszedł na psy, skoro przybłędy nie umiały jej uszanować na własnym podwórku.

Wsparała się mocniej na miotle, mierzając przybyszy nieżyczliwym spojrzeniem. Oni też zatrzymali się tuż przed furtką. Pościg tak ich zaprzętał, że nie zwrócili uwagi na sforę: choć dotąd psy ujadały rzeško, każdym szczeknięciem i skowytem dowodząc właścicielom swej użyteczności i oddania, na widok gospodyni gwałtownie podkuliły ogony i zbiły się w gromadę tuż przy końskich kopytach. Nie spostrzegli też magicznej jabłonki, która czujnie obróciła ku nim gałęzie, gotowa zdzielić zgniłkiem między oczy każdego, kto bez zaproszenia postawi nogę na podwórzu. Nie usłyszeli gniewnego bulgotu, jaki dobywał się z zaklętej studni, nie widzieli łba magicznego szczupaka, wychylonego ciekawie zza cembrowiny.

Jeden ze zbrojnych podjechał bliżej i trącił nogą furtkę. Skobel zatrzeszczał przeraźliwie, ale nie ustąpił przed przemocą. Zresztą jeździec zrezygnował, skoro tylko obrzucił gospodarstwo spojrzeniem. Wyraźnie nie spodobała mu się ani koślawa drewnutnia, ani prosięta pogodnie ryjące w błocie pośrodku podwórza, ani pokaźna pryzma gnoju na tyłach chatki. Podniósł przyłbicę, wyniosłym wzrokiem zlustrował poprzecierany kozuch starowinki i sterane filcowe buty. Raz jeszcze rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu kogoś godniejszego. Skoro jednak nikogo nie znalazł, z westchnieniem otworzył usta, aby ją zagadnąć. Ale to wiedźma odezwała się pierwsza.

– Czego? – warknęła głosem tak kwaśnym, że skisła od niego kapusta w piwniczce.

Rycerz spąsował z oburzenia. Odruchowo zamierzył się tyczką z proporczykiem, ale nie uderzył. Chyba niesporo było mu bić staruszkę.

Jeden z towarzyszy przybliżył się i trącił go porozumiewawczo w łokieć.

– Zostawcie, mości Skuropatko – odezwał się teatralnym szeptem. – Znać, że to jakaś nędza miejscowa. Pewnie niespełna rozumu. Tu raczej z wyrozumiałością trzeba, łaskawość okazać i gest pański. Delikatnie.

Wiedźma zmarszczyła brwi, ale postanowiła poczekać na rozwój wydarzeń. Miejscowi znali ją bardzo dobrze i traktowali z należywym uszanowaniem, zatem od dawna nie miała okazji należycie się zezłościć. A Babunia uważała, że nic tak nie ożywia krwi, stężącej od jesiennych chłódów, jak należyta kłótnia i połamanie kilku gnatów.

– Moja dobra kobieto... – przemówił ten, który nawoływał do wyrozumiałości.

Babunia Jagódka uśmiechnęła się jak szakał. Mało co ją rozjuszało tak, jak ten zwrot. Aż biło od niego wielowiekową wzdargę i lekceważeniem.

– Moja dobra kobieto – podjął – czy nie widzieliście przypadkiem tutaj smoka?

Od strony drewnutni rozległo się nerwowe czknięcie, a potem jakby szuranie. Zaskrzypiały odmykane drzwiczki.

– Smoka? – zdumiała się Babunia, w której ciekawość toczyła zażartą walkę z urazą.

Rycerz wyprostował się w siodle i jakoś tak odął dumnie.

– No, smoka – powtórzył z naciskiem. – Smoczysko straszliwe, co sioła ogniem pustoszy i dziewice pożera.

W drewnutni rozgdakała się jakaś kwoka.

Babunia nie zdzierżyła i tak zaniosała się skrzekliwym śmiechem, że aż ją zakłuło w boku.

– Tego pokurcza? – wysapała, kiedy minął już pierwszy atak wesołości. – Z taką paradą ścigacie jednego mizernego konusa?

Jeździec odął się jeszcze bardziej. Nawet błyszczący napierśnik zdawał się pęcznieć od nadmiaru oburzenia.

– Im mniejszy, tym bardziej srogi – wyrzekł po chwili sentencjonalnie

– bo musi nikiemną posturę zajądłością nadrabiać, ot co! I powiadam wam, moja dobra kobieto, pomóżcie nam pojmać gadzinę, zanim i wam jakowąś krzywdę straszliwą wyrządzi. Ona na cnotę białogłowską wielce łąsa.

Wiedźma łypnęła na niego spod oka i podrapała się sękatym paluchem po nosie, zwieńczonym okazałą brodawką.

Gdakanie w drewnutni wzmagalo się, a wkrótce doszły do niego jeszcze donośne piski i trzepoty.

– To miło – powiedziała w końcu, uznawszy, że chyba z niej nie szydzi – że się tak o mnie martwicie, mości rycerzu. I o tę moją... białogłowską cnotę.

Za plecami mówcy ktoś zachichotał złośliwie. A zobaczymy, jak się jutro będziesz śmiał, wesołku, pomyślała mściwie Babunia, kiedy ci pypcie na jęzorze wyjdą – i nie tylko na nim.

– A to się wam, mości Kolibo – wypalił zniecka ten z podniesioną przyłbicą – zebrało na uprzejmości. Baba wam we łbie mąci, a zwierz tymczasem ucieka.

– Ani chybi z nim w znowie! – odpowiedział usłużnie ktoś z tyłu. – Wszak po plugawym obliczu znać, że przewrotna i podła z natury.

– A ty kaczy kuprze! – rozdarła się Babunia, która wprowadzie przewrotność poczytywała sobie za chlubę, ale bardzo nie lubiła, jeśli jej wypominano brak urody. – Patrzajcie go, wdział na łeb żelazny garnek i śmie porządny ludzom urągać na ich własnym podwórku. Wynocha! No, co się gapią! – ryknęła głośnie, kiedy żaden z rycerzy nie ruszył się sprzed furtki. – Poszli precz, pókim dobra! – Rzuciła w nich miotłą.

Brzozowe witki śmignęły w powietrzu, zawirowały po ścieżce, kręcąc bicze z piasku, po czym bez ostrzeżenia spadły na jeźdźców. Tłukły ich po lśniących zbrojach, smagały końskie zady, nie oszczędzały nawet psów, aż wreszcie całe towarzystwo wśród kwików przerażenia rzuciło się do ucieczki. Wtedy z zadowoleniem znów zebrały się w miotłę i starannie zatarły na piasku ślady niedawnej wizyty. Doprawdy, niektórzy goście nie zasługiwali na dobre przyjęcie.

Babunia Jagodka z aprobatą skinęła głową i poszła zobaczyć, co też takiego upolował przydomowy bazylipek.



Smok istotnie okazał się mały, zaledwie na półtora łokcia wzrostu. Chyba wyczuł niebezpieczeństwo, bo próbował schować głowę pod skrzydło. Ale zgrzeszył ciekawością, bo spoza ciemnej błony wyglądało zielonkawe wszędobyłskie oczko. To bazyliškowi wystarczyło – umiał sponiewierać żywe stworzenie od jednego spojrzenia. Babunia Jagódka zachodziła czasami w głowę, skąd w potomku zwyczajnego koguta, nawet głupszego od innych, skoro dał się nakłonić do złożenia jajka, podobna jadowitość. Na szczęście był też leniwy. Siedział z resztą na grzędzie, przedrzemując większość czasu, i zwykle zadowalał się kurzą karmą. No, chyba że coś bez ostrzeżenia wpakowało mu się do dREWUTNI. Wówczas nie popuścił.

Dzisiaj wszelako się nie pożywił. Kiedy wiedźma weszła do środka, syczał wściekle i usiłował wbić zębiska w ogon skamieniałego stwora. Na darmo. Wprawdzie smok został unieruchomiony na dobre, ale twarda, pokryta łuską skóra przeszkadzała bazyliškowi w wyżerce. Dlatego potwór kipiał złością. Zaczynał wręcz zezować na własny nos.

– No, no. – Babunia pogroziła mu kułakiem, kiedy pozwolił sobie łypnąć na nią nieprzyjaźnie, i wygarnęła z grędy zeszywniałego smoka.

Zwierzak ciążył w rękach, aż się zdziwiła, że takie maleństwo może tyle ważyć. Był półprzezroczysty, jak gdyby wyrzeźbiony z nieszlifowanego kryształu, i połyskiwał tęczowo na czubkach skrzydeł. Wydłużony pysk wieńczył filuternie zadarty czubek. Na grzbiecie dumnie sterczał grzebień, tak ostry, że wiedźma do krwi zakłuła się w palec. Zakłęła paskudnie. Zdrętwiały stworek jakby się uśmiechnął. Z mordki wystawał mu rozdwojony jęzor.

– Jutro pogadamy – zagroziła mu Babunia, ssąc zraniony opuszek. – Zobaczymy, czy wciąż będziesz taki wesolutki.

Wiedziała, że wcześniej nie da się go wypytać, jako że spojrzenie bazyliška trzymało co najmniej dobę. Zawinęła więc smoka w starą ściereę do szorowania lampy, wsunęła pod łóżko, między nocne naczynie i zdeptane kapcie. Spłoszone jej inwazją pająki – wielkie, czerwono nakrapiane bestie, które z braku kota rozpleniły się ostatnio w ciemnych

kątach izby – natychmiast podjęły pracę. Za kilka godzin nikomu nie przejdzie przez myśl, żeby czegoś szukać za gęstą zasłoną pajęczyn, ale Babunia dla pewności przyczepiła kilka srogich zaklęć do frędzli z kapy na łóżku. Ostatecznie rycerze nie byli zbyt bystrzy. Nie wiadomo, może któryś pod jej nieobecność znów spróbuje wtargnąć do obejścia. Potem zaś w pełnym rynsztunku ruszyła na przespīgi do wioski.

Bitewne oporządzenie wiedźmy składało się ze sztachety, stanowiącej użyteczny środek lokomocji, a w potrzebie straszliwą broń, sękatej laski, którą również potrafiła niezłe porachować kości, worka przypominającego żebraczą sakwę, gdzie po starciu pakowano zdobycz, oraz zaklęcia „piękna-i-młoda”. Zwłaszcza to ostatnie rozwiązywało języki obcym – bo tubylcy bardzo dobrze wiedzieli, że kruczowłosa piękność jest w istocie tą samą wiedźmą o haczykowatym nosie, gębie upstrzonej brodawkami i z nieodłączną kapką na czubku nosa, i traktowali ją z należytych respektem, znaczy się, jak wściekłego psa, który w każdej chwili może ugryźć.

Dzisiaj właściwie przebranie nie było konieczne, jako że Babunia Jagódka postanowiła najpierw wywiedzieć się u źródła, czyli u największego wioskowego plotkarza. Fortunnie pleban niedawno powrócił do swej owczarni, zbrzydzoney miejskimi obyczajami. Oczywiście nie obnosił się nadmiernie z zażyłością z wiedźmą. Ale tylne drzwiczki do plebanii zawsze pozostawiano na noc otwarte, już o to dbała Rozalka, gospodyni czcigodnego duszpasterza.

Teraz też na widok Babuni na pyzaty obliczu plebanichy rozlał się szeroki uśmiech. Pleban przeciwnie, skrzywił się boleśnie i poprawił na puchowej poduszce. Hemoroidy znów mu doskwierały, a wiedźma nie liczyła sobie tanio za kojące czopki.

– Mam coś dla was – zagaiła uprzejmie Babunia, dobywając z za pazuchy poplamioną chustkę z cudownym remedium.

– Nie dam ni grosza! – syknął ze złością pleban. – Nie dam, bo nie mam! Chłopi ostatnimi czasy strasznie się wychytrzyli. Z każdego miedziaka mnie wyliczają. A to dach załataj, a to studnię pogłęb, a to ściany odmaluj. Dla mnie, psiakrew, nic nie zostaje. Ani na kusztyczek miodu nie starczy.

Wiedźma zniosła tyradę proboszcza z kamienną miną, w ogóle nie zerkając na stół, gdzie beczelnie rozpierały się resztki pieczonej kaczki z

jabłkami i okazały dzban skalmierskiego wina.

– Nie, nie, jakie tam grosze... – zarzekła się fałszywie. – Ja tak z dobroci serca, przez wzgląd na waszą niemoc.

Proboszcz natychmiast się naburmuszył. Doświadczenie podpowiadało mu, żeby nie ufać wiedźmim darom.

– Wedle tego niby-smoka przysłałam – wyznała słodko wiedźma.

Spojrzenie plebana wyostrzyło się gwałtownie.

– Aha, wedle smoka... – powtórzył z namysłem. – A co, widzieliście go może?

Babunia westchnęła z politowaniem. Tyle lat gospodarowali pospołu w Wilżyńskiej Dolinie, a ten się nie nauczył, dalej próbował ją przechytrzyć.

– Skądże by znowu. – Uśmiechnęła się słodko. – Ale mnie popod wieczór jakieś bydło w obejściu najechało. Rabatki stratowali, kury popłoszyli...

I proboszcz, i Rozalka łypnęli na nią podejrzliwie. Rabatki wokół wiedźmiej chaty pojawiły się raz, mianowicie, kiedy mieszkała tam Jarosławna, która pod nieobecność gospodyni postanowiła ukwiecić i ustroić swoją nową siedzibę. Szybko się jednak przekonała, że ziemia, nawożona do przesytu wiedźmimi czarami, nie sprzyja podobnym ekstrawagancjom. Lewkonie gryzły się między sobą i do krwi podszczypywały przechodniów. Słonecznik świecił jaśniej niż najlepszy kaganek i głośno wygrażał, że niebawem zaćmi słońce. Nasturcja rozpełzła się po dziedzińcu, tworząc zasieki, przez które trzeba się było przebijać z siekierą. A róża w jeden dzień skryła całą sadybę za szczelnym, kolczastym murem. Ze środka dobiegały jedynie żałosne płacze Jarosławny i po powrocie Babunia musiała całe to tałatajstwo w pień wykarczować. Odtąd pod ścianami chatki była tylko naga, dobrze uklepana ziemia. Jeśli się coś na niej urodziło, zaraz wydziobały to kury. A kury Babuni Jagódki, już pomijając nawet, że były w komitywie z bazyliszkiem, który w razie potrzeby rozprawiał się z każdym lisem albo innym kurokradem, same świetnie potrafiły się obronić choćby i przed zakutym w zbroję rycerzem. Ostatecznie rzadko który się spodziewał, że poczciwa kwoka zionie nagle ogniem.

– Chciałabym się wywiedzieć, kto zacz, zanim się tutaj większa

krzywda przydarzy – dopowiedziała z naciskiem wiedźma.

– A, tak. – Pleban ocknął się z zadumy. – To zapewne hufiec szlacheckiego Skuropatki. Już trzeci dzień okoliczne lasy przemierzają, smoka straszliwego tropiąc.

– Trzeci dzień? – powtórzyła przeciągle Babunia. – No, proszę...

Rozalka z podejrzanym zapachem wyskubywała z fartucha wystającą nitkę, a proboszcz jął się nerwowo kręcić na poduszce. Wiedźma nie lubiła być niedoinformowana i jeśli jakaś wieść nie doszła do niej należycie prędko, od razu podejrzewała zmoję.

– Pożytek z nich jest! – wypalił pleban, kiedy krępująca cisza zaczynała się zanadto przedłużać. – Uczciwi są i bogobojni. Za obrok płacą i za dach nad głową. Dzisiaj kowalowi dwa srebrne grosze dali, żeby im zbroje wyklepał, bo ich ponoć jakieś lichy straszliwy w lesie zdybało, do smoka drogę zagroziwszy. Niewiast nie ruszają, nie to, co ci grasanci – splunął – co tu dawnymi czasy hulali, ni babie zgrzybiałej, ni kozie nie przepuściwszy. O, i codziennie o świcie, zanim w pogoń za smokiem się wypuszczą, do świątyni idą i modlą się, prostaczkom wzór dając.

– To ładnie. – Babunia uśmiechnęła się z łagodnością atakującej żmii.
– A komuż oni za ten obrok płacą?

Pleban aż się zatchnął z zaskoczenia, że spomiędzy tylu informacji wiedźma natychmiast wyłuskała tę najbardziej użyteczną. Było oczywiste, że póki nie odbudowano dworskich zabudowań, jedynie przyświętynne stajnie mogły pomieścić tyle wierzchowców.

– Chyba będę musiała podnieść taksę za eliksiry – rzuciła w powietrze wiedźma – skoro tutaj taki dostatek nastał. I bogobojność – dodała złośliwie.

Pleban bezradnie rozłożył ręce.

– No, dobrze. Mówcie, czego chcecie.

Babunia rozsiadła się wygodniej na stołku i na początek naląła sobie wina ze szczodrością, która wzbudziła na obliczu gospodarza grymas złości.

– Ilu ich jest? I co o nich wiecie?

– Siedmiu, tylko siedmiu – odpowiedział pospiesznie. – Podobnoż to

szczęśliwa liczba, osobliwie zaś trafna do polowania na dzikie bestie.

Babunia uniosła brew. Ludzka zabobonność nie przestawała jej zadziwiać.

– Z południa przybywają – ciągnął – znad samiusieńskiego morza, gdzie ich posiadłości są. I tamże, na dworze turzniańskiego włodarza, poprzysięgli uroczyście, póty będą obce strony przemierzać, póki owej gadziny straszliwej...

– Znaczy się, czego? – przerwała zniecierpliwiona wiedźma.

Gospodarz aż lekko podskoczył na swojej poduszce.

– Wždy smoka! Smoka przebrzydłego, co jest rodzaju ludzkiego największy prześladowca!

Babunia westchnęła ciężko.

– Wszak smoków nie ma. Każde dziecko to przyzna.

– Jak to nie ma, jak są! – oburzył się czcigodny duszpasterz. – Może i dotąd nie było – dodał, zreflektowawszy się, że nieroztropnie przeciwstawiać się wiedźmie – ale teraz są. A już co najmniej jeden to jest na pewno, bo na statku zza morza przyplłynął. Przecież nie sądzicie, że tak znamienite osoby uganiałyby się po dziczy za byle mamidłem?

Wiedźma uprzejmym chrząknięciem pokryła śmiech. Zdążyła się dotąd naoglądać niemało błędnych rycerzy, co się włóczyli po oczeretach tropem jednorożców czy wążpierz – albo, co gorsza, w poszukiwaniu jedynej prawdziwej miłości.

– Tedy mówicie, że zza morza przyplłynął? – zagadnęła po chwili, opróżniwszy kolejny kubek.

Trunku ubywało w zastraszającym tempie. Pleban postanowił ocalić nieco wina przed zachłannością wiedźmy i dał znak, aby Rozalka podała mu świeże naczynie.

– Ano tak, na statku – przytaknął, po czym z gulgotem spuścił w dół gardła potężną partię skalmierskiego specjału. – Wszystkich ponoć na morzu zeżarł – otarł rękawem gębę – a ledwo pusty korab do brzegu dobił, wraz się ta gadzina na ląd wdarła. I dalejże plądrować, ogniem domy palić, ludzi mordować! A już najbardziej ów smok łasy na dziewczątka czyste, osobliwie zaś księżniczki, takie, co jeszcze ni razu chłopca nie skosztowały.

– I nie on jeden – mruknęła pod nosem wiedźma.

Ostatnimi czasy na dworach, a i w miasteczkach po trochu, zaczęło się plenić wśród męskiej nacji osobliwe upodobanie do zielonych jabłek. Mierziło to Babunię niezmiernie, zwłaszcza że po ostatniej wojnie wiele owdowiałych niewiast ostało się na gospodarstwie bez pomocy, z gromadką maleńkich dzieci. Tymczasem kawalerowie, jak oczadzieli, smalili cholewki do coraz młodszych dziewczuszek, tak że niejedna stawała przed ołtarzem u boku chłopiny posiwiątego i zgarbionego wiekiem, nieledwie własnego dziadka.

– W każdym razie zacni owi mężowie pod wodzą mości Skuropatki postanowili smoka utrupić, ot co – dokończył pleban, roztropnie postanowiwszy nie wdawać się z wiedźmą w rozważania na temat czystości niewieściej. – I dlatego w nasze strony zawitali.

– Niby czego miałyby tu smok szukać? – zakpiła wiedźma. – Za bardzo to on się u nas nie pożywi. Pierwej z głodu zdechnie, aniżeli znajdzie w tej okolicy księżniczkę.

Rozalka, która spod pieca przysłuchiwała się rozmowie, przybliżyła się ku nim, mnąc w palcach brzeg fartuszka. Jej pękate, rumiane oblicze wybystrzyło się nagle. Gospodyni była ze wszech miar zacną niewiastą, przy czym znała swoje miejsce, zwykle więc trzymała się kuchni i z milczącym zachwytem przyjmowała każde słowo chlebobdawcy. Ale na swój sposób również starała się dbać o dobro plebańskiej owczarni i jedna sprawa pochłaniała ją niezmiernie. Swatanie.

– Tyłu się tych rycerzy zjechało – zwróciła się przymilnie do wiedźmy – a wszyscy aż nogami drobią, żeby jakąś księżniczkę z łap smoka wyratować. To tak sobie myślę, Babuniu, może by im kogoś podsunąć? Na ten przykład Jewkę?

Wiedźma przygryzła w zamyśleniu wargę.

– Odkąd się z braćmi poswarzyła, włóczy się, mizerota, po okolicy, nigdzie miejsca zagrzać nie może – ciągnęła Rozalka, najwyraźniej postanowiwszy wziąć Babunię na litość. – Ot, w kruchcie u nas sypia, rzepę zgniłą na polach podbiera. Aż żal patrzeć...

Wszelako była to za ledwie połowa prawdy. Owszem, bracia nie obeszlę się z Jewką łaskawie, wypędziwszy ją z kuźni precz w jednej koszulinie na grzbiecie, ale i ona za życia ojca, pewna jego łask, pomiatała

nimi jak rzadko. Przy tym charakter miała paskudny, a ostatnie wypadki jedynie wzmogły jej wrodzoną złośliwość. Nawet psy na jej widok podkulały ogony i uciekały z przyciszonym skowytem.

Ale, o ile wiedźma pamiętała, z gęby Jewka wyglądała wcale przyzwoicie. Gdyby ją tak domyć, uczesać, ochędożyć trochę, akurat by się nadała na księżniczkę. Ostatecznie wśród nich również trafiały się nie byle cholery...

Pleban spąsował na twarzy.

– Nawet o tym nie myślcie! – wykrzyknął, na chwilę zapominając o strachu przed wiedźmą. – Widzicie je, zbiorą się dwie baby do kupy i zaraz im amory w głowie. Nie, nie, Babuniu, wyście już raz tutaj księżniczkę wyswatali i co z tego przyszło? – Wycelował w nią oskarżycielski palec. – Ano, tylko wstyd i sromota. Trza było Jarosławnę we młynie zostawić, gdzie było jej miejsce. A tak co? Z byle żołdakiem od męża zbiegła, dwoje dzieciątek maleńkich porzuciwszy. Bo natura w niej była chłopska, plugawa, a nie uczynicie z osła rumaka i krowa wam jabłek nie urodzi, choćbyście ją tylnymi nogami w ziemi posadzili. Lepiej, żeby się każdy swego miejsca na świecie trzymał i ponad godność się własną nie wynosił...

Wiedźma niecierpliwie machnęła ręką. Nużyły ją ataki plebańskiego krasomówstwa.

– Dobrze już, dobrze. Ostawmy Jewkę w spokoju. Skoro w żebraczych łachmanach taka dokuczliwa, nie wiedzieć, jakby nam nadojadła, gdyśmy ją w książęce szatki postroili.

Gospodarz zazezował ku niej nieufnie.

– Bardziej mnie ci rycerze gnębią – ciągnęła wiedźma. – Nie wiedzieć, co za nimi przylizie...

Pleban się zasepił. Niby nie przestawał narzekać, że Wilżyńska Dolina zadupie, ale w istocie żyło mu się tutaj jak tłustemu kotu na zapiecku. Wieśniacy dbali, by nie brakło sperki ani mleczka, Rozalka troszczyła się o inne potrzeby, a wizytatorzy z najbliższego klasztoru, którzy mogliby położyć kres owej harmonii, osobliwym trafem gubili się na splątanych górskich ścieżkach. Wiedział jednak, że skoro szlak raz zostanie przetarty, rychło po rycerzach nadciągną poborcy podatkowi, kaznodzieje, żebracy, kupcy, ladacznice – słowem, wszelkie zwiastuny

cywilizacji, która czcigodnemu proboszczowi mocno dokuczyła podczas ostatniego pobytu w mieście. Co więcej, księżę może wyznaczyć nowego władcy, który zabroni wypasać świątynne owce na dworskich łąkach i zażąda zwrotu pożyczonej dawno temu gotowizny. Nie, plebana bynajmniej nie nęciły zmiany. Lepiej, żeby pozostało, jak jest.

– To niechże sobie tego smoka ubiją i idą precz – zdecydował, z ciężkim westchnieniem pożegnawszy się z dochodami za wynajem stajni.

– Ano, chyba tak będzie najlepiej – rzekła z równie ciężkim westchnieniem Babunia, której całkiem spodobał się filuterny, tęczyowy stworek.

Niestety, następnego dnia wynikła zgoła nieoczekiwana przeszkoda. Babunia wyszykowała stosowną zasadzkę na ścieżce, którą rycerze zwykli o poranku wyruszać z wioski na polowanie. Zamierzała zagnać tam potworka – tak na wszelki wypadek, żeby rycerze go nie przeoczyli. Ale sam smok okazał się niedysponowany. Najwyraźniej jad bazyliuszka zaszkodził mu bardziej niż innym stworzeniom, bo po wygarnięciu spod łożka okazał się nadal twardy jak kamień i równie nieruchomy.

– O smoku ty, w rzyć kopany! – krzyknęła Babunia i cisnęła półprzezroczystą figurynekę z powrotem między pajęcze sieci.

Od strony wioski słyszała radosne granie myśliwskiej sfory. Jesienią Babunia popadała w nastrój nostalgiczny – lubiła siedzieć w filcowych kapciach przed kominkiem, gapić się w płomień, smażyć śliwkowe powidła, pić na umór i wspominać dawnych kochanków. Wszystkim tym czynnościom zwykła oddawać się w ciszy i spokoju, toteż psie jazgoty, rycerskie pokrzykiwania oraz absurdalne dźwięki rogów straszliwie ją rozjuszały.

Zawiązała chustkę w czerwone róże, ze złości tak mocno zadzierzgnawszy węzeł pod szyją, że ledwie mogła przełykać ślinę, po czym zamasyście wymaszerowała ze swojej sadyby. Tak czy inaczej, musiała się pozbyć intruzów z doliny.

Dobre kilkadziesiąt kroków od zasadzki stało się jasne, że rycerzom – a w każdym razie jednemu z nich – bardzo dzisiaj nie sprzyja szczęście. Wiedźma uśmiechnęła się wrednie i zaczęła pogwizdywać pod nosem. Wbrew gromom kaznodziejów, nic tak nie poprawiało jej humoru jak nieszczęście bliźniego.

Przystanęła tuż nad krawędzią wilczego dołu. Choć utopce bardzo wczoraj sarkały na Babcine niemiłosierdzie, wygrzebały jamę jak się patrzy, głęboką nad siedem łokci, i z własnej inicjatywy przydały jeszcze na dnie małe, błotniste bajorko. W samym jego środku, po pas w wodzie, tkwił rycerz. Zdążył się chyba już nieco zadomowić, bo nie wspinał się po stromistych ścianach ani nie przeklinał, tylko zdjął hełm i spokojnie czekał na rozwój wypadków. Miał płomieniście rudą czuprynę i wydatny nochal.

– Co, koledzy zostawili? – uzaliła się nad nim obłudnie Babunia, wsuwając głowę do środka.

Rycerz uniósł ku niej twarz, nakrapianą jak indycze jajo.

– Mus im potwora ścigać, zanim coś straszliwego nabroi – odrzekł rażno. – A ja się stąd nigdzie nie ruszę.

Ale znać było, że jedynie maskuje gorycz, a rejterada kompanów mocno go dotknęła.

– Nie zimno tam aby waszej rycerskiej mości? W krzyżu od wilgoci nie łupie?

Woda zachlupotała, gdy rudy poruszył się niespokojnie i zerknął na starowinkę, szukając w jej twarzy szyderstwa. Nie dojrzał wszelako nic, prócz niewinności i chęci pomocy. Babunia nie miała zwyczaju psuć sobie zabawy przed czasem.

– No, łupie po trochu – przyznał w końcu – i strzykać w boku zaczyna, bo tam ranę mam świeżą, ledwo co zabliznioną. Ale co począć?

Babunia pokręciła z dezaprobatą głową.

– Oj, to bardzo niezdrowo dla rekonwalescenta po pustkowie ganiać. Tutaj w górach przeciągi straszliwe, łatwo się przeziębć. Nadto koń na wertepach wytrzęsie, może się rana otworzyć. Nie lepiej to w domu pod pierzyną siedzieć, pewnikiem nie bez rozrywki? Wszak tak urodziwy młodzian sam się do łoża nie układa – dodała chytrze. – Ani chybi w wielkim świecie ktoś tam na waszą rycerską mość czeka, rączki białe załamuje, oczki modre wypłakuje...

Rycerz – po prawdzie pośledniej urody – łypnął jeszcze bardziej nieufnie, ale znów postanowił wziąć jej słowa za dobrą monetę. Ostatecznie była tylko wiejską prostytutką. Wiejskie prostytutki mogły nie

mieć większego obeznania w rycerskich sprawach.

– E tam. – Westchnął ze smutkiem. – Nikt nie czeka. Ani panna nadobna, ani łoże wygodne.

– Olaboga... – zafrasowała się Babunia. – A cóż to się waszej rycerskiej mości przytrafiło?

– Co się miało przytrafić? – Rycerz wzruszył ramionami. Zbroja zaskrzypiała żałośnie. – Usiądźcie sobie, babciu, wygodnie, to wam wszystko opowiem. Co mi tam szkodzi – usprawiedliwił się przed sobą cichszym głosem. – Zawszeć to przyjemniej przy jakimś ludzkim stworzeniu czas strawić.

Wiedźma umościła się zatem wygodniej na skraju jamy.

– Ano, było tak – zaczął ryży. – Miałem włość na południowym kraju Gór Żmijowych. Niewielką, ledwie trzy wioski po kilkanaście dymów i dworzyszczce stare, co je jeszcze świętej pamięci pradziaduś postroił. Ziemia to tam słaba, ale jaka okolica piękna – zacmokał językiem. – Łąki, stawy, połoniny. Wszystko, czego dusza potrzebuje. Cudności, powiadam wam, cudności...

– To nie lepiej tam było siedzieć? – poddała Babunia.

– Ba! – Rycerz zmarkotniał. – Jeno za co, babciu, za co? Wszak wy nie wiecie, jak jest. Na dwór trzeba pojechać, sąsiadów ugościć, rząd nowy na konia położyć. Włość mała, potrzeby duże. Słowem, zadłużyłem się po uszy.

Wiedźma pokiwała głową. Domyślała się już reszty opowieści.

– A kiedy jeszcze ta wojna nastąpiła – ciągnął rudy – zrazum sobie pomyślał, że bogowie dobrotliwi mi ją zsyłają. Bo siły zawsze dość miałem i do miecza dryg. Tom sobie pomyślał, powojuję. Trzeba było kolejną pożyczkę na rynsztunek wziąć, lichwiarze trochę nosem kręcili, że majątek zadłużony, że gwarancje słabe. W końcu kwity im podpisałem, że jeśli za trzy lata wszystkiego co do grosza nie zwrócę, cała posiadłość w ich ręce przechodzi.

Babunia westchnęła ciężko.

– Młody byłem, głupi – usprawiedliwił się rycerz. – Do chorągwi naszego dobrego spichrzańskiego pana wstąpiłem, bom sobie umyślił, że on gwarancja najlepsza łupów i wojennego szczęścia. Pociągnęliśmy

Książęce Wiergi oblegać, co się w nich starego burmistrza córka zawarła. Radem był temu wielce, bo przecie wiergowskie kupce zasobne jak mało kto. – Z żalością pociągnął nosem. – I na co mi przyszło? – Zwiesił łeb na piersi.

– No, na co? – pogoniła go Babunia, którą nieoczekiwanie wciągnęła opowieść.

– Ja to szczęścia nie mam. – Rycerz rozżalał się coraz bardziej. – Trzeciego dnia oblężenia mieszczankowie z góry świństwo jakoweś alchemiczne spuścili. Dym się z niego zrobił żółty i smród takowy, że koń dęba stanął, w błoto mnie zrzuciwszy. O mało się nie uwędziłem! Jeszcze tchu nie odzyskałem, a chłopstwo, z natury do smrodów nawykłe, dalejze mnie w łeb kłonicą. A potem cap, na wózek cisnęli i przez bramę do środka zawlekli. I takim jeńcem zostałem!

Babunia pokręciła głową. Z coraz większym trudem skrywała uśmiech.

– Straszna sprawa.

– Oj, straszna, straszna – zgodził się rudy skwapliwie. – Okazało się, że popadłem w niewolę u jakiegoś rakarza czy garbarza, człeka nikczemnej profesji i jeszcze gorszych obyczajów. Ani chciał słyszeć o rycerskim słowie! – Sapnął z oburzenia. – Nic, tylko gotowizny wołał. A jak groszy nie będzie, wrzeszczy ten cham, to do kieratu w garbarni zagonię. Wyobrażacie sobie, babciu? Tu nie jest pański dwór, powiada, ja za darmo żreć nie daję. Tak mi powiedział! – Znów zaczął sapać gniewnie.

Wiedźma odczekała, aż rycerz uspokoi się nieco.

– I coście tedy poczęli?

– A co było począc? – obruszył się rudzielec. – Przecie nie mogłem za niewolnika robić. I u kogo jeszcze? U garbarza? Kazałem pchnąć posłańca do obozu – za tę usługę garbarz-kozojebca doliczył sobie dwa srebrniki – i poprosiłem druhów o zrzutkę na poczet przyszłych łupów. A w dwa dni później ta suka Złociszka kazała uwolnić jeńców – dodał z rozgoryczeniem – i za darmo odesłała ich do obozu. Mówiłem wam, nie mam szczęścia.

– Ano, czasami tak się los na człowieka uweźmie – rzuciła dla podtrzymania rozmowy wiedźma.

– Uweźmie? – prychnął. – On mnie zrujnować postanowił, do nędzy ostatecznej przywieść. Bo nie dość, że po tej przygodzie wszyscy kpili ze mnie, że u chamstwa w niewolę popadł. Na dodatek koń mój nogę złamał, więc do piechoty musiałem przystać.

– W oblężeniu to niewielka udręka.

Rudy spojrział na nią z politowaniem.

– Despekt jest despekt! Rycerz bez konia jak pies bez chwosta, nikt go w uważaniu nie ma. I jakeśmy wreszcie to miasto zdobyli, zaraz panowie szlachta co najlepsze łupy rozdrapali. A mnie się, razem z resztą ciurów, nabrzeże dostało. A co tam się dało zrabować? Ryby?

Oczywiście nie była to szczerza prawda, bo mieszkańcy Książęcych Wiergów, choćby i w pośledniejszych dzielnicach, opływali w dostatki.

– A potem książę łupić zakazał – dokończył rycerz, chyba wyczuwając powątpiewanie, które zaczynało gęstnieć ponad jamą. – Taką piękną rycerską tradycję zmarnował. Ech, powiadam wam, wszystko na psy schodzi. A ja całkiem na dziady zeszedłem przez to wojowanie. Ledwie ze swojego udziału w zdobyczy ziomków zdołał spłacić, co się na mój okup złożyli.

– A dla lichwiarzy nie starczyło – odgadła Babunia.

– Skąd? – Machnął ręką. – Konia jeszcze musiałem kupić, żeby się w dyrdy po gościńcu nie włóczyć. Ale co to za koń? Chabeta nędzna, źle ułożona. Sami widzicie, że mnie przy marnym skoku w dołek zrzuciła.

Rzeczona chabeta pasła się pogodnie nieopodal, próbując szochrać siodło o niskie sosenki. Faktycznie, była to przyciężkawa, koścista klacz o dziwnie złośliwym pysku. Kiedy Babunia spojrzała na nią uważniej, kobyłka ostrzegawczo obnażyła zęby i uciekła dopiero, kiedy wiedźma pogroziła jej kułakiem.

– Ano, niepięknie – zgodziła się Babunia.

– Zrujnowany jestem – poskarżył się ryży. – Za trzy niedziele termin wykupu mija, a ja, ot, gołodupiec. Nawet w rodzinne strony nie chciałem wracać. Tylko wstyd większy będzie, pomyślałem sobie. Niechże już lichwiarze ten majątek biorą, ale zaocznie. I pociągnąłem nad morze, byle dalej... Aż tu się taka okazja trafiła. – Nagle jego piegowate oblicze rozpromieniło się jak małe słońeczko. – Taki dar od bogów.

– Smok – dopowiedziała wiedźma.

Rycerz wyprostował się dumnie w swoim bajorku.

– Potwór straszliwy, ludzkiego narodu największy nieprzyjaciel.

Babunia Jagódka aż się zachłysnęła.

– A widzieliście go może? – zagadnęła po chwili.

– Dotąd się nie trafiło – wyznał z zawstydzeniem rycerz. – Ale druhowie przestrzegali, że gadzina przewrotna i zła, aż trudno uwierzyć. Siemiedze, księżęciu, co wedle Turznii siedzi, córkę zeżarł, choć piękność była w całym świecie sławna.

Wiedźma z udawanym przejęciem przyłożyła obie dłonie do policzków.

– Straszność!

– Ano, straszność – potaknął rudzielec. – Dlatego księżę nagrodę za smoka naznaczył. Ten mianowicie, kto mu łeb smoczy przyniesie, tyle srebra dostanie, ile ten łeb waży. A gadają, że taka gadzina czasami nie jeden łeb ma, ale siedem... – rozmarzył się.

A, tu cię mam, bratku! – pomyślała Babunia. Wreszcie wszystko jasne. I zaraz się jej zebrało na śmiech, bo przypomniała sobie nikczemny rozmiar ściganego potworka. Rycerz faktycznie nie miał szczęścia. Chociażby mu się udało zwierza przydybać, za jego główkę nie wykupi ani jednej wioski.

Znów łypnęła w dół, ale owładnięty marzeniem rudzielec nie zwracał już na nią uwagi. Tkwił pośrodku bajora, z uśmiechem wpatrując się w przestrzeń. Nie wydawał się zbyt bystry, lecz to może i lepiej. Bystry rycerze bywali zbyt dokuczliwi. Wygrzebała z sakwy zwój liny, przywiązała jeden koniec do najtęższej z sosen, a drugi powoli spuściła do dołu i pogwizdując radośnie, ruszyła w swoją stronę.

Miała nadzieję, że przed nocą rycerz dostrzeże sznur. O zmierzchu utopce wychodziły na polowanie. Zwykle trzymały się linii tataraku, ale coś jej mówiło, że mogą potraktować ten dół jak swój teren łowiecki.



Jeszcze przed północą do chatki Babuni Jagódki przydyrduła zaaferowana Rozalka.

– Oj, bieda nastąpiła nam, bieda! – krzyczała od furtki.

– Utopce rycerza zeżarły – zgadła wiedźma, skutecznie wytrącając przybyłą z rytmu biadoleń.

– No co też wy, Babuniu! – oburzyła się gospodyni plebana. – Przecież my ich przestrzegli, żeby nad staw nie leżli.

Wiedźma starannie ukryła uśmiech zadowolenia. Nie lubiła marnotrawstwa. Rudy rycerzyk mógł się jeszcze do czegoś przydać.

– Lećmy, Babuniu. – Rozalka porwała ją za rękaw od koszuli. – Czasu nie mitrężmy, bo się tam pozabijają.

Zwykle plebanicha zachowywała spokój, więc wiedźma bez dalszych swarów narzuciła na głowę kwiciastą chustę i wdziała watowany kubrak.

– Rycerze? – zapytała jeszcze, gdy odbijała od płotu ulubioną sztachetę.

– Gdzieżby tam rycerze! – fuknęła proboszczowa kochanica, sadowiąc się za jej plecami. – Intendent, Babuniu. Intendent!



Wylądowały na głównym placu, naprzeciwko kościoła. Chociaż noc nastąpiła już ciemna, w wiosce było jasno jak w dzień od zapalonych latarni i pochodni. Od strony karczmy dobiegały wściekłe pokrzykiwania, ale to akurat nie zdziwiło Babuni: po trudach polowania na smoka rycerze musieli odpocząć i trunkiem spłukać smak porażki. Bardziej zafrapował ją gęsty tłum, zgromadzony wokół świątyni. Natychmiast zdała sobie sprawę, że podnoszone przez wieśniaków okrzyki bynajmniej nie są częścią dziękczynnych modłów, a pałki i kłonicie, dzierżone w rękę przez co bardziej zajadłych obywateli, nie zostały przyniesione li tylko dla ozdoby.

Spojrzała z wyrzutem na Rozalkę.

– Co się tu dzieje?

Księża gospodyni otarła rąbkiem fartucha łyzy.

– To ten intendent! – Chlipnęła żałośnie. – Zaraza na niego.

Wiedźma ze zrozumieniem skinęła głową. Urzędowe osoby, osobliwie zaś poborcy podatkowi i inni wysłannicy okolicznych ksiąząt, z dawien dawna nie cieszyły się w Wilżyńskiej Dolinie poważaniem.

– Na niego się zasadzają?

– A skąd. On ich podjudził.

Wiedźma rozpoznawała w tłumie coraz więcej znajomych twarzy. Zbiegła się cała wioskowa biedota, co jej nie zdziwiło, bo większość z nich nie przepuściła dotąd żadnej okazji do bijatyki. Widziała więc czterech drwali, niegdyś grasantów, bezlitośnie uwięzionych w Dolinie przez wiedźmę, Dolibę – koniokrada, utrzymującego się obecnie z gry w kości i szczęśliwie ożenionego z wieśniaczką, paru opilców, kilkunastu pasterzy, co najmowali się do prowadzenia stad przez góry, i całe mrowie zwyczajnych ubogich wieśniaków, którzy zebrali już z pól mizerne zbiory i teraz oczekiwali godziwej rozrywki. Ale wśród ciżby pobłyskiwały też rumiane, podlane tłuszczkiem twarze wiejskich bogaczy. Byli tam bracia Jewki – potężni kowalikowie górowali nad resztą, a każdy dzierżył w dłoni żelazny drąg własnej roboty. Obok nich stali Paszko, syn najzasobniejszego kmiecia we wsi, z siekierą na ramieniu, i bednarz z widłami. Zjawił się nawet karczmarz, z racji profesji zaprawiony w burdach, ale nieskłonny do przesadnego ryzyka.

Zastanowiło ją to po trochu. Mało co mogłoby zjednoczyć tak różne indywidualia, a na dodatek podszuć ich do zbrojnej awantury.

Rozalka pociągnęła ją za kożuch. Babunia zaczynała już rozpoznawać pierwsze okrzyki.

– Na stos! – darł się na całe gardło starszy z kowalskich braci.

– Błuznierstwo! – wtórował mu koniokrad.

– I zabór mienia! – wrzeszczał piskliwie karczmarz.

Wiedźma zmarszczyła brwi. Nie lubiła, kiedy w jej bliskości przebąkiwano o stosie.

Gospodyni plebana znów się rozszłochała.

– Bo on ciągle liczy – wykrztusiła przez łyzy. – Ten intendent. Ni na chwilę nie przestaje, ścierwo. Powiada, że nie potrafi się powstrzymać.

Babunia Jagódka próbowała ją gestem uciszyć, żeby lepiej się wsłuchać we wrzaski, ale było to tak, jakby próbowała zatamować wezbrany topniejącymi śniegami potok.

– Wedle kapliczki intendent wziął na wóz starego Kulasa – paplała Rozalka. – Niby się to uzalił, że zgrzybiały staruszek o lasce kuśtyka, ale ja swoje wiem. – Zacięła ze złością wargi. – Rozmyślnie tak zrobił, widać wyczuł, parszywiec, że Kulas wszystko rozgada. I wykładacie sobie, co on zrobił, ten intendent? Owce wszystkie policzył, co się przy drodze na łąkach pasły. Owce, tryki, jagnięta, jak leci. Niczego nie opuścił.

Babunię zdjął niechętny podziw. Stado przy ścieżce miał pod opieką Osęk, najlepszy owczarz w okolicy. Większość wioskowych gospodarzy powierzała mu swoje zwierzęta, więc musiał się intendent nieźle związać, żeby je wszystkie zrachować.

– I ten intendent wyliczył, że na jedną dorosłą owcę wypada... – Kobieta zawahała się. – Jak on to powiedział? Trzy piąte jagnięcia. A stary Kulas, ledwo się za bramę wturlali, poleciał roznieść tę rewelację po obejściach. Zaraz się znalazło kilku krewkich parobków. Co sił z nogach pognali do szałasu Osęka...

Wiedźma uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– I wyszło na jaw, że podbierał jagnięta?

Rozalka skinęła głową.

– I wełnę kradł. Tak go chłopcy kijami pobili, że chyba ze dwie niedziele z łóżka się nie podniesie.

Babunia wzruszyła ramionami.

– No, to chyba dobrze. Wyszło szydło z wora, ku pospólnemu pożytkowi.

Gospodyni plebana znów zaczęła zawodzić.

– Kiedy on dalej liczył! – wyrzuciła wśród szlochów. – I z rycerzami chciał gadać, w świątyni ich przydybał.

Trzech drwali tymczasem oderwało się od ciżby i boczkiem pobiegło na tył świątyni, ku szopce, gdzie proboszcz zgromadził opał na zimę. Po chwili pojawili się znowu, taszcząc pokaźny, oczyszczony z gałęzi pień. Powitani przez ziomków entuzjastycznymi okrzykami, przepychali się do wejścia na księżówkę.

Na ich widok Rozalka stanęła jak wryta i tylko zawodziła tak donośnie, że się wrony z płotów płoszyły.

– No! – Babunia Jagódka niecierpliwie bodnęła ją łokciem w bok. – Gadaj, byle prędko, co się tu dzieje?

– Ano, on tam wszystko policzył! Kamyczki na sukience świętego obrazu, wota srebrne i te insze, co po obu stronach ołtarza wiszą. Nawet świece za zmarłych zapalane, gad jeden, przeliczył. Taki bezbożnik!

Wiedźma uniosła brew. Już się domyślała, co wzburzyło bogobojny wilżyński narodek.

– A Jewka w kruchcie się skryła – ciągnęła kobieta. – Sami, Babuniu, wiecie, jaki z niej giez obrzydły, jeno patrzy, jak by kogoś ukąsić, nieszczęścia mu przysporzyć. Wraz gdy usłyszała, co tam intendent pod nosem szepcze, zaraz poleciała do wsi i wszystkim rozpowiedziała. I po co? – Zacisnęła pięści w świętym oburzeniu. – A bo to komu ubyło od tego, że kilka kamuszków z sukienki obrazu wydziabano? A bo to różnica, czy sznur pereł podwójny, czy pojedynczy? Patrzajcie, Babuniu – mówiła, coraz bardziej rozgniewana – tylu ludzi do świątyni zachodzi, przed ołtarzem pokłony bije, a nikomu dotąd przez myśl nie przeszło, żeby wota liczyć. Albo sprawdzać, ile się świeczek przed figurą pali.

Babunia uśmiechnęła się pod nosem. Wilżyński pleban był człkiem wielce swej pracy oddanym, wszelako czasami rozmywała mu się delikatna różnica między dobrem własnym a pożytkiem boga, któremu służył. W takowych momentach bez skrupowania spieniężał świątynny воск albo podmieniał srebrne wota na żelazne. Ostatecznie, mawiał, mój pan nie przywiązuje wagi do dóbr tego świata. Jemu żadna różnica. A mnie wręcz przeciwnie.

Cóż, może z wotami pleban nieco przesadził, zdecydowała po chwili. Ale nie będzie mi tu żadnych samosądów. Energicznym krokiem ruszyła w kierunku zebranych chłopów.

– Wszystko przez tego smoka! – pisnęła za nią cieniutkim głosem Rozalka.

Wiedźma kolnęła paluchem w plecy najbliższego wieśniaka.

– Auu! – zawył kowalik.

Odruchowo zamierzył się drągiem, ale wnet opuścił mordercze

narzędzie, spostrzegłszy Babunię. Natychmiast zdjął czapkę i grzecznie zaszurał w piasku nogami. Bracia Jewki nie byli może za bardzo rozgarnięci, lecz darzyli wiedźmę należytytym uszanowaniem. Jak wszyscy w dolinie zresztą. Jakby obdarzone jedną wolą, głowy zaczęły się ku niej obracać. Opadały uniesione do ciosu kułaki, cichły plugawe okrzyki. Kilka kamieni jakby mimochodem upuszczono na ziemię; jeden trafił prosto w stopę Szyszka, najbogatszego kmięcia w okolicy.

Drwale zamarli z wielkim dylem w rękach. Widać roztropnie uznali, że nawet wiedźma nie może od nich wymagać, żeby zrzucili go sobie na buty.

Babunia Jagódka szybko przeszła pomiędzy zmartwiałymi wieśniakami. Nawet nie musiała się rozpychać łokciami. Chociaż wciąż wściekli, bogobojni wilżyńscy gospodarze rozstępowali się przed nią niczym łan zboża.

Drzwi plebanii zaparto na głucho. Wiedźma zastukała donośnie, a skoro nikt nie odpowiedział, poprawiła kułakiem. Dalej nic. Zakłęta pod nosem. Z tyłu zawtórował jej pełen złości szmer. Świadoma, że wieśniacy śledzą każdy jej gest, spięta się w sobie i wymierzyła drzwiom delikatny prztyczek. Solidne dębowe deski zatrzęsyły się, a potem wypadły razem z framugą. Tłum runął do przodu.

– No! – Wiedźma odwróciła się błyskawicznie i uniosła palec.

Włóścianie zatrzymali się jak wryci, a Babunia już się odwróciła i w grobowej ciszy przekroczyła progi księżówki. Rozalka ciszkciem wsunęła się za nią.

Proboszcz kulił się za stołem w kącie jadalni. Na jego nalanym obliczu perliły się grube krople potu. Rozalka przypadła do niego ze stłumionym szlochem i podźwignęła go z podłogi.

– Co, nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka? – zaszydziła wiedźma. – A nie mówiłam, że w końcu was ta chytrość do nieszczęścia przywiedzie?

Pleban tylko jęknął.

– Wszyściuteńko przez smoka! – powtórzyła Rozalka.

– Ale wyście durni – zeźliła się Babunia. – Cięgiem tylko na smoka wyrzekacie, zamiast korzyść z niego jakąś wyciągnąć. Tyle że do tego głową trzeba ruszyć, a nie jeno jęzor po próznicy strzępić. – Odwinęła się

tak żwawo, że aż zafurkotały spódnice. – Ciemięgi!

Pleban i Rozalka wytrzeszczyli ze zdumienia oczy, a Babunia wzięła się pod boki, wparła obcasy w zdefasonowany próg i popatrzyła twardo na rozjuszonych wieśniaków.

– No, czego tu szukają?! – ryknęła, aż posypały się liście z drzew. – Smok wota święte zeżarł.

Zapadła głucha cisza. Włóścianie desperacko usiłowali przetrwać tę nieoczekiwaną nowinę. Wreszcie ktoś – chyba koniokrad, który nie grzeszył nadmiernym rozumem – rozdarł się przeraźliwie:

– Huzia na smoka!

– Huzia! – zawtórował mu radośnie Mały Sułek. – Bij zabij zaprzańca!

Głowy zafalowały jak łan na wietrze i nagle cała ta ciżba zerwała się do szaleńczego biegu. Kilka tuzinów stóp – bosych, odzianych w łykowe łapcie, drewniane kozaki, a nawet wystawne skórzane trzewiki – zatętniło po ubitej ziemi majdanu, żwawo kierując się ku ciemnej ścianie lasu. Kilka tuzinów krzepkich ramion w morderczej furii wystawiło naprzód kosy, widły i siekiery. Wkrótce przed plebanią zostało zaledwie trzech drwali, coraz bardziej przygiętych do ziemi pod ciężarem pniaka. Wreszcie jeden z nich dał głową znak pozostałym i bardzo cichutko położyli drzewo na ziemi.

– To my już sobie pójdziemy – oznajmił grzecznie, po czym co prędzej czmychnął wraz z kompanami.

– A kto za wami posprząta?! – rozdarła się za nim Babunia.

Jednak nawet nie liczyła, że skłoni ich do powrotu. Niebawem krzyki ścichły na dobre i za plecami słyszała tylko ciężkie sapanie proboszcza, który w końcu zebrał się na odwagę i przydreptał ocenić rozmiar zniszczeń.

Rozalka przypadła Babuni do ręki.

– Niechże wam wszyscy bogowie wynagrodzą!

– Cicho! – ofuknęła ją niecierpliwie wiedźma.

Teraz, kiedy pozbyła się rozwrzeszczanej hałastry sprzed wejścia, coraz wyraźniej słyszała dobiegające od strony karczmy odgłosy awantury.

– A tam znów co się dzieje?

– Ano ten intendent zapowietrzony – prychnęła gospodyni plebana. – Zaraza na niego i jego nasienie – dodała mściwie.

Ale Babunia już nie wysłuchiwała klątw. Zakasawszy spódnicę, ruszyła poznać człeka, który tak straszliwie rozjuszył spokojny wilżyński ludek.



Pod nieobecność karczmarza interesem zawiadywała Szczerbata Kryska, jedna z wielu chudych, młodocianych sierot, które przygarniał na przednówku, a potem wykorzystywał bez litości. Zwykle zastraszona i cicha jak myszka, najwyraźniej okazała się mało odporna na rycerską perswazję, bo pozwoliła wytoczyć z zaplecza beczkę z najmocniejszą okowitą. Teraz, na wpół pijana, warząchwią rozlewała trunek do kufla, a jeden z rycerzy, ani chybi dotknięty zaćmieniem pamięci, obmacywał ją tak zajadle, jakby nigdy nie ślubował zachować czystości na czas polowania na smoka. Babunia wzruszyła tylko ramionami. Kiedy karczmarz wróci, niezawodnie znajdzie sposób, aby sobie powetować straty, przy czym z pewnością bardziej go zaboli wypita gorzałka niż nadszczerbiona cnota Szczerbatej Kryski.

Jej uwagę przyciągnął drobny człeczyna w ciemnym surducie, usadowiony na szynkwasiu. Co dziwne, wydawał się zupełnie trzeźwy, a przystępu do niego broniło pięciu krzepkich pachółków. Kubraki mieli ozdobione herbem, ale Babunia nie umiała rozpoznać czarno-żółtego bohomaza. Rozpoznawała za to bardzo dobrze partyzany, którymi odpychali co bardziej nachalnych rycerzy.

– Powiadam, wara od smoka – perorował tymczasem człeczyna. – Smok waszmościom nie przynależy, bo on nie jest byle bezpańska gadzina, jeno od ogona aż po łeb jego książęcej mości własność. Dlatego, jakem intendent, krzywdy jemu nijakiej nie dam wyrządzić i ani odrobiny nadwerężyć go nie pozwolę, ponieważ on do ostatniej łuski i ostatniego kłęba pary zapłacony przez jego książęcą mość...

– Którą? – wtrąciła Babunia, ignorując pełne wściekłości pokrzykiwania niedoszłych pogromców potwora.

Wyrwany ze środka tyrady, intendent obrócił na nią nieco nieobecne spojrzenie. Prędko jednak się pozbierał.

– Jaśnie oświeconego księcia Siemięga – wyjaśnił z godnością. – Pana mego i dobroczyńcy.

– Tego, co mu smok córkę zezarł? – Babunia ucieszyła się, zadowolona, że może błysnąć znajomością spraw wielkiego świata.

Rycerze jak jeden mąż łypnęli ku niej nieżyczliwie, a intendent pokraśniał i odął się na gębie jak purchawka.

– Ile razy mam powtarzać, że nijakiej córki księżę pan nie ma, nie miał i mieć nie będzie! – ryknął, aż wiedźma zadziwiła się, że taki wrzask zmieścił się w równie niepokaźnym człeczynie. – Nie trza wierzyć, babciu, we wszystko, co ludzie bajdurzą – dorzucił po chwili łagodniej. – Księżna jaśnie pani trzech chłopyszków powiła i nikogo więcej. Wszelako złe języki uknuły bajędę o tej pożartej księżniczce, żeby nią śmierć smoka usprawiedliwić i tym łatwiej księżęce dobro zagarnąć. Ale ja nie dozwolę! – Walnął się kułakiem w chudą pierś. – Jakem Cebula, książęcy intendent, nie dozwolę.

– I sami tak przeciwko wszystkim staniecie? – zapytała z powątpiewaniem.

Człowieczek przymrużył oczy.

– A kto powiada, że sam? – zapytał, bardzo z siebie zadowolony. – Jakbym ja sam się tu zapaścił, toby mnie te baranie łby – machnął lekceważąco na otaczających go zbrojnych mężów – ciszką poszatkowały. Nie, nie, zawczasu najałem sobie półtuzina Servenedyjek do ochrony. Tuż pod wioską obozem stoją, bom tu nie chciałem w narodzie sensacji czynić. I niech mnie teraz który tknie! – Znacząco przejechał dłonią po szyi. – Krótka będzie ceremonia.

– Wstydźcie się, mości Cebulo, takie brednie prawić – burknął jeden z rycerzy – jakbyśmy was chcieli zbójceckim obyczajem na gałęzi powiesić. Nic to, jeno potwarz plugawa.

– Ano – przytaknął mu inny, z wyglądu dość wiekowy i o twarzy przyozdobionej sumiastymi wąsiskami. – I przeciwko naszej czci rycerskiej zniewaga.

– A kto wie, kto wie, jak by było? – zaperzył się intendent. – I wy mi

się, mości Kolibo, nie zapierajcie, bo znam ja was dobrze, drapichrusty. Najprędzej własnąście gębą tę opowieść o straszliwym smoku, co na księżniczki dybie, rozpuścili.

– Ja? – obruszył się wąsacz. – Czyście, mości Cebulo, z rozumu zeszli?

– Tego przy występku szukaj, czyja korzyść jest – wygłosił sentencjonalnie intendent. – A kto większą korzyść z tego smoka odniesie niżli wy, mości Kolibo? Już teraz minstrele zaczynają sławę waszą głosić, żeście potwora przez pół świata gonili.

– Boć prawda szczerza! – Rycerz donośnie huknął się w zapadłą pierś. – Wszak goniłem.

– Umykaliście raczej. – Książęcy urzędnik skrzywił się szyderczo. – I nie za smokiem, jeno przed licytатorem, co wam cały majątek odebrał, a teraz chciał konia i całe oprzyrządowanie rycerskie spieniężyć za długi wasze karciane.

– Łeż, leż! – zagulgotał wściekle wąsacz.

Próbował się wysforować do przodu i ucapić intendenta za kubrak, ale inni przytomnie go powstrzymali. Partyzany w rękach pachołków zniechęcały do lekkomyślnych wyskoków.

– No, to powiedzcie mi jeszcze, mości Kolibo – kontynuował nie bez uciechy urzędnik, bezpiecznie ukryty za plecami swoich ludzi – co byście uczynili, gdyby wam się osobliwym trafem udało smoka przydybać.

Rycerz wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Zabiłbym gadzinę – oznajmił.

Intendent zachichotał piskliwie.

– Ajuści byście zabili! Chyba żeby ze śmiechu pękła na wasz widok. Przecie wy, mości Kolibo, ledwo miecz dźwigacie. Dech macie krótki, w krzyżu was strzyka, w boku kłuje, pachołkowie na koń podsadzają.

– Oj, trzymajcie mnie, braciaszkowie, bo nie zdzierzę! – rozdarł się wąsaty, ale pozostali rycerze, posłuszni wezwaniu, wykręcili mu ramiona i unieruchomili.

Szlachetny Koliba szarpał się chwilę, lecz jakoś bez przekonania. Zaraz zgiął się wpół i złapał za krzyż.

– Kudy wam do smoka! – Intendent zarechotał donośniej. – Pod

pierzyną wam siedzieć i gnaty stare grzać, nic więcej.

– Nieszlachetne wasze słowa, mości Cebulo – napomniał go inny zbrojny mąż, wysoki, przeraźliwie chudy człek; spod zbroi wystawały mu czerwone, połatane pantaloney.

– Ja nie muszę być szlachetny, tylko skuteczny – oznajmił niestropiony intendent. – A wy mnie, mości Fałeszniku, nie strofujcie, boście sami nie lepsi. Wszak nie za smokiem tu przygnaliście, lecz przed babą uciekacie. I nie dziw, bo ona od smoka paskudniejsza i bardziej złowroga... – krzyki rozjuszonego pana małżonka zagłuszyły jego dalsze słowa.

Babunia Jagódka z aprobatą uniosła brwi. Nigdy wcześniej nie spotkała intendenta, ale wydawał się jej jadowity jak piaskowa żmija. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Rycerze srożyli się, przeklinali plugawo, wygrażali kułakami, ale żaden z nich nie ośmielił się porwać na pachołków. Widać opowieść o Servenedyjkach, przyczajonych pod wioską, była prawdziwa, co zresztą wcale nie cieszyło Babuni. Nie lubiła, kiedy się jej po podwórzu szwendali zamiejscowi.

– I ze wszystkimi wami tak samo! – Głos intendenta przebił się przez wrzawę. – Gołodupce szpetne! Rycerze bezrolne!

– A wy jakie macie prawo do smoka? – rozdarła się wiedźma, z łatwością zagłuszywszy wszystkich innych. – A jeśli on tutejszy?

Rycerze popatrzyli na nią z nagłą nadzieją. Ale intendent się wcale nie stropił.

– Jaki niby tutejszy – prychnął pogardliwie. – Książę pan ma zwierzyniec przeogromny, w całej Turznii sławetny. Dlatego kiedy tylko się dowiedział o owym monstrum zamorskim, u kapitana go wraz zamówił, z za południowych gór kazał na statku sprowadzić i szczerym srebrem za niego zapłacił. Starczy?

Wiedźma podrapała się szponiastym pazurem po głowie.

– To skoro on zamówiony i zapłacony, czemu u księcia na zapiecku nie siedzi, lecz po górach się szwenda? – zapytała z powątpiewaniem.

– Bo go imć Szkarłupa wykraść próbował – rzekł z przekąsem książęcy urzędnik. – Ale powinęła mu się noga, pigule przebrzydłemu. Zwierz uciekł, a ta zgraja zaraz za nim pognąła.

Rycerz znów zaczęli coś krzyczeć w odpłacie za zniewagę, ale Babunia ziewnęła i ciszką wycofała się z izby. Miała nadzieję, że jutro sobie w spokoju upolują smoka – za jedno, rycerze czy intendent – i Wilżyńska Dolina powróci do swych dawnych obyczajów.



Następnego dnia wszelako smok był równie sztywny jak wcześniej: widać bazylipek postarał się jak nigdy dotąd. Rozgoryczona wiedźma wybrała się z wyprawą odwetową do drewni. Wyrwała potworkowi okazały pęk piór z kupra, ale nic poza tym nie udało się jej osiągnąć. Ze złością zawiązała na głowie chustkę i poszła przerzucać gnój. Była tak wściekła, że z wideł trzaskały iskry. Deszczowa chmura, która zawisała nad zagrodą, zawróciła spieszenie i podrażowała spuścić deszcz gdzieś w bezpieczniejszej okolicy. Przerażone kury zbiły się w gromadkę w przeciwnym krańcu obejścia pod płotem i nawet nie śmiały gdakać.

Jednakże i tak koło południa – widać po wczorajszym pijaństwie rycerze nieco dłużej zabarłszy w gospodzie – błogą ciszę zmąciły wrzaski, dobiegające od strony wioski. Dźwięk trąbki wwiercał się jak świder w umysł, psy poszczekiwały wściekle. Babunia cisnęła widły z złością i zebrała w garść spódnice. Zamierzała wybrać się na wycieczkę do osady i rozpędzić całe towarzystwo, kiedy hałas przygasł, potem znów wybuchł przeraźliwym jazgotem, a na końcu zaczął szybko się oddalać. Wiedźma odczekała jeszcze trochę, nasłuchując czujnie, ale skoro nic nie mąciło dłużej pogodnego ćwierkania ptaków, powróciła do przerwanej roboty.

Jednakowoż zanim słońce dobrze przechyliło się na zachodnią stronę, do wiedźmiej chatki przydreptał Szyszek. Chociaż zmachany i spocony, ani próbował bez zaproszenia pchać się na cudze podwórko. Zatrzymał się grzecznie przy furtce i z desperacją zaglądał przez sztachety, nawołując tubalnym szeptem:

– Babuniu? Jesteście tam, Babuniu? Babuniu? Zlitujcie się, Babuniu...

Przy czwartej „Babuni” wiedźmie puściły nerwy. Szyszek słyszał z uporu, jeśli zaś przydyrdał tu w takim pośpiechu, zapewne nie pozwoli się odesłać z kwitkiem i w razie potrzeby będzie tkwił przy płocie choćby

do jutra. Wychynęła zatem z za sterty gnoju i machnęła ręką na furtkę. Skobel odemknął się z potępieńczym zgrzytem, a kmieć pomknął ku niej pomiędzy kurami, które – przejąwszy nieprzychylny nastrój Babuni – dziobały go po łydkach i puszczały z dziobów ostrzegawcze obłoczki dymu. Jako że Szyszek był człkiem korpulentnym, posiadaczem wielkiego brzuszyska oraz trzech podbródków, wyglądało to dość pociesznie.

– Czego? – zapytała majestatycznie wiedźma.

Na wszelki wypadek stanęła na przyzbie, zagradzając mu drogę do izby. Zamierzała się pozbyć gaduły jak najprędzej.

– Pomiłujcież, Babuniu! – wysapał wieśniak, wyszarpując jakiejś wyjątkowo zajadłej kurze nogawkę. – No, żyć się już nie da z tą inwazją!

Gospodyni pokręciła głową. Wiedziała, że z tego smoka nic dobrego nie wyniknie.

– Co się znów stało?

– Ano, rycerze za smokiem pogonili, jak co dnia czynią – rzekł sołtys ponuro. – Ale tuż za opłotkami zaczął się na nich intendent z Servenedyjkami. Zrazu się znów kłócili, czyje prawo do smoka większe. Potem za łby się wzięli na polu przy Wdowim Lasku. Babuniu – załamał ręce – dobrze, że już po zbiorach, bo całe ściernisko stratowali, powiadam wam, jakoby je dziki zryły. Dwóch rycerzy z rozbitymi łbami do karczmy przyniesiono, a reszta się gdzieś tam z Servenedyjkami po lasach gania.

– No, to może się po cichońku wybija i znów spokój będzie – poddała wiedźma.

– E, gdzie by się tam wybili! – prychnął. – Już się odgrażają, że po kuzynów i pociotków pošlą, żeby intendentowi dać należytą odprawę. Mówię wam, zanim się ta awantura skończy, jedno pobojuwisko z Wilżyńskiej Doliny zostanie. I po to my się po wojnie ze zgłiszczy podnieśli, żeby nas teraz jeden smok wykończył?

Babunia przygryzła wargę. Rozmyślała, jak by tu doczekać, póki potwór się wreszcie nie ocknie z pobazyliżkowego odrętwienia.

– Jakie nieszczęście, jakie nieszczęście – biadał tymczasem Szyszek. – Nie mógł ten smok gdzie indziej czmychnąć, tylko do nas? A będzie

jeszcze gorzej – dodał na koniec – bo za nim wciąż nowa hałastrą ściąga. Właśnie kupiec jakowyś na wozie się przyturlał, Szkarłupa się każe wołać. I też powiada, że ten smok jest jego. Aż lękam się zgadywać, co to będzie, kiedy się o nim intendent dowie... Błagam was, Babuniu, pomóżcie. W was nasza ostatnia nadzieja...



Tuż za wioskową bramą, przed obejściem Szyszka, wiedźma wypatrzyła znajomego rycerza. Głowę miał owiniętą czyścusięnką, białą ścierką, ale wydawał się całkiem zadowolony. Siedział na przyzbie, pogryzał placek ze śliwami, a ponieważ lewą rękę miał unieruchomioną na temblaku, córka Szyszka, Honorcia, raz po raz poła go z cynowego kubka piwem. Była to dorodna, hoża dziewczyna o dwóch kruczonych warkoczach, które opadały jej aż za tyłek.

– O, witajcie, babciu! – uradował się na jej widok rycerz. – Co to, za chlebem po kmieciach chodzicie?

Honorcia zbladła jak ściana na podobny brak szacunku, ale wiedźma uciszyła ją krótkim machnięciem ręki. Nie lubiła, gdy wyjawiano obcym, kim naprawdę jest.

– Jesień idzie – powiedziała trzęsącym się, starczym głosem. – Trza się przed mrozami zaopatrzyć, bo tu wnet śniegi spadną i na dobre dolinę zawrą, razem ze wszystkimi, co w niej zostaną – dodała znacząco.

Rycerz pomarkotniał. Zdrową ręką gładził koniec Honorkowego warkocza, a po chwili dłoń omsknęła mu się na pobliskie obłóści.

– Ano – bąknął – pewnie się wcześniej z tym smokiem zdołamy uwinąć.

– Ale wy to chyba ani dzisiaj, ani jutro na koń nie wsiądziecie – zawyrokowała wiedźma. – Któż was tak poturbował? Niedźwiedzia w lesie naszliście albo insze lichy?

Rudy stropił się odrobinę.

– Nie – wyznał wreszcie mężnie. – Z Servenedyjkami mieliśmy sprawę, co je intendent przywłókł. Ale jakże tak na niewiasty zbrojno się zasadzać? Wszak nierycerska to rzecz i niehonorowa. Próbowałem tedy

przemówić im do rozsądku, ale anim się obejrzał, jak mnie jedna w łeb szabelką dosięgła.

– I żyjecie? – zdumiała się wiedźma, która lepiej od rycerza znała obyczaje południowych wojowniczek.

Honorcia przysunęła się do niego obronnym gestem.

– Na płask baba biła – burknął, podczas gdy kruczowłosa dziewczoja ocierała mu z brody krople piwa. – Ale ja następnym razem nie będę – dodał mściwie.

Babunia skinęła głową. Intendent musiał mieć nielichy posłuch wśród najmitek, skoro próbowały bezkrywawo sprawę całą załatwić. Zwykle nie zostawiały żywych na pobojuwisku.

– No, cios w łeb rzecz dotkliwa – powiedziała Babunia, starannie ukrywając kpinę. – Rozum się może obluzować i przez uszy wyciec. Musicie się pierwej wykurować, zanim znów do boju staniecie. Lepiej tutaj przeczekać, niżbyście się mieli w karczmie poniewierać. Tam hałas, zwady, tumulty, a tu sobie w cichości wypoczniecie. Lepsze będzie o was u Szyszka staranie.

Dziewczyna uśmiechnęła się z ulgą, a rycerz wielkopańskim gestem skinął wiedźmie na drogę. Oj, coś mi się zdaje, pomyślała Babunia, że prędko ci te wielkopańskie maniery wywietrzeją z głowy. Szyszek jest człek konkretny, przy czym najzamożniejszy we wsi gospodarz. Nie zamydli mu oczu polerowany szyszak ani napierśnik z ryngrafem, przy tym czujny, umie swego dobytku pilnować. Jak mu córuchna dorosła, jak się na nią miejscowe parobki zaczęły zasadzać, duby smalone prawić i do igraszek na sianie zachęcać, to sprawił se cztery brytany i tak je dobrze wyszkolił, że ni mysz mu się teraz po obejściu bez pozwolenia nie włóczy. I ciebie też, panie rycerzu, rychło precz popędzi, może nawet boleśniej niżli te Servenedyjki.

No, chyba żeby nie... – dodała w myślach, widząc, że Honorcia chyłkiem spoziera na rudego, a z takim rozmarzeniem niczym kot na sperkę. Jak się córka prawdziwie uprze, nic ojciec nie poradzi.

Na podwórku, naprzeciw wejścia do świątyni, stał wóz kolebiasty, kryty brunatnym płótnem. Z jednej strony uniesiono je na dwa łokcie i Babunia z daleka widziała wystające ze środka ostrza. Przed wozem, w półkolu, stali pachółkowie intendenta i czterej rycerze, którzy

najwyraźniej szczęśliwie przetrwali starcie z Servenedyjkami. Wszyscy nad czymś żarliwie deliberowali, a nad wrzawą górował piskliwy głos intendenta.

– Ja was w dyby każę wsadzić! – darł się. – Ręce wam każę wedle łokciów uciąć!

– Pomiarkujcie się, waszmościowie. – Pleban śmiało stanął pomiędzy wzburzonym tłumem a wozem i usiłował mitygować zwaśnionych. – Toć nie uchodzi.

– A mnie za psie jaje, co uchodzi, a co nie uchodzi! – Książęcy urzędnik splunął i plwocina opadła tuż obok trzewika proboszcza. – Mam prawo smokokrada pojmać i za zbrodnię przeciwko książęcemu majestatowi pokarać. I swego nie ustąpię, choćbym go musiał własnymi rękoma na gałęzi obwiesić.

– Smokokrada?! – Z wnętrza wozu wysunęła się głowa, przyobleczona w coś w rodzaju czerwonej szlafmicy z pozłocistymi chwostami. – Jako pies łzecie, mości Cebulo. Samiście wszak smoka ukradli, wbrew prawom wszelkim i poczciwości zwyczajnej.

Intendent aż podskoczył z wściekłości.

– Ja? Chybaście się szaleju najedli. Ja ukradłem?

Właściciel szkarłatnej szlafmicy jeszcze bardziej wysunął się z wozu i Babunia ujrzała niskiego, pękatego człowieka, odzianego w kapiący od złocistego haftu kubrak.

– A co? Kto nocką smoka ze statku uprowadził, hę? Kto go w klatkę wsadził i suknem dla niepoznaki ją przybrał, coby nikt złodziejstwa nie spostrzegł? – Coraz bardziej podnosił głos, skutecznie zagłuszając protesty intendenta. – Kto wreszcie zwierza w piwnicy najgłębszej zawarł, żeby się wieść nie rozeszła o tym bezprzykładnym gwałcie?

– Bo mu kwarantannę należało uczynić! – zawołał mości Cebula. – Jako się zwykle z zamorskimi zwierzami czyni, żeby jakowegoś plugastwa po kraju nie rozniosły. Zresztą nie wasza rzecz, imć Szkarłupo. Choćby go jaśnie książę pan postanowił głodem umorzyć, byłby w swoim prawie. Bo go kupić! Za szczere srebro kupić!

Babunia chyłkiem przesunęła się do plebana, który cofnął się do wejścia świątyni i w oszołomieniu przysłuchiwał się kłótni.

– Długo to już trwa? – zagadnęła go szeptem.

– Odkąd tylko intendent wrócił z polowania – odparł po cichu. – Tak sobie do oczu skoczyli, że tylko dzięki bożej łasce trupów nie przyszło nam zbierać. Z obrazem świętym musiałem ze świątyni wychodzić i to ich trochę powściągnęło. Kupiec do wozu czmychnął i stamtąd się odgryza, niczym skrzeczek w jamie przez psy prześladowany.

– Kupił? – rozdarł się tymczasem imć Szkarłupa. – Jakże mógł go księżę kupować, skoro on mój był? Mój, powiadam! – jego głos wzniósł się oktawę wyżej. – Zamówiony, zapłacony i...

– ...i zwędzony przez was podstępnie z księżęcej piwnicy – wszedł mu w słowo mości Cebula. – A kto się nocką ciemną do cudzej komory zakrada? A złodziej! – wrzasnął triumfalnie.

Imć Szkarłupa wziął się pod boki.

– Przed kim niby miałem sprawiedliwości dochodzić? Przed księciem oczajduszą, co po cudze dobro sięgał? Wolałem sam sobie zadośćuczynienie uczynić i majątek odzyskać.

Intendent parsknął śmiechem.

– No, toście się nachapali! Aniście dnia jednego nie potrafili tego smoka w garści utrzymać, zaraz precz od was uciekł. I nic dziwnego – dodał szyderczo. – Takiście szachraj i psubrat, że nikt z wami nie wytrzyma, nawet pospolita gadzina.

– Aha! – Imć Szkarłupa stawał się czerwony jak jego szlafmyca. – A kiedy ów zwierz czmychnął? Ano, gdy księżęcy pachółkowie dom mój plądrowali, drzwi wprzód wyłamawszy.

– W prawie swoim byli! – przekrzykiwał go mości Cebula. – Wyście z rozmysłu smoka wypuścili, żeby księciu jaśnie panu na złość zrobić.

– Taką fortunę miałbym luzem puścić z powodu byle panka? – darł się posiadacz szkarłatnej szlafmycy. – Jakiegoś chudopachołka, co na spłachetku ziemi siedzi, ot, nie większym niż ta dolinka zapyziała, i księciem się każe nazywać, choć tyle dobra ma jeno, żeby sobie ten kościsty tyłek owinąć w wytarte gronostaje?

– Podobno ten Szkarłupa to straszliwy bogacz – pleban konfidencjonalnym szeptem zwierzył się Babuni. – Któryś z rycerzy mi powiedział, że ma w kieszeni pół Turznii.

– Oj, trzymajcie mnie, ludzikowie! – Intendent wyrwał się z pięściami do przodu i byłby potężnie grzmotnął adwersarza, gdyby go pacholki nie złapali za ramiona. – Trzymajcie, bo nie zdzierzę, jak sobie ta gnida dalej będzie gębę wycierać godnością księżęcej mości.

– Właściwie należałoby im pozwolić wziąć się za łby i choćby pozabijać – odparła równie cicho wiedźma. – Ale są jeszcze Servenedyjski... A one na pewno nie popuszczą, jeśli coś się stanie z ich pryncypałem. Będą nas tu gnębić, póki z wioski kamień na kamieniu nie zostanie.

Proboszcz poskrobał się po karku.

– Może to jakieś nieporozumienie – rzekł z nadzieją. – Toć nie może tak być, żeby obaj kupili tego samego smoka...

Jak się okazało, imć Szkarłupa miał słuch ostry niczym świstak.

– Nieporozumienie? – prychnął pogardliwie. – Jakie nieporozumienie? Ja mam dokumenty.

Zanurkował do wnętrza wozu i zaraz pojawił się z karteluszem w ręku.

– O, tu wszystko czarno na białym napisane. – Rozwinął kartę i zamachał nią, triumfalnie wodząc palcem po rzędach liter.

– Pokaż! – Intendent bez ceremonii wyrwał mu z ręki dokument i zaczął łapczywie czytać. – Niemożebność! – wykrzyknął po chwili. – Zwyczajny bezsens!

Teraz imć Szkarłupa zaśmiał się z triumfem.

– No co wy, mości Cebulo? – zakpił. – Kontraktu nie potraficie rozpoznać? To może się lepiej u księcia za koniucha najmijcie, większy z was odniesie pożytek.

Babunia bodnęła łokciem plebana.

– Dajcie no to pisanie – syknęła. – Inaczej będą gardłowali do rana.

Proboszcz posłusznie wyjął intendentowi z palców dokument: na szczęście urzędnik tak się zaciętrzewił kłótnią, że bez sprzeciwu pozwolił go sobie odebrać. Wiedźma szybko przebiegła kontrakt oczami. Faktycznie głosił, że imć Szkarłupa, kupiec korzenny, syn dwojga rodziców, pan na licznych włościach, obstał u kapitana Pośmięciucha smoka, sztuk jedna, płci obojętnej. Jako zapłatę

wyznaczono dwie kupy srebrnych groszy – tu Babunia uniosła brew, szczerze zadziwiona, że ktoś zmarnowałby podobną fortunę na byle gadzinę, na dodatek pokurcza. Smok miał zostać dostarczony jeszcze przed zimą, najszybciej jak pozwolą morskie prądy i wichry, co kapitan świadczył własnym podpisem i odciskiem rodowego sygnetu.

– Wygląda na prawdziwy – przyznała.

– I jest prawdziwy! – Imć Szkarłupa prychnął. – Pokwitowania też mam, za zadatek i całą resztę.

– To jakiś obłąd – wybełkotał słabo intendent, w którym zaufanie do słowa pisanego walczyło z niedowierzaniem. – Zwyczajny obłąd.

Wiedźma machnęła z lekceważeniem ręką.

– Zaraz tam obłąd. Po prostu kapitan was oszukał jak kmiotów. Tego samego smoka dwa razy sprzedał, ot, i całą tajemnicę. A teraz pewnie się z was śmieje, wino słodkie daleko na południu pije.

Intendent i kupiec spojrzeli sobie głęboko w oczy.

Babunia uśmiechnęła się szyderczo.

– Co? Pozwoliliście mu czmychnąć?

– Jeszcze tego samego wieczoru odbił z portu – rzekł cicho intendent.
– Zaraz po tym, jak mu zapłaciłem.

– Jak ja mu zapłaciłem! – poprawił imć Szkarłupa.

– Wywiódł was w pole jak dzieci – skonstatowała wiedźma, z satysfakcją przyglądając się ich zawstydzonym obliczom. – A tego smoka aby dobrze sobie obejrzelście? Bo może to nie smok był, ale zwyczajna jaszczurka dla niepoznaki farbą umazana?

– O nie! – Intendent i kupiec oburzyli się jednocześnie.

– Prawdziwy smok to był – zawtórowali im rycerze. – Bestia straszna i pełna podstępów.

– No! – odezwał się z głębi tłumu jakiś nowy głos. – I ja ją na wieczystą pamiątkę skrupulatnie opiszę.



Kiedy Babunia ciemną nocą dowlokła się wreszcie do swej chatki, była zmęczona, jakby cały dzień w kamieniołomach machała kilofem, i na wpół ogłuchła od wrzasków. Ostatkiem sił opadła na kolana i wydobyła spod łóżka przyczynę całego zamieszania. Jednakże niewdzięczny zwierzak nadal ani drgnął, tylko małe oczko połyskiwało filuternie zza skrzydła i wiedźmie wydało się, że jawnie się z niej naigrawa.

Przelotnie rozważyła, czyby nie można go w takim stanie oddać intruzom – niechże tam sobie czekają, aż bazylijszkowy czar puści, może w międzyczasie dojdą, komu smok przynależny. Ale nie, uznała po chwili, nie nabiorą się. Figuryńka smoka to jednak nie smok.

– At, zaraza z tobą! – wyrzuciła z siebie gorzko i ze złością cisnęła stworka na powrót między pajęczyny.

Zrezygnowana, padła na fotel, zakłębieniem roznieciła ogień w kominku i długo leżała bez życia, kontemplując swoje nieszczęście. Jutro wszystko zacznie się na nowo, myślała. Serwenedyjki wezmą się za łby z rycerzami, a pachotkowie imć Szkarłupy z pewnością przyłączą się do burdy. A jeśli w zamęcie ktoś czerwonego kura puści po zagrodach albo kmieciowi łeb czekaniem rozłupie, to przecież nie ich kłopot. Ostatecznie nie są u siebie. Co im przeszkodzi?

Siedziała w ponurym milczeniu, popijając okowitkę, gdy błogą, nocną ciszę zmaćcił przeraźliwy hałas. Nietopyrki z piskiem poderwały się spod powały, pająki pospiesznie pochowały się w szpary w podłodze, a wiedźma aż podskoczyła w fotelu.

– Ani chybi jakiś wilczek się wściekł – wymamrotała, po czym dźwignęła się z trudem, złapała miotłę i choć nogi się jej plątały po trochu, dziarsko ruszyła bronić swej chudoby przed kolejną inwazją.

Stała u płotu, zamierzyła się miotłą i czekała na nadejście drapieźnika. Skowyty bowiem się przybliżyły. Na dodatek wtórowało im jakieś przedziwne rzępolenie.

– Aleście, babino, popili – poprzez opar okowitki przedarł się jakiś piskliwy głos.

Babunia zamruwała powiekami, z trudem ogniskując wzrok na stojącej przed nią postaci. Przybysz nosił pstrokaty kaftan, pełen wielobarwnych cer i łat, wytarty aksamitny biret, z którego zwieszało się smętnie niemal łyse pawie pióro, oraz żółte nogawice. Koloru pantofli nie

umiała odgadnąć, błoto i kurz pokrywały je grubą warstwą. Kiedyś do Wilżyńskiej Doliny zaplątał się żak, przypomniała sobie wiedźma, i on też nosił podobne, ni to dziadowskie, ni to pańskie przebranie. Ale nieznamy wydawał się jej zanadto wiekowy na żaka. Spod biretu wyglądało bowiem oblicze wyschłe na wiór i pomarszczone przez upływające lata. Włosy, opadające na plecy w zmierzwionych kosmykach, przybrały barwę zsiadłego mleka, a ręce, zaciśnięte na lutni, wyglądały jak pożyczone od kościotrupa.

Bez słowa nastawił ku niej nos, wydatny jak u sępa, i chwilę wietrzył w skupieniu.

– Okowitka – rzekł w końcu z uznaniem. – A nie zostało wam tam jeszcze krzyń, moja kobiecino?

Wiedźma wytrzeszczyła oczy na podobną bezczelność i wytrzeźwiała nieco.

– Wyście tak po chaszczach wyli? – zapytała cierpko.

– Oj, wstyd, babo, wstyd. – Przybysz pogroził jej palcem. – Nic się na sztuce nie znacie. Pieśń nową żem składał. O smoku straszliwym, co go rycerz prawy usiekł, księżniczce cudnej urody na ratunek przychodząc.

– Toć przecież smok jeszcze żywie! – prychnęła wiedźma.

– I dobrze – przytaknął radośnie. – Żadna sztuka pieśń pisać, kiedy zwierz już zdechły. Kunsztu prawdziwego trzeba, żeby ją skomponować, póki jeszcze dycha, coby gotowa była, kiedy go dopadną. I żeby mnie żaden psubrat nie ubiegł.

– W czym? – zdziwiła się Babunia.

Chuderlak z namaszczaniem pogładził się po siwiuteńkiej bródce, która upodabniała go do swawolnego kozła.

– Widzicie, babciu, taka pieśń o smoku to nie byle co. To bogactwo i pozycja na książęcych dworach, i sława nieśmiertelna. Dlatego ledwie mnie wieść doszła, że smok się pokazał, w te dyrdy na chabetę wsiałem i huzia w góry. Nie wiedzieć, kiedy się znów taka gratka trafi.

– Zdaje mi się – rzekła z przekąsem wiedźma – że gratka może wam przejść koło nosa, bo tu się coraz mniej zanosi na rycerskie polowanie. Pierwej potwora Servenedyjki albo pachółkowie tego Szkarłupy gdzieś ciszką złapią i wywiozą.

Przybysz bynajmniej się nie stropił.

– E, Szkarłupa też chce go zaszlachtować – oznajmił pogodnie. – Widzicie, babko, niby on korzeniami handluje i jest wielkie państwo, ale przecież wiecie się ze starej aptekarskiej rodziny i z natury ciągnie go do zysku. Dlatego umyślił sobie, żeby tego smoka przerobić na piguły, maści i balsamy, bo ponoć są w nim ingrediencje osobliwie korzystne dla wzmocnienia sił męskich. A wypchaną skórę nad własną kamienicą chce powiesić, żeby truchłem przechodniów do zakupów wabić.

– Ohyda – mruknęła Babunia, bo nagle się jej zrobiło żal psotnego tęczowego stworka.

Chudzielec wzruszył ramionami.

– Takie życie – oznajmił obojętnie. – Jak my smoka nie ubijemy, to on nas zeżre. Tyle że lepiej po rycersku to uczynić. Jak należy, z ceremonią. Ech, zdałaby się jeszcze jakowaś księżniczka piękna – rozmarzył się – albo chociaż kasztelanka, aby ją z rąk smoka wyratować...

– Tutaj najbliższa kasztelanka pod żalnicką granicą – usadziła go Babunia. – Cztery dni z okładem, jeśli szybko będziecie giczołami przebierać.

– A, co mi tam! – oświadczył rażno mężczyzna. – Najwyżej się ją dopisze, a co? Hej, babciu, a was jak wołają? Dajcie okowitki, to i was uwiecznię!

Babunia Jagódka łypnęła na niego z takim przerażeniem, jakby się na jej oczach obmienił w nocną zmore, po czym obróciła się na pięcie i pędem uciekła do domu.



Następnego dnia, jeszcze przed świtem, przywlokły się na skargę utopce, którym Servenedyjki zmały wodę w stawie, bezczelnie pławiąc w niej konie. Południowe wojowniczkę nie dały się zastraszyć hukaniem i chlupotaniem, nie zlekły się też wodnych wirów ni mamideł z pary. A kiedy najodważniejszy z utopców zakradł się do nich poprzez tatarak i znienacka uszczypał jedną w tyłek, nie dość że spuściły mu łomot, to jeszcze mściwie zżęły całe szuwały.

– Tak nie może być, Babuniu. – Przywódca utopców stał tuż za progiem, mnąc czapkę w dłoniach. Woda z kapoty ściekała mu strumyczkami na podłogę z sosnowych desek. – W dzień nie idzie się wyspać, taki hałas czynią. I nic się nie boją. Jak po grzeczności próbowałem, prosiłem, żeby gdzie indziej się wyniosły, jedna kamieniem mi oko podbiła. – Z goryczą siąknął nosem. – Zwyczajne chamstwo.

– A teraz jeszcze gorzej będzie. – Inny, bardzo już opuchnięty i pozieleniały, pokiwał głową. – Bo nad strugą też obóz rozbili i brzeg nam grodzą. To gdzie my się podziejemy? W lesie mamy siedzieć, jak jakie bobaki?

– Właśnie, właśnie – jęły sprzed progu potakiwać te potworki, które nie odważyły się wejść do siedziby wiedźmy.

Wiedźma potarła skronie, bo nagle rozboleła ją głowa.

– Zaraz. Kto obóz rozbił nad strugą?

– No, czeladź kasztelanki – wyjaśnił przywódca utopców. – Tej, co ją smok porwał.

Kiedy wreszcie udało się jej uspokoić potworki i wyprowadzić je z powrotem, Babunia Jagódka bez ducha opadła w fotel i długą chwilę siedziała nieruchomo z zamkniętymi oczami, rozpamiętując nieszczęścia, które na nią spadły za sprawą jednego maleńkiego smoka. Oczywiście zwierzak był nadal sztywny jak kamień. Maleńkie ślepie połyskiwało z kpina.

– A żebyś zdechł – wysyczała przez zęby i cisnęła go z powrotem pod łóżko.

Ale wściekłość wciąż nią trzęsła, a tak dojmująca, że zebrała spódnice i ruszyła prosto do drewnutni. Tam złapała za gardło bazyliuszka, który w spokoju ducha drzemał na grzędzie, i tak go ścisnęła, aż stwór posiniał i zaczął rzeźić.

– Jak mi jeszcze raz – wiedźma przybliżyła do niego wykrzywioną złością twarz – bez pozwolenia na coś popatrzysz, to wszystkie pióra z kupra powyrywam, a resztę na żerdź nadzieję i nad wrotami zawieszę. Odtąd ziarno będziesz żarł, jak insze kury, bo rozum masz dokładniuszko jak one. Rozumiemy się?

Przerażony bazyliuszek zaczął bardzo gorliwie posykiwać, że zgadza

się i w ogóle zrobi wszystko, co trzeba, może się posilić ciętym sitowiem albo robakami, jeśli tylko Babunia chce. Ale wiedźma już nie słuchała. Rozjuszona i bez śniadania pomaszerowała do nowego obozu.

Istotnie, z daleka dojrzała białe płótno rozbitych nad strugą namiotów – i tylko resztki przytomności umysłu powstrzymały ją przed wypaleniem ich zaklęciem do żywej ziemi. Niby rozumiała, że nie powinna się zanadto obnosić ze swoją mocą przed przybyszami, bo kiedy rozejdzie się wieść o wiedźmie, znów do Wilżyńskiej Doliny zlezie się cała masa rozmaitych oczajduszów: jedni będą próbowali ją ubić, inni wykorzystać, a jeszcze inni po prostu zechcą się gapić. Zgarbiła się więc, przybrała jak najbardziej głupawy wyraz twarzy i podpierając się na lasce, wkroczyła do obozu.

– A kto wy jesteście? – zagadnęła pyzată na buzi dziewczuszkę, która siedziała na czerwono-żółtym kocu i wyszywała jakiś złoty wzór na rozpiętej na tamborku tkaninie.

Panna podniosła na nią niebieściutkie oczy i uśmiechnęła się przyjaźnie, choć po prawdzie sękatę, naznaczone zakrzywionym nosem oblicze Babuni nie wyglądało całkiem niewinnie.

– Księżniczki naszej szukamy – wyjaśniła.

– Cóż z nią?

Dziewuszka zaczęła kręcić w palcach koniuszek złotego warkocza.

– Smok ją porwał straszliwy – westchnęła i nawet udało się jej wydusić z modrych oczek dwie łezki – i w niewoli okrutnej trzyma, póki jej jakiś dzielny rycerz nie uwolni.

– Aha – powiedziała tępo wiedźma, zbyt skonsternowana, by zapytać, jakimże sposobem taki malutki smok mógłby uwięzić sporą dziewczę. – A wy kto jesteście?

– A ja – odparła panna – jestem służką naszej księżniczki.

Babunia Jagódka zmierzyła spojrzeniem złote nici, wyszywany wzór, wreszcie delikatne palce dziewczyny.

– Może ja jestem stara – rzekła sarkastycznie – ale nie głupia.

Panienka zachichotała, dwornie zasłaniając usta dłonią. Paznokcie miała wypielęgnowane i starannie wyczyszczone.

– Co mi tam szkodzi? – oświadczyła wesoło. – Przecie nikomu nie

rozpowiecie. A jak rozpowiecie, to i tak nikt nie uwierzy obłąkanej starowinie.

– Pewnie, że nikt – potaknęła zgodnie wiedźma. – Swoją drogą, co za psie czasy nastały, że księżniczka, niby przez smoka porwana, włóczy się za nim po kraju, za własną służkę się podając?

– Nie księżniczka, lecz kasztelanka – sprostowało dziewczę. – A czasy prawdziwie psie nastały, moja dobra babciu. Ani sobie wykładacie, jak teraz trudno o rycerza, co byłby czystego serca, a w pięści mocny.



– Swoją drogą, co za psie czasy nastały, że księżniczka, niby przez smoka porwana, włóczy się za nim po kraju, za własną służkę się podając?

– Nie księżniczka, lecz kasztelanka – sprostowało dziewczę. – A czasy prawdziwie psie nastały, moja dobra babciu. Ani sobie wykładacie, jak

teraz trudno o rycerza, co byłby czystego serca, a w pięści mocny.

– Zalotnicy nie dopisali? – zdumiała się Babunia. – Dziw to prawdziwy, boś przecie z oblicza gładka.

Panna się skrzywiła.

– Oj, dopisali, dopisali nad podziw. Od dwóch lat u ojca we dworze nieustannie siedzą jakieś darmozjady.

– I co, żaden na ciebie nie patrzy, tylko na dobytek rodziciela się łąszczą? – domyśliła się wiedźma, ta historia była bowiem znana i nad wyraz powszechna w Krainach Wewnętrznego Morza.

– Właściwie nawet nie – odparła kasztelanka. – Właściwie na mnie też patrzą, może nawet zanadto. Tyle że jacyś tacy... niezdatni. Aby uczyły, gonitwy i tańce. Żaden radzić nie potrafi, żaden w sądzie nie zasiadał. Nawet na polowaniu z tyłu się trzymają, żeby kubraka posoką nie pobrudzić. – Skrzywiła się z dezaprobatą. – Jak jeden z drugim w potrzebie wojsko poprowadzi? A my na pograniczu siedzimy, u nas oręż w pochwach nie rdzewieje.

– No, dobrze – przerwała jej wiedźma, zanim panienkę nadmiernie poniosła złość na zanik cnót rycerskich. – Ale skąd ten smok?

– Ha! – Kasztelanka uniosła palec i spojrzała na nią z triumfem. – Gdzież łącniej prawego rycerza spotkać niżli na polowaniu na bestię? Wszak byle chłystek się z mieczem na smoka nie zasadzi. Do tego trzeba chęci, krzepy i męznego serca.

– A rozum? – spytała półgębkiem Babunia.

– Rozum mam ja – rzekła twardo panna. – Ale jak dotąd nie przyjęły się białogłowskie rządy, a mnie na stos niespieszno. Dlatego potrzebuję chłopca. Najlepiej takiego, coby mnie własną ręką ze smoczej paszczy wyratował. Bo jak w to uwierzy, i w inszą inszość też powinien uwierzyć. Poza tym chłop bardziej ceni, co innym chłopom wydrze.

Wiedźma zastanowiła się chwilę nad matrymonialnymi planami kasztelanki.

– Może i racja – zgodziła się w końcu. – Tylko jeszcze smoka trzeba przekonać. Bo a nuż nie zechce cię porwać? Może blondynek nie lubi?

– Pies go trącał i gusta jego! – prychnęła kasztelanka, zapominając na

moment o dworskich manierach. – Smok się ma dać zarżnąć i tyle. A jak tam wszyscy będą nad truchłem deliberować, wtedy z krzaków wyskoczę i zabójcy na szyję się rzucę, aby mu za wyratowanie od śmierci podziękować. Myślicie, że się oprze? – Uśmiechnęła się chętnie. – Coś mi się nie zdaje. Na razie zaś grunt, żeby się wieść rozeszła o księżniczce przez smoka porwanej, o co już moi pacholki na jarmarku zadbają.

– Gdzie?! – ryknęła wiedźma, aż kasztelanka podskoczyła z przestrachu.

Szybko jednak wróciła do równowagi i spytała z pańską pobłażliwością:

– Co wy, babino, głuchaście? No przecie, że w wiosce na jarmarku. Wszystko się tam zbiegło, jak to zwykle w czas polowania na smoka. Kuglarze, przekupnie, wróże, dziwki, kaznodzieje, żebracy, akrobaci...

Babunia Jagódka nie dosłyszała już końca wyliczanki. Co tchu w piersiach pognęła do wioski.

Odkąd pierwszy osadnik – wedle miejscowej legendy przemysłowiec, który po przyłapaniu przez klientów na miesaniu sinoborskiej gorzałki ze szczyzną postanowił się schronić w jakimś spokojnym, odludnym miejscu, póki wzburzone umysły nie uspokoją się nieco – wykopał sobie ziemiankę pomiędzy niebosiężnymi szczytami, Wilżyńska Dolina nie oglądała podobnego zbiegowiska. Nieopodal świątyni, tuż przy murku cmentarza, ustawiono w kwadrat cztery wozy kryte kolorowym sukniem. Jeden z nich miał opuszczony bok i jego odsłonięte wnętrze służyło za coś w rodzaju sceny: dwaj mężczyźni w pasiastych fartuchach przekrzykiwali się, śpiewając sprośne kuplety. Nieco dalej, na prowizorycznej platformie z desek, jakiś mnich o wygolonej głowie wrzaskliwie napominał naród do opamiętania.

– Bogowie zesłali smoka – darł się nieco już schrypniętym głosem – w karze za wasze grzechy!

– Oj, tak – przytaknęła mu Babunia, z niedowierzaniem rozglądając się po dziedzińcu.

Miała wrażenie, że uwięzła w jakimś niepojętym koszmarze.

Nieopodal obcy ludzie pospiesznie rozbijali kramy. Dalej ktoś wytaczał z wozu beczki z piwem. Kilka niewiast w bardzo wydekoltowanych sukniach przechadzało się rozkołysanym krokiem

między ciżbą. Przy świątynnej bramie przekupnie prezentowali cudowne obrazki i flaszeczki z żywą wodą, co leczy wszelkie dolegliwości. Niepewnie postąpiła jeszcze kilka kroków, gdy ktoś złapał ją za rękaw i uwiesił się całym ciężarem.

– Dokąd?! – zionął jej w twarz nieświeżym oddechem.

Obok stała jakaś starowinka o chytrych, kaprawych oczkach i gapiła się na nią nienawistnie.

– Dokąd, matka? Ten jarmark ludzie Kostura obstawiają, więc ani mi się waży zebrać. Nawet marnego miedziaka. – Podsunęła jej pod nos zaciśnięty kułak. – Rozumiesz czy mam przyłożyć?

Wiedźma wybulgotała coś niezrozumiałego.

– Z drogi! – ryknął ktoś tuż nad jej uchem.

Odskoczyła w tył i boleśnie wyrznęła plecami w płot, podczas gdy trzech połykaczy ognia pognało dalej na wielgachnych szczudłach. W rękach dzierżyli zapalone pochodnie. Wiejska dzieciarnia rwała za nimi w radosnym upojeniu, a tuż za nimi pędziła gromada kundelków, ujadając donośnie. Jeszcze głośniej darła się Siwka. Stała na pieńku do rąbania drewna i desperacko tłamsiła derką płomienie, tłące się na strzesze. Trzej połykacze ognia z niewinną miną przyglądali temu z bezpiecznej odległości, jednostajnym rytmem przerzucając się zapalonymi pochodniami. Gdzieś w głębi tłumu mignęła Babuni kwiecista spódnica Rozalki. Podążyła za nią wzrokiem i zaraz gniewnie zacięła wargi. Gospodyni plebana ewidentnie zmierzała do kramu, na którym dwie babiny w szpiczastych czapkach sprzedawały rozmaite uzdrawiające remedia. Wprawdzie Rozalka szła powoli, rozglądając się tchórzliwie po bokach, ale jej zdrada była niewątpliwa: czcigodny proboszcz najwyraźniej postanowił skorzystać z okazji i sięgnąć po tańsze medykamenty na trapiącą go dolegliwość.

Kmiecie również wykazali się zaradnością. Przy wielu płotkach powystawiano stoliczki, a gospodynie poustrajane w odświętne fartuchy serwowały przybyszom flaki i grochówkę w glinianych miskach. Pleban urządził przy wejściu do świątyni malutki kramik i sprzedawał odpusty, wesolutki jak szczygiełek. Koniokrad też nie wytrzymał zmasowanego ataku cywilizacji i postanowili wrócić do dawnego zajęcia – zakradł się do zagrody, gdzie kupcy zegnali konie, i właśnie wyprowadzał

ukradkiem dwie śliczne kobyłki. Przy karczmie rażno rznąła orkiestra, skompletowana naprędce z dwóch skrzypków, bębniarza i dudziarza. Co młodsze dziewczuchy, nie bacząc na pełne przygany spojrzenia plebana, pospolitowały się z obcymi w pobliżu szopki z wioskowym sianem. Tylko Honorcia zapobiegliwie pilnowała zdobyczy, uczepiona rękawa ryżego rycerza.

Wiedźmę ze zdumienia wbiło w ziemię. Patrzyła w osłupieniu, jak odmieniono jej spokojną, zapyziałą osadę.

– Precelka? – zagadnęła jakaś kobiecina, podsuwając jej pod nos dość wiekowy specjał.

Wyrwana ze stuporu wiedźma porwała się za głowę.

– Co się tu dzieje?

– A co się ma dziać? – Jejmość wzruszyła ramionami. – Po prostu jeszcze jedno polowanie na smoka.

– I ostatnie tutaj – rzekła z mocą Babunia. – Już ja o to zadbam.



Następny dzień na długo zapadł w pamięć mieszkańców Wilżyńskiej Doliny. Mijały lata, świat się zmieniał, a stare babki przy darciu pierza kiwały wciąż z zadumą głowami i powtarzały:

– A pamiętacie, jak to było, kiedy upolowano smoka?

Smok bowiem pojawił się o poranku, kiedy słońce uniosło się ponad bory, a na dziedzińcu wilżyńskiej wioski na nowo rozgorzała zabawa. Potwór jednak z początku oszczędził osadę. Łopocząc tęczowymi skrzydliskami, zatoczył tylko krąg nad połoniną, po czym zeżarł dwa barany ze stada starego Osęka, bezlitośnie przyczyniwszy się do dalszego upadku najlepszego w okolicy pasterza. Kiedy z tryków ostały się już ledwie kiszki, na odległość rzutu włócznie rozwleczone po kosodrzewinie, smok ruszył dalej. Z przeraźliwym rykiem rozgonił towarzystwo kłębiące się na wioskowym placu. Osmalił tyłki połykaczom ognia, doszczętnie zwęglił kram przekupniów cudownymi remediami i rozpędził żebraków – na pewną jałmużniczkę tak się uwziął, że ścigał ją przez całą osadę, smagając ogniem po łydkach, aż wreszcie,

na wpół żywa ze strachu, padła u wrót świątyni, gdzie zabarykadował się wylękniony proboszcz z gospodynią.

Smok srożył się jeszcze jakiś czas. Podpalił Szyszkową oborę – osobliwej szpetoty budynek, który Babunia już dawno przykazała właścicielowi rozebrać – rozwalił kilka płotów, śmiertelnie przeraził bydło na pastwiskach. Potem zniknął, ku rozgoryczeniu rycerzy, którzy w desperackim pośpiechu wdziewali ostatnie części rycerskiego oprzyrządowania.

Jak się okazało, gadzina nie przepadła na dobre, bo rychło ujrzano ją w obozowisku kasztelanki. Spadła prosto z nieba, pochwyciła dziewczynę w wielgachne szpony i spiesznie pofrunęła ukryć się w leśnym legowisku – niechybnie aby nieszczęśnicę zeżreć. Ale rycerze już siodłali konie. Kilku przedsiębiorczych parobków, co najwyraźniej zbyt wiele nasłuchali się bajek o księżniczce poślubiającej głupiego Jasia i od wczoraj piło dla kurażu, przyłączyło się do nich z ojcowskimi sulicami. Czeladź intendenta i zacieężnicy imć Szkarłupy, nieobciążeni żelaznymi pancerzami, wysforowali się do przodu, wciąż kłócąc się zajadle, komu powinien przypaść honor pochwylenia potwora. Pogodziła ich ciężkobrajna rycerska kawaleria, która przejechała się w morderczym zapale, wszystkich równo wbijając w błoto.

Tylko Servenedyjki, nie wiedzieć czemu, na widok smoka natychmiast wymówiły intendentowi służbę, zwinęły namioty, zasypały ślady po obozowisku, starannie zebrały śmieci i w zastanawiającym pośpiechu opuściły Wilżyńską Dolinę.

Reszta odbyła się jak należy. Krzyki przerażonej kasztelanki niosły się ponad lasem. Rycerze galopowali, wyciskając resztki sił z wierzchowców. Proporce powiewały na wietrze. Rogi grały. Psy szczekały. Wieśniaczki biadoliły i załamywały ręce. Pleban szykował szarpie, karczmarz – gorzałkę.

Im głębiej w las, tym zajadlej rycerze smagali konie. Każdy chciał dopaść zwierza przed innymi i zdobyć w boju nieśmiertelną sławę. Przepychali się na wąskich, kamienistych ścieżkach, pokrzykiwali groźnie. Pierwszy spadł z konia rudzielec, na nowo rozkrwawiwszy sobie starą ranę i na dodatek skręciwszy nogę w kostce. Próbował jeszcze kuśtykać za towarzyszymi, ale w końcu rozsądnie wzruszył ramionami i zawrócił do wioski. Właściwie już znalazł swoją księżniczkę, Honorcia

przekonywała go o tym każdej nocy, a jej ojciec zaczynał przebąkiwać, że mógłby wyłożyć za swego zięcia gotowiznę na wykupienie rodzinnej posiadłości.

Po nim z siodła wypadł szlachetny Koliba, który mimo chęci nie mógł dotrzymać kroku młodszym konkurentom. Dwóch następnych rycerzy zważyło się w dół, który dwa dni temu sami wykopali jako pułapkę na smoka i dla niepoznaki przykryli chrustem i murawą. Piątego poniósł koń. A kiedy dwaj ostatni szczęśliwcy wpadli na polanę, gdzie między skałami ział czarny otwór, wejście do jaskini smoka, okazało się, że parobczaki, lepiej obeznane z okolicą, wyprzedziły ich na krętych górskich traktach.

Otaczali teraz bestię, kłując ją sulicami i pokrzykując przeraźliwie, a na widok rycerzy kilku przezornie zagrodziło drogę konkurencji. Smok wywijął się jeszcze trochę, smagał ziemię ogonem, ryczał i ział ogniem, ale jakoś niemrawo. Wreszcie nadział się na sulicę Wielkiego Sułka i zdechł.

Wielki Sułek poskrobał się z namysłem po głowie i na wszelki wypadek wyrwał sulicę ze ścierwa, bo mu od małego wbijano do łba, że majątek swój należy szanować. Był to parobczak krzepki i całkiem urodziwy na swój prząsny sposób, ale niezbyt lotny, a teraz dodatkowo otumaniony gorzałką. Stał więc bezradnie i gapił się na martwego smoka, z każdą chwilą coraz bardziej strapiiony. Na szczęście niewola nie pozbawiła kasztelanki przytomności umysłu. Z piskiem przebiegła obok smoka, który puszczał z nosa pośmiertne kłęby dymu, ogarnęła wzrokiem pobojowisko i natychmiast wyłuskała spomiędzy innych chłopaka ze zbroszoną smoczą posoką sulicą. Wystarczył jej rzut oka na jego szerokie bary – opasała mu ramionami szyję i wykrzyknęła na całe gardło:

– Mój wybawco! – I ucałowała go w rumiane policzki.

Chłopak przygarnął ją odruchowo, a ponieważ nie miał doświadczenia z dobrze urodzonymi pannami i nie wiedział, co należy w podobnej sytuacji uczynić, serdecznie klepnął ją w tyłek. Kasztelanka pisnęła cienko i zarumieniła się, lecz tylko odrobinę. Ostatecznie wychowała się na dworze i nie takie rzeczy oglądała.

– Wyśmienicie. – Niepostrzeżenie przysunął się do nich zadyszany pogonią imć Szkarłupa.

Kupiec zatarł pulchne ręce, trącił czubkiem buta truchło smoka i skinął na swoich pacholków.

– Dobra, bierzcie ścierwo, chłopaki – zarządził. – Kiedy zeszywnieje, trudniej będzie na wóz zarzucić.

Od strony przecinki nadjeżdżał już intendent.

– Co wyście zrobili? – lamentował. – Jak ja wytłumaczę, że byle durny pachol smoka księciu jaśnie panu ubił? Co mu powiem?

– Prawdę – rzekł z satysfakcją imć Szkarłupa. – Że od początku wasz nie był, a kradzione nie tuczy. Los rękoma tego chłopca – wskazał na Wielkiego Sułka – sprawiedliwie nas rozsądził, bo wam martwy smok na nic, a mnie, przeciwnie, bogactwa przyczyni.

– A taki smok to wiele wart? – zagadnęła ich zniecka kasztelanka.

– Oj, panienko. – Intendent tylko pokręcił głową, patrząc, jak dwóch pacholków imć Szkarłupy z wysiłkiem usiłuje podźwignąć smoczy ogon. – Jaśnie księżę pan rzetelne dwa worki srebra za niego dał, a ten piguła drugie tyle.

Dziewczyna wzięła się pod boki.

– No, proszę. No, proszę – powtórzyła, po czym nabrała powietrza w płuca i wrzasnęła tak, że i wiedźma by się nie powstydziała: – Wara od smoka!

Wszyscy podskoczyli.

– Co wy? – zdumiał się imć Szkarłupa. – Ogłupieliście?

– Ja? – krzyknęła z oburzeniem panna. – A kto chce smoka ukraść? Majątek mojego szlachetnego małżonka zrabować?

Intendent uśmiechnął się z satysfakcją.

– Co? – ryknął kupiec. – Wszak zapłacony!

– A skądże mnie wiedzieć – kasztelanka wykrzywiła się brzydko – czy bestia, która tutaj leży, jest tą samą, którą u was oglądano?

– Jakże by nie, skoro całą drogę znad morza za nią gonimy? – rzekł ogłupiały imć Szkarłupa.

– Aleście jej wcześniej nie widzieli? – drążyła dziewczyna. – I nie przysięgniecie, że to ta?

Uśmiech na twarzy intendenta pogłębiał się z każdą chwilą.

– A przysięgnę – obruszył się kupiec – jasne, że przysięgnę!

– A nie żaliliście się przypadkiem po gorzałce – wtrącił intendent – że smok konus, że psy od niego okazalsze się trafiają.

– Ajuści – jęli gorliwie przytakiwać parobczacy – rychtyk w rychtyk tak wczoraj gadaliście.

Imć Szkarłupa rozejrzał się z nadzieją po zebranych, ale znikąd nie doczekał się pomocy.

– Tymczasem ten tutaj – ciągnął intendent – jest wyrośnięty jak trzy wołu i skrzydliska ma szerokie jak stodoła. Znaczy się, nie wasz.

– Może się przez te parę dni tak upaść – rzucił rozpaczliwie kupiec.

Kasztelanka tylko prychnęła z pogardą.

– Bądźcież rozsądni – jął perswadować jej imć Szkarłupa. – Na co wam ten smok? Toć zgnije tutaj, nikt z niego pożytku nie odniesie.

– Chyba żartujecie? – Uśmiechnęła się słodko. – Wszak muszę mieć pamiątkę po tym, jak mnie mąż wspaniale ze smoczycich łap ocalił. Dla dzieci i wnuków, sami rozumiecie. Łeb się na ścianie przybije, naprzeciw kominka. A skórę wygarbuje. Mamy na dworze dobrych rzemieślników.

Imć Szkarłupa zaczął rwać włosy z głowy.

– Takie marnotrawstwo, takie marnotrawstwo – powtarzał w kółko.

– Fakt, coś tam pewnie zgnije – zgodziła się z nim pogodnie dziewczyna. – Chyba że... Jak to przed chwilą mówiliście? Dwa worki srebra?



Po zmroku Babunia Jagódka raczyła się gorzałką w towarzystwie bazyliuszka, który na ten wieczór awansował na jej kompana do kieliszka. Ale potworek wyraźnie nie doceniał zaproszenia. Desperacko nastroszony, z całej siły wbijał pazury w oparcie krzesła i zezował po bokach, starannie omijając wzrokiem zwierciadło.

– Tylko koguta szkoda. – Babunia Jagódka pociągnęła nosem. – Piękny miał grzebień. I jak donośnie piał.

Bazyliśzek siedział cicho jak trusia. Tak na wszelki wypadek.

– Właściwie – ciągnęła wiedźma – ciebie powinnam obmienić w smoka za te szkody, co ich narobiłeś. Ale jeszcze byś, durniu, znów na kogoś popatrział i cała rzecz by się wydała. A kogut istota prosta. Kazali latać, to latał.

BABIE LATO

Późną jesienią, kiedy z pól zebrano już co się dało, w Wilżyńskiej Dolinie nastawała pora rozrzucania obornika. Kto żyw opróżniał gnojowniki, ładował wozy i z dumą wywoził na pola wielomiesięczny urobek. Tylko Babunia Jagódka trzymała się wówczas z daleka od wioski i pól, rozsianych wśród okolicznych lasów. Nie przeszkadzał jej bynajmniej fetor, który unosił się nad doliną, gęsty jak kisiel żurawinowy, i przesiąkał ubrania tak doszczętnie, że jeszcze przez parę tygodni nie dało się go wywabić mimo najstaranniejszego prania. Smród wiedźma znosiła z łatwością, bo w jej profesji powonienie szybko musiało przywyknąć do rozmaitych plugawych ingrediencji, maści i wywarów. Zresztą za chatą uzbierała własną przyzmę obornika, używanego z upodobaniem do rozmaitych destylatów. Potem butelkowała je jako niezawodne remedium na czyraki albo wzdęcia i z upodobaniem raczyła nim wioskową starszyznę lub mieszczan z najbliższego miasteczka. Po prawdzie dostarczało jej to wiele z gruntu nieszlachetnej uciechy.

Nie, Babunia Jagódka stroniła od sąsiadów z zupełnie innego powodu. Otóż wilżyński ludek, zwykle pokorny wobec swojej dobrodziejki, w porze nawożenia pól dziwnie hardział. Wiedźma podejrzewała, że ma to związek z humorami, które, podrażnione iście potępieńczym odorem, z dziką siłą uderzały chłopstwu do głowy. Bo jakże inaczej wytłumaczyć, że kowalikowie ni z tego, ni z owego potrafili pogrozić jej pięścią, zamiast co prędzej czmychnąć w krzaki? Albo że wiejskie dziewoje, normalnie płochliwe jak stado kur, spluwały na jej widok i demonstracyjnie szeptały modlitwy chroniące przed urokiem? Babunia najchętniej machnęłaby ręką na te żałosne wyskoki, bo przecież chłopci nie mogli jej naprawdę dotknąć, podobnie jak nie dotykały jej gradobicia ani przelot szarańczy – ot, po prostu jeszcze jeden wybryk natury. Pozostawała

jednak jeszcze kwestia złego przykładu. A Babunia Jagódka była zdania, że zły przykład należy tępić we wszelkich jego przejawach, dusić w zarodku i karczować wraz z korzeniem, zanim się rozpleni w sąsiedztwie.

Bez urazy więc wymierzała sprawiedliwą karę. Zamieniała wyrostki w warchlaki, zamykała dziewczyny w ognistych kręgach pośrodku boru, zmuszała bogobojnych kmieci, żeby co noc tańcowali przed świątynią boso i w samej koszulinie. I nieodmiennie miała z tego powodu same kłopoty.

Warchlaki bowiem natychmiast rozbiegały się najbliższych pagórkach i przez kolejne tygodnie ochoczo oddawały się swoim ulubionym zajęciom – nurzały się we wszelkiego rodzaju brudach, żarły, co im tylko podpadło pod ryje, i napastowały baby przy pomoście dla praczek, najwidoczniej przekonane, że jedna świnia niewiele się różni od drugiej, więc nikt nie rozpozna winowajców. Dziewczyny, zachwycone, że oto stały się zakładniczkami złej czarownicy, natychmiast nabierały przekonania, że spod złej mocy może je wyrwać jedynie prawdziwy książę i nawet długo po tym, jak wiedźma odesłała je w domowe pielesze, darły nosa i biadoliły, że odtąd należy im się lepszy los niż pasanie gęsi i dojenie krów. Dwie z nich zaszły tak daleko w tym magicznym obłądnie, że zwąchały się z topielcami z młyńskiego stawu i w stosownym czasie powiły tłuste, zieloniutkie noworodki o palcach zrośniętych rybią błoną. A stateczni ojcowie rodzin, kiedy już rozruszali kości i pozbyli się z brzucha nadmiaru łożu, który wprzód przykuwał ich do własnego zydła i małżeńskiego łoża, nabierali ochoty, żeby popląsać sobie i za dnia. Najlepiej zasię w gospodzie, po wypiciu kilku kwaterok siarczystej okowitki i w towarzystwie dziewczek lekkiego obyczaju.

Słowem, trzeba było wszystko to potem odkręcać, nie szcędząc sił i nakładów magii, póki życie w Wilżyńskiej Dolinie nie powróciło znów na bezpieczne, utarte tory. Wreszcie zniechęcona Babunia uznała, że najlepiej będzie poczekać, póki dur, wraz z wonią obornika, nie wywietrzeje nieszczęsnym włościanom z głowy. Kiedy zatem do jej obejścia docierały pierwsze, duszne powiewy nawozu, rezygnowała z wypraw do wioski i włączyła się wyłącznie po nieużytkach albo puszczańskich matecznikach. A po powrocie zatrzaskiwała na głucho okiennice i ryglowała drzwi, żeby przypadkiem nikomu nie przyszło do

głowy jej odwiedzić.

Tak też uczyniła tego roku. Wyposażona w dwie okazałe kobiałki i bukłak z czymś na pokrzepienie wyprawiła się do folwarku. Choć wojna w Krainach Wewnętrznych dawno dobiegła kresu, władcy wciąż nie powrócił z pola chwały. Nikt wszelako nie odważył się zaorać jego gruntów, posiadłość zatem marniała z każdą zimą, rozkradana dyskretnie przez przedsiębiorcze chłopstwo, które dawno już wyłapało cały żywy inwentarz i wyniosło wszystkie sprzęty ze dworu, teraz zaś karczowało na opał drzewa w sadzie i zrywało dachówki z zabudowań. Wiedźma przypatrywała się temu z melancholijną obojętnością, jako że władcy nawet w swych najlepszych czasach nie był jej ulubieńcem, a ziemia tak czy siak powinna odpocząć. Zwłaszcza że rosły na niej najśodsze w całej okolicy maliny.

Do samych owoców Babunia miała stosunek wyniośle obojętny, ale przepadała pasjami za nalewką na malinach. Niestety, wszelkie podróbki, podrasowane magicznymi wywarami albo udoskonalone przez mistrzów sadowników, bezpowrotnie odbierały jej aromat. Jakkolwiek dziwne się to wydawało, trunki należało pędzić ze zwyczajnych, wiejskich dziczków, na pół przeżartych przez robactwo i oparszywiających. A takie właśnie od wiek wieków obsiadły wilżyńskie miedze, pleniąc się bujnie na wąskich skrawkach niezaoranego gruntu.

Dlatego właśnie Babunia aż po zmierzch wałęsała się na chłodzie w przemokniętych, ubłoconych buciorach, bo pod koniec dnia nad polami zawisła dokuczliwa, lepka mżawka. I kiedy wreszcie wróciła do obejścia, palce miała doszczętnie skłute przez malinowe kolce, grzbiet jej aż trzeszczał od schylania się do gałązek, co złośliwie płożyły się nisko przy ziemi, a w głowie nieco wirowało od gorzałki.

Może właśnie dlatego w pierwszej chwili nie zauważyła dwóch okazałych, rozrośniętych w barach postaci, jakie podniosły się na jej widok spod płotu. Ale magiczna jabłonka, rosnąca pośrodku podwórza, natychmiast wszczęła alarm. Jęła razić intruzów co twardszymi jabłkami i rychło odgłosom uderzeń zawtórowały soczyste przekleństwa.

– No, no, tylko bez chamstwa mi tu! – Babunia Jagódka czknęła. – I od domowych bydlatek wara!

Ledwie wybrzmiały słowa gospodyni, mech porastający stary płot od strony wygódki rozjarzył się, oświetlając przybyszów upiorną,

zielonkawą poświatą. Wiedźma zmrużyła niechętnie oczy na widok dwóch roślących chłopów w sutych baranicach na grzbietach. Z gęby ich nie rozpoznawała, ale nic dziwnego – okowitka miała swoją moc. Kiedy jednak przybliżyli się nieco, skikając jak dwa zające pomiędzy jabłkowymi pociskami, uznała, że muszą być spokrewnieni, bo spod otoków grubych baranich czap wyzierały ku niej dwa nieomal bliźniacze oblicza, wykrzywione teraz gniewem. Chyba nie przywykli, żeby na powitanie próbowano wymłócić im kości, a pewnie nikt ich nie przestrzegł, że jabłonka, niepomna na godność i aspiracje nieproszonych gości, wszystkich traktuje równo.

Cóż, czeka ich jeszcze kilka niemiłych zaskoczeń, uznała w myślach wiedźma, po czym wycelowała w najbliższego kościstym paluchem.

– Won! – wycedziła przez zęby tonem, od którego woda w studni natychmiast powlekała się lodem, a mleko w stągwiach skwaśniało.

– Kiedy my, Babciu, z interesem – zaprotestował ten odrobinę wyższy; spod czapy wyglądały mu kosmyki siwych włosów, gęstych i kosmatych jak u kozła.

– Takem się domyśliła, że go jeden z drugim na sęku nie odwiesił ani do dziupli nie schował – zakpiła. – Bo i nie trza się lękać, ja tam na męskie interesy niełasa.

Spłoszony chłopina cofnął się o krok, mierząc gospodynię lękliwym spojrzeniem. Nic dziwnego. Musiał słyszeć o jurnych parobczakach, którzy z nagłą stawali się wiedźmimi rezydentami i przez parę miesięcy, póki się nie znudziła, hasali po obejściu, przyobleczeni w wieprzową czy capią skórę. Wprawdzie ostatnio Babcia spuściła nieco z tonu, doskwierały jej bóle w krzyżu i w kolanach strzykało, ale wszyscy w Wilżyńskiej Dolinie pamiętali o Szymku, jej dawnym adoratorze, zgrabnie odmienionym w kozła. I chociaż szły słuchy po górskich traktach, że w końcu został sławetnym wojakiem na tej wielkiej wojnie, co niedawno dobiegła kresu, jakoś mu w rodzinnych stronach nie zazdroszczono.

– W interesach, znaczy się, Babuniu, w interesach – poprawił szybko ten drugi.

Gębę miał porośniętą krótkim rudym zarostem, ale kiedy baranica zsunęła mu się na tył głowy, Babcia zobaczyła, że świeci z przodu

całkiem łysym czerepem, a na gębie ma paskudne szramy.

– Znaczy się, nie na swaty? – zdziwiła się fałszywie. – No, dalejże, wynocha! – ryknęła z całych sił, kiedy wybałuszyli na nią z przerażeniem gały. – Dzisiaj nie przyjmuję. Kramik zamknięty. A jak mi się który będzie dłużej naprzykrzał, przechowam nicponia w spizarce aż do wiosny, coby rozumu nabrał i zrozumiał, że jak kobieta mówi „nie”, to znaczy „nie”.

Rudy wyglądał, jakby miał ochotę pierzchnąć, ale siwowłosy go przytrzymał. Wydobył spod baranicy nabitą sakiewkę i potrząsnął nią znacząco.

– Zapłacimy.

Babunia Jagódka zmrużyła chytrze oczy. Rozpoznawała ten dźwięk: tak gwarzyły ze sobą srebrne monety, stłoczone w pokaźnej liczbie. Żadne liche miedziaki ani nawet posrebrzane grosze, które ostatnio zaczął bić spichrzański książę, haniebnie fałszując ilość zacnego kruszcu, w żaden sposób nie potrafiły go naśladować. A za srebrne monety wiele można było kupić czy to w wioskowej karczmie, czy na najbliższym jarmarku, czy wreszcie u kupców, którzy niezawodnie odwiedzą wioskę, zanim na dobre spadną śniegi i odetną ją od reszty świata. A nawet Babuni Jagódce nie uchodziło płacić stałym dostawcom jakimś magicznym szalbierstwem, które następnego dnia obróci się w garść glutów.

Jednakże w Wilżyńskiej Dolinie, podobnie jak w całym wielkim świecie, niczego nie oferowano za darmo.

– A za co niby chcecie zapłacić? – zapytała podejrzliwie, odmykając skobel u drzwi.

Innych zabezpieczeń nie potrzebowała: większość wieśniaków pierwej by sobie rękę odgryzła niż sięgnęła po dobytek wiedźmy.

– Et, za taki tam drobiażdżek – rzekł ten siwy, po czym obaj szybciotko wemknęli się do izby, najwyraźniej wzięwszy brak sprzeciwów za zaproszenie.

Na zydlach nie ośmielili się jednak usiąść i trzymali się blisko progu, zupełnie jakby wierzyli, że w razie czego zdołają czmychnąć.

Wiedźma wzruszyła ramionami – ludzka naiwność była czasami wręcz rozczulająca – po czym uniesieniem brwi rozpałała ogień w

kominku. Płomienie wybuchły z sykiem, a obaj chłopcy odskoczyli raptownie. Babunia Jagódka uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wciąż sprawiało jej przyjemność, że wzbudza w narodzie należyty mores.

– No, nie będą takie nieśmiałe – rzekła łaskawie, bo metaliczny brzęk monet wielce jej poprawił humor. – Niech się rozgoszczą.

Zaproszenie wywarło tylko taki efekt, że goście zgarbili się troszkę i jeszcze bardziej wcisnęli w kątek między drzwiami i piecem.

– Kłopot mamy, Babuniu – zagał siwowłosa. – Lis się nam do kurnika zakrada.

– A cóż z tym za kłopot? – odparła pobłaźliwie wiedźma. – Wnyki trza zastawić, lizkę uławić, skórę z grzbietu mu zedrzeć, lisiurę na zimę se sprawić.

– Kiedy to lizka inszego rodzaju – westchnął ciężko łusy. – Znaczy się, z tych dwunożnych.

– A to wiele zmienia? Dwunożną też łatwo uławić. No, chyba że... – zawiesiła znacząco głos – za głośno wam kokosz gdacze.

Poblížniony zaśmiał się donośnie, ale siwowłosa zeźlił się wyraźnie. Wiedźma miała nieprzeparane wrażenie, że jest bystrzejszy od krewniaka i znacznie bardziej przebiegły.

– Taki już los kokoszy, że musi gdakać – oznajmił – zwłaszcza kiedy rozum ma amatorami przyćmiony.

– To teraz już i o amatorach mowa? – Wiedźma uśmiechnęła się szybkim, drapieźnym uśmieszkiem.

– Kto tam za babą dojdzie? – prychnął ze zniecierpliwieniem. – Skądże wiedzieć, czy rozum ma tymi amatorami podłechtany, czy insze zgoła rejony?

– Dość, że z rozumu zesza – uzupełnił ochoczo łusy. – Nie sposób się z nią dogadać.

– Ano, jako i z wami. – Babunia łypnęła spod oka. – Czy wy za głupią mnie macie? Chybaście nie sądzili, że łyknę byle przebranie. Kmiecie w trzewikach nie chodzą – wskazała sękatym paluchem zacne, natarte tłuszczem buty, co łyskały spod gościowych portek – a jam nie w nastroju na szutki. Obejście was zdradza, ręce do pracy nienawykłe i grzbiety, co ich pokornie nie potraficie zginać.

Goście wysłuchali tyrady, w zakłopotaniu przedeptując z nogi na nogę.

– Od czego tedy zaczniemy? – indagowała wiedźma, kiedy kłopotliwe milczenie przedłużało się coraz bardziej. – Może od waszego miana?

Ten wyższy westchnął ciężko.

– Bardawiec jestem – rzekł, po czym ściągnął wreszcie czapę, ukazując siwiuteńką, lecz nad podziw bujną czuprynę. – Z Poświstu.

Wiedźma skinęła głową.

– Zwany Siwym – uzupełniła z krzywym uśmiechem. – Zatem wy jesteście Bardawiec z Polichty – rzuciła w kierunku drugiego z gości. – Ten Łysy.

– Słyszeliście o nas? – zdziwił się.

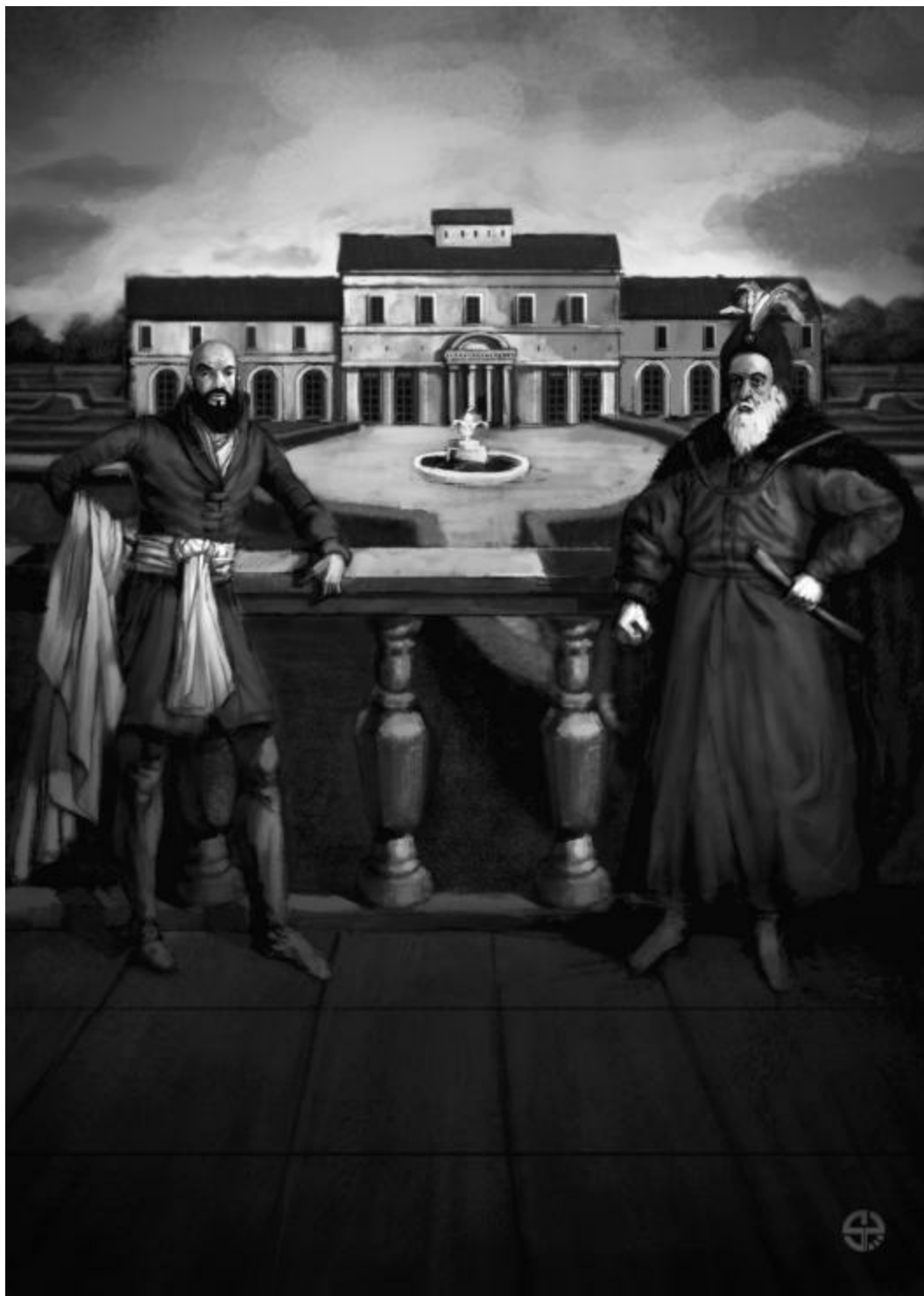
– A co wam się zdaje, że my tu wysoko w górach gwarzymy tylko o kiseniu kapusty i zastawianiu zajęczych wnyków? – prychnęła. – Trudno było nie słyszeć, skoro zagarnęliście dobry kęs wiergowskich posiadłości po tym, jak księżę mieszczan w oblężeniu zamknął. No, ale zdaje mi się, że teraz, skoro już się cała ta wojenna awantura trocha utrzęsa i uspokoiła, upomni się spichrzański włodarz o swoją zdobycz – dodała kąśliwie.

– Z nim się jakoś ułożym – burknął Siwy.

Z jego miny dało się wyczytać, że bardzo mu nie w smak to rozeznanie wiedźmy w wielkiej polityce. Babunia utarła z nosa kapkę, żeby zamaskować kolejny złośliwy uśmiech. Owszem, nasłuchiwała się niemało o obu Bardawcach. Siedzieli szmat drogi od Wilżyńskiej Doliny, w północnej części Gór Żmijowych. W przeciwieństwie do większości sąsiadów, którzy cienko przędli, Bardawcy nie uszczuplali rodzinnej fortuny. Przeciwnie. Gospodarowali pełną gębą, nie gardząc ani dochodami z młynów, karczm oraz garbarni, ani handlem bydłem, dzierzawą czy wreszcie wykupywaniem folwarków drobniejszej szlachty.

Słowem, na całym pograniczu uważano Bardawców za parę najbardziej zachłannych i nieustępliwych feudałów, którzy upaśli się niezmiernie podczas regencji starej księżnej wdowy. Obecnie nie uznawali nad sobą nikogo poza Kii Krindarem – co było o tyle wygodne,

że bóg zagubił się dawno temu, a jego ziemscy plenipotenci bynajmniej nie rwali się do zatargu z potężnymi pankami, zwłaszcza że ci potrafili sypnąć groszem na świątynie. Babunia Jagódka podejrzewała jednak, że czasy swawoli Bardawców mają się z wolna ku końcowi. Młody spichrzański książę nie zasypiał bowiem gruszek w popiele. Zdołał już zdławić potężną republikę kupiecką, która wyrosła mu tuż pod bokiem i uwierała jak cierń w bucie, zaprowadził domowe porządki, przyozdobiwszy mury miejskie okazałą kolekcją nieboszczyków, a teraz coraz śmieiej sięgał w Góry Żmijowe. I było jasne, że prędzej czy później weźmie się i do Bardawców.



Na całym pograniczu uważano Bardawców za parę najbardziej zachłannych i nieustępliwych feudałów, którzy upaśli się niezmiernie podczas regencji starej księżnej wdowy. Obecnie nie uznawali nad sobą nikogo poza Kii Krindarem – co było o tyle wygodne, że bóg zagubił się dawno temu, a jego ziemscy plenipotenci bynajmniej nie rwali się do

zatargu z potężnymi pankami, zwłaszcza że ci potrafili sypanąć groszem na świątynie.

– Na razie z inszym szkodnikiem trzeba się uporać – podjął po chwili Siwy, wciąż naburmuszony i gniewny. – Z takim bardziej domowym.

– No – Babunia wykrzywiła się złośliwie, bo drażnienie butnego panka sprawiało jej nielichą przyjemność – gawędziliśmy już o lisach, teraz możemy pogawędzić o szcurach, myszach i inszych szkodnikach. Tyle że jakoś niesporo o suchym pysku.

Wyższy z Bardawców pokraśniał ze złości na gębie i chciał coś odwarknąć, ale kuzyn bodnął go ostrzegawczo łokciem. Potem dobył zza pazuchy płaską buteleczkę, odkorkował i podał ją gospodyni.

– W wasze ręce, Babuniu.

W izbie podniosła się charakterystyczna woń wiergowskiej piołunówki. Wiedźma pociągnęła raz i drugi, po czym odstawiła butelkę na okap komina, ignorując rękę Łysego, wyciągniętą po zwrot naczynia.

– Co to ja chciałem? – Bardawiec zamaskował zakłopotanie, nerwowo pocierając dłońią o sprzączkę pasa. – Znacie może Widacza?

Wiedźma pokręciła głową. Język ją przyjemnie piekł od piołunówki.

– Bo też i nie ma kogo znać – burknął obcesowo kuzyn, który najwyraźniej pozbierał się już trochę po konfuzji. – Gołodupiec to zwykły, co siedzi nieopodal naszych ziem na lichych czterech wioszczynach i zrujnowanym zameczku, lecz każe się wołać księciem i czapkować sobie do ziemi.

– A wam to nie w smak – zgadła.

– A pies mu mordę lizał z jego zardzewiałymi zbrojami, lwim truchłem nad stołem i książęcym tytułem! – wybuchnął Bardawiec. – O siostrę naszą nam chodzi. O Nilejkę.

Wiedźma zmarszczyła brwi. Miała wrażenie, że już słyszała gdzieś to miano, nie umiała sobie jednak przypomnieć.

– Tę, co poszła za kniazia Mokreśka – uzupełnił Łysy.

Babunia Jagódka milczała, coraz bardziej czujna. Książ Mokreśk należał do tych licznych w Górach Żmijowych włodarzy, których ziemie

dawno temu zagarnęli szczuracy. Jednakże w przeciwieństwie do innych, jego współrodowcy nigdy nie pogodzili się z zaborem włości. Nie śmieli jawnie gwałcić traktatu, zawartego przez kapłanów ze zwierzołakami z Gór Sowich, lecz nieustannie czaili się ze swoimi ludźmi przy brodach na Modrej i Trwodze, a kiedy tylko jakiś szczurak wychylił nosa poza swoje terytorium, kaźnili go jak zwierzę. Osiągnęli tym sposobem taką biegłość w żołnierskim rzemiośle, że chętnie ich najmowano, jeśli ktoś chciał najechać niemiłego sąsiada albo rozprawić się z bandą grasującą na gościńcu.

Spomiędzy nich wszystkich kniaź Mokręsek wyrósł najbardziej, jako że szczyił się przynależnością do najstarszej i najzacniejszej gałęzi rodu. Osobliwą zaś sławę zdobył podczas ostatniej wojny, kiedy zaciągnął się w gromadzie krewnych pod chorągwie spichrzańskiego księcia. Wojował daleko pod żalnicką granicą, jednak aż tutaj dotarła sława o jego wyczynach. Podobno bez lęku zapuszczał się nawet do posiadłości kapłanów i za nic mając sobie klątwę skalnych robaków, plądrował świątynie Zird Zekruna. Lecz kres miał taki marny, że niektórzy upatrywali w tym przekleństwa, rzuconego przez umierającego świątka.

Otóż rozzuchwalony wojennym szczęściem Mokręsek umyślił sobie, że samojeden odwojuje z rąk szczuraków Góry Sowie. Spichrzański książę nie odwodził go podobno od tego pomysłu, a nawet wręcz podzegał i użyczył kilka tuzinów własnych zbrojnych na wyprawę. Niebawem Mokręsek z powszechnym błogosławieństwem wyruszył na krucjatę przeciwko zwierzołakom, a mieszczanie żegnali go niczym bohatera, pamiętając wyśmienicie krwawą łaźnię, jaką szczurzy zgotowali osadnikom wokół traktu przy Modrej. Początkowo hufiec Mokręska wszedł w dziką górską krainę jak nóż w masło. Nikt mu nie stawiał oporu, nigdzie nie znajdował choćby najmniejszych śladów szczurackiej obecności. Potem jednak w opustoszałej sztolni, którą, nie wiedzieć czemu, kniaź postanowił spenetrować, zwierzołacy wyroili się ze wszystkich stron i wymordowali wszystkich bez wyjątku intruzów. A szkielec kniazia Mokręska, przyodziany w jego paradną czarną zbroję, nasadzili na konia i pognali gościńcem w stronę Spichrzy jako przestrożę.

– Jak wam pewnie wiadomo, Nilejka owdowiała, po tym jak kniaź padł z ręki plugawego szczurca – podjął Siwy.

– Lecz jakże zaszczytna to śmierć – nie omieszkała wtrącić Babunia z

takim wyrazem twarzy, że trudno było odgadnąć, czy kpi, czy też mówi serio.

Łysy chrząknął niespokojnie i znać było po obu Bardawcach, że rozmowa toczy się niezupełnie według ich oczekiwań.

– Bogać tam zaszczytna! – prychnął w końcu Łysy, bardziej chyba bezpośredni z kuzynów. – Nie dość, że dał się zabić jak durny, to jeszcze wprzód wszystko, co miał, u spichrzańskiego księcia zastawił, żeby tę wyprawę wyszykować, i naszą Nilejkę z niczym ostawił.

– Nie tak znowu z niczym – sprostował Siwy – bo są jeszcze ziemie z oprawy i dochody z żup i hawerni, które na nią scedował.

– Bo go docisnęlim – mruknął z cicha Łysy.

– Oraz dworek myśliwski w Puszczy Masłomęcznej – ciągnął jego kuzyn. – I właśnie o ten dworek się rozchodzi.

– Nękany przez lisów i szczurów – nie omieszkała przypomnieć wiedźma.

Siwy posłał jej wściekłe spojrzenie.

– I przez księcia Widacza – dopowiedział Łysy.

– Czelnego kozojebcę – syknął siwowłosy.

Jego kuzyn zaśmiał się piskliwie.

– Ano, z Nilejki zawsze była głupia koza.

– Głupstwa breszesz! – ofuknął go siwowłosy, najwyraźniej zreflektowawszy się, że lepiej nie wyjawiać gospodyni tajemnic rodzinnych. – Wyłóżcie sobie, wiedźmo, że akuratnie jak kniazia Mokręska ubili, nasz księżę Widacz wielce zagustował w polowaniu?

Łysy machnął ręką.

– E, polować to on i wcześniej lubił. Zresztą każdy prawdziwy chłop lubi, czemużby nie? – zarechotał, drapiąc się po gęstym zaroście. – Tyle że wcześniej miał dość rozumu, żeby się nie zapuszczać na ziemie naszego szwagra.

Babunia Jagódka z zadumą skubała się po jednym z czterech grubych czarnych włosów, sterczących jej z pokażnej brodawki na brodzie.

– A was dwóch nie wydoli jednego zalotnika od siostry pogonić? – zapytała cierpko. – Widać wiele się pozmieniało w Górach Żmijowych. Bo

kiedyś tyle i prosty chłop potrafił, choćby i kłonicą.

– Wszak próbowalim! – zakrzyknął Łysy. – Jeno że się go nie da, szubrawca, przydybać. Owszem, wchodził do alkowy, a kiedyśmy za nim do środka wpadli, niby sen złoty nam się rozpułnął, powiadam wam, Babuniu, jakoby go tam nigdy nie było.

– Ani chybi magiczna sztuka w to zamieszana – poddał Siwy. – Dlatego do was przyslim jako do tego, jakże mu tam, profesjonalisty, żeby wasze usługi wynająć.

– Znaczy się, żeby grzecznie o pomoc poprosić – sprostował natychmiast Łysy. – Żebyście siostrę moją z kurestwa wybawili.

Ale było już za późno.

– Wynająć? – zapytała przeciągle Babunia, która bardzo nie lubiła, kiedy traktowano ją bez należytego szacunku i nie płaszczono się, jak trzeba. – A zapłatę, jak rozumiem, też oferujecie profesjonalną?

Dworek myśliwski okazał się okazałym pałacem, otoczonym przez wypielęgowany ogród, pasiekę oraz sad, w którym rodziły się owoce, jakich Babunia jako żywo dotąd nie oglądała. Dyskretnie poukrywane wśród kęp drzew stały stajnie, obory i kurniki, wszystkie pokryte najkosztowniejszą spichrzańską błękitną dachówką. Po rozległych błoniach przechadzały się danielle o rozumnych, brązowych oczach, i pawie, rozpościerające ogony w bezczelnym przekonaniu, że nikt ich im z kuprów nie wyskubie i nie przystroi nimi pieczystego. W ażurowych pergolach śpiewały ptaki, fontanny w kształcie srebrnych pastuszków wypluwały wodę o różanym zapachu. Nawet ścieżki zamieciono i wysypano jasnym rzeczonym piaskiem.

– Nilejka zawsze była trochę dziwaczna. – Łysy poczuł się w obowiązku usprawiedliwić przed Babunią. – Wcześniej wyszła za mąż i tak się jej jakoś porobiło... – potoczył ręką wokół. – Pewnie z nudów.

– Taka dziwaczność musi niemało kosztować – mruknęła wiedźma.

Bardawiec wzruszył ramionami.

– Przecież mówię, że Nilejka jest dziwna, a nie że się całkiem wyrodziła. Co jak co, ale o żupy i hawernie potrafi zadbać nad podziw i zysk też ma z nich godziwy. A że go na duperele traci? – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Taka już natura niewieścia, że się baba głupot ima. Inne

baby świątynie wielkim sumptem wznoszą, a ona sobie urządza ogrody. Rzecz gustu, choć wedle mego rozeznania jedno i drugie bez sensu.

Wiedźma w zamyśleniu wyglądała przez okno. W posiadłości Nilejki nawet niebo wydawało się bardziej niebieskie niż gdzie indziej, a słońce przygrzewało tak mocno, jak gdyby zapomniało, że to październik, a nie sierpień. Wiatr pędził górą śnieżnobiałe obłoczki, delikatnie targał gałęzie drzew i rozwieszał na nich srebrzyste pasma babiego lata. Nieopodal gęsiarka w srebrno-niebieskiej sukience, ozdobionej na piersi jakimś herbem, pędziła po idealnie równej trawie stadko siodłatych gęsi. Za nią szedł gęsiarek i zbierał na srebrną szufelkę ptasie odchody. Tego wieczora urządzano przyjęcie przy lampionach, a ponieważ wszyscy mieli wystąpić w kostiumach pasterek i pasterzy, należało zawczasu zadbać, żeby nie wymazali sobie stóp łajnem.

– Głupota, powiadam wam, jedna głupota – zrzędził Bardawiec, usiłując wciągnąć obcisłe błękitne nogawice.

Jego krzywe, pokryte gęstymi kłakami nogi wyglądały w nich jeszcze bardziej pokracznie, a brzuszysko uwydatniało się mocno nad srebrnym pasem. Wiedźma z westchnieniem odwróciła się od okna, niecierpliwie ścierając z twarzy łaskoczące pasemka babiego lata.

– Możecie się jeszcze wymówić. – Zmierzyła go krytycznym spojrzeniem. – Wszyscy słyszeli, że słabujecie, więc i żadnej obrazy z tego nie będzie.

Wymyślili bowiem, że wiedźma najsposobniej zakradnie się do posiadłości Nilejki, jeśli uda znachorkę na usługach Bardawca. Uznali, że lepiej jej będzie się podróżowało z Łysym. Siwy wprawdzie znacznie przewyższał go intelektem, lecz Babunia jakoś nie miała ochoty spędzać zbyt wiele czasu z butnym pankiem, a i on nie palił się do jej towarzystwa. Za to Łysy, chociaż trochę niedźwiedziowaty i powolny, wyśmienicie nadawał się do odegrania roli troskliwego brata, który pociesza stroskaną wdowę: w Górach Żmijowych to jego powszechnie uważano za bardziej przystępnego z kuzynów. Wiedźma podejrzewała jednak, że pod powłoką dobrodusznej rubaszości kryje się całkiem sprawny umysł drapieżnika, który nie schodzi z tropu ofiary, póki jej nie zadusi. Widywała wcześniej takich – wielkich, powolnych mężczyzn, którzy w napadzie szału zmieniali się w niszczycielskie bestie. Na razie jednak w milczeniu słuchała utyskiwań, kiedy z trudem wbijał się w

kostium przeznaczony dla kogoś o zupełnie innej sylwetce.

– Może i słabuję – prychnął pogardliwie na widok kapelusika z idiotycznym turkusowym piórkiem – lecz jeśli pójdzie hyr po pogórze, że przepuszczam zabawę, wszyscy rzucą mi się do gardła. A uwierz mi, niemało jest takich, co mają zadawnione urazy i tylko czekają okazji, żeby dobrać mi się do skóry. – Uśmiechnął się krótkim, cynicznym uśmiechem.

– Dlatego pójdę dzisiaj na tę nedorzeczną maskaradę, wypiję całą stągiew piwska, a potem wychędożę na stogu trzy dziewczki.

– Iście ciężkie życie macie – skwitowała Babunia.

– Pieczone gołąbki same nie wpadają do gąbki, trza się czasem namozolić – oznajmił Bardawiec, zatykając za pasem barwione na niebiesko rękawice z łosiowej skóry. Zza poły pasterskiego kubraczka wystawała mu rękoność pokaznego sztyletu. – A jutro możecie mnie dalej leczyć swoimi medykamentami. No, bywajcie – rzucił jej na odchodnym.

– Każę wam przysłać kolację.

– A nie trzeba, sama zajdę do kuchni, ze służącymi pogwarzę.

– Lepiej byście w komnacie zostali. – Mężczyzna zafrasował się. – Tu się wieczorem nieobyczajne będą działy rzeczy.

Wiedźma uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając nierówne, poczerniałe zębiska.

– Tak mi się zdaje, że jakoś sobie poradzę.



W kuchni, przy wielkim stole o poplamionym, porysowanym nożami blacie, w ciszy pracowało kilka podkuchennych i mięsista, rumiana jak zimowe jabłko kucharka. Nie poderwały się nerwowo na widok wchodzącej, jak często się zdarzało w szlacheckich dworcach. Jedynie kucharka skinęła jej lekko głową na powitanie.

– Wyście pewnie ta nowa znachorka – powiedziała dobrodusznie, nie przerywając szpikowania pieczeni słupkami słoniny. – Ani chybi głodniście po podróży. Chciałam wam coś posłać, ale pachotkowie rzekli, żeście na posłuchaniu u pana, a jemu nie trza przeszkadzać, bo gniewliwy i krewki jak rzadko.

– Ech, bieda u chłopu służyć – westchnęła wysoka podkuchenna, która patroszyła nad kubłem perliczki.

– Zwłaszcza takiemu, co mu przyrodzenie szwankuje – odpowiedziała ruda: ta właśnie skrobała przy kamiennej rynience karaski, obficie splukując je wodą.

– A skąd wiecie, że przyrodzenie? – zaciekawiała się Babunia.

– A bo co innego chciałby kurować? – Rudowłosa zachichotała. – Nie wiem, jak u was, lecz nasze chłopcy do leczenia nieprędkie.

Inne kobiety zawtórowały jej śmiechem.

– Ty się nie mądruj, Jewka – rzuciła z przyganą kucharka. – I niech tam która chleba kobiecie poda, bo widać, że biedaczka ledwo stoi.

Ruda poderwała się i podsunęła Babuni zydę, a jedna z jej koleżanek szybko odkroiła dwie pajdy z wielkiego bochna, po czym dołożyła jeszcze kilka plastrów zimnej pieczeni i pikle. Wiedźma przycupnęła cichutko w kącie i zajęła się jedzeniem, nie przestając jednak bacznie obserwować otoczenia. Było schludne i zasobne, o czym świadczyły wypolerowane patelnie i rondle nieopodal pieca, a także okazały zbiór rozmaitych kuchennych szpikulców, szczypiec i cążek, których przeznaczenia nie chciała się nawet domyślać. Zgadywała za to, że drzwi w głębi pomieszczenia prowadzą do spiżarni, a kłapy w podłodze – do piwniczek, gdzie w chłodzie składowano rozmaite łatwo się psujące produkty.

Kobiety pracowały w równym, choć spiesznym rytmie, bez poszturchiwań i połajanek, które tak często zdarza się w takich miejscach oglądać. Bez szemrania wypełniały polecenia swojej szefowej, ale też chyba nie bały się jej przesadnie, bo potrafiły śmiać się bez skrępowania i podrzucać sobie cięte przyśpiewki. Żadna nie gapiła się nachalnie na wiedźmę, co byłoby nieuprzejme względem gościa. Zresztą zapewne nie oczekiwały zbyt wiele po małej, wykoślawionej wiekiem staruszce w wiejskich buciorach, burym, połatanym chałacie i chuście w czerwone róże, ciasno zamotanej na głowie. Te młodsze i ładniejsze wręcz unikały jej widoku, nie chcąc, aby trzęsące się ręce i strużka śliny, cieknącej nieustannie po brodzie, przypomniały im o własnej, nieuchronnej starości.

– Jakże tam u jaśnie wielmożnego Bardawca na służbie? – zagadnęła ją w końcu kucharka, raczej z grzeczności niż ze szczerego

zainteresowania.

Babunia nie miała pojęcia, jakim naprawdę panem jest Łysy: jej niemal nadszkakiwał, ale skromną wiejską znachorkę potraktowałby zapewne inaczej niż sławną na pół Gór Żmijowych wiedźmę z Wilżyńskiej Doliny.

– Jak to u wielkiego pana – mruknęła. – Sami go znacie.

Z pieca buchało gorąco, więc kucharka rozpięła kolejny guzik przy koszuli i powachlowała ręką spotniałą twarz, jak gdyby chciała zyskać chwilę do namysłu.

– Znać to my go tutaj za bardzo nie znamy – rzekła.

Napięcie w głosie kobiety upewniło Babunię, że udało się jej dotknąć jakiegoś sekretu.

– Moiściewy! – wykrzyknęła, udając zdumienie. – Wszak to brat rodzony i krewniak najbliższy waszej pani.

Podkuchenne jak jeden mąż zerknęły ku szefowej. Zażywna kobieta obróciła potężną baranią pieczeń, żeby po raz ostatni sprawdzić, czy wszystko zostało zrobione jak należy, a na jej grubych ramionach pokazały się węzły mięśni.

– Zmarły pan nie lubił odwiedzin – ucięła, sznurując usta na znak, że rozmowa skończona. – Strudzony tutaj przyjeżdżał, prosto od wojennej wrzawy, więc za spokojem tęsknił.

– Ajuści, i za młodą żonką pewnie. – Babunia uśmiechnęła się lubieżnie. – Ale zda mi się, że długo tu już w spokoju nie pożyjecie – dodała. – Wdówka ponoć piękna, posiadłość zacna, tylko patrzeć, jak się zjedzie gromada zalotników. Zresztą doszły mnie wieści, że kręci się tutaj ten młody, jak go tam zowią... – Poskrobała się palcem po nosie. – Widacz? Jak to w piosence śpiewają „nocką w okno puka, gniazdka sobie szuka”? – zarechotała.

– Popatrzcie, jakie to też głupoty ludzie wygadują. – Ruda uśmiechnęła się psotliwie znad swoich ryb.

– Bujda to jedna i potwarz na panią naszą, która jak należy żałoby po małżonku dochowuje – oburzyła się kucharka. – A wy – zwróciła się karcąco do Babuni – sprośności takich nie powtarzajcie, bo wasz wiek nie po temu. Pacierze lepiej mówić niż jęzorem po próżnicy machać.

Po takiej odprawie wiedźma nie zwlekała długo. Drobnym, chybotliwym krokiem staruszki powlokła się ku wyjściu, a skoro tylko zamknęła za sobą drzwi, natychmiast przyłgnęła do nich uchem, nasłuchując, co też jeszcze da się wyczytać z gwaru podkuchennych. Te jednak milczały jak zakłète, widać napomniane przez kucharkę, obeznaną z podobnymi sztuczkami, i wreszcie zniechęcona Babunia odwróciła się i z gniewnym furkotem spódnic ruszyła przed siebie. Ze złości ani spostrzegła, jak na jej drodze wyrosło koryto do pojenia bydła.

– Uważajcie, babciu! – usłyszała nad sobą dźwięczny głos, a ktoś pochwycił ją za ramię i podtrzymał, aby nie upadła.

Kiedy złapała równowagę i podniosła wzrok, zobaczyła przed sobą Nilejkę. I od razu wiedziała, dlaczego w okolicy nazywano ją Błękitną Panią.

Jak przystoi osobie o jej randze i pochodzeniu, pani posiadłości nosiła białą żałobę, lecz w bladym świetle jesiennego słońca biel jej jedwabnej sukni lśniła niebieskim połyskiem, jak gdyby przetkano ją drobnymi nitkami z błękitnego srebra. Wedle zwyczaju strój pozbawiono wszelkich ozdób i skrojono nad podziw skromnie, zasłaniając każdy skrawek skóry poza twarzą, objętą szczelnie podwiką z najcieńszego płótna, i dłońmi o delikatnych, niezwykle długich palcach. Tylko na szyi miała kilka sznurów niebieskich pereł, które w Górach Żmijowych uważano za symbol żalu po zmarłych i wierzono, że powstały z zakrzepłych łez żmijów. Babunia Jagódka nigdy dotąd nie widziała równie wielkich i czystych klejnotów, chociaż zdawało jej się, że widziała w życiu niejedno. Wyglądało, że promieniują własnym blaskiem, lecz w żaden sposób nie potrafiły przygasić urody Nilejki.

Miała delikatną twarz, smutną i słodką zarazem, i oczy przepastne jak dwa błękitne stawy – wiedźma bez trudu mogła uwierzyć, że księżę Widacz, a najpewniej nie tylko on, zatonął w nich bez śladu. Szczupła i smukła jak gałązka wierzby, Nilejka wyglądała na wyższą nawet, niż była, chociaż i tak wyrastała dobrą głowę nad Babunię. I poruszała się tak lekko, jak jedna z tych leśnych istot, które przy blasku księżyca tańczą nad brzegami jezior.

– Nic się wam nie stało? – zapytała z serdecznością bardzo osobliwą u pani wysokiego rodu.

Wiedźma otrząsnęła się jak brytan z pomyj. Nie zamierzała ulegać

czarowi gospodyni, a życzliwość tylko podsycala jej nieufność. Moźni tego świata niewiele czynili z dobrego serca – nawet jeśli przypadkiem posiadali ten organ.

– Co by się miało stać? – burknęła, licząc, że nieuprzejmość odstraszy Nilejkę.

Tak się jednak nie stało. Pani uśmiechnęła się lekko i zapatrzyła w zamyśleniu na bramę, przez którą właśnie wjeżdżał poczet jeźdźców.

Prowadził ich młody, szczupły mężczyzna o ascetycznej twarzy; od jasnej skóry odcinała się szpiczasta, przyszczyżona na południową modłę bródka i granatowy aksamitny beret z długim piórem, a jego oczy przesuwaly się obojętnie ponad głowami czeladzi i służby, która tuż przed wieczorną zabawą kłębiła się gorączkowo na podwórku. Babunia przysięgłaby jednak, że wcale nie dostrzega ich twarzy – miał wygląd i gesty człowieka nawykłego do rozkazywania i tego, że jego rozkazy są natychmiast spełniane.

Wreszcie jego spojrzenie napotkało wzrok Nilejki. Nie drgnął nawet, nadal siedział pewnie na swoim siwym ogierze, nieruchomy w srebrnej tunice przepasanej błękitną szarfą. Lecz w jego oczach coś się pojawiło, jakiś błysk rozpoznania tak intymnego, że natychmiast przykuł uwagę wiedźmy.

– Kto to? – zapytała, przekonana, że wcale nie doczeka się odpowiedzi.

– Książę Widacz – odparła ze spokojem Nilejka.

– Tak otwarcie? – wypaliła Babunia, chociaż za podobną bezczelność mogą ją chcieć oćwiczyć przy pręgierzu.

Pani odwróciła się ku niej.

– Zaprosiłam go na wieczorną zabawę – powiedziała, wciąż z jasnym czołem i spokojem w błękitnych oczach. – Czemużby miał się zakradać jak złodziej?

No, pewnie by się jakiś powód znalazł, pomyślała cierpko wiedźma. Cóż, przekonamy się teraz, na jaką zabawę go, serdeńko, zaprosiłaś.



Ledwo zapadł zmierzch, drzewa w ogrodach wręcz rozjarzyły się od srebrnych i błękitnych lampionów, spowijając całą rezydencję w bladawym, nierzeczywistym świetle. Babunia Jagódka potrząsnęła kruczoczarnymi lokami i uśmiechnęła się pod małą aksamitną maseczką. Czuła na sobie łapczywe spojrzenia innych gości: stare, dobre zaklęcie „piękna-i-młoda” sprawdzało się, jak wiele razy wcześniej. Jeszcze dobrze nie wyszła z komnat Bardawca, a jakiś wiekowy, powykręcany podagrą, lecz przybrany w odświętną purpurę i srebro satyr, którego służba właśnie znosiła ze schodów na krzesło, złożył jej niemoralną – zważywszy na jego stan także nierealną – propozycję. Potem dobry kwadrans bawiła się w kotka i myszkę w dworskich korytarzach z jakimś namolnym wielmożą. Nie zniechęcił się nawet wówczas, gdy Babunia posłała go w ślad za swoim widziadłem do chlewika i na odchodnym widziała, jak w czarownym widzie obcałowywał ryj maciory. Na końcu zaś musiała wymykać się trzem podochoconym dworzanom, tak upartym, że ostatecznie musiała ich zamienić w nadmiarowe rzeźby w ogrodowej kolumnadzie: pierwsze promienie wschodzącego słońka zniweczą czar, a oni ockną się na wilgotnej trawie, myśląc, że zapewne wypili zbyt wiele i skostniali z zimna. Babunia spojrzała z satysfakcją w niebo. Zapowiadała się jednak pochmurna pogoda i jeśli szczęście jej dopisze, poleżą tam może i do końca tygodnia.

Właściwie nie miała nic przeciwko drobnym miłośnikom, zwłaszcza że większość gości kryła się pod maskami, co pozwalało uniknąć w przyszłości przykrych komplikacji, oświadczyn, desperackich wyznań o dozgonnej miłości czy konkurentów, którzy potrafili odnaleźć ją aż w Wilżyńskiej Dolinie i wystawać potem pod progiem w piątek, świętek i niedzielę, póki ich wreszcie nie przegnała jakimś paskudnym czarem. Najpierw jednak musiała załatwić interesy. Ostatecznie nie wlokła się przez połowę Gór Żmijowych w jednym powozie z rubasznym, gadatliwym Bardawcem zupełnie na darmo.

Księża Widacza znalazła bez trudu, choć umościł się dobrze z dala od innych, w małym, drewnianym cienniku na samym skraju ogrodu. Świątełka porozwieszano tutaj z rzadka, a całą budowlę spowijały gęste różane pnącza, pokryte mnóstwem drobnych, białych kwiatków, więc postać księcia nikła w mroku. Babunia z rozkoszą wciągnęła w nozdrza różaną woń, po czym wypięła pierś, która i tak mało co nie rozsadziła haftowanego srebrem stanu sukni, i śmiało wkroczyła do środka.

Mężczyzna obrócił się ku niej z uśmiechem, zaraz przykrytym przez zaskoczenie.

– Ktoś ty? – zapytał obcesowo.

– Przyjaciółka – odparła niskim głosem Babunia.

Mężczyzna zmierzył ją badawczym spojrzeniem, a potem nagle się roześmiał. Czar działa, pomyślała wiedźma, i ośmielona zrobiła ku niemu kilka kroków.

– Piękna przyjaciółka – potwierdził z aprobatą Widacz.

Wiedźma przesunęła językiem po wargach, jednocześnie wygładzając na biodrach fałdy jedwabnej spódnicy. Książę wciąż nie spuszczał z niej wzroku, lecz kiedy wyciągnęła dłoń, żeby go dotknąć, cofnął się gwałtownie na sam skraj altany.

– Nie trzeba – powiedział.

Babunia wytrzeszczyła oczy.

– Właściwie mi to pochlebia, droga przyjaciółko – ciągnął książę – ale wiele tu dzisiaj nie zdziałasz. Zasobniejszego sobie poszukaj szczęściarza, ot, tam, gdzie stoły ustawiono, kręci się ich niemało. Im który bardziej brzuchaty, tym więcej ma dobra. U mnie w trzosie pustki.

– Jakże to? – udała zdumienie. – Książę bez grosiwa? Rzadszy to ptak niż wróbel bez ogona.

Widacz się nie obraził.

– Takie też się trafiają – oznajmił pogodnie.

– I takie, którym ogon szwankuje. – Wiedźma nie lubiła poddawać się bez walki. – Lecz znajdzie się i na to sposób – dodała, kusząco rozchylając wargi.

– Nie wątpię – zapewnił ją książę, mimowolnie zjeżdżając wzrokiem na dekolt, który obnażał znaczną część Babcinych wdzięków – że potrafiłabyś ożywić nawet ze trzy z tych marmurowych figur w ogrodowej kolumnadzie. Ale nie skorzystam – rzekł, z ukłonem podając jej na wpół rozwiniętą, śnieżnobiałą różę. – Nie tym razem.

Cóż, Babunia wiedziała, kiedy trzeba uznać swoją porażkę. Wpięła kwiat we włosy, ukłoniła się wdzięcznie i odeszła, furkocząc spódnicami.

Z oddali dochodziły ją głośne dźwięki trąbek i wioli. Zabawa dopiero

się rozpoczynała.



– Nic żeście nie działali?! – pieklił się Bardawiec. – Pół nocy na was w ogrodach czekałem. Mogliście gaszka zgrabnym czarem przypiec, a najlepiej tak, żeby mu rozum przez uszyska wyciekł. Tylu ludzi się nalazło, że nikt by na was podejrzenia nie rzucił.

– Nie, no skąd. – Wiedźma odęła wargi. – Do głowy by im nie przyszło, że znachorka z czarami obeznana. Ani chybi pomawialiby raczej mości duszpasterza księżnej albo któregoś z tych tłustych wielmożów, co się nie potrafią o własnych siłach odtoczyć od stołu.

Łysy puścił jej słowa mimo uszu. Chodził po komnacie, złachany i spocony w swoich odświętnych błękitnych nogawicach, wręcz podskakując ze złości jak wielki, pękaty imbryk.

– A wy tymczasem całą noc w wyrze przeleżeliście! – darł się, niepomny, że byle kto mógłby podsłuchiwać pod drzwiami. – Jak bury miś w gawrze, tyle wam powiem! I rozumu też macie niewiele więcej niż wyliniałe bydlę. Taką okazję przepuścić. Ale nie myślcie sobie, że ja wam za wywczasy zapłacę, o nie! I jeszcze za żarcie potrączę.

Babunia przyglądała mu się poprzez zmrużone powieki z jakąś kliniczną ciekawością. Nawet nie była zła, raczej rozbawiona tą pobłażliwą wesołością, z jaką brytan obserwuje ratlerka.

– I co się gapicie? – Bardawiec rozsierdził się jeszcze bardziej.

Wiedźma podrapała się po bulwiastym nosie, zwieńczonym nieodłączną mokrą kapką. Teraz, kiedy zakłęcie „piękna-i-młoda” ustało, czuła świerzbienie od małego palca aż po czubek głowy. Miała tylko nadzieję – niewielką – że to efekt czaru, a nie jakieś plugastwo, którym zaraziła się od dwóch dziarskich strażników, z którymi krzynkę pofiglowała tuż przed świtem w ramach dodatkowych przyjemności towarzyszących zleceniu Bardawców. Jak długo miała wybór, wołała zadawać się z pospólstwem. Przynajmniej uciekało się później przed rozwścieczoną żoną z warząchwią, a nie gromadą pachółków z mieczami.

– Tak sobie czekam, czy wam od cholery żyłka jakaś nie pęknie, bo

tak się często zdarza, gdy kto się w gniewie zapamięta i rozwagi poniecha. Oj, byłaby szkoda. – Pogroziła mu żartobliwie palcem. – Więc się nie przeciążajcie i nie szcękajcie zanadto na oślepa.

Co jak co, ale trzeba uczciwie przyznać, że Bardawiec miał rozum, bo natychmiast pojął przestrozę. W jednej chwili stał się wielce układowy.

– Sami rozumiecie, Babciu, jak pomyślę, że to zero, ten hołysz, pokłada się teraz z moją siostrą, to aż mnie o tu, w sercu, kłuje. – Teatralnym gestem złapał się za okolice wątroby. – Że też nie ma prawa na podobną swołocz.

Wiedźma uśmiechnęła się pod nosem. Zdołała już ustalić, że wysiłki Bardawca, który usiłował perswazją i groźbą nakłonić Nilejkę, aby odesłała Widacza precz, spełzły na niczym. Pani wymówiła się przed spotkaniem sam na sam, a podczas śniadania bardzo grzecznie udała, że nie chwyta jego aluzji – tak przejrzystych, jak kryształowe puchary na dworze spichrzańskiego księcia – i obiecała, że w najbliższych dniach z pewnością uda się im bez zbędnych świadków porozmawiać o dawnych, dobrych czasach. Nic dziwnego, że Łysy się wściekł. Ostatecznie nie przywykł, żeby go publicznie ośmieszano.

– W jelenia byście go zmienili – rozmarzał się tymczasem Bardawiec. – Albo w tę tam... żabę. Już ja go tak pocałuję, że z ziemi nie będzie co zbierać.

– A wy ciągiem tylko czary i czary. – Wiedźma się zniecierpliwiła. – Jakoby gęś gęgała. A nie lepiej z początku rozumem spróbować? Sposobu się jąć sprytnego?

– Znaczy się? – Chłopina zacukał się nieco.

– Znaczy się, noc całą w krzakach przebarłoczyliście – oznajmiła z mściwą satysfakcją Babunia. – Pracować za was musiałam jak jakaś, psiamac, mróweczka.

Bardawiec aż klasnął w uciechy. Przyskoczył do wiedźmy i przez chwilę wydawało się, że chce ją pocałować, lecz opanował się w porę.

– Więc jednak go dopadliście? – Zatarł z entuzjazmem rękę.

Wiedźma zerknęła ponad jego plecami w okno. Tuż nad horyzontem, nad ciemną kreską lasu, zaczynał się słabo różowić świt.

– No, jak się pospieszycie – powiedziała – dopadniecie go ze mną.

Ekscytacja Bardawca wzrosła jeszcze bardziej, podsycona sownicie alkoholem, którego nie żałował sobie w nocy. Wiedźma zmarszczyła brwi. Martwił ją ten pijacki entuzjazm Bardawca. Prędzej czy później każdy trzeźwieje, a Łysy wyglądał na takiego, który niechętnie wspomina chwile słabości.

Na razie jednak laźł za nią przez ciemny korytarz, posapując ciężko i z przekleństwami potykając się o biesiadników, którzy zalegli w rozmaitych cienistych kąciach, czy to pijani w sztok, czy też ogarnięci nagłą namiętnością. Nie zaprotestował, kiedy wywiodła go do ogrodu, gdzie w zaduchu spoconych ciał i wymiocin dopalały się właśnie ostatnie zabawy. Dopiero skoro przybliżyli się do furtki wewnętrznego ogrodu Nilejki, strzeżonej przez czterech roślących, uzbrojonych drabów, którzy mieli pilnować, żeby nikt nie zakłócał nocnego spokoju pani, Bardawiec zacukał się nieco.

– Czy to aby dobry pomysł? – Podrapał się z zafrasowaniem po głowie.

W wypolerowanych ostrzach halabard odbijało się światło księżyca.

– Oj, mdły w was duch, panie Bardawiec, słabowity – zakpiła wiedźma.

Pstryknęła palcami i księżycowy promień zniżył się trochę, omsknął po beczułkowatej krzywiźnie hełmów i po krawędzi nosali wślizgnął się do oczu strażników. Mężczyźni zamrugali nerwowo, jeden kichnął potężnie, a potem kolejno osunęli się pod murek i zapadli w błogi sen.

– No, ruszcie się! – Wiedźma bodnęła Łysego starczym, sękatym paluchem. – Naprzód!

Bez skrępowania odryglowała wrota, misternie kute w czarnym metalu. Zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie, a z topoli odpowiedziały im pohukiwaniem sowa. Żaden ze strażników nawet nie drgnął.

– Całą nockę patrzałam, jak sobie nasz dzielny książę Widacz poczynia – tłumaczyła tymczasem wiedźma, maszerując pomiędzy kępami lawendy i rozmarynu ku wschodniemu skrzydłu rezydencji, gdzie znajdowały się komnaty Nilejki. – Kręcił się to tu, to tam. Niby wina skosztował, ale ledwo wargi umoczył. Niby coś zjadł, ale nic przesadnie pieprzonego i naczosnkowanego. Niby raz i drugi zatańczył, ale z żadną panną w krzakach nie zniknął. Aż dziw brał, że się tyli kawał na tę

zabawę tłukł, bo po mojemu tylko czas marnował.

Bardawiec wyduł pogardliwie wargi.

– Bo młodzi się teraz bawić nie umieją – oznajmił z przekonaniem. – Łeb słaby, oprzyrządowanie wątle, śmiałości do dziewczek żadnej, więc potem jeden z drugim, ustrojony jak bażant, tylko nogami z ochoty przebiera.

Babunia rzuciła mu kose spojrzenie. O ile się zdołała zorientować, Bardawiec wprawdzie na brak chęci nie narzekał, lecz jego zachody nie budziły szczególnego zachwytu nawet wśród dziewczek służebnych. Podśluchała w komorze, jak dwie widać bardziej doświadczone służące instruowały młodziutką podkuchenną, żeby unikała go jak ognia, bo skąpy okrutnie, a i nieźle posiniaczyć potrafi, zwłaszcza jeśli go męskość zawiedzie. Wiedźma na wszelki wypadek zakonotowała to sobie w pamięci. Kto jak kto, ale służące w takich kwestiach rzadko się myliły.

– W każdym razie Widacz nie nahasał się zbyt – podjęła. – A kiedy zabawa wreszcie dobrze dojrzała – uśmiechnęła się znacząco, bo w istocie szło jej o ten moment, kiedy spici biesiadnicy przestali już odróżniać, gdzie się znajdują i koło kogo leżą – znienacka zniknął.

– Zniknął?

– Ano, zniknął – potwierdziła pogodnie Babunia. – Akuratnie w tym samym momencie, kiedy znikła wasza mileńka siostrzyczka.

– A to gach przebrzydły! – Bardawiec sapnął przez nos jak zraniony bawół. – W krzakach się z nią pokładał? Jak z karczemną dziewczką?

Zważywszy na to, że sam Łysy zległ bezceremonialnie ze swoją bogdanką pod żywopłotem, wiedźmę nieco śmieszyły jego opory. Chrząknęła, żeby zagłuszyć wesołość.

– Nie, żeby w krzakach, to nie.

– Jasne, za delikatny, żeby się do ziemi zniżyć – warknął Bardawiec, który, skoro się raz wściekł, nie krępował się przesadnie logiką.

– Ale tak mi się zdaje, że wybrał się do niej z wizytą – dokończyła pogodnie wiedźma.

– Skąd wiecie?

Babunia Jagódka dobyte z za pazuchy różany kwiatek. Choć zwiędnięty i sponiewierany, zachował wciąż słabą woń księcia.

– Mój malutki palec mi powiedział – zakpiła. – A teraz zmilczcie, jeśli łaska, zanim nasze ptaszki spłoszycie.

Zaczaili się w okazałej kępie jaśminu. Bardawiec wiercił się i kręcił, usiłując znaleźć wygodną pozycję, aż wreszcie zrezygnowany opadł na zadek, miażdżąc przy tym ze dwa mniejsze krzaczki. Wiedźma oparła się o pień, nagiąwszy go nieco zakłębieniem do kształtu swoich pleców. Wokół zaś powietrze jaśniało i jaśniało, odsłaniając kolejno ścieżkę, obrębioną białymi kamyczkami, strzeliste wieże cyprysów, które zaglądały ciekawie w okna sypialni Nilejki, i wreszcie samą rezydencję z regularnych bloków piaskowca. Ptaki darły się coraz głośniejszym, jak zwykle czynią nad ranem, od ziemi bił chłód. Nic więcej się jednak nie działo. Wiedźma gryzła w zamyśleniu gruby, poczerniały paznokieć i raz po raz wciągała w nozdrza powietrze.

– Już! – dźgnęła Bardawca między żebra paluchem.

Wyrwany ze snu mężczyzna podskoczył gwałtownie.

– Co? Jak? – zawołał, błyskawicznie dobywając zza pazuchy sztyletu, długiego na dobre półtorej stopy i o paskudnym, ząbkowanym ostrzu.

Najwyraźniej zamierzał rozmówić się z Widaczem raczej za pomocą czystej stali niż erystycznych sztuczek.

Tyle że na ścieżce, która wiodła do ogrodowych drzwi od komnat Nilejki, nikogo nie było.

– Zbieramy się – oświadczyła Babunia.

Bardawiec potrząsnął głową, jakby chciał rozwiać resztki snu.

– Nikogoście nie złapali – zaprotestował.

Wiedźma uśmiechnęła się tajemniczo.

– Ale chyba odgadłam, jak się to wszystko odbyło.



Następnego dnia Bardawiec zrzędził jeszcze bardziej, kiedy Babunia oznajmiła mu, że muszą znów wybrać się do ogrodu. Po wczorajszej zabawie rezydencja przycichła i osowiała. Część gości rozjechała się do domów, większość jednak siedziała w swoich pokojach, lecząc kaca i

odsypiając wcześniejsze brewerie. Łysy zwlókł się z pościeli dobrze po południu, przekąsił co nieco, zburczał służbę, wypił krzynkę, coby zagłuszyć nieznośny ból w czerepie, po czym na nowo opadł w barłóg. Nawet dziewczki nie kazał sobie sprowadzić, co, jak pouczyli wiedźmę jego pachołkowie, stanowiło nieomylny znak, że słabuje albo wielce nie w humorze.

– Tylko wymęczycie człeka, w chłodzie i niewygodzie przetrzymacie – narzekał – a pożytek z tego żaden.

– Worka aby nie zapomnijcie – skarciła go Babunia.

Mężczyzna rzucił pełne odrazy spojrzenie w kierunku solidnego, lnianego wora, który rozpierał się w kącie komnaty. Nie wyglądał na lekki, oj nie. A Bardawiec do wysiłku miał stosunek mocno pogardliwy.

– Pachołka se zawołajcie – burknął.

– A po co mi drugi, skoro już jednego mam! – zakpiła wiedźma. – No, chyba że chcecie, żeby ktoś jeszcze waszej siostrze w pierzyny zaglądał, wtedy wolna wola.

Chcąc nie chcąc, Łysy ze stęknieniem dźwignął wór i zataszczył go znajomą już ścieżką aż pod okna sypialni Nilejki. Ze środka, jak poprzednio, nie dobiegały żadne dźwięki, a okiennice były zatrzaśnięte na głucho.

– Co dalej? – odezwał się konspiracyjnym szeptem Bardawiec.

– Dalej sobie popatrzcie. Ot, choćby stamtąd. – Machnęła ku znajomej kępie jaśminów.

Strudzony chłopina ciężko klapnął na zadek, a wiedźma tymczasem rozwiązała worek i zaczerpnęła w dłoń sypkiego, białego proszku. Bardawiec szyję wyciągnął w przód jak gąsior, żeby przypadkiem niczego nie przeoczyć z tego niesamowitego czarostwa, podczas gdy Babunia starannie pokrywała cieniutką warstwą pyłu cały marmurowy podest przed drzwiami oraz prowadzące do niego schodki. Kiedy skończyła i przysiadła obok Łysego na piętach, aż posapywał z ekscytacji.

– I co teraz, i co teraz? – dopytywał się.

– Teraz się zdrzemniemy. – Opuściła powieki.

Zanim jednak zdążyła na dobre zapaść w sen, z oburzeniem poczuła, że coś dźga ją pod żebro.

– Babciu – spytał konfidencyjnie Bardawiec, biorąc jej wściekle milczenie za dobrą monetę – a ten proszek to silny dostatecznie?

– Silny, silny – wymamrotała sennie Babunia, w nadziei, że tamten odczepi się od niej na trochę.

Ale Bardawiec dopiero się rozkręcał.

– Raz na jarmarku widziałem – ciągnął z zadowoleniem – jak magik takim proszkiem pachółkowi w twarz sypnął, co od niego próbował podatek od utargu ściągać. Powiadam wam, ani zdążył drab kichnąć, jak zaczął wrzeszczeć, że go zmije opadły, po nogach leżą i już prawie do gardła sięgają, choć kromie jego nikt tam naprawdę gadzin żadnych nie oglądał. Ale tak tańczył, tak skowytał, jakoby go prawdziwie po łydkach kasały. Oj, było uciechy, przez cały rynek uciekał i dalej, aż po rogatki. A potem ni z tego, ni z owego w studnię się rzucił, co przed kowalowym obejściem stoi. Mówię wam, jak za życia był nieużyty, tak i po śmierci, bo cztery dni go kowal z pomocnikami usiłowali wyłowić, a im się wymykał, aż w końcu wodę na dobre spaskudził.

Babuni głowa zaczynała już opadać na pierś – co Bardawiec, nawykły do należytej czołobitności, poczytywał chyba za uprzejme potakiwania – kiedy panek znów szturchnął ją w ramię.

– A wasz proszek też podobną sztukę potrafi? – upewnił się.

Wymamrotała coś niezrozumiale w odpowiedzi.

– To dobrze, to dobrze. – Łysy zatarł tłuste ręce. – A słyszałem też, że w Uścieży alchemiczki takie proszki czynią, że jeśli nim czek odetchnie, natychmiast w sen stuletni zapada. – Łypnął badawczo na staruszkę.

Wiedźma zachrapała przez usta i ze świstem wciągała powietrze.

– Oj dobrze, oj dobrze – ucieszył się Bardawiec. – Doszła mnie i taka wieść o figurach skalnych rycerzy, wiecie, tych głazach, co je na stokach Tarnawca widać, a osobliwie są do żywych ludzi podobne, zwłaszcza zaś o świcie. Podobnoż to wcale nie głazy, jeno armia jednego z książąt, co tam w okolicznej twierdzy siedział w czas, kiedy nad kanałem wiedźma Pustułka grasowała. Umyślił sobie, żeby się przeklętnicy pozbyć, bo źródła zatruwała, bydełko pomorem gnębiła, a pola gradem tłukła. Posłał więc przeciwko niej hufiec zaciężny, z najlepszych rycerzy, co się ich udało we wszystkich Krainach Wewnętrzznego Morza znaleźć, żeby ją na wzgórzach Tarnawca dopadli, bo tam właśnie siedzibę miała, w czeluści

głębokiej tuż pod szczytem. Ledwie jednak u podnóża góry stanęli, na samym początku ścieżki, co ku górze prowadziła, wyszła ku nim wiedźma i śmiała się straszliwie. A kiedy się już trochę przybliżyli, ujrzeni, że trzyma w ręku woreczek z jeleniej skóry. Już do niej dobiegali, już ją mieli dopaść, kiedy Pustułka worek rozwiązała. Wydobyła się z niego chmura siniego pyłu, a wiatr poniósł ją w dół, ku rycerzom. I kiedy ich ogarniała, zamierali kolejno, zmieniając się w kamień, i tak po dziś dzień trwają, z nagimi mieczami i zatrzymani w pół ruchu. Ech, i gdyby tak tego Widacza... – rozmarzył się na chwilę. – Tak mi się od początku zdawało, że nadałby się na posąg, mydłek jeden.

Babunia Jagódka westchnęła przez sen. Słowa Bardawca kołły ją skuteczniej niż najlepsza kołysanka.

– A w południowych stronach – podjął mężczyzna, zdawszy sobie sprawę, że nie doczeka się odpowiedzi – inszy jest znowu obyczaj. Ichniejsi kapłani pono zadają swoim wrogom proszki, po których nieszczęśnicy straszliwej nabierają ochoty do tańca. Na placach tańczą, na drogach tańczą, na dachach nawet, jeśli ich tam nieopatrzne kroki zawiodą. Czasami zdarza się pono, że ich ktoś miłosierny zasieczy, lecz z rzadka, bo ludzie wszędy niechętnie się w kapłańskie swary mieszają. Póty więc trwają płasy, póki który z wysokości nie spadnie i karku sobie nie skręci albo póki z wycieńczenia nie zemrą. I tak wedle mego rozeznania sprawiedliwa byłaby to kara na tego bezbożnika Widacza za rozpustę jego i czelność, żeby wdowę świeżą pod welonem białym zbałamucić.

Wiedźma poprawiła się przez sen. Miała nadzieję, że Bardawiec jeszcze trochę sobie pogada.

– No, to i u nas się zdarza – dorzucił po chwili – kiedy w jakiejś okolicy trafi się zboże nad miarę sporyszem zatrute. A może by tak – ożywił się nagle – sporyszem Widaczowi do piwa sypnąć? Poznać to on się nie pozna, znać wszak po nim, że tępą i w trunkach bez rozeznania, a byłaby sprawa raz na zawsze skończona. Jak wam się zdaje, Babuniu?

Odpowiedź oczywiście nie nadeszła, lecz Łysy nie zwykł się łatwo zniechęcać, więc zaraz ucapił staruszkę za ramię i zaczął tarmosić – nieprzesadnie, coby nie poprzetrącać jej wiekowych, kruchych kości, ale wystarczająco mocno, żeby ocknęła się migiem.

– A mnie się tak zdaje – syknęła z wściekłością wiedźma, która,

wyrwana z głębokiego snu, z trudem się tylko miarkowała – że z magicznymi proszkami lepiej z ostrożna. Czasami i zgadnąć trudno, w którą stronę go wiatr poniesie.

– Święta prawda, święta prawda – ucieszył się Bardawiec, który najwyraźniej był dzisiaj w nastroju gawędziarskim i potrzebował publiki.
– A słyszeliście, Babciu...? – zaczął znowu.

Wiedźma łysnęła na niego wściekle żółtymi, połyskliwymi ślepiami i w powietrzu podniosło się zimno tak siarczyste, że wszystkie jaśminowe liście zwinęły się w jednej chwili i ścięły pod lodem.

– Rychło będzie nam świtać – Babunia podniosła się z murawy i starannie otrzepała spódnicę – bo chłód od ziemi bije.

Bardawiec przytaknął jej żarliwie, lecz bez słowa. Brodę i wąsy miał sztywne od szronu, a w oczach jakiś dziki, zwierzęcy wyraz przestrochu.

– Nie zwłóczcie po próznicy – popędziła go. – Rwaliście się honoru siostrzanego bronić, tedy macie okazję, żeby się wykazać.

Łysy natychmiast podskoczył, niby dźgnięty ostrogą.

– Gdzież ten hołysz? – Zgrabiałą ręką dobył sztyletu.

Wiedźma uśmiechnęła się. Lubiła w młodych zapał.

– A tam. – Machnęła ręką w kierunku marmurowego podestu.

– Kiedy tam nic... – zaprotestował mężczyzna, a potem urwał z nagłą.

– Oż, kurewnik jeden! – wydusił słabo.

Istotnie, widzieli w nocnej ćmie, jak na powłoce z białego proszku jeden za drugim uwidaczniają się odciski bosych stóp. Człeka wprawdzie nie było, ani ociupiny, lecz ślady dreptały ku nim rażno, choć w całkowitej ciszy.

Bardawiec posiniał na gębie – ze strachu albo wzburzenia, wiedźma nie dociekała – na szyi wystąpiły mu grube żyły i wydawało się, że za chwilę rozpęknie się jak purchawka. Babunia Jagódka gestem nakazała mu milczenie, po czym przyczała się w chaszczach na samym skraju ścieżki z jaśminową witką w dłoni.

– A tuś mi, bratku! – wykrzyknęła, kiedy ślady przesunęły się prawie już na jej wysokość.

Wyskoczyła z zarośli i machnęła witką w powietrzu na wysokości

rosłego mężczyzny. Nagle na końcu gałązki pojawiła się dziwaczna czerwona czapeczka ze szpiczastym czubkiem i otokiem z jasnego futerka. A na środku ścieżki kulił się golusieńki książę Widacz. W jednej ręce ścisnął kłęb przyodziewku, drugą zaś rozpaczliwie usiłował odzyskać czapkę.

Wiedźma cofnęła gałąź i aż mlasnęła z ukontentowania, podziwiając księcia, żeby grzecznie rzec, detalicznie i w pełnej krasie. Kontemplację wszelako zakłócił jej Bardawiec, który ocknął się ze stuporu i z rykiem wściekłości wypadł z zarośli.

– Ja ciebie...! – zawrzęsnała.

Babunia Jagódka pstryknęła palcami. Wystrzeliła spomiędzy nich iskierka, która pomknęła chyżo i uderzyła rozjuszonego mężczyznę prosto w czoło. Bardawiec wzdrygnął się, zadygotał jak w febrze, a potem znieruchomiał z wyciągniętym mieczem i dziko wyszczerzonymi zębami.

Co ciekawe, książę Widacz nie zwracał na niego żadnej uwagi, desperacko wdziewając portki. Najwyraźniej pogodził się już z rychłą śmiercią, ale nie zamierzał zapisać się w annałach historii jako cudzołóżnik, zaszlachtowany bez gaci na progu kochanki. Wkrótce zorientował się wszakże, że nieuchronny, jakby się zdawało, cios nie nadchodzi. Ze zdziwieniem podniósł głowę, żeby napotkać rozbawione spojrzenie Babuni.

– No, no – powiedziała wiedźma, oglądając starannie czerwoną czapeczkę.

– Kto wy jesteście? – wysapał książę.

– Nie poznajecie? – Babunia potrząsnęła głową z udawanym smutkiem. – Ot, złudne są łaski mężczyzny i nietrwałe jak kwiecie.

Wymamrotała pod nosem stosowne zaklęcie i jej postać rozmazała się na moment, przesłonięta połyskliwą mgiełką, a zaraz później na miejscu zgrzybiałej staruchy stała kruczowłosa piękność.

– Teraz lepiej? – Kapryśnie wygięła wargi.

Książę Widacz odskoczył z obrzydzeniem.

– Precz, siło nieczysta! – wykrzyknął.

– To wiedźma – rozległ się od strony tarasu głos Nilejki.

Kniahini stała na progu swoich komnat, z rozpuszczonymi włosami – miały barwę płynnego miodu, zauważyła przelotnie Babunia – i boso. Na nagie ramiona miała narzucony długi do ziemi, atłasowy bezrękawnik, podbity łabędzim puchem.

– Wiedźma – powtórzyła pani rezydencji, podchodząc do przestraszonego kochanka. – Wiedźma na usługach Łysego.

Babunia znów się uśmiechnęła. Jej oczy połyskiwały złotem jak ślepia żbika, kiedy czai się do ataku.

– Właśnie tak – zgodziła się pogodnie. – A teraz, gołąbeczki, pójdziecie za mną – rozkazała. – Oboje i bez gadania.



Pleban z Wilżyńskiej Doliny miał wrażenie, że czekał na tę chwilę całe swoje życie. Z dumą rozejrzał się po wnętrzu, rozświetlonym zaledwie kilkoma mdłymi świecami. Brakowało mu wprawdzie tłumów, które podziwiałaby jego nabożny kunszt, ale marmurowe figury i złocenia, suto pokrywające ściany, też miały swoje znaczenie. Z tyłu za nim, ukryta we wnętrzu absydy, stała jego gosposia, Rozalka, w swoim najlepszym odświętnym okryciu, spowita taką liczbą wykrochmalonych halek, że ledwo mogła się ruszyć. Ona także nie zamierzała uronić ani chwili z widowiska, które miało się za chwilę rozpocząć.

Niby wiedzieli, czego się spodziewać, ale widok Nilejki i Widacza, pędzonych przez Babunię Jagódkę jak owce na rzeź, okazał się dla nich jednak pewnym zaskoczeniem. Książę dreptał boso, utykając na ostrych kamieniach i starając się zachować resztki godności, co zapewne nie przychodziło mu bez trudu, zważywszy że miał na sobie zaledwie portki i rozchełstaną koszulę z żabotem, którego najwyraźniej nie umiał sobie zawiązać. Ramieniem jednak obejmował właścicielkę rezydencji, która była przeraźliwie blada, lecz spokojna. Jej rozpuszczone włosy opadały poniżej pasa i Rozalka aż sapnęła ze zgorzenia na taką jawną nieprzyzwoitość. Słowem, nie dało się przeoczyć faktu, że wywleczono ich prosto z łóżnicy i najpewniej nie zajmowali się tam czytaniem wierszy.

Pleban uniósł oczy ku niebu, jak gdyby chciał się upewnić, że

sklepienie świątyni nie rozewrze się nad nim, a bogowie nie pokarają bezbożników siarczystym piorunem. Ponieważ jednak nic się działo, postanowił mimo wszystko stanąć na wysokości zadania. Ostatecznie druga taka okazja mogła mu się nie trafić.

Odchrząknął. Babunia od drzwi posłała mu spojrzenie, które zapewne miało natchnąć go otuchą, lecz sprawiło tylko, że zupełnie przestał panować nad dygotaniem rąk.

Przydałby się łyk okowitki, pomyślał tęsknie. Ale wiedział, że nic z tego nie będzie. Rozalka, bogobojna jak większość górskiego ludku, nie pozwalała mu pić na służbie.

– Moi drodzy, zebraliśmy się tutaj... – zaczął schrypniętym z przejęcia głosem.

– No właśnie – przerwała mu Nilejka. – Po co nas tu przywlekliście?

W przeciwieństwie do niej książę się już domyślił, bo o dziwo, wyraz zaszczutego zwierzęcia zniknął z jego twarzy. Pleban z namysłem przechylił głowę. Zwykle w tych okolicznościach mężczyźni zachowywali się wręcz przeciwnie.

– A Bardawiec? – Widacz zwrócił się ku Babuni Jagódce.

– A właśnie, Bardawiec. – Wiedźma klepnęła się w czoło, jak gdyby coś sobie przypominała. – Pachołkowie go zaraz przyniosą. Czar przydusi go jeszcze co najmniej do południa. Ale w takiej chwili rodzina powinna się trzymać razem.

– W jakiej chwili? – Nilejka z przerażeniem patrzyła to na księcia, to na wiedźmę. – O czym wy mówicie?

Książę Widacz położył jej ręce na ramionach i powoli odwrócił ją ku sobie.

– Żenimy się – powiedział takim tonem, jak gdyby oprócz nich nie było tu nikogo i może faktycznie na moment wszyscy inni stracili znaczenie, zniknęło całe to przeraźliwie chłodne wnętrze. – Najwyższy czas.

Rozalka przytaknęła mu energicznym skinieniem głowy. Uwielbiała dobre zakończenia i odkąd została księżą gospodynią, nie opuściła ani jednego ożenku.

– Nigdy nie chcia... – zaczęła Nilejka, lecz książę położył jej dłoń na

wargach i stłumił dalsze sprzeciwy.

– A ja tak – oznajmił z przekonaniem. – Od pierwszej chwili, pamiętasz?

Nilejka spłonila się rumieńcem, lecz dalsze wyznania zakłóciło nadejście pachołków, dźwigających pękata figurę Bardawca. Pan na Polichcie trwał nieruchomo pod mocą czaru, wściekły i z obnażoną bronią. Strażnicy postawili go pieczołowicie, unikając ostrego szpikulca. Rozalce wydało się, że jego spojrzenie odszukało Nilejkę, a wówczas w zastałych niczym kamień rysach w jakiś sposób uwidoczniła się taka wściekłość, że księżej gospodyni aż zabrakło tchu. To był niebezpieczny człowiek, ponad wszelką wątpliwość, i posiadał wystarczające środki, żeby wcielać swe zamysły w życie.

Babunia Jagódka wie, co robi, pocieszyła się w myślach. Przecież zawsze wie.

– Ale ja się na to nie zgadzam. – Nilejka strząsnęła z ramion dłonie księcia. – Nie zdołacie mnie zmusić.

Pleban poczuł, że powinien się odezwać – wyłącznie z obowiązku, bo myśl, że ten wspomniały ożenek, który miał pobłogosławić, oddała się właśnie w niebyt, napełniał go szczerym rozgoryczeniem. No, ale tak to już jest z możnymi, rzekł do siebie posępnie. Za nic nie można im ufać. Może choć dadzą kilka talarów za fatygę...

– Nikt was zmuszał nie będzie, szlachetna pani – zapewnił gospodynię – jeśli woli szczerzej do zameścia nie macie.

Pozostali jednak nie zwracali na niego uwagi.

– To nas zniszczy – wyszeptała do księcia jasnowłosa pani. – Ciebie i mnie, pospołu. Zwłaszcza ciebie.

Widacz chciał się znów odezwać, ale wyręczyła go Babunia.

– Nie, oczywiście, że nikt zmuszał nie będzie – rzekła lekko. – Ja na ten przykład w ogóle się brzydzę przymusem. Wszak nie po to bogowie obdarzyli nas wolną wolą, żebyśmy się pozwalali teraz niewolić niczym nieme bydłota. Dlatego jeśli ktoś z własnej woli kręci sobie stryczek na szyję, należy mu pozwolić i jeszcze stołek podstawić, żeby się zanadto nie zmęczył, kiedy będzie linę przez gałąź przewieszał. Więc ja wam bronić nie będę, jeśli postanowiliście swego kochanka spędzić z tego padółu.

Nilejka pobladła jeszcze bardziej i kurczowo zacisnęła palce na połach serdaczka.

– A co się wam zdawało? – Wiedźma uśmiechnęła się z satysfakcją. – Choćbym sama postanowiła was oszczędzić, niebawem Bardawce sprowadzą inną albo i w ostateczności zgodzą kilku skrytobójców, żeby dopadli waszego lubego, kiedy się najmniej ich będzie spodziewał. Waszych krewniaków bardzo te miłostki wzburzyły. A przeciwko truciźnie mało kto wiele wskóra.

– To być nie może – zaprotestowała słabo kniahini.

– Oj, może, może. – Babunia z politowaniem pokiwała głową. – A was tu żywcem każą zamurować albo w wieży szaleńców zawrą, żebyście więcej nie przyprawiali rodu o sromotę.

– Dlaczego? – zapytał książę.

Wiedźma uniosła brew.

– Dlaczego co?

– Dlaczego nam pomagacie?

Babunia Jagódka dobyte z za pazuchy smętne resztki kwiatka. Połowa płatków opadła, a listki zwiotczały i pogniotły się w ukryciu, lecz wciąż dało się wyczuć ciężką różaną woń.

– Ponieważ zakłęciu „piękna-i-młoda” może się oprzeć tylko ktoś, kto naprawdę kocha. A prawdziwą miłość trudniej znaleźć na tym świecie niż czapkę niewidkę.



– Łeb wam powinienem skrócić jak czarnej kurze – oświadczył Bardawiec.

Babunia umościła się wygodniej na poduszkach. Powóz kolebał się na wybojach, Łysy popijał okowitkę, kojąc ból po przepiciu. Po ślubie bowiem nastąpiło weselisko, sute i huczne, na którym Bardawiec, kiedy już wiedźmi czar przywrócił mu władzę w członkach, samojeden osuszył kilka dzbanów, żeby przytłumić odrobinę gorycz po tym, jak go brutalnie okpiono.

– Zawsze możecie spróbować – odparła. – Będzie uciecha.

Bardawiec roztropnie postanowił zmienić temat.

– E, uciecha to będzie – rzekł dobrodusznie – kiedy się tam u Widacza możni o tym małżeństwie dowiedzą. I dobrze. Już jego dziadek zaczął szlachtę paskudzić, przywileje jakoweś nadawał, do rady zapraszał, prawa do zatwierdzenia przedstawiał, chociaż przestrzegali go ludzie, że obyczaj psuje i pospólstwo ponad miarę rozwyrza. Nic jednak słuchać nie chciał, ani on, ani jego synek, a Widacz wdał się w nich obu. No i dobrze, na zdrowie. Zobaczymy, jak ich teraz mości książe będzie poskramiał.

– Czemużby się mieli burzyć? – zdziwiła się całkiem szczerze Babunia. – Wasza siostra posażna, urodziwa, przy tym do męża szczerze przywiązana.

– Ale rodu nie dość zacnego – oznajmił z krzywym uśmiechem Łysy. – Bo ten hołysz, ten Widacz, niby to wywodzi się od jednego z owych pradawnych wojowników, którzy witali w naszych stronach samego Kii Krindara od Ognia i Miecza.

Wiedźma z powątpiewaniem siąknęła nosem. Wprawdzie nie pamiętała tamtych czasów, ale opowiadano jej – a miała informacje z naprawdę pewnego źródła – że kiedy bóg osiedlał się w Górach Żmijowych, w okolicy hulały wyłącznie dzikie kozy. Nie zamierzała jednak wszczynać z Bardawcem dyskusji teologicznych. Ostatecznie gdyby wszyscy, którzy przysięgali, że pochodzą od pierwszych wyznawców Kii Krindara, mówili prawdę, w caluńskich górach, nie wyłączając łysych szczytów, byłoby tłoczniej niż w Spichrzy w czas karnawału.

Łysy bezbłędnie wyczuł jej milczącą rezerwę i szczerze się uradował.

– Tak i mnie się zdaje, że to wierutna bujda – wyznał konfidencyjnie – i śmiech pusty człeka ogarnia na takową głupotę. Ale Widaczowi do śmiechu nie będzie, oj nie. – Z lubością poprawił się na siedzeniu. – Wsiądą tam na niego niby na łysą kobyłę i póty będą jeździć, póki nie zdechnie.

Wiedźma łypnęła na niego ciekawie. Właściwie dalsze losy księcia Widacza powinny być jej obojętne – widywała przecież wielu podobnych do niego panków, gładkich i układnych za młodu, którzy z czasem

obrastali sadłem na piwie zagryzanym pieczonymi półgęskami albo chlebem ze słoniną i pieprzną kielbasą. A potem, w miarę jak hodowali sobie brzuchy, ich skóra stawała się coraz grubsza, tak że niebawem bez zażenowania rugowali wieśniaków z najurodzajniejszych zagonów, kazali sobie przysyłać co powabniejsze wieśniaczki, żeby zimą rozgrzały im kości, i włączali do swoich dóbr gminne pastwiska. Działo się tak od zawsze, odkąd w Górach Żmijowych pobudowano pierwsze szlacheckie dworzyszczka i wycięto trakty w ciemnej ścianie borów. Dlatego Babunia nie ufała gładkim obliczom książąt ani gładkim słówkom, których nie skąpili magicznej znakomitości Wilżyńskiej Doliny, jeśli przez przypadek udało im się ją spotkać i rozpoznać.

Względem Widacza żywiła jednak nieco cieplejsze uczucia – a nie bez znaczenia była również czapka niewidka, którą jej podarował, kiedy już zrozumiał, że całe te zaślubiny nie są jedynie wstępem do wymyślnej kaźni. Podobnych cudeniek nie oglądano w tej okolicy zbyt wiele, więc Babunia przyjęła ją z ochotą. Sama wprawdzie nie potrzebowała podobnych sztuczek, żeby się zakraść, gdzie jej nie proszono, uważała jednak, że magicznym cudom lepiej nie pozwalać szwendać się po świecie, tylko trzymać je szczelnie zamknięte w komorze. Zwłaszcza jeśli to do niej należała owa komora.

Zastanawiało ją tylko, dlaczego książę upierał się, że niewidka stanowiła jego spuściznę po matce, która umarła, kiedy jeszcze był dzieckiem. Chętnie wypytałaby o nią Bardawca, który zapewne nie przepuścił żadnej plugawej plotce o znieawidzonym księciu – oraz jego rodzinie do siedmiu pokoleń wstecz – ale jakoś nie chciała się przed nim wydawać ze swoją ciekawością. Od dawna była zdania, że im mniej ją zwyczajni śmiertelnicy rozumieją, tym lepiej.

– Znaczy się, co mu zrobią? – zapytała.

Bardawiec poskrobał się za uchem. Wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

– A skądże mam wiedzieć? – powiedział. – U mnie w dziedzinie nie ma podobnych brewerii, żeby szlachta panu do łóżnicy zaglądała. Dobrze oni tam wiedzą, psiejuchy, że czego jak czego, ale bezczelności nie zniosę, a jak mi który zanadto zacznie pyskować, to ozór pospołu z całym łbem każę mu urzezać.

Babunia posłała wielmoży twarde spojrzenie.

– No, może czegoś się tam domyślam – ustąpił Bardawiec. – Jak ich znam, zjadą się do stolicy, rozłożą na błoni pod zamkiem i zaczną gardłować. Bo to niby jest obyczaj, żeby księżę przed ożenkiem zasięgał opinii rady, a Widaczowi – zachichotał złośliwie – jakby czasu na konsultacje zbrakło i wasza w tym, Babuniu, zasługa. Może mu posłuszeństwo wypowiedzą? Albo podatki przestaną płacić? Albo tylko żonę każą do klasztoru odesłać?

– A siostry rodzonej wam nie żal? – zagadnęła znienacka wiedźma, widząc, że Łysy rozmarza się coraz bardziej.

– Siostry? – burknął Bardawiec. – A słyszeliście może, żeby mnie siostra o zdanie pytała, kiedy za tego chudopachołka szła? Więc skoro taka była rezolutna, to ona nie siostra teraz dla mnie, tylko Widaczowa żona i niechże jej sobie Widacz broni. Ja się wtrącać nie zamierzam, choćby z niej pasy żywcem darli. Wykładacie sobie – ciągnął ze wzburzeniem – żeby zwyczajna dziwka śmiała nie okazać bratu uszanowania? A jaki z tego przykład w narodzie rośnie? Niebawem jedna z drugą sama zechce się rządzić, portki będą wkładać, z chłopami na wojnę chodzić i w sejmie zasiadać.

– Nie desperujcie, nie dożyjecie tych czasów – pocieszyła go Babunia.

– Nic dziwnego, pierwaj mnie cholera nagła zadusi – mruknął mężczyzna. – Ale na was, powiadam szczerze, srodze się zawiodłem.

Wiedźma uniosła brew. W powietrzu zapachniało ozonem, resztki włosów Łysego wyprostowały się, a na ich końcach jęły tryskać drobne iskierki.

– Ale należność wypłacę – zapewnił ją natychmiast Bardawiec. – Do ostatniego talarka.

– No myślę! – prychnęła wiedźma. – Wszak kontrakt wypełniony co do joty.

Bardawiec aż podskoczył na poduszkach, którymi wyścielono siedzenie w powozie.

– Co do joty?! – wybuchnął; na szyi wystąpiły mu ciemne żyły. – Widacz zdrów i wesół jak szczygiełek, żonkę świeżą do dom zabrał, a wy to nazywacie wypełnieniem kontraktu?

– Ajuści. – Błysnęła zębami w uśmiechu. – Kazaliście siostrę od

kurestwa wybawić, co się i stało. Dokładniusięńko wedle życzenia.

Łysy gapił się na nią przez chwilę z wytrzeszczonymi oczami, po czym znieścacka wybuchnął śmiechem tak donośnym, że cały powóz się zakołysał.

– Rzeknijcie mi jeszcze – odezwał się po chwili – jak ten magiczny proszek zadziałał, że zrazu w nim Widacza wypatrzyliście?

Tym razem Babunia zarechotała wesolutko.

– Ano, tyle w nim magii, ile u młynarza w chałupie. Mąka to była zwyczajna – wyjaśniła, kiedy Bardawiec wciąż gapił się w nią tępo – wyproszona od kucharki. Czasem lepiej się magii nie imać, wystarczy umysł natężyć. Jeśli się go posiada...



Wkrótce potem na Wilżyńską Dolinę spadły niespodziewanie pierwsze przymrozki. Zwarzyły na krzakach resztki malin, zwabiły w doliny pastuchów ze stadami owiec i przepłoszyły z gościńców zbójców, którzy na czas zimowych chłódów zwykli zapadać się po gościnnych, odludnych przysiółkach. Do małego królestwa Babuni Jagódki żaden jednak nie śmiał się zapuszczać – po traktach wciąż chodziły słuchy, że jeśli jej ktoś dobrze w oko wpadnie, potrafi tak mu we łbie zakłębem zabełtać, że nieszczęśnik nigdy potem drogi powrotnej z doliny nie znajdzie.

W gruncie rzeczy jednak było w tych plotkach wiele przesady. Wieśniacy zresztą nawet woleliby, żeby sobie w cichości pofolgowała z jakimś wędrownym parobkiem, bo zła była ostatnimi czasy i kąśliwa jak osa.

– Ani chybi, starzeje się nasza Babunia – oznajmił kiedyś Szyszek, kiedy mu Babcia z czystej złośliwości przemieniła brodę z kruczej na rudą, a dla tej jedynie przyczyny, że się do niej przysiadł niepytany w karczmie i o zdrowie grzecznie zagadnął.

– Ano – zgodził się Mały Sułek, który, odkąd jego brat zamieszkał na zamku z kasztelanką, rozpił się niezmiernie z goryczy i nieomal nie wychodził z gospody. – Jeno że kłopot z nią akuratnie ten sam, co z

winem, bo im starsza, tym bardziej siarczysta.

Następnie całe towarzystwo roztropnie przeniosło się z picim do obórki, gdzie przebiedowali aż do wieczora, kiedy to wiedźma wyniosła się z karczmy. Z życiowych doświadczeń wilżyńskich wieśniaków wynikało bowiem niezbiecie, że kiedy jest w złym nastroju, najlepiej jej schodzić z oczu. A tej samej nocy zaczął wreszcie padać śnieg, tak gęsty, że w kilka godzin doszczętnie pogrzebał osadę pod dwułokciową warstwą białego, sypkiego puchu. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Nadchodził czas odpoczynku, czas, kiedy należało siedzieć w ciepłej i suchej izbie, patrzeć w płomienie buzujące pod kominem, pogryzać rzepę pieczoną w popiele albo wędzone w dymie jabłka, prząść, tkać i wyszywać, naprawiać narzędzia gospodarskie, drutować garnki, ostrzyć kosy i ciosać nowe zydle. Na szczęście spiżarnie były tego roku pełne, w piwnicach spoczywały worki z ziarnem i grochem, beczki z kiszoną kapustą, marchwią, brukwią i fasolą. Zakiszono dość siana, żeby zwierzaki mogły bezpiecznie przetrwać do wiosny, kiedy wypędzi się je na świeże pastwiska – z wyjątkiem tych, które pójdą pod nóż przed zimowym świętem, kiedy to każdy szanujący się gospodarz pił do nieprzytomności na chwałę bogów i stawiał na stole, co miał najlepszego, żeby zaskarbić sobie ich łaski w przyszłości i podziękować za miniony urodzaj.

Tej zimy zaś było za co dziękować, dobiegał bowiem kresu naprawdę dobry rok, zasobny i spokojny, może pierwszy taki po wojnie. Ciemniało już drewno, z którego wybudowano chaty postrojone w miejsce tych, które popalili maruderzy, w splądrowanych niegdyś sadach pod słomianymi chochołami spały młode drzewka – wiele z nich tej wiosny miało wydać pierwszy owoc – i zabiżniały się powoli dawne rany. A skoro zapadał zmierzch, ludzie przybliżali się ku sobie z całą ufnością, jaką udało im się zachować w tych okropnych czasach, kiedy śmiertelnicy prawowali się z bogami, i rychło stało się wiadome, że w porze żniw Wilżyńska Dolina zacznie znów rozbrzmiewać kwileniem niemowląt.

Niepostrzeżenie przeszły najbardziej siarczyste mrozy. Nastaly roztopy, zrazu powlekając oblodzone trakty cieniutką warstewką wody, potem zaś zmieniając je w nieprzebyte trzęsawisko. Kiedy zaś wszystko odrobinę obeschło, na leszczynowych gałązkach rozwinęły się bazie, a

nad polami zaczęły dzwonić skowronki, do Wilżyńskiej Doliny zawitał nieoczekiwany gość.

Kasztelanka zatrzymała się w najlepszej gościnnej komnacie gospody, chociaż wielu uważało, że powinna raczej zjechać do obejścia swoich krewnych, bo jej mąż, Wielki Sułek, pochodził dokładniusięko z Wilżyńskiej Doliny i zaledwie kilka miesięcy wcześniej zabił dla niej smoka. Dziewczyna jednak mało co sobie robiła z krzywych spojrzeń i kąśliwych uwag. Oznajmiła świekrze, że Sułek ma się świetnie, lecz musiał zostać w domu, żeby, jak się wyraziła, pilnować interesu. W Wilżyńskiej Dolinie nie było zwyczaju, aby świeżo poślubione mężatki bez powodu szwendały się po świecie – w istocie zresztą nawet wiekowe baby nie wyprawiały się bez nadzoru dalej niż na jarmark do miasteczka nieopodal – toteż teściowej wręcz dech zaparło z oburzenia. Kasztelanka wszakże nawet tego nie spostrzegła. Zadowolona, że skrupulatnie wypełniła rodzinne obowiązki, oddaliła się z mężowskiego podwórka, wysoko unosząc spódnicę, aby nie umazać jej kurzym łajnem albo jakimiś domowymi resztkami, które ku uciechu stadka prosiąt wylewano tutaj prosto pod okno. I zanim wioskowe plotkarki zdążyły naradzić się pod studnią, co począć z tak rażącym naruszeniem dobrych obyczajów, pomaszerowała do domostwa wiedźmy, z dumą obnosząc przed sobą brzuch wielki jak wojenny bęben.

– No, no! – zagwizdała na ten widok Babunia Jagódka. – Szybko się z Sułkiem uwinęliście.

Kasztelanka ze swobodą zgoniła ze stołka czarnego kota, usadowiła się przed paleniskiem i wyciągnęła do ognia stopy w przemoczonych trzewikach.

– Nie ma co czekać – oznajmiła pogodnie. – Wnet się moi sąsiedzi z szoku otrząsną i poczną knuć, jak by mnie tu z ojcowizny wyzuć, skoro mam za męża przybłędę i prostaka. Z początku Sułek kilku zbrojno najdzie, dworce podpali i gospodarzy wywiesza, bo to mu nieźle idzie. Potem jednak trzeba będzie knuć, sojuszy szukać i intrygi motać, a z tym sobie jeszcze niesporo radzi. Ja zaś z dzieciakiem w brzuchu albo przy piersi niewiele dokonam... – zawiesiła znacząco głos, lecz wiedźma okazała się nad podziw niedomyślna. – Nie moglibyście czego, Babuniu, poradzić?

Wiedźma uniosła brew.

– Mam wyjąć dzieciaka i w dębowej dziupli go zawrzeć, żeby dojrzał razem z kasztanami? Coś mi się zdaje, że się nie da.

Kasztelanka westchnęła z rezygnacją.

– Tak mi się też zdawało, ale Sułek się upierał, że wy wszystko potraficie...

Gospodyni zaśmiała się sucho.

– Drogie dziecko, podpuszczać możesz Sułka albo tych swoich, pożalcie się bogowie, opiekunów.

– Nie zaszkodziło spróbować – rzekła pogodnie kasztelanka, po czym sięgnęła po rajskie jabłuszko, które dojrzewało na okapie kominka.

Wiedźma spod oka obserwowała tę niewiarygodną wręcz bezczelność, podczas gdy nieświadome niczego dziewczę spokojnie wgryzało się w jabłkowy miąższ.

– A tak poza wszystkim – odezwała się po dobrej chwili, kiedy już stało się oczywiste, że kasztelanka nie zamierza się prędko wynieść, jak czyniła lwia część wiedźmich gości – co cię tu sprowadza?

– Zateśniłam za waszym towarzystwem. – Dziewczyna zachichotała.

Po brodzie ciekła jej cienka strużka jabłkowego soku. Otarła go rękawem, po czym bez zażenowania cisnęła ogryzek w ką, gdzie zniknął w stercie rozmaitych żalonych, pokrytych kurzem odpadków.

Wiedźma uniosła brwi, a spod powąły w popłochu poderwały się nietopyrki. Kasztelanka spoważniała.

– Chciałam się wyrwać, póki jeszcze mogę – powiedziała cicho, tracąc nagle całą wcześniejszą zadziorność. – Bo minie jeszcze z miesiąc, dwa, a nadam się tylko do tego, żeby leżeć na boku, wzdęta jak melon, i ciężko dyszeć. A tak mi się zdaje, że właśnie wtedy wszystko się zacznie na nowo, niech no słońko mocniej przygrzeje i w ludziach animusz obudzi. Wtedy znów zaczną nas sąsiedzi szczypać. Najpierw ktoś jedno pastwisko zagarnie, potem się stada będą w wysokich górach gubić i znikać bez śladu, a na końcu ktoś nam spichrze popali albo i nas samych skrycie uwędzi.

Babunia poskrobała się po czubku nosa.

– Zawsze tak w Górach Żmijowych było – rzekła beznamytnie – że patrzyli sąsiedzi, na czym kto siedzi, a jeśli krzywo usiadł, to mu nie tylko

sukno, ale i cały stołek potrafili spod zadka wyszarpnąć. Nie zmieniło się to przez lata i pewnie nigdy nie zmieni.

Dziewczyna zacisnęła pięści i znać było, że wiekowa mądrość nie wywarła na niej należytego wrażenia.

– W pojedynkę się nie obronimy – mówiła bardziej do siebie niż do staruszki, zapewne po raz setny powtarzając wytarte argumenty i równie zużyte riposty. – Sułkowi doświadczenia brak, zresztą nie dał się jeszcze poznać i nikt z nim za chętnie w przymierze nie wejdzie. Trzeba będzie posły do księcia Piorunka słać i o opiekę go prosić.

– Wasz ojciec pierwiej by sobie łapę odgryzł, niż to uczynił – zauważyła wiedźma.

– Ojciec w innych czasach żył – zachnęła się dziewczyna. – Mało co już zostało wolnych panów w Górach Żmijowych, bo z jednej strony księżę Piorunek ciśnie, z drugiej spichrzański pan w siłę rośnie, a obaj Bardawcy ciszkciem skupują, co tylko wywęszą. Kończy się nasza swoboda i im prędzej to jeden z drugim zrozumie, tym więcej zyska. W tym sęk tylko, żeby się w dobrą stronę obrócić.

– Bo wielcy prędzej czy później znów skoczą sobie do gardeł – dokończyła wiedźma. – To również się łatwo nie odmieni.

Kasztelanka skinęła głową.

– Lecz wcześniej wyduszą małych. Zresztą już zaczęli. Słyszeliście o księciu Widaczu?

Gospodyni znieruchomiła czujnie. Nie sądziła, żeby księżę i Nilejka chwalili się, jaki miała udział w ich zaślubinach, a sam Bardawiec tym bardziej nie miał powodów, żeby opowiadać, jak to wynajął wiedźmę. Jednakże kasztelanka potrafiła stawiać na swoim i niewykluczone, że jakimś sposobem dowiedziała się o całej intrydze, a teraz próbowała to sprytnie wykorzystać. Wprawdzie wiedźma nie domyślała się nawet, co smarkula mogłaby przez to uzyskać, lecz z góry jej się nie podobało.

– Zeszłej jesieni ściągnął sobie nową żonę – ciągnęła kasztelanka, niezrażona bynajmniej chłodem, którym nagle powiało w chałupie. – Bardawcową siostrę i wdowę po kniaziu Mokręsku, więc zaraz zaczęły się swary, że przechodzona, bo prawdziwemu księżęciu przystoją tylko szczerze dziewice. Wkrótce pojawiły się plotki, że nigdy Widaczowi nie zdoła donosić dziedzica, że bezpłodna, bo ją pierwszy mąż zaraził

wstydliwą chorobą. A pani, zamiast jednać zwolenników, siedziała u siebie w komorze i rzadko do kogo gębę otwierała, chyba że do księcia, który tkwił u niej jak przykuty, aż w końcu jęli gadać, że nie tylko zwabiła go do siebie magicznym sposobem, ale i dalej więzi, żeby w końcu zapomniał o swych obowiązkach i przyrodzonej książęcej godności.

– Mało to ludziom ślina na język przyniesie? – fuknęła Babunia.

– Może i sam książę Piorunek rozpuścił te plotki – przyznała dziewczyna – żeby tym dotkliwiej Widacza przydusić, kiedy go już wszyscy zwolennicy odstąpią.

– A cóż ma niby Piorunek przeciwko Widaczowi? – najeżyła się wiedźma.

Znała z dawnych czasów księcia Piorunka, który jeszcze przed wojną uważał się za pierwszego spomiędzy górskich panów i niemało czynił, aby reszcie narzucić swoje zwierzchnictwo. Ostatnie niepokoje przyhamowały nieco jego zapędy, ale Babunia nie wątpiła, że niebawem wróci do równowagi. Nie sądziła tylko, że stanie się to tak szybko.

Kasztelanka roześmiała się perliście.

– Ze cztery pograniczne wioski i starą dąbrowę, co jest między nimi. No i jedną z tych kopalń srebra, które kiedyś dzierżyli mnisi, a które w czasie wojny miejscowi książęta zagrabili. Widacz się wówczas bardzo gracko uwinął, czego mu Piorunek do tej pory nie może darować.

– Ja myślę – mruknęła pod nosem wiedźma, która wiele słyszała o chciwości Piorunka.

Kasztelanka umościła się wygodniej na siedzeniu i zaczęła rozglądać łapczywie po wnętrzu chaty, jak gdyby znów szukała czegoś do jedzenia. Wnioskując z jej spęczniałych kształtów i nalanego oblicza, ostatnio nie odmawiała sobie niczego. Jednakże resztki nieokreślonej wędzonki, które dożywały swoich dni w dymie nad kominem, oraz kilka wianków cebuli i czosnku nie znalazły widać jej uznania, westchnęła bowiem tylko z rozczarowaniem i wróciła do opowieści:

– Są jeszcze głębsze anse. Książę Piorunek ma siostrzenicę, tłustawą i brzydką, ale posażną. Umyślił więc sobie wyswatać ją za księcia Widacza, a ponieważ panna ponoć bystra, liczył, że szybko zjedna sobie męża, urodzi gromadkę dzieciaków i tym sposobem dobro zostanie w rodzinie. Bardzo się ten plan podobał Widaczowym doradcom, bo miała w posagu

wnieść piękne włości tuż przy samej granicy położone, zatem wiosną spodziewano się zrękowin. A tu jaka niespodzianka! – Wygięła wargi w złośliwym uśmiechu. – Jesienią młody pan, nikogo o zgodę nie pytając, z nową żoną do stolicy zjechał. Wyobrażacie sobie, jakiej cholery dostał ksiązę Piorunek, kiedy doszła go wieść, że mu tak krewniaczkę zdespektowano?

W istocie wiedźma nie musiała przesadnie wyteżać wyobraźni. Ksiązę Piorunek był mężem chudym i postury nikiemnej. Innego może wytykano by palcami, jemu jednak czapkowano z daleka, wiedziano bowiem powszechnie w Górach Żmijowych, że krewki i żadnej zniewagi nie puści płazem. Obrazy długo chował i mścił bezlitośnie, choćby i po wielu latach, a niespodziewany ożenek sąsiada upokorzył go w oczach całej górskiej szlachty. Babunia Jagódka nie sądziła, aby łatwo o tym zapomniał.

Poczuła jakieś ukłucie, może nawet odrobinę zbliżone do wyrzutów sumienia, bo przecież ksiązę nie do końca dobrowolnie szedł do ołtarza. Zaraz jednak oddaliła od siebie niewczesne żale. Ostatecznie nikt nie kazał Widaczowi łązić nocą do Nilejki, a ona, wiedźma, tylko uratowała mu życie, bo Bardawcy niezawodnie dopadliby go przed Piorunkiem.

Kasztelanka najwyraźniej pomyślała o tym samym.

– Swoją drogą – rzekła lekko – ma chłopak talent, nie sądzicie, Babuniu? Przez jedne amory zniechęcił do siebie dwa najpotężniejsze rody w Górach Żmijowych.

Wiedźma mruknęła coś niewyraźnie. Przed oczami miała zaszczutą twarz Nilejki.

– No, skoro nie możecie mi pomóc – oświadczyła w przedłużającej się ciszy kasztelanka – to będę się zbierać. Tylko wpierw chcę wasze dobre życzenie. Dla dzieciaka.

Wiedźma osłupiała.

– Moje co?

Kasztelanka łypnęła na nią nieufnie.

– Dobre życzenie – powtórzyła, wolno i wyraźnie. – I nie próbujcie mnie okpić, po matce jestem taka sama księżniczka, jak te wszystkie inne wywłoki, co się tutaj szwendają, a ojcowski urząd z dziada pradziada w

rodzie, od samego Kii Krindara jeszcze nadany.

Babunia Jagódka chrząknęła z zakłopotaniem. Wciąż nie wiedziała zupełnie, o co chodzi, chociaż dziewczyna wyraźnie zaciętrzewiała się coraz bardziej.

– A że Sułek człek prosty, to nie moja wina – ciągnęła piskliwie. – Na waszym podwórku go spotkałam i z waszej, że tak powiem, poręki za męża wzięłam. Chcę moje życzenie i basta!

Wprawdzie wiedźma nieco inaczej pamiętała tamto sławetne polowanie na smoka, lecz postanowiła nie pogłębiać irytacji dziewczyny. Ta bowiem wyglądała, jakby zaraz miała ze złości wydusić z siebie na świat potomka, a do małych dzieci Babunia Jagódka nie miała żadnej skłonności.

– Co mam zatem zrobić? – zapytała.

– Jak to co? – ofuknęła ją dziewczyna. – Podarować mojemu dziecku dobre życzenie. Żeby było piękne, mądre, bogate i co tam sobie jeszcze umyślicie, wedle życzenia. – Wzruszyła ramionami.

Babuni Jagódce w końcu zaczynało coś świtać.

– A to się nie przy chrzcinach robi?

– Który kapłan się zgodzi, żeby mu wiedźma przy chrzcinach zaglądała przez ramię? – prychnęła. – Niechby was jeden z drugim zobaczył u nas na dworze, a byłby taki sam skandal, jak, nie przymierzając, z tym Widaczowym ożenkiem. Dlatego postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce i trzeci tydzień tłukę się po górach.

Profesjonalna solidarność i łaskawość wobec konkurencji nie należały do mocnych stron Babuni Jagódki.

– Zatem nie tylko mnie postanowiłaś, dziecinko, odwiedzić? – wysyczała przez zęby.

Kasztelanka chyba zorientowała się, jaką głupotę właśnie popełniła, bo przygryzła wargę i spróbowała przybrać wyraz twarzy małej, skrzywdzonej dziewczynki.

– Nie chciałam, żeby się ktoś obraził – rzekła przymilnym głosem. – Znaczy się, ktoś z tych mniej ważnych, bo wyście, Babuniu, zawsze dla nas pierwsi, wszak zeswataliście nas z Sułkiem.

Ale raz wypowiedzianych słów nie dało się już cofnąć, a wiedźmia

frustracja, wywołana nieoczekiwanymi skutkami małżeństwa Widacza, gwałtownie domagała się ujścia.

– Gdzie zatem już byłaś, serdeńko? – zagaiła głosem jedwabistym jak syk żmii.

– U Sobótki, co siedzi w ruinach wedle Łysej Skały – wyliczała na rozcapierzonych palcach dziewczyna. – U starego Puchacza, wiecie, tego samego, który zna zaklęcia niezawodne przeciwko szczurakom i wspomagał kniazia Mokreśka w jego ostatniej wyprawie. U Sierpawki z Czarcej Polany i u Bieguna, co chodzi z krukiem na ramieniu i podobno ma władzę nad ptakami. I jeszcze u karlicy znad Modrej.

– O tej nie słyszałam.

– Niektórzy mówią, że to szczurzy pomiot – wyjaśniła kasztelanka, wyraźnie zadowolona, że posiada informacje niedostępne dla osławionej wiedźmy z Wilżyńskiej Doliny – ale mnie się zdaje, że jest zwyczajna pokraka, jakich się wiele po wioskach lęgnie. Tyle że silniejsza od innych, bo kiedy ją książę Piorunek z innymi paskudztwami chciał zamknąć w wieży, jednym zaklęciem odmieniła wodę w Modrej w krew.

– Doprawdy? – Babunia Jagódka uśmiechnęła się serdecznie i zachęcająco na nią skinęła. – Przybliź no się, moja duszko.

Wioskowi rezydenci wiedzieli wyśmienicie, że w obliczu podobnej demonstracji serdeczności trzeba jak najszybciej brać nogi za pas. Kasztelanka pochodziła jednak z daleka i przywykła, że świat wybacza jej drobne potknięcia, więc wzięła uśmiech za dobrą monetę. Przysunęła się ufnie, lekceważąc przerażone kopnięcia potomka, który rozpaczliwie usiłował się ukryć w najdalszym zakamarku matczynego brzucha. Wiedźma pogładziła go z paskudnym uśmiechem i wypowiedziała pod nosem kilka słów, po czym cofnęła się pospiesznie. Naprawdę nie przepadała za dziećmi.

– Już? – dopytywała się kasztelanka.

– Już, już – uspokoiła ją Babunia Jagódka. – Możesz być tego całkowicie pewna.



Wiedźma niechętnie wyprawiała się w podróż, ale mus to mus. Następnego dnia zerwała się przed brzaskiem, spakowała w zgrabny węzełek kilka niezbędnych drobiazgów – głównie rozmaitych bukłaczków i flaszeczek – po czym wyłamała z płotu sztachetę, usiadła na niej okrakiem, łyknęła dla kurażu okowity i odleciała z furkotem spódnic. Przemknęła nad osadą niczym wielkie, czarne kruczysko, przekręciła kurka na świątynnej wieży i zatrzasnęła wieko studni: wieśniacy namozolą się przynajmniej do wieczora, żeby je otworzyć, i przypomną sobie, że nie opłaca się złościć wiedźmy. Liczyła, że będą o tym pamiętali aż do jej powrotu.

Około południa, zziębnięta i zła, wylądowała na murach zamku księcia Widacza, śmiertelnie przeraziwszy dwóch wartowników, którzy drzemali za jednym z zębów krenelaża.

– Wszelki duch! – wykrzyknął jeden, zastawiając się halabardą.

Drugi tylko wybałuszał oczy, niezdolny wymówić choćby słowo. Tutaj, w niższych pasmach Gór Żmijowych, ludzie nienawykli do gości, którzy spadali z jasnego nieba na steranej, sosnowej sztachecie.

– Duch i ciało! – oznajmiła Babunia, z kokieterią poprawiając zadarte spódnice i szczerząc poczerwiałe zęby.

Zapomniała jednak odmienić się wprzód zaklęciem „piękna-i-młoda”, więc jej zalotność wywarła zgoła nieoczekiwany efekt: strażnicy odwrócili się jak jeden mąż i bez ostrzeżenia hycnęli do fosy. Cokolwiek zdziwiona wiedźma wychyliła się przez blanki i obserwowała dwa błyszczące hełmy, które przesuwały się szybko po mętnej, brudnej wodzie, póki nie znikły wśród trzcin. Potem wzruszyła ramionami i zeszała na dziedziniec.

– Którędy do księżnej Nilejki? – zaczepiła pierwszego spotkanego młodzieńca w pstrokatej liberii.

Chłopak zamachał ręką w kierunku jednej z galerii, którymi, jak zauważyła wiedźma, bez ładu i składu upstrzono całą budowlę, po czym oddalił się obojętnie. W ogóle na podwórku dało się zauważyć ślady osobliwego rozprężenia. Służba pałętała się bez celu albo, przycupnięta w osłoniętych od wiatru kątach, leniwie wygrzewała się w wiosennym słońcu. Strażnicy wprawdzie tkwili na swoich miejscach, jednak nie udawali nawet, że kontrolują to całe zamieszanie, i nikt nie zatrzymywał

Babuni, kiedy weszła do zamku, ani wówczas, kiedy długim korytarzem powędrowała do komnat księżnej. W sieni nie zastąpiły jej drogi służki, damy dworu ani pokojowcy. Nie rozszczękał się nawet pokojowy piesek. Nic. Tylko echo w głuchej ciszy zwielokrotniało jej kroki.

– A więc w końcu jesteście – powitała ją księżna.

Siedziała w głębokim fotelu, przykryta kraciastym pledem. Od ostatniego spotkania wychudła, jej skóra przybrała barwę starego pergaminu, a pod oczami rysowały się sine cienie. Tylko jej włosy zachowały ten niewiarygodny odcień starego złota, który inne kobiety na darmo usiłują osiągnąć, wystawiając je na ostre słońce lub powlekając najdziwaczniejszymi miksturami.

– Ano jestem – rzekła ciężko wiedźma.

– Długo kazaliście na siebie czekać. Może zbyt długo. – Nilejka kręciła w palcach pasmo włosów.

W powietrzu unosiła się duszna woń aloesu, mięty, potu i palonych ziół, ale pod tą mieszaniną wiedźma wyczuwała jeszcze coś. Przytłumiony, lecz wszechobecny zaduch choroby.

– Jak mogłam nie zauważyć? – Babunia w osłupieniu potrząsnęła głową.

Nilejka uśmiechnęła się i przez moment jej wynędzniała twarz przypominała tamtą złotą dziewczynę, która zeszłej jesieni tańczyła w rozświetlonym lampionami ogrodzie.

– Zanadto pochłaniały was inne sprawy. Mój brat, księżę i własna przemyślność, z jaką postanowiliście wywieść wszystkich w pole. Ja byłam tylko dekoracją, barwnym tłem, po którym przesuwaliście swoje figury. – Rozkaszła się.

Wiedźma bez słowa sięgnęła po dzban i zaraz zauważyła, że od dawna nie dolewano do niego wody. W naczyniu chlupotało zaledwie kilka łyżek, a na dnie spoczywała mucha. Babunia zakląła paskudnie, a potem prosto z rękawa nalała do srebrnego kubka czystej źródlanej wody.

Nilejka wypić kilka łyków. Była tak słaba, że ledwo trzymała naczynie w ręku.

– Gdzie wszyscy? – zapytała wiedźma.

– Odesłałam ich – odpowiedziała pani zamku. – Przynajmniej tej uciechy im poskąpię. Nie będą patrzyli, jak dogorywam.

– A Widacz?

Księżna uśmiechnęła się.

– To była długa zima. Wiele bezksiężycowych nocy, kiedy on czuwał przy mnie i koił ból. Wiele szarych, mroźnych dni, kiedy wszyscy inni widzieli we mnie jedynie wiedźmę, która opętała ich księcia. Kiedy moje własne damy dworu nazywały mnie za plecami wywłoką, a na drzwiach sypialni co rano przyszpilano świeże paszkwilusy o świniopasach i pomocnikach kotlarzy, z którymi się miałam za plecami męża pokładać. Kiedy czterokrotnie próbowano mi zadać truciznę – zaśmiała się sucho – zupełnie jakby nie wystarczyło spokojnie poczekać jeszcze te parę miesięcy. Zresztą sami wiecie. Musicie wiedzieć, skoro przybyliście.

Babunia Jagódka powoli skinęła głową.

– I przez ten cały czas Widacz był przy mnie – ciągnęła w zadumie Nilejka. – Był przy mnie w taki sposób, że czasami sama się zastanawiałam, czy nie spętaliście go jakimś czarem, który nie pozwalał mu odejść.

– To się czasami zdarza – rzekła cicho wiedźma. – Bez żadnych czarów.

– Czy musieliście się wtrącić?! – wykrzyknęła nagle Nilejka. – Dlaczego musieliście wszystko zepsuć?

Rozpłakała się, a wiedźma po prostu stała przy niej w milczeniu, czekając, aż szloch ścichnie.

– Chciałam mieć tylko moje babie lato. Załedwie parę tygodni wypełnionych słońcem, smakiem późnych jabłek i wina. I chciałam ramion mężczyzny, które otulą mnie do snu. Potem bym go odesłała, zanim spadnie pierwszy śnieg. Nie stałoby się nic złego. Gdybyście tylko się nie wmieszali.

To oczywiście nie było takie proste – pozostawali jeszcze Bardawcy i sam Widacz, który wcale nie musiał chcieć odejść – lecz wiedźma nie zamierzała się spierać.

– Widzicie, Babciu – Nilejka opanowała się szybko, a może po prostu była zbyt wyczerpana, by pozwolić sobie na rozpacz – ja nigdy nie byłam

zbyt mądra. Umiałam tylko ładnie wyglądać i większość ludzi nie dostrzegła nic więcej. Ale ja wiedziałam, że nie jestem zbyt mądra i trzymałam się tej wiedzy tak kurczowo, jak niewidomy kostura, którym maca drogę. I może dzięki temu potrafiłam brać tyle, ile mi przeznaczono, i czasami nawet czerpać z tego zadowolenie. Bo niczego nie potrafiłam kontrolować. Więc mój mąż pozwalał mi na te różane altanki i oswojone daniele w ogrodach, ponieważ nie byłam zbyt mądra, a niemądre kobiety lubują się w takich rzeczach. W ten sposób miałam odrobinę wytchnienia. Nieprawdziwy, baśniowy świat, tło, na którym moje oczy stawały się jeszcze bardziej błękitne, a włosy połyskiwały starym złotem.

– A jak było naprawdę?

– Naprawdę? – Nilejka odchyliła do tyłu głowę i słoneczne światło wydobyło z jej twarzy pierwociny zmarszczek, które nie zdołają się już w pełni uwidocznić. – Nie wiem, jak było naprawdę, Babciu. Miałam niewiele ponad tuzin lat, kiedy zeswatano mnie z Mokreńskim i oddano temu obcemu mężczyźnie, który miał twarde ręce i jeszcze twardsze serce. O czym mam wam opowiedzieć? Jak wracał do mnie z kolejnej wyprawy, wciąż jeszcze przesycony odorem krwi? Jak kaźnił tuż pod ścianami naszej sypialni chłopów, jeśli nie dość szybko uskoczyli mu z drogi? Jak zaraził mnie wstydliwą chorobą, którą zakontraktował na jednej ze swoich bogobojnych krucjat od jakiejś przygodnej ladaczniczki? Czy jak potem kazał mnie leczyć przyżeganiem i miksturami z żywego srebra, ponieważ powinnam wreszcie powić jego cennego potomka? A ja nie jestem zbyt mądra, więc wtedy powtarzałam sobie, że to tylko sen, bo prawdziwe są jedynie daniele i róże w ogrodach. Bo tak było łatwiej. Bo czasami jedyny sposób, żeby przetrwać, to nie żyć naprawdę.

– Mogę to odmienić – rzekła powoli wiedźma. – Nawet teraz zdołam jeszcze cofnąć chorobę, wypędzić ją z ciebie tak, jak wiosenne słońce przegania mróz.

Księżna wykrzywiła wargi.

– A potem magią nakłonicie moje damy dworu do szacunku, a dworzan do posłuszeństwa? Wymażecie urazę z serca księcia Piorunka i przyprawicie moich braci o nagły przyptyw uczuć rodzinnych? Nie, Babuniu. Za późno. Choćbyście czarowali całą wiosną bez ustanku, nie zdołacie załatać wszystkiego, co porwaliście tamtej jesieni.

Wiedźma próbowała zaprotestować, lecz Nilejka uciszyła ją krótkim ruchem ręki.

– Jestem już bardzo zmęczona – powiedziała. – Moje babie lato dobiegło kresu, a teraz kończy się i ta długa zima. Musiałam jednak na was poczekać, ponieważ jesteście mi coś winni, tak myślę, a ja mam życzenie.

Wiedźma powoli skinęła głową. Zawsze się tak kończyło – lecz niektóre życzenia były okupione drożej od innych.

Nilejka zsunęła z wychudłego palca ciężki złoty pierścień, ozdobiony herbem księcia.

– Zanieście to jej, tej mądrej, i opowiedzcie jej, co się wydarzyło jesienią w myśliwskim dworku. Powiedzcie, że zaczarowaliście Widacza albo że ja go opętałam, wszystko jedno. Ale że teraz odejdę i zostawię go jej, bo czasami trzeba załatać to, co zostało porwane. Bo czasami cera jest mocniejsza niż samo sukno. Podarujcie jej ten pierścień i powtórzcie moje słowa. Jest mądra, więc powinna zrozumieć.

Pozbawione ozdoby palce Nilejki wydawały się jeszcze cieńsze. Wiedźma zacisnęła pięść wokół pierścienia. Nie wiedziała, co powiedzieć, a metal był zimny, jak gdyby przejął odrobinę chłodu, który na dobre przeniknął już jego panią.

– Zostawcie mnie – poprosiła Nilejka. – Teraz usnę. A kiedy usnę, przyjdą do mnie róże i daniele. I on. I Widacz.



W kilka miesięcy później, kiedy żałoba dobiegła kresu, Babunia Jagódka stała w tłumie wiwatujących mieszczan, którzy obserwowali, jak paradny powóz wjeżdża w bramy zamku. Pomędzy rozsuniętymi firankami mignęła jej twarz siostrzenicy księcia Piorunka, z szerokim czołem, cofniętą brodą i mięsistym nosem, co przywodził na myśl przetrąconą purchawkę. Przez moment miała wrażenie, że spoczęło na niej spojrzenie mądrych szarych oczu, które nie przestawały płakać, kiedy wiedźma powtarzała posłanie Nilejki. Powóz jednak zaraz potoczył się dalej, ku wrotom zamku, gdzie książe, w prostym kirowym stroju,

którego nie miał zdjąć już do końca życia, czekał na nową oblubienicę. I zanim wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wysiąść, Babunia Jagódka wmieszała się w tłum i powoli ruszyła w kierunku błonia, żeby chyłkiem wydobyć spomiędzy pokrzyw i łopianów sztachetę, a potem odlecieć do domu.

W powietrzu wirowały drobinki kurzu i znów nadchodziło upalne, górskie lato.

POWRÓT WŁADYKI



pośród wszystkich pomrocznych zakamarków, uroczysek oraz zdradzieckich ostępów Wilżyńskiej Doliny wraz z końcem wojny Babunia Jagódka osobliwie upodobała sobie posiadłość władyki. Krążyła po zarośniętym perzem i łopianem ogrodzie, po wypalonych słońcem zagonach, gdzie nie kwitło już nic prócz kąkolu, po majdanie, ludnym niegdyś i tętniącym życiem. Napawała się osobliwą wonią rozkładu, butwiejącego drewna, pleśni i ziela, które chciwie wciskało się pomiędzy kamienie murów i porastało chylące się ku ziemi dachy. Strącała ze zdziczałych jabłonek sparszywiałe owoce, tarnosiła zielone i sine brody porostów zwieszających się z resztek pował, rwała wilcze jagody, bujnie rozplenione tam, gdzie świętej pamięci Wisenka, ongiś małżonka władyki, pielęgnowała swoje bogobojne, białe od kwiecia rabatki. Czasem kopnęła zabłąkaną zielononózkę, jeśli kurzy rozumek nie podpowiedział żywinie, że na widok więdźmy lepiej zapaść się w lebiodę i łopuchy. Słowem, dobrze jej było na starym folwarku, błogo i rozkosznie. Nawet gorzałką nie musiała się krzepić, samo zniszczenie i rozkład uderzały jej do głowy jak mocne wino.

Pewnie dlatego posiadłość, chociaż zacna i w dawnych czasach zasobna, rozpaczliwie nie miała szczęścia do właścicieli. Trzeba tutaj przyznać, że wilżyński ludek długo nie chciał uwierzyć w zgon swego przyrodzonego pana i machnięciem ręki zbywał pogłoski o jego chwalebnym wojennym losie.

– Zaśby się dał nasz jaśnie pan władyka jak kiep ostatni ubić! – prychnęła prosto w nos wędrownemu kramarzowi młynarzowa Kordelia, wyrażając tym samym odczucia większej części swych ziomków.

– Ajuści – przytaknęła żarliwie Pietka, której mąż jeszcze za szumnej i

bujnej młodości władcy wyłowić go z fosy w ościennej włości, sam wszelako, nad umiar opiwszy się mętnej wody, zszedł nędznie z tego padołu. – Do nadstawiania karku to on zawsze miał innych.

– Bo pan prawdziwy. – Kordelia młynarzowa odymała wargi.

– Więcej już takich nie będzie – wtórowała jej Pietka.

Potem jednak wieści nadchodziły coraz gęściej i coraz bardziej zadziwiające. Widywano ponoć władkę pomiędzy zaciężnikami za spichrzańskie srebrniki dobywającymi Książęce Wiergi, podczas gdy inni zasię powiadali, jakoby stał u boku wiergowskiej ladacznicy, kiedy spuszczała na oblegające ją wojsko ogień alchemików. W tę ostatnią pogłoskę wszelako natychmiast zwątpiono w wilżyńskich obejściach.

– E, nasz jaśnie pan nie z tych, co by pod babską spódnicą służyli – oświadczyła twardo stara Siwka, potrząsając z przyganą rzadkimi włosami, które wychylały się spod jej burej chustki jak przygarść brudnych powrozów.

– Nie – zarechotała grubo Miłka. Zaczyna owa niewiasta całymi dniami przesiadywała w kruchcie, a nabożne pieśni wyśpiewywała tak piskliwie i donośnie, że zagłuszała samego plebana. Wszelako na wzmiankę o dawnych przewagach władcy ożyło w niej wspomnienie zgoła mniej nabożnej młodości. – Spódnica to się przy nim nigdy długo nie ostała.

Dobry tuzin zagrodniczek albo i zacnych gospodyń potaknął jej skwapliwie, a na niejednej twarzy odbiło się rozrzewnienie, łez nawet uroniono kilka nad losem zaginionego pana. Bo chociaż w swoim czasie jaśnie władca łupił chłopów, a i pod pręgierzem potrafił wyliczyć, aż skóra na plecach pękała, przecież wojenny czas opromienił jego grube zaloty srebrzystym blaskiem, jaki przynależy przeszłości sielskiej, pełnej błogości i nieodżałowanej zasobności. Zaznawszy grabieży, pożogi, a także popasów maruderów oraz zwyczajnych zbójców, wilżyńskie niewiasty wzdychały po cichu do tamtych dni, kiedy ich jedynym zmartwieniem było przyklepienie zapaski przez krewkiego feudała.

– Krzywdy to on nigdy nikomu nie zrobił – wzdychano i kręcono głowami nad szklanicą piwa albo i czegoś mocniejszego, mimo że przed wojną przecież chłopstwo zmawiało się po kryjomu, jak by tu nazbyt surowego pana umorzyć skrycie Babcinym naparem albo starym obyczajem sztydło mu w plecy wrazić. – Nie to, co to nowomodne

chamstwo.

Wraz z utrzęsieniem się domowej żalnickiej awantury nie wygasły bowiem w Górach Żmijowych niepokoje. Owszem, kniaziowie i książęta powoli rozpuszczali wojska, co wszelako ten skutek jedynie odniosło, że po traktach i ścieżkach tłukło się ponad miarę rozbestwionego żołdactwa, wygłodzonego przy tym i łapczywego, jako to zwyczajnie pomiędzy nędzarzami. Jaśnie książę Piorunek tłukł ich, co sił w ramieniu, ścigał także śpichrzański książę, a i pośledniejsi górscy pankowie nie ustawali w wysiłkach, by wreszcie oczyścić z łupieżców swą dziedzinę. We wszystkich tych armiach widywano jaśnie wielmożnego władcykę, jak galopuje na ulubionym karoszu i nagą stalą gromi nikkzemników. A wieść gminna taką opromieniała go sławą, w taką krzepkość ramienia i serca nieustraszoność wywianowała, że aż zadziwienie brało, jak jeszcze rabusie śmieli na gościńce wypełzać.

Pośród tych trudów i znojów niepostrzeżenie podnieśli łby kupczykowie z Książęcych Wiergów. Niby pokonani i upokorzeni przez księcia Evorintha, ku zaskoczeniu wszystkich wnet wkradli się w jego łaski, jęli z towarem po traktach wędrować, szkuty do morza spławiać, dąbrowy chyłkiem wycinać, zwłaszcza zaś nie swoje, i ze starych hawerni metal dobywać.

– Szarogęszą się, ścierwa – syczał przez zaciśnięte wargi Osek, co jako człek bywały i najprzedniejszy owczarz w Wilżyńskiej Dolinie zapuszczał się het, aż w trzecią i czwartą dolinę na jarmarki. – A łby tak wysoko noszą, jakoby sami tę wojnę wygrali.

– Ano, toć prawdziwie tak było! – wybuchał pijackim śmiechem Mały Sułek. – Śpichrzański pan kupiecką dziedziną owładnął, ale śpichrzańskim panem kupiecka ladacznica, tedy zda mi się nie kto inny, jeno kupce górą.

Wszyscy jednak wiedzieli, że przez Małego Sułka gorycz przemawia – i zawiść, jako że brat jego kasztelanekę poślubił, z niewoli okrutnego smoka ją wprzód wybawiwszy, podczas gdy Małemu Sułkowi pozostało jedynie sadzenie kapusty, pędzenie owczych serów i gorzałka, którą się krzepił, kiedy tylko zdołał. Zrazu też bagatelizowano nowiny. Gdzieś tam nisko, u stóp Pala, Maczugi i Mnicha, które w białych czapach królowały ponad Wilżyńską Doliną, zawżdy lęgło się jakieś plugastwo, a to książęta, a to maruderzy, a to zbójcy czy nierzadko od nich gorsi poborcy

podatkowi. Kmiecie wyrzekali na mieszkańców nizin, gęsto spluwając w wyschnięty pył gościńca, ale w skrytości ducha nie dziwowali się temu, podobnie jak nie zdumiewała ich letnia zaraza czy parszywienie bydła.

Zgoła inna się jednak gadka zaczęła, kiedy na wysokie górskie ścieżki wyroili się nowi panowie. Zaczęło się, jak to zwykle bywa, ciszką i nieśmiało. Tu jakaś intratna dzierżawa, dwie wioski w pacht puszczone, gdzie indziej młyn, gorzelnia albo wyrobisko stare, na którym zniecka znów wyrastały świeże kołowroty. Niby nic strasznego. Z każdym miesiącem jednak, z każdą odmianą księżyca wieść potężniała, wspinała się poprzez potoki, doliny i pagórki, coraz też wyżej na górskich ścieżkach oglądano kupców.

– Spichrzańskiemu księżęciu grosza brakuje – objaśniał młodzianków Ortyl, który w czasach młodości, mołojackiej fantazji zapoznał się bliżej ze spichrzańskim cuchthauzem, czuł się zatem w prawie objaśniać intencje księcia, w którego gościnie popasał tak mile. – A kupce, chytre ścierwa, grosz i z kamienia wycisną.

– Obleżą nas wszystkich jak parchy – jęrzył ziomków Sułek. – Krew żywą z piersi wysą.

A wędrowni kramarze, ostrzyciele noży, parobkowie i dziwki, które się nieopatrznie zapuściły w poszukiwaniu lepszej odmiany losu aż do Wilżyńskiej Doliny, opowiadali ochoczo o kmieciach z ojcowizny wyzutych, o odebranych pastwiskach, o wyłudzonych od sierot majątkach, wreszcie o podatkach straszliwych, jakie nakładało w swoich nowych majątkach niepoczciwe kupiectwo. Aż pewnego dnia gruchnęła wieść, że widziano wiergowskich nieopodal. Tuż-tuż, w wiosce przy północnym stoku Pała. Tam bowiem jeden z zaprzańców wprowadził się chyłkiem do przydrożnej gospody i gospodarzył aż miło. I na domiar złego miał piwo dobre parę miedziaków tańsze niż w wilżyńskim przybytku nieprawości i grzechu.

Tu już wilżyńskiemu ludkowi animuszu zbrakło. Bo z jednej strony kupiec był wróg obmierzył i każdy to rozumiał doskonale. Z drugiej wszelako strony, mocne spichrzańskie piwo miało swe zalety, zwłaszcza kiedy się go należycie nadużyło. Nic zatem dziwnego, że niebawem spragnieni nowinek – oraz godziwego trunku, bo wilżyński karczmarz rozpaskudził się monopolem i suto mieszał piwo z wodą – gospodarze jęli przekradać się ścieżkami wokół Pała na drugą stronę zbocza i

obwąchiwać z oddali nowości. Wszelako jako ludzie roztropni i z wiekiem coraz mniej skłonni do brawury, zrazu na przeszpiegi posłali Szczerbatą Kryskę, co u oberżysty miski szorowała, a i do innych posług była nader skłonna, jeśli jej kto zapłacił.

Kryska ruszyła się wcale chętnie, ale nie wróciła z wieściami ani następnego ranka, ani kolejnego. Nie wyburdała się nawet na niedzielną sumę. Darmo pleban się nadymał i ogniem piekielnym groził tym, co dzień święty zamiast na modlitwie w grzechu obmierzłym trawią. Kryska nie pokazała się w dolinie, nawet rąbkiem spódnicy nie błysnęła. Za to łysemu Kowlikowi zboczyło się z drogi na jarmark. I jakoś go tak koniki poniosły prościusieńko pod wierzeje wiergowskiej gospody. A kiedy wrócił, to pijaniusieńki jak bela i taki kontenty, że popod niebiosy wyśpiewywał swoją szczęśliwość i nawet kiedy żona zaczęła mu wybijać na grzbiecie zupełnie inny rytm warząchwia, ni o jotę nie zmylił melodii.

Przez caluśki następny tydzień Kowlik rozwodził się nad zacnością wiergowskiego trunku, nad obyczajem szlachetnym, który kazał karczmarzowi co piąty kufel podawać za darmo, wreszcie nad dziewczek czystością – a z entuzjazmem dołączyła do nich Kryska, wyszorowana w balii i najedzona pierwszy raz od dobrych dwóch miesięcy – że jego kamraci także postanowili skosztować tych cudzoziemskich specjałów.

– A żebyście tak zdechli! – darł się w dwie niedziele później na majdanie opustoszałej gospody wilżyński oberżysta. – Żeby wam tak od tego piwa zapowietrzonego na językach pypcie porosły!

– I przyrodzenie wygniło – dodawała mściwie jego połowica.

Babunia Jagódka tylko wzruszyła ramionami. Z ociąganiem przydreptała do gospody, zwabiona antałkiem najmocniejszej wódki, którą jej obiecano za poradę, nie zamierzała jednak przesadnie użalać się nad oberżystą. Był to bowiem człek chciwy i surowy, sądziła więc, że dobrze mu zrobi odrobina zdrowej konkurencji.

– Wygżą się, zakosztują nowości, to i na stare śmieci wrócą – rzekła pogodnie. – Sami zobaczycie.

Nie oponowała jednak, kiedy karczmarz postanowił nieco przyspieszyć światową sprawiedliwość i obstałował dwie flaszeczki przyprawnego trunku, co konkurenta żwawo zabierze z podksiężycowego padołu. Trucicielstwo nie stanowiło ulubionego zajęcia

wilżyńskiej wiedźmy i nieco urągało jej zawodowym pryncypiom, bo byle wiejska baba potrafiła uwarzyć z bieluniu skuteczny napar. Ale nad skrupułami natychmiast przemogły dwa srebrne talary, które – acz nie bez żalu – wyasygnował na ten zbożny cel oberżysta.

– W trunku trzeba mu zadać – zastrzegła się przezornie, bo wilżyński naród rozumem czasami nie grzeszył. – Od postawienia w kącie nie działa.

Karczmarz załzawionymi oczami wodził od antałka wódki do talarów i wzdychał jak cieląca się krowa. Niby rozumiał, że lepiej mieć wilżyńską wiedźmę po swojej stronie, ale konieczność opłacania się komukolwiek trzęsła podstawami jego świata.

– Czego jak czego, ale trunku w oberży nie braknie! – prychnęła gospodyni.

I chcąc wesprzeć męża w walce z uzurpatorem, pomaszerowała do wrażej gospody, uzbrojona w wydekoltowaną czerwoną kieczę, żeby się w tłumie swawolnych niewiast nie wyróżniać przesadnie, poręczny wąski sztylet, zastawiony u nich niegdyś przez wędrownego minstrela, oraz chudziutki mieszek, do którego mąż z bólem serca wyliczył jej przygarść oberżniętych półgroszówek. No i oczywiście zabrała też flaszeczkę od Babuni.

Karczmarka była niewiastą wcale jeszcze niestara, krągłą wszędzie, gdzie trzeba, i bardzo energiczną. Zwykle siedziała za szynkwasem, łajając pachółków i Szczerbatą Kryskę. Warkocz miała długi, wcale jeszcze nieprzyprószony siwizną, policzki rumiane, a język prędko jak rzadko i bez skrupułów ostrzyła go sobie na bywalcach mężowskiego przybytku. Do ślubnego jednak małżonka nie odzywała się grubo, bo ten prał ją po pysku, kiedy tylko koso spojrziała. Wielkie zatem nastąpiło w Wilżyńskiej Dolinie zdumienie, kiedy gruchnęła wieść, że karczmarka dała się zbałamucić przybłędzie. I to nie tylko wyobrazać na sianie, ale jawnie z nim żyje, w jednej komorze sypia i karczmą, niby własną, zawiaduje.

Na wieść o przeniewierstwie ślubnej małżonki wilżyński karczmarz zasadził się na Babunię w opłotkach własnej gospody i dwie noce czekał, aż ją wreszcie zdybał na zbieraniu pajęczych nici

– Wyście ją do tego przywiedli! – desperował. – Mocą tajemną

przyzwoitą niewiastę do łajdactwa żeście nakłonili!

– Widać ją, mój poczciwy człowieku – skwitowała kwaśno wiedźma – własna przyzwoitość tak sparła, że pofolgować ździebko musiała, coby się nią nie zatchnąć. A może – dodała po chwili z namysłem – nie bez znaczenia były i kuksańce, coście jej od dawna ich nie skąpili. Zwykle baby, kiedy chcą ślepią na niebiesko obwieść, wolą barwiczką je mazać, a nie ślady męzowskiej krewkości po całej wiosce obnosić.

– Ty łajdaczko mizerna! – wybuchnął karczmarz ze złością. – Czar żeście spartolili, ot i cała historia.

– Ale ten mi się uda – oznajmiła lekkim tonem wiedźma, po czym pstryknęła ogłupiałemu karczmarzowi przed nosem palcami i zaśmiała się jakoś wredniej niż zwykle.

Chłopina chciał jeszcze coś kwęknąć, może nawet kułakiem ją zdzielić, bo obróciła się do niego plecami, co była nielicha bezczelność. Darmo się jednak nadymał, darmo gardło natężał. Za nic nie zdołał wydobyć z siebie dźwięku. Nic oprócz żalosego:

– Brekekekeks! – które niosło się potem jeszcze długo a z pretensją pomiędzy wilżyńskimi obejściami.

Jednakowoż wiedźmia popędliwość okazała się mimowolnym sprzymierzeńcem wiergowskiego kupczyka. Pozbawiony bowiem przyrodzonych rozrywek w gospodzie wilżyński narodek na wypródki jął wypuszczać się w gościnny cień Pała. W Dolinie zrobiło się spokojniej, więc zrazu nikt zanadto sobie nie krzywdował. Chłopy nawet nie chodziły bardziej pijane niż zwykle, bo kupiec trunek miał przedni, ale i liczył sobie za niego nielicho.

Trwało to cały tydzień, aż przed niedzielną sumą do Wilżyńskiej Doliny zaczęły chyłkiem powracać zbłąkane owieczki. Przepite, ogołoczone z zawartości sakiewek chowały się w gościnny cień chałup, gdzie ich pojono ogórcowym kwasem i przebierano w czyste koszule, coby zatrzeć ślady niedawnej hulanki i nie kłuć plebana w oczy jawną kolaboracją z wiergowskim karczmarzem. Oczywiście, proboszcz i tak wyrzekał na ludzką niepoczciwość, ale wierni od dawna puszczali jego przestrogi mimo uszu. Przywykli do jego napomnień i traktowali je jako część naturalnego porządku rzeczy – coś, co trzeba ścierpieć pokornie, bo i tak tego nie da się zmienić.

Po sumie wiarołomni kmiecie zebrali się obok zrujnowanej gospody. Napić się wprawdzie nie mieli gdzie, więc jednemu czy drugiemu przemknęło przez myśl, że zamiana karczmarza w ropuchę była ze strony wiedzy nieco przedwczesna i niefrasobliwa. Opierali się zatem o płot, śliną między sztachetami strzykali, i jak przystoi statecznym gospodarzom, roztrząsali wypadki ostatnich dni. I tam się właśnie zaczęła gadka o Srebrnym Potoku.

– Oj, durne u nas ludzie, durne iście nad podziw – wyrzekła wiedźma, kiedy w kilka dni później przywłokła się na plebanię z nowym zapasem ziołowych czopków na ponurą przypadłość, od wielu zim dręczącą czcigodnego pasterza.

Moczyła nogi w cebrzyku, bo jej opuchły z gorąca, i zapijała jałowcową kiełbasę kwasem.

– Mówiłem, że będzie bieda – rzucił bohatersko pleban, po czym pierzchnął do swojej komory pod karcącym spojrzeniem Rozalki.

– Bieda, zaraz tam bieda! – fuknęła przez zęby Babunia. – Pohuczają sobie ludzie, po krzakach pomyszkują i wróci stare. Toć u nas nigdy nikakiego srebra nie było.

– Jakże niby tak nie było? – zachnęła się plebańska gospodyni. – Pomnę przecie dobrze, jak jaśnie wielmożna Wisenka do świątyni jechała, to aż blask w oczy kłuł, tyle srebra nosiła.

Wiedźma aż zarechotała.

– Jeno że każdej zimy klejnotów jej ubywało, bo jaśnie wielmożny władca gest miał, jako się patrzy, ale przychody mniej pańskiego sortu – rzekła. – Pod koniec więcej tam na niej cyny brzęczało niżli szczerego kruszcu.

– E tam, z niecności pleciecie – zaciętrzewiła się Rozalka, w której poszanowanie dla miejscowych znakomitości wzięło górę nad strachem. – Wielki był pan z naszego miłościwego władcy, majątku to on miał aż nadto, z wiosek trzech wszystkich daniny, a służebności, a pola, a lasy, a pastwiska, co aż pod sam klasztor Ciecierki podchodziły. A ile bydła na nich się paśło, a owiec, a baranów...

– Zwłaszcza baranów zawsze tu był dostatek – wtrąciła cierpko Babunia, bo rozumiała wybornie, że z legendą nie ma co walczyć.

Zwłaszcza że i tak prostodusznym wilżyńskim wieśniakom nie mieściło się w głowach, żeby ich włodarz, hołubiony na trzech wioskach, na podatkach od serów, na runie owczym i zagonach z koniczyną, mógł się nie liczyć pomiędzy pierwszymi panami w całych Górach Żmijowych.

– A było jeszcze Wisenkowe wiano. – Rozalka rozcapierzyła czerwone, spracowane palce i jęta wyliczać z entuzjazmem. – Dwie zacne dąbrowy za Gnojną Górką, popod Palem przysiółek, młyn i mielcuch za Maczugą.

– A pomnicie tego ogiera, co go starosta Wężyk zięciowi kazał przysłać? – Pleban w swoim ustroniu zacmokał z aprobatą wargami. – Istny demon, nie ogier, a czarny, jakoby go w smole wymazali.

– Ajuści! – Rozalka wsparła się rękami pod boki, ośmielona odsieczą pryncypała. – I była mlecznego półtuzin, i owiec wełnistych dwa kierdle.

– A ile skrzyń posażnych w dwór ponieśli! – w głosie plebana pobrzmiwało szczere rozrzewnienie. – Ze dwa tuziny.

– Suknie, trzewiki, narzuty, kapy, obrusy – wyliczała dalej gospodyni, a jej szczere, nalane oblicze rozjaśniało się w zadowoleniu, jakie poczciwe natury czerpią choćby i z cudzego szczęścia.

– Małżeńskie łoże – dorzucił z dumą pleban. – Sam je błogosławiłem.

– Coś jakby mało skutecznie – prychnęła wiedźma, która wcale nie wzdragała się nieszlachetnie wypomnieć, że dziedzic Wilżyńskiej Doliny nie doczekał się potomka.

– Wam takóž lepiej nie poszło – odciął się pleban. – Na nic się zdały wywary na wzmocnienie sił męskich, co Wisenka nimi władykę bez litości poiła.

– Siłom męskim władyki nic nie brakowało – wiedźma nawet nie mrugnęła – o czym dobre dwa tuziny bab mogą zaświadczyć. Tyle że do Wisenki żadnego zapachu nie miał. I nic dziwnego – dodała kwaśno – bo była baba krzykliwa, mściwa, gniewliwa, przy tym pobożna jak rzadko. Ale to często w parze idzie – dorzuciła, zezując w kierunku proboszcza.

– Poduch ze dwa tuziny – ciągnęła niezrażona Rozalka, która tak przywykła do kłótni między wiedźmą i pryncypałem, że nie zwracała już na nie najmniejszej uwagi. – Karła aksamitem kryte, szeslong

adamaszkiem cudnym...

– Dziecię próbowała wymodlić! – Pleban wyskoczył z komory, jakby go kto ożogiem w zadek kolnął.

– W tym celu zdałoby się pod władyką częściej niż pod figurą leżeć – wysyczała wściekle wiedźma.

– Pod tym świętym dachem...! – zagrzemiał z oburzeniem duszpasterz.

– Dobrze, już dobrze. – Babunia machnęła ręką. – Myślałby kto, żeście nigdy z babą pod pierzyną nie byli.

Rozalka, której zażyłość z czcigodnym sługą bogów nie stanowiła dla nikogo tajemnicy, ani się nie zająknęła.

– Nakastliki rzeźbione, stolik intarsjowany, dwa zydle skórą kryte – wymieniała gorliwie, może trochę poczerwieniła na gębie, ale nadal tak rozmarzona, jakby własne wiano przepatrywała w myślach. – I te pierzyny, co je jaśnie pani w sadzie wietrzyła... – Westchnęła z rozrzewnieniem, bo z jakiegoś powodu w Wilżyńskiej Dolinie pierzyny uchodziły za najdoskonalszy miernik skrzętności gospodyni.

Wiedźma sapnęła ciężko. Wiara w osobliwe bogactwo władyki tak się zakorzeniła w Wilżyńskiej Dolinie, że w żadnym razie nie dało się jej wypłenić. Nawet nie było sensu próbować.

Ku jej zaskoczeniu nie skończyło się jednak na pogwarkach pod karczmarskim płotem. Gromadka chłopstwa pod przywództwem Waligóry niebawem pognąła rącho do opustoszałej posiadłości. W głębi jeżynowych chaszczki pokiwała głową nad ułomnością ludzkiej natury, kiedy kmiecie jeden z drugim brodzili w potoku jak czaple, potem zaś aż do zmierzchu ryli na płyciźnie. Nawet ich nie straszyla i utopcami nie szczyła, licząc, że prędko się znudzą. Wilżyński ludek, owszem, łatwo się ożywiał perspektywą nagłego wzbogacenia, ale do nadmiarowego wysiłku nie miał nijakiej skłonności, przy tym zbliżały się żniwa i zboże na polach obrodziło.

Wszelako karczmarz z sąsiedniej doliny nie siał ani nie kosił, ledwo więc gospodarze z ociąganiem rozeszli się do swoich zajęć, ściągnął do Doliny, wesolutki jak szczygieł. Miał wózek z ekwipunkiem, znaczy się stertę kilofów, łopat, sit, lin kłęby i ze cztery wiadra, a na domiar złego pięciu pacholków, którzy tego ochędostwa nader skrupulatnie strzegli. Babuni Jagódki, która zapuściła się w czeluści folwarku po owoce

bielunia, a rósł tam osobliwie zjadliwy, jednakowoż nie zdołali oczywiście zatrzymać.

– A co wy tu, moiściewy, tak ryjecie pilnie? – zagadnęła, wychylając się znienacka zza krzaka.

Miała na plecach wiązkę chrustu, przyzwoitą liczbę burych spódnic, która upodabniała ją do chlebowej dzieży, a spod ciasno zamotanej chustki w czerwone róże wychylał się zakrzywiony nos z nieodłączną kapką na końcu. Słowem, wyglądała bardzo odpowiednio i nikogo nie powinno dziwić, że się samotnie wałęsa po nieużytkach.

– O, witajcie, dobra kobieto. – Oberżysta uśmiechnął się na jej widok, ale jakoś po lisiemu, a jego przystojne, podlane zamożnością i tłuszczem oblicze wyostrzyło się i nabrało czujności. – Zgubiliście się może?

– Bynajmniej. – Babunia Jagódka siąknęła zakrzywionym nosem. – Właśnie tak sobie chodzę i dusz litościwych szukam, coby mnie choćby i kubkiem maślanki wsparli, bo od upału osłabłam. Może w was litość wzbierze? – Podsunęła mu pod nos wyschłą, powykręcaną od starości garstkę.

Wiergowski kupiec odtrącił ją laską, a laskę miał bardzo pańską, z polerowanego drewna i zwieńczoną niebieską gałką, ale wciąż całkiem udatnie udawał dobry humor. Tylko jego oczy pozostały zimne i podejrzliwe.

– Ja, moja dobra kobieto, pan wasz nowy jestem – poinformował ją.

Najwyraźniej żona wilżyńskiego oberżysty nie objaśniła go w niebezpieczeństwach, co czyhają w głębi Doliny.

Wiedźma aż ręce na piersi złożyła w nabożnym zdumieniu.

– Jaka znakomitość! – Powiodła po nim pełnym zachwytem spojrzeniem. – Jaki wzrost, jaki wzrok pałający, a postawa rycerska!

Wiergowski obywatel, który w istocie postury był raczej nikczemnej, przy tym dość brzuchaty, co w mieszczańskiej profesji wypada, nie dał się okpić tak łatwo. Pstryknął palcami, odchrząknął i dwóch pacholców natychmiast przypadło jej do boków.

– Zważajcie lepiej, babko – rzekł karczmarz, mrużąc przebiegle oczy – i słowa bacznie rachujcie, bo kijem po grzbiecie obiję.

– I zادیorny po pańsku – uradowała się nieszczercze wiedźma. –

Prawdziwie naszego władyki krewniak.

– Władyki? – Mieszczanin tak się zdumiał, że nawet o biciu zapomniał.

– Ajuści władyki – uświadomiła go litościwie wiedźma. – Skoro się do panowania nad jego ziemią bierzecie, to musicie być jego pociotek albo inny koligat. Boście się chyba nie przybłąkali jak oparszywiałe kocię.

Przy ostatnich słowach uśmiechnęła się tak wrednie, że laska karczmarza aż sama się poderwała do ciosu.

Babunia uskoczyła ze zwinnością zaskakującą w jej latach.

– A wy mi się na pana z gęby nie patrzycie – wycodziła z powątpiewaniem – ani jego obycia nie macie. No, ale też niejedną kozodójkę nasz jaśnie pan władyka popod płotem przydusił.

Mieszczanin aż się o krok cofnął, wyraźnie ogłupiały. We łbie mu nie powstało, żeby go ktoś śmiał w oczy od bękartów wyzwąć.

– Pomiarkujcież się, babo – syknął chudszy z pachółków – bo z was bezczelność kijem wytłukę.

– Ty z nią, durny, nie gadaj – rozdarł się z nagłą jego pryncypał – jeno grzmoc, byle tęgo.

Lecz grzmocić nie było już kogo, bo Babunia zniknęła w bujności krzewiny.

Zaszyła się w swojej chałupie i czubka nosa nie wyściubiła, mimo że po leśnych traktach niosły się osobliwe nawoływania, turkot wozów i skrzyp kołowrotów. Okręciła się starą, wytartą baranicą, zapomnianą w izbie przez jednego z kochanków, i zaległa na posłaniu ze wzruszająco niemądrym podręcznikiem dla spowiedników. Nowy opat z całą gorliwością usiłował wypłenić ze swojej domeny zabobon, więc odtąd pouczeni przez niego kapłani mieli wypytywać wieśniaczki o sposoby warzenia magicznych napojów oraz spędzania płodów. Chichotała jak młódka, otulona tkliwą wonią mężczyzny, który jako kozioł ganiał z nią po obejściu, a koboldy donosiły jej coraz to nowe dzbanki skalmierskiego wina. Osobliwą radością napępiała ją zwłaszcza obrazki, z wielką starannością wyrysowane na marginesach księgi i przedstawiające wielką mnogość powabnych i ze szczeniem zepsutych niewiast z rozmaitymi kociołkami, miotłami oraz rogatymi monstrami, a wszystkie

długowłose, urodziwe, cysate. I co do jednej gołe. Cóż, świątobliwym braciszkom też się widać cniło w skryptorium.

Nic dziwnego, że nie usłyszała wściekłej kanonady jabłonki, która obrzucała owocem intruza.

– A bądźcież człowiekiem, Babuniu! – Przez solidne dębowe drzwi przebił się lament proboszcza. – Mamy kłopoty – oznajmił bez ogródek, kiedy go wpuściła. – Chłopstwo się zbuntowało.

– Dobrze. – Wiedźma uśmiechnęła się z aprobatą. – Zaczynają wracać do siebie po tej przykrej wojennej awanturze.

Owszem, bunty przyczyniały nieco zamęt, ale lubiła, kiedy chłopstwo miało w sobie należyty animusz. Nawet jeśli z tego animuszu kopało wilcze doły na ścieżce do jej chaty albo usiłowało podpalić stodołę.

– Gminowładztwo sobie wymyślili! – Żołądkował się proboszcz. – Imaginujecie sobie, grunty folwarczne chcą dzielić.

– I krowy na nich wypasać? – zainteresowała się nieszczerze wiedźma, która wiedziała wyśmienicie, że żaden gospodarz w zbiedniałej wiosce nie zdołałby obsiać pańskiego pola.

– I srebra chcą na nich szukać – wyrzekł dobitnie pleban. – Z namowy wiergowskiego zaprzańca jamy i doły kopią. Kołowroty ciągną, sitami błoto cedzą, na przetakach mieszają, powiadam wam, abominacja. – Wzdrygnął się teatralnie. – A smród przy tym jaki, a hałas! Jakobyśmy na spichrzańskim rynku stali.

– Mnie tam hałas nie szkodzi – oświadczyła przekornie wiedźma. – Ani nowoczesność.

– Inaczej zaśpiewacie, jak wam ta nowoczesność na majdan wkroczy – prychnął pleban. – Jeszcze się doczekacie. – Pogroził na odchodnym i smętnie powlókł się ku plebanii.

No i doczekała się, ajuści. Tyle że zamiast forpoczty nowoczesności na wiedźmie podwórze wkroczyły siły zgoła wsteczne – a mianowicie utopce. Tkwiły przy kupie z gnojem, przedreptując z nogi na nogę i roniąc gorzkie łzy. Strużka wody wiła się pomiędzy nawozem, ciurlikała w porzeczkach coraz bliżej drzwi do chaty, aż wreszcie ciszką przecisnęła się nad progiem.

Wiedźma zacięła wargi i długą chwilę przypatrywała się, jak nitka wody wzbiera, zgarniając z kątów zeschnięte obierzyny, kłęby kurzu, ogryzione kości, zapomniany naszyjnik, wiązki ziół, poprzecierane na palcach wełniane pończochy, wyszczerbione kubki, a nawet maleńkiego kryształowego smoka.

– Dobra, już włączcie. – Ugięła się w końcu, uchylając drzwi chaty.

– Błota naniesiemy. – Najstarszy z utopców wystąpił przed pobratymców, potrząsając długą różowawą brodą. – I jeszcze czegoś gorszego.

Za jego plecami falowała ciżba krótkonogich, opuchniętych stworków. Babunia zamrugła w oszołomieniu. Utopce nie przedstawiały sobą budującego widoku, zwłaszcza te co starsze i mocniej napoczęte przez ryby. Te zresztą były najbardziej chutliwe i zaczajały się w tataraku na wiejskie niewiasty, żeby sypnąć im na podołek gnijącą skórą i robactwem. Wilżyński pleban nienawidził ich zaciekle, bo szwendały się po podmokłych łąkach, nie osłaniając nagości niczym prócz krzaczastych bród, suto przetkanych muszelkami i mułem, ale w żaden sposób nie mógł wykrzewić plugastwa. Teraz zapewne uradowałby go widok nieprzyjaciół, nigdy bowiem utopce nie wyglądały jeszcze tak żałośnie.

– Wodę ze stawu spuścili – załkała stara topielica, przyciskając dłonie do obwisłych piersi. – Gdzie my się, biedni, podziejem?

– Może by tak, Babuniu, do studni? – zagaił mały, podgnity na boku utopiec o wyglądzie wiejskiego cwaniaka. – Przygarniecie nas trochę?

Wiedźma mimowolnie zrobiła krok w tył.

– Uchowajcież bogowie! – wyrwało się jej z piersi. – Zresztą w studni szczupak siedzi, on was jednego po drugim powyżera.

– Ale musimy gdzieś mieszkać. – Topielica załamała rękę. – Na słońcu zaraz wyschniemy.

– A stawu naszego już nie masz – zawtórował jej płacząco drobniutki topielec o chytrej gębie karczmarza.

Babunia poskrobała się z frasunkiem po głowie.

– Dało się wodę spuścić, da się i wody nalać – rozstrzygnęła wreszcie. – Przestańcie biadolić, uwiniemy się przed świtem.

– Nalać wodę nie sztuka – rzekł posępnie przywódca utopców, potrząsając różową brodą – jeno jak ją utrzymać? Babciu, tam wszystko rozkopane, groble przeryte, woda rowami do strumienia spływa...

– O, strumień! – ucieszyła się Babunia, chcąc się pozbyć niemiłych gości, bo od smrodu ledwo mogła oddychać. – W strumieniu przebidujcie, póki się im nie znudzi.

Stara topielica przepchnęła się między pobratymcami i schwyciwszy mocno sztachety, wychyliła się ku Babuni Jagódce. Jej ciało pokrywały różowe i sine smugi.

– A jak wam się wydaje, ja się tak na jasełka umalowałam? – zakrzyknęła z wściekłością. – Do strumienia nie wejść. Takie w nim świństwa pływają, że już wolę wyschnąć.

– Ajuści, ajuści – jęły przytakiwać gorliwie inne potworki.

– Żeby choć inny kolor. – Chuderlawy cwaniaczek się wzdrygnął. – Ale w różowy nie wejść.

I znów nad podwórzem poniosły się utopcowe lamenty i pokrzykiwania.

– Dobrze już, dobrze. – Wiedźma zatkała uszy. – To czego ode mnie chcecie. W przetaku was przecież nie upchnę.

Zapadła cisza tak przejmująca, że słyszeć było tylko rozpaczliwe czkanie jakiegoś kurczęcia, które przerażone widokiem obcych skryło się w łopianach za szopką na siano. Utopce tuliły się do siebie i dygotały w przestachu. Wreszcie przemówił najstarszy.

– Użabcie nas, Babciu – poprosił, targając brodę tak mocno, że posypały się z niej gołe ślimaki i inszy wodny drobiazg.

– Co niby? – Wiedźma wytrzeszczyła oczy.

Rozumiała wyśmienie, jakim upokorzeniem dla magicznego pomiotu byłoby zepchnięcie do rangi tępych kumkaczy.

– Naradzilim się – wsparł przywódcę brzuchaty potworek, stary widać, bo palce rąk i stóp miał pozarastane błoną. – Przebidujemy u was do lepszych czasów.

– U mnie? – Wiedźma była taka zdumiona, że nawet zapomniała się oburzyć.

– Toć macie jakiś cebrzyk. – Cwaniak uśmiechnął się zachęcająco. – Na pewno się nada.

Z tłumy straszydeł znów się dały słyszeć pojękiwania i płacz.

– Zlitujcież się, Babuniu. – Topielica przypadła wiedźmie do stóp i byłaby w rękę cmoknęła, gdyby jej Babcia pospiesznie nie cofnęła i nie skryła w fałdach spódnicy. – Nie posyłajcież nas do nich.

– Do wody smrodów nalali! Koboldy dymem okadzają! Do nocnic z samostrzałów celują! Bożęta zatrutym ziarnem morzą! – jęli jej wtórować inni.

– A najgorsze – ciągnęła wodnica, a jasne włosy spływały jej aż do ziemi – że chłopstwo nasze z nimi. Z przybłędami się na nas zasadzają, kołkami chcą przebijać.

Wiedźma wzruszyła ramionami. W rzadkie ciała utopców kołki włożyły jak w masło, nieraz się jeden dla draki za jeżozwierza przebrał, natkawszy se grzbiet łoziną. Krzywdy jednak z tego dla nikogo nie było, no chyba że dla jakiej praczki głupiej, jeśli ze strachu przed potworkiem do wody wpadła.

– To wam zbyt nie zaszkodzi.

– Ale obelga jaka! – oburzyła się topielica.

– I jak tak – przywódca utopców tupnął, że błoto rozbryznięto się szeroko po sztachetach – to się wolimy użabić.

– Niech zobaczą, czy im bez nas lepiej będzie. – Młoda topielica zacisnęła mściwie wargi.

– Jeszcze się przyjdą prosić. – Przywódca utopców starał się wyglądać dostojnie i godnie, ale nie mógł powstrzymać drżenia głosu. – Czyńcie, Babciu, swoją powinność, my gotowi.

Zanim nastał świt, utopce przycichły nieco, umościwszy się w cebrzykach i beczkach na deszczówkę. Niektóre wystawiały pozieleniałe nozdrza nad wodę, dziwując się przestronności nowej kryjówki, a ten i ów zaczynał już nieśmiało rechotać. Większość jednak ponakrywała się parasolami łopianów i w cichości kontemplowała swe upokorzenie, podczas gdy Babunia z ulgą zaparła drzwi i poczłapała do łóżka.

Przez kilka kolejnych dni panował błogi spokój. Owszem, przypałało się kilka koboldziąt, całkiem otepiały od dymu. Owszem,

u komina pojawiła się nocnica, wprawiając poczciwe nietoperki w dogłębne przerażenie. Owszem, pomiędzy korzeniami jabłunki załęga się rodzina krasnali, a tak gospodarnych, że w trzy dni podprowadziły Babuni Jagódce dwa worki pszenicy, dzban z kwasem i ze cztery pęta jałowcowej kiełbasy, żeby się na nowym gospodarstwie lepiej poczuć. Niemniej w gruncie rzeczy wszystko pozostało po staremu. Wiedźma drzemała nad manuskryptami, z rzadka przegryzała okowitkę kromką chleba, tak sownie posypaną solą, że aż siłą. I póki nie oczekiwano od niej uprzejmej konwersacji, nic jej nie przeszkadzał magiczny drobiazg, który się szwendał po obejściu.

Aż wreszcie pewnego ranka pod furtką dojrzała Rozalkę. Gospodyni proboszcza była czerwona na gębie z wysiłku i łypała lekliwie po bokach, jakby ją jakie licho miało po łydkach pokąsać.

– Dajże już, głupia, spokój! – złała ją Babunia, bo ze względu na przypadłość swego pryncypała Rozalka była w wiedźmim obejściu gościem tak częstym, że bazyliszek na jej widok nawet nie podnosił powiek. – Myślałby ktoś, że się mnie boisz.

– Was się nie boję – chlipnęła Rozalka – ale karczmarza i reszty. Wy nawet nie chcecie wiedzieć, co oni wymyślili.

– Ależ chcę. – Babunia uśmiechnęła się kwaśno. – No, co się tam urodziło? Zagon wam kupiec przekopał w pogoni za srebrem?

– Zagon całkiem zabrany – załkała Rozalka. – Pierwszy, drugi i trzeci. Wszystko, Babuniu, wzięte.

Wiedźma zdębiała.

– Srebra powywlekane, z kościoła figury wyjęli, spichlerz cały rozbity, kury porozkradane. – Gospodyni plebana zawodziła coraz głośniej, wręcz zachłystując się własną rozpaczą. – Pola nam wszystkie pokradli, plon jak u siebie zbierali, lecz nam z tego ani garsteczka ziarna nie przysła – rzekła twardym, zupełnie obcym głosem, jakby wraz z zawodzeniem uszła z niej niewieścia miękkość. – Owce z łąk pospędzali, że niby dłużej nie nasze i nic się nam nie należy. Kościół pod śpichlerz zajęli, na to niby ichnie, zagrabione ziarno. A mości dobrodzieja w plebanii w obłączeniu trzymają i podpaleniem mu grożą, gdyby śmiał choćby nosa wychylić.

Babunia wytrzeszczyła ślepią.

– A wszystko to wasza wina! – Rozalka wymierzyła w nią

oskarżycielski palec, mało co nie bodnąwszy gospodyni w brodę.

Wiedźma cofnęła się odruchowo. Niby niczego się nie bała, ale szaleńcom zawsze jakoś lepiej zejść z drogi.

– Wasza, wasza! – Gospodyni plebana nadal wygrażała jej palcem. – Posprowadzaliście w Dolinę tych wszystkich oczajduszów, złodziejów, szalbierzy, rabusiów, to teraz macie! Oj, gorzko wy zapłaczecie. A my wraz z wami – dodała nieco ciszej i zapadła się w sobie, jakby uszło z niej całe powietrze.

Gospodyni podeszła do wysokiej półki, na której trzymała dryakwie na specjalną okazję.

– Napijże się, sieroto – nakazała, nalewając Rozalce pełniutki kusztyczek.

– Ja trunku zdrożnego nie tykam – obruszyła się księża gospodyni.

Po izbie rozszedł się ostry, wiercący w nozdrzach zapach.

– Ten zdrożny z pewnością nie jest – zapewniła ją wiedźma, po czym niemal przemocą wlała kieliszek w Rozalkę.

Kobiecinnie oczy zrazu w słup stanęły.

– Wy dobić mnie teraz chcecie? – zaskowytała dyszkantem. – Małości nam zaszkodzili?

Trunek jednak już zaczynał działać i rozbierał ją zdumiewająco prędko.

– Zrazu sam kupiec przyszedł – zaczęła Rozalka, wspierana przez wyciąg z prawdziwki. – Że niby po dobroci. Że on urząd rozumie i do bogów nic nie ma, ale kolektyw uradził, ot, taka dola. Bo pola odtąd wspólne, i bydło będzie dla wszystkich, i owce będą wspólne, i sady, i łąki, i stawy...

– I baby pewnie też wspólne – nie zdzierżyła Babunia.

– Ale tylko te młodsze! – chlipnęła pod nosem Rozalka i popatrzyła na nią z jakąś taką bezbrzeżną żałością. – Dobrodziej nic im dać nie chciał, jeno kupca tak zelżył, że mało mu krew do łba się nie rzuciła. Pół nocy mi potem jęczał – dodała ciszej. – Sami wiecie, jak on zwad nie lubi.

Babunia uśmiechnęła się półgębkiem. Owszem, wilżyński pleban nie był mężnego serca, ale w obronie dobytku stawał się groźny jak lew.

– Z rana zaczął mnie wołać – ciągnęła kobiecina – coby mu kapiec odświętną prasować, nicią srebrną wyszytą, oleje święte, kropidło podać, bo chciał wioskę wzdluż obejść i gospodarzy przestrzegać, żeby pod groźbą wyklęcia przeciwko świętemu Kościołowi nie śmieli stawać.

Od strony paleniska zasyczał nienawistnie jeden z koboldów, widać wspomniawszy, jak wilżyński duszpasterz obchodził jesienią chałupy, wypłaszając na mróz magiczny drobiazg. Pleban bowiem osobliwie te procesje lubił. Lubiał kroczyć główną wilżyńską ulicą, choćby namokniętą od deszczu i dobrze nawozem pokrytą, lubiał woń kadzidła, brzęk dzwonek, nade zaś wszystko pokornie pochylone karki wieśniaków, kiedy nawiedzał ich z całym dostojeństwem swojego pana.

– Ale drzwi były zamknięte! – Rozalka załamała ręce. – Deskami od zewnątrz zabite. A kiedy się w oknie pokazał i jął ich łagodnymi słowy do opamiętania przywodzić...

– Znaczy, darł się znowu?

Wilżyński pleban bowiem wolał się trzymać wypróbowanych sposobów – kropidła, klątw przeciwko heretyckiej zarazie i zapowiedzi straszliwej kary na tym czy na tamtym padole. Zwykle najbardziej hardzi wieśniacy spuszczaali wtedy wzrok i głębiej wbijali pięści w karmany.

Sęk w tym, że teraz nie miał do czynienia z wieśniakami.

– Wystrzelili do niego! – załkała plebanicha. – Z samostrzałki strzelili, jakoby do głuszca.

Babunia odchrząknęła, żeby zamaskować wesołość. Istotnie, świątobliwy duszpasterz jej również przypominał kuraka z szeroko rozpostartym ogonem, a z głosu wiele mieli ze sobą wspólnego.

– Ze dwa palce od głowy bełt ugodził – żołądkowała się dalej Rozalka. – Powiadam wam, sam bóg go swym płaszczem ochronił...

– Zaraz tam bóg. – Wiedźma wzruszyła ramionami. – Zwyczajnie łapa pacholceki drgnęła, ani chybi z przepicia. Poszumi chłopstwo, pohula, i znowu będzie spokojnie.

– A tuście są, Babciu, w błędzie – przerwała jej zapalczywie Rozalka. – Kupiec tak ich, ścierwo, omamił, tak im w rozumie zabełtał, że teraz co jeden lepszy niż pleban i kaznodzieja. Bo, naobiecował im zaprzaniec przeklęty, bogowie wszystko słyszą, każdemu ucha przychyłają. A skoro

tak, to nam kapłana ani świątyni nie trzeba.

– I zgodzili się? – Babunia nie zdołała powściągnąć ciekawości.

Wieśniaczka posłała jej niezycliwe spojrzenie.

– Skoro plebana nie trzeba, to i dziesięciny nie lza – objaśniła z godnością. – Ni robocizn, ni wziętków, ni powinności nijakich.

Wiedźma zachichotała, ogarniając w pełni rozmiar plebańskiego nieszczęścia.

– A wy tak nie rzyjcie, bo i po was wnet przyjdą – burknęła ze złością Rozalka.

Babunia się uśmiechnęła jakoby kot do sperki.

– A srebro w folwarku ktoś widział? – zagadnęła podstępnie, która wyśmienicie wiedziała, że w folwarku żadnej rudy nie ma.

– Aby dwie srebrne łyżeczki Osuch spod kamieni wygrzebał – wyznała Rozalka, tyle że jakoś niechętnie, jakby jej klęska ziomków bynajmniej nie cieszyła – ale jedną mu zaraz Waligóra zabrał, bo on jest ninie starostą z kupieckiego poręczenia.

– No, no – zafiukała przez zęby wiedźma, którą jakoś uwierało wspomnienie zdradzieckiego kochanka. – A to chłopina urósł.

Rozalka znienacka postanowiła błysnąć podstępny, chłopskim rozumem.

– I tylko wy dalibyście radę go powściągnąć – rzekła przymilnie.

Babunia pogroziła jej palcem.

– Kiedy nie chcę. Jeszcze ze dwie niedziele, a własni go zausznicy na wózku z gnojem wywiozą. Tedy po co się mieszać? Lepiej w chałupie przeczekać. Co i wam szczerze radzę – dodała, sięgając ku flaszeczce na znak, że audiencja skończona.

Jednakowoż ciekawość podgryzała ją coraz bardziej. Niby wiedziała wyśmienicie, że rebelia, jak wiele innych przed nią, rozejdzie się wkrótce po kościach, choćby się wiergowski kupczyk dwoił i troił, zachęcając chłopstwo do zajadłości. W gruncie rzeczy wilżyński ludek nie był przesadnie zajadły i bełt wypuszczony w kierunku plebana – a wiedźma dałaby sobie rękę obciąć, że pacholek nader starannie wymierzył, żeby duszpasterza przypadkiem nie ugodzić – stanowił najpoważniejszy

paroksyzm okrucieństwa. Ot, poburczą jeszcze zagrodnicy, kilka świątynnych baranów upieką i zeżrą, lecz kiedy nadzieja na nagłe wzbogacenie pryśnie, cała wściekłość zwróci się przeciwko przybłędzie.

Ale i tak chciała wiedzieć, co w trawie piszczy.

W dwa dni później zasadziła się zatem na praczki na ich ulubionej grobelce nad stawem. Wodę istotnie spuszczone, jedynie przy pomocy zachowało się kilka mętnych, błotnistych oczek. Róż w wodzie nieco już przyblakł, ale w zwykłej woni zgnilizny i ryb wiedźma wyczuwała nową, niepokojącą nutę. Roztarła kilka kropel w palcach, wietrząc alchemiczne ingrediencje, którymi kupiec niechybnie próbował srebro dobywać z kamienia. Nie sądziła, żeby mu to pomogło – alchemiczna sztuka w większej części stanowiła kosztowne szalbierstwo – ale z góry współczuła wieśniakom, jeśli się który połaszczył na potraktowane różowymi paskudztwami ryby.

Szuwary wokół były przeraźliwie puste po exodusie utopców, nawet żaby odzywały się ciszej i jakoś strachliwie. Po oberżyscie zamienionym w ropucha – ani widu. Od strony wioski dobiegały ją zwyczajne poranne odgłosy: ryczenie bydła, skrzyp żurawi, szczekanie psów i pokrzykiwania bab podczas obrządku. A jednak nieprzyjemnie strzykało ją w krzyżu. Jakby na trwożę. I wilgoć, zimna jeszcze po nocy, wciskała się natrętnie pod spódnice i zapaski. Przedreptywała z coraz większą złością w swoich filcowych buciorach, przeklinała pod nosem siarczyście, a posługaczki wciąż spóźniały się nieprzyzwoicie.

W Wilżyńskiej Dolinie panował bowiem zwyczaj, że co zamożniejsze gospodynie oddawały brudy praczkom, które werbowano spomiędzy najgorszej biedoty. W ten sposób zwykły zarabiać na swoje utrzymanie wdowy, rozmaite przybłędy i starowinki, które miały jeszcze dość krzepy w ręku, aby obracać kijanką. Praca była to bowiem niełatwa i nie każda niewiasta mogła pół dnia moczyć się w lodowatej wodzie i ręce w ługu karbować.

Tym większe było zatem zaskoczenie Babuni, kiedy na czele pochodu praczek spostrzegła Kordelię młynarzową.

Matka Jarosławny, z dawien dawna najpierwsza we wsi gospodyni, tuż po śmierci swego pierwszego małżonka, świętej pamięci Betki młynarza, zawieruszyła się gdzieś w wielkim świecie. Jaszczurcze jęzory – bo gdzież ich nie ma? – powiadały, że skumała się z grasantami, którzy

uwolnili ją od ciężarów świętego związku małżeńskiego i rada wraz z nimi hulała po gościńcach. Po prawdzie ciężko jednak było w to uwierzyć, kiedy zasiadała w świątyni w swej małżeńskiej ławce, cała spowita wdowią bielą, dorodna i piersiasta, z ciężką koroną warkoczy na głowie. Biła od Kordelii jakaś dostojność i powaga, które sprawiały, że wybaczano jej więcej niżli innym niewiastom. Zapewne opromieniała ją również legenda córki, pięknej Jarosławny, wyswatanej niegdyś przez Babunię samemu księciu, i nie miało żadnego znaczenia, że ta sama Jarosławna czmychnęła od ślubnego małżonka precz.

Młynarzowa potrafiła się cenić. Na każdym kroku podkreślać swe szlachetne koligacje oraz majątność, bo chociaż stary młyn spłonął, pozostawały przecież pola, groble i stawy, które jeszcze Betka zarybiał, a choć człek gruby i surowy, rękę miał do gospodarstwa szczęśliwą jak rzadko. Tak długo nachodziła dawnych młynarczyków męża, którzy bezwstydnie skorzystali ze śmierci pryncypała i pobudowali własny młyn, tak głośno o prawie cechowym im jazgotała, tak zajadle procesem groziła – chociaż w Wilżyńskiej Dolinie nijakiego sądu nie było, odkąd władzyki zbrakło, a zebrać gminnej ławy spośród koniokradów, złodziei i dezertów, jakich pospędzała tu Babunia, nijak się nie dało – słowem, tak ich prześladowała, że zgodzili się płacić jej odstępną za każdy worek mąki. Odtąd Kordelia jeszcze wyżej nosa zadzierała, powiadając, że całe wilżyńskie młynarstwo jest jeno u młynarczyków w dzierżawie, pozostając jej przyrodzoną własnością, a obaj pachółkowie zgrzytali zębami ze złości, nie śmieli jednak narażać się pyskatej, zadzierzystejszej babie.

Tak jej wszystko dobrze szło, tak w butę urosła, że ośmieliła się zrobić coś, czego jeszcze nikt w Wilżyńskiej Dolinie nie dokazał.

Sięgnęła po dobro Babuni Jagódki.

Niby już wcześniej rozpoczęły się turbacje między wiedźmą i rabusiem, co się kiedyś po gościńcach wałęsał. Waligóra źle znosił niewolę i nigdy nie zaprzestał prób wydostania się z Wilżyńskiej Doliny. Nawet kiedy jeszcze przemieszkiwał w wiedźmim obejściu, więcej się włóczył po okolicy, niż siedział pod pierzyną. Tak i rozeszli się jakoś, a ledwie kilka niedziel później wilżyńscy obywatele przydybali Waligórę w obejściu Kordelii. Drwa rąbał, pole orał, przy bydłach pomagał, a młynarzowa, krygując się, opowiadała sąsiadkom, jak to ciężko samotnej

niewieście wszystkim gospodarskim obowiązkom podołać. Ale sąsiedzi uśmiechali się tylko półgębkiem i wiedzieli lepiej, zwłaszcza że bardzo prędko Kordelia zrzuciła wdowie szatki i jęła się przyodziewać niczym młódka, aż co bogobojniejsze staruszki fukały na jej widok. Wdowa zawinęła się prędko i kres kładąc wszelkiemu zgorszeniu, powiodła Waligórę do ołtarza.

W ten sposób dawny zbójca zasiadł wśród pierwszych w Dolinie gospodarzy, chociaż baba pilnowała go bacznie, za byle co od gołodupców i rabusiów łajała i pogrzebaczem potrafiła w grzbiet zdzielić. Teraz wszakże nie wyglądała hardo. Wlokła się, przygięta pod ciężarem brudownika i z nagłą postarzała. Na głowie, zamiast pysznej korony warkoczy, z którymi się obnosiła jak młoda, miała zamotaną ciemną chustkę, na grzbiecie też jakąś płachtę burą, spod której wyglądały zwyczajne chodaki. Człapała w nich ciężko, postępując i potykając się na wykrotach.



Niby już wcześniej rozpoczęły się turbacje między wiedźmą i rabusiem, co się kiedyś po gościńcach wałęsał. Waligóra źle znosił niewolę i nigdy nie zaprzestał prób wydostania się z Wilżyńskiej Doliny. Nawet kiedy jeszcze przemieszkiwał w wiedźmim obejściu, więcej się włóczył po okolicy, niż siedział pod pierzyną. Tak i rozeszli się jakoś, a ledwie kilka niedziel

później wilżyńscy obywatele przydybali Waligórę w obejściu Kordelii.

Baby nadchodziły w milczeniu, nie przepychając się na grobli – Kordelia przodem, reszta w pewnym oddaleniu. Jak sfera psów, kiedy wyczuwa chorobę dawnego przewodnika stada, pomyślała wiedźma. Istotnie, kiedy przybliżyły się tak bardzo, że poprzez sitowie widziała je dokładnie, dostrzegła wymięte, posiniałe oblicze Kordelii.

Prawe oko młynarzowa miała tak opuchnięte, że nie mogła rozewrzeć powieki. Przez całą gębę szła podbiegnięta krwią rysa, jakby ją ktoś pejczem zdzielił. Na rozbitych wargach też przyschła krew.

Oczy Babuni zabłyśły. Cokolwiek wydarzyło się w wiosce, warto było to ścierpieć, żeby oglądać Kordelię w takim poniżeniu.

Wreszcie baby dobrnęły na pomost i z ulgą odłożyły kosze. Kordelia zrzuciła na chwilę chodaki i chłodziła w stawie opuchnięte stopy, ale rozglądała się przy tym trwożliwie po bokach. Spod zakasanej spódnicy łyaskały jej tęgie nogi, także dobrze naznaczone sinymi pręgami. Młynarzowa westchnęła jeszcze ze dwa razy żałośnie, po czym opadła na pomost, wypięła kuper ku niebu i zanurzyła ręce w wodzie. Inne baby bez słowa poszły jej śladem.

Wiedźma aż przedreptywała z niecierpliwości, ale wieśniaczki jak na złość pracowały w milczeniu. Żadna nie zaintonowała sprośnej przyśpiewki, żadna ze śmiechem nie ochlapała współtowarzyszek ani nie powtarzała sprośnych plotek, którymi tutaj, z dala od męskich uszu, zwykle z upodobaniem się raczono. Wreszcie jedna z praczek rozprostowała grzbiet i drobiąc, potruchtała ku kępie krzaków, jak wstydlive wilżyńskie gospodynie zwykły się udawać za potrzebą.

– Psssst! – syknęła ku niej Babunia Jagódka.

Kobiecina podrzuciła głowę z przestachu i wówczas zaskoczona wiedźma spostrzegła, że to Jewka, tyle że wyszorowana i przyodziana w całkiem przyzwoitą kapotę. Rozpoznawszy Babunię, zasepiła się nieco i uczyniła gest, jakby chciała odwrócić się i uciec, ale nie odważyła się zlekceważyć wiedźmy. Z ociąganiem weszła w sitowie.

– ...ony! Dawnośmy was nie oglądali w wiosce, Babuniu – rzekła, uśmiechając się przymilnie.

– A co tam u was oglądać? – prychnęła z lekceważeniem wiedźma, choć żądza nowin aż ją rozpierała.

Jewka oczywiście dała się podpuścić.

– No jak to co? Wszak rządy nowe nastały, nasze i sprawiedliwe. I równość między narodem. I zasobność dla wszystkich.

– Fiu, fiu! – Wiedźma zaświstała przez zęby. – Stąd pewnie te świeże szatki.

Kiedy bowiem po raz ostatni widziała Jewkę, po wypędzeniu z ojcowizny o łaskawym chlebie włóczyła się po okolicy i z niejednego obejścia wyszczuto ją psami. Wówczas miała na sobie przetartą opończę, spod której wyglądały gołe, posiniaczone nogi. Teraz zaś wyglądała na prawdziwą gospodynię i policzki zaczynały się jej już zaokrąglać od jadła.

– Bo ja w komitecie jestem – oznajmiła z dumą dziewczyna. – Bo niscy będą wywyższeni, a głodni nakarmieni. I sprawiedliwość też trzeba czynić, jak pan kupiec powiada. Tedy my uczynili.

– Sprawiedliwość rzecz zacna – zgodziła się wiedźma.

Dziewczyna wyraźnie poweselała.

– Więc zrazu pan kupiec te ścierwa, rodzonych moich, z kuźni prędziutko wyzuł – oznajmiła z dumą. – Bizunami ich bili, póki nie wyznali, że mnie nędznie wywłaszczyli. A kiedy jest wina, jak pan kupiec powiada, tedy i kara być musi. Więc ich do kopalni zagnano, coby odpokutowali.

– Kopalni? – zdziwiła się wiedźma.

– No przecie że w folwarku – zachnęła się Jewka – gdzie się srebro dobywa. Dużo tam grzeszników kopie, żeby się ku pospólnemu dobru przyczynić i zasługę wieczną zdobyć. – Tu jej piwne oczka zabłysnęły taką żarliwością, że aż się wiedźma wzdrygnęła.

– A z kuźnią co?

– Kuźnię pan kupiec dzierżawi – wyjaśniła dziewczyna. – Ktoś przecież rządzić musi, ja do tego niezdała. Jak to słaba niewiasta – dodała, krygując się przy tym i ściągając wargi w ciup – co na mężu się wesprzeć musi.

– O! – zdziwiła się znowu wiedźma, tym razem cokolwiek teatralnie. – I już go sobie, tego męża, wybrałaś?

Jewka obróciła się mimowolnie i posłała ciężkie spojrzenie Kordelii. Skwar narastał szybko i baby rozwiązywały troczki koszul, zsuwały z czoła chustki i zatykały za pas rąbki spódnic, żeby się chociaż trochę ochłodzić przy ciężkim wysiłku. Jedna młynarzowa tkwiła pomiędzy nimi w burym przyodziewku jak złowieszczy nocny ptak.

– Ano, nie ułożyło się. – Dziewczyna wciąż nienawistnie spozierała na młynarzową. – Ale prędko się ułoży.

W tej kwestii Babunia nie miała najmniejszej wątpliwości. Jewka z dawien dawna słynęła jako straszna cholera i po prawdzie mało kto jej braci winił, kiedy ją przegnali na poniewierkę.

– A co się Kordelii stało? – zapytała słodziutko wiedźma. – Jakaś dzisiaj nieswoja...

– Bo wreszcie przebrała się miarka! – wysyczała dziewczyna. – Póki ujadła po podwórkach, mógł ją jeszcze Waligóra łagodnym słowem do pomiarkowania mitygować.

– Łagodnym słowem – powtórzyła z namysłem Babunia, która strawiła z rabusiem dość czasu, by wiedzieć, że nie słynął jako przykład umiarkowania.

– Ale kiedy otwarcie jęła insze baby buntować – ciągnęła Jewka – musiał ją do porządku przywołać. Bo jaki byłby z niego starosta, kiejby we własnej chałupie porządku nie umiał pilnować? Gdyby się zwykłej babie dał wystrychnąć na dudka?

– A cóż umyśliła Kordelia?

– A co ona mogła umyślić, prukwa durna? – prychnęła dziewczyna. – Szpieg jakiś ją musiał natchnąć, Annyonne zauszniak. Kupca chciała wypędzić, majątki podzielone na nowo zebrać, kościół plebanowi przywrócić, a wszelkiego wydobycia srebra precz poniechać.

Wiedźma uśmiechnęła się pod nosem. Domyślała się już, co się dalej stało.

– Złaziła się z innymi gospodyniami spośród tych co bardziej posażnych – w głos Jewki wkradła się cierpka nuta – co się niedawno, próchna zetlałe, za chłopów powydawały. Modlić się trzeba było, jako w starości przystoi, i na śmierć gotować, a nie chuciom folgować...

– I czemu jej Waligóra to ze łba wybił? – Wiedźma, która nie lubiła,

kiedy jej wypominano wiek, przerwała wywód o powinnościach starości.

– Wszak on starosta! – oburzyła się Jewka. – No i chłop przecie paradny, a ta mu w oczy gadała, że u niej je chleb łaskawy, że za parobka go wzięła, bo nic swego nie miał. Toć musiał ją dobrze wygrzmocić, aby i inne chłopcy wiedziały, co czynić.

– No tak, tak – sumitowała się wiedźma.

– Ano tak – pouczyła ją dziewczyna. – Bo mężczyzna jest dla kobiety jak głowa dla ciała, sama się rządzić ani sobą powodować niewładna. Osobliwie zaś wdowa, co do swobody przywykła, bo tej trudniej do małżeńskiej karności się nagiąć. Ale nagną się – uśmiechnęła się niemiło. – Nagną się wszystkie, i Kordelia, i Marcha, co za Ortyła poszła, i Rozalka, co w kruchcie przy plebanie siedzi...

Cokolwiek znużona wiedźma cofnęła się ukradkiem w sitowie, podczas gdy Jewka rozwodziła się nadal nad rychłym nadejściem powszechnej szczęśliwości. Tymczasem niewiasty na kładce nadal prały mozolnie w palących promieniach słońca. Łyskały nagie ramiona, szyje perliły się potem. W jasnych promieniach letniego słońca młynarzowa wyglądała na starą, zmęczoną babinę, ale jej widok nieoczekiwanie nie sprawił Babuni żadnej przyjemności.

Nadal jednak nie zamierzała zmieniać postanowienia i mieszać się w sprawy Doliny, zwłaszcza że przez najbliższe dwie niedziele nikt nie zapukał do jej drzwi. O tym, że w wiosce też buzowało jak w kotle, dowiedziała się dopiero, kiedy do chatki w lesie znów przygnała nieoceniona Rozalka. Ale nie była to ta sama co niegdyś plebańska gospodyni w bieluńskiej i sztywnej od krochmalu paradnej bluzce. Suknia wisała na niej jak kapota na strachu na wróble, ręce jej się trzęsły, w oczach widniał strach.

– Babuniu, tak dłużej być nie może! – zakrzyknęła od płotu plebanicha. – Kordelię podgolili!

Wiedźma aż z wrażenia upuściła kamienny gar, w którym kisiła ogórki.

– A właśnie, podgolili – powtórzyła Rozalka, zadowolona z wywartego wrażenia. – Na rynku, pod pręgierzem, i hycel ją tam osmagał.

– To i hycła macie? – zdziwiła się Babunia. – No, to cywilizacja.

– Doliba, ten koniokrad, się na hycla zgodził. – Plebanicha łypnęła na nią podejrzliwie. – Bez hycla ani rusz. – Nagle jej oczy się zażawiały. – Tak mocno i tak często ani jaśnie władyka nie bijał. A osobliwie baby.

– Czemu zaś baby? – zainteresowała się szczerze Babunia.

– Bo jak im żyć? – zachnęła się gospodyni proboszcza. – Kupiec powiada, że wszelkie doczesne posiadłości mężczyznom przynależą, choćby je niewiasta we wianie wniosła. A chłopcy, rzecz oczywista, chętnie to podchwycili, zwłaszcza kiedy was brakło. Bo wcześniej to się was bali – dodała cicho – i w poszanowaniu trzymali swe żony, coście je im swatali. Ale teraz strach osłabł i coście dratwą zeszyli, bardzo prędko się spruło.

– Ja szyłam? – obruszyła się wiedźma. – Ja Kordelii kazałam z Waligórą się swatać?

– Aleście nie kleryków, jeno zbójców a draniów do Doliny spędzili – powiedziała z mocą Rozalka. – Tedy się babom nie dziwicie, że co było, brały. I teraz je ratujcie.

Gospodyni skrzywiła się kwaśno. Kopnęła wiecheć kopru, który wystawał ze skorup garnka.

– Babuniu, to nie przelewki – wieśniaczka zniżyła głos do szeptu. – Waligóra Kordelię za łajdactwo na rynku sądził, a wśród ławników sam siedział, Ortyl jeszcze przy nim, Kowlik i Włokita. Oskarżyli ją, że jeszcze za życia starego Betki maruderów do Doliny ściągnęła, bo ślubnego utrupić chciała.

– Toć wszyscy wiedzieli, jak było – mruknęła pod nosem wiedźma.

– Jeno że nikt nic nie rzekł. – Rozalka zaczęła całkiem otwarcie płakać. – Łeb jej zgolili, innym w przestrodze, i żelazem wypalili na ramieniu piętno.

– Żelazem... – powtórzyła w zamyśleniu Babunia, która miała pewne niemiłe wspomnienia ze Spichrzy, gdzie dobrze się przypatrzyła rzemiosłu miejskiego kata.

Rozalka płakała jeszcze chwilę, po czym wysmarkała się w palce i otarła gębę.

– Ale i tego Waligórze za mało. Ledwo do dom wróciła, tak ją kijem obił, że dwie niedziele leżała mało co żywa. I na dodatek w chlewiku. Nie

będę, powiada, z mężobójczynią pod jednym dachem leżał.

Jak na więźnia plebanii Rozalka była wyjątkowo dobrze poinformowana, bo rozwiodła się obszernie nad niedolą młynarzowej.

– Ot, musi się Kordelia po Dolinie włóczyć, o chleb łaskawy zebrać – dokończyła, lecz tylko dlatego, że jej tchu brakło.

– Jak niegdyś Jewka.

– Zatem już wiecie, Babuniu? – zdumiała się Rozalka.

Wiedźma uśmiechnęła się chępliwie. Pogawędka w sitowiu opłaciła się jak trzeba.

– Ja wszystko wiem.

Uradowana Rozalka aż ją schwyciła w objęcia, czego nikt chętnie nie czynił, bo było to jakby człek ścisnął pęk kości, powleczony warstwami sukna.

– Tedy nie może być, żebyście jej pozwolili szczuraków na odsiecz wezwać!

Wiedźma osłupiała.

Pospiesznie odprawiła Rozalkę z nową porcją czopków na hemoroidy, żeby czcigodny duszpasterz spokojnie w obłęzeniu wysiedział, i naciągnęła ze studni pełen cebrzyk wody, po czym długo sypała na wodę zioła i szeptała zaklęcia. Szczury pokryły się po kątach, pająki powłaziły w szczeliny i nawet nocnica tkwiła spokojnie na swej belce, przyczajona obok nietopyrków, nieruchomych jak strzępki sadzy.

Ostrze sztyletu kreśliło krótkie znaki na nadgarstkach wiedźmy. Płynęła krew – w wodę i w ogień, który wystrzelił wysoko, rozpoznając ofiarę. Od progu zakwilił ze strachem najmłodszy ze stada koboldów, ale któryś z mądrzejszych szybko zatkał mu gębę.

W izbie, w dymie, w płomieniu, było aż gęsto od magii.

Wiedźma trwała nad cebrzykiem, jakby wyrzeźbiona z drewna. Krew przysychała prędko, pozostawiając zaschnięte, ciemne smugi. A kiedy zupełnie wyschła, na tafli wody pokazała się Kordelia.

Kuliła się w ciemnym rogu chlewika, a jej twarz ledwo dała się rozpoznać pod warstwą zaschniętego brudu i łajna. Spomiędzy opuchniętych powiek błyskały dzikie, nabiegłe krwią oczy, kiedy

rozpalała ogienek na dnie kamiennej misy, a potem rysowała wyszczerbionym nożykiem na nadgarstkach takie same znaki jak Babunia.

– Niepodobieństwo – wyszeptała wiedźma.

Ale wiedziała, że to nieprawda. Nienawiść, duma i strach potrafią czasem dokonać niemożliwego, a jeśli Rozalka mówiła prawdę, Kordelia czuła już na plecach zimny powiew Issilgorol.

Wiedźma patrzyła, jak pośród mroku, wilgoci i gnoju formują się ciemne kształty. Ogienek w chlewiku migotał niecierpliwie, a może to tylko płomienie strzelały pod kominem wiedźmy, aż wreszcie ktoś wkroczył w smugę światła.

– Więc ty jesteś – odezwała się ponurym głosem Kordelia. – Wołałabym kogoś innego.

Gronostaj, niegdyś wilżyńska nierządnicą, która przystała do szczuraków, wyszczerzyła drobne, ostre ząbki.

– Czasami mnie posyłają pomiędzy moich.

– Wiesz, czego chcę.

Młodsza kobieta wzruszyła ramionami.

– Tego, co wszyscy. Krwi, zemsty albo ognia. Albo wszystkiego po trochu.

Młynarzowa hardo zadarła głowę.

– Chcę, żeby zdechł – wysyczała przez zaciśnięte zęby. – Chcę, żeby patrzył w pohańbieniu, jak mu niszczy wszystko, czego pragnął. Wszystko, co hołubił i cenił. Niech znowu wróci, co było.

– To nigdy ze szczętem nie wraca – zauważyła łagodnie nierządnicą.

– Ale można spróbować! – zakrzyknęła w zapamiętaniu Kordelia. – Powiadają, że wy, szczuracy, potraficie wszystko, choćby spod ziemi wygrzebać. Zatem mam życzenie...

– Od tego jest w Dolinie wiedźma.

Młynarzowa zacięła usta. Chociaż nos miała złamany, w gębie brakowało jej ładnych paru zębów, a poprzez strzępy koszuliny wyzierała pomarszczona, poznaczona plamami skóra, przez chwilę wyglądała jak najpierwsza we wsi gospodyni, kiedy w swym paradnym

czepcu sunie w niedzielę główną nawą świątyni i nawet wyrzeźbione w lipowym drewnie świątki spoglądają na nią z podziwem.

– Do wiedzy nie pójdę – ucięła krótko Kordelia i był w jej słowach cały bezmiar wyższości, jaką szczęśliwa w miłości niewiasta żywi wobec swojej mniej skutecznej rywalki, choćby jej własne zwycięstwo wezbrało potem żółcią w gardle.

Wiejska ladaczniczka przypatrywała jej się z przechyloną na ramię głową. Kiedyś Kordelia przydybała ją na nierządzie z Waligórą i tak podszczyła wilżyńskie niewiasty, że ścigały Gronostaj po całej Dolinie, chcąc z niej wytłuc życie. Potem jednak zdarzyło się wiele rzeczy. Bardzo wiele.

– Niechże zatem będzie – zawyrokowała po chwili, lecz jakby z ociąganiem.

– Sprowadzisz mi władkę. – Kordelia splotła palce na piersi. – Niechże ich wszystkich rozpędzi. Niech znów we dworze siedzi i porządku pilnuje, choćby i pod pręgierzem. Niech pleban modły odprawia i grzeszników wyświęca. Niech chamstwo łby nisko trzyma, choćby i w strachu przed katem. Niech chłopstwo zboże uprawia i ziarno we młynie miele... – Tu załamała się wreszcie i przycisnęła rękę do ust, żeby zdusić łkanie.

Młodsza kobieta patrzyła na nią długo. Twarz miała nieruchomą, z ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi i jasną skórą. Tylko jej nozdrza chodziły nieznacznie, jakby wciąż łowiła w powietrzu jakieś nieuchwytnie, odległe wonie. Szara tunika przylegała do niej ciasno jak druga skóra, a nogi bezwstydnie rysowały się w ciemnych nogawicach.

– Jest cena – powiedziała w końcu.

Młynarzowa zadygotała jak w gorętwie.

– Wszystko oddam – wykrztusiła wreszcie. – Duszy własnej nie poskapię.

– To, czego jeszcze nie masz – powiedziała cicho ladaczniczka. – Czego się nie spodziewasz i czego mieć nie powinnaś wedle praw boskich i ludzkich. To właśnie mi oddasz. To, co sprawiedliwie nigdy nie powinno należeć do ciebie.

– Nie wyciągałam ręki po cudze! – zawołała namiętnie.

– Aleś brać umiała – odparła jej bezmiłosiernie ladacznicą, która musiała pamiętać jeszcze czas poniewierki i głodu, których zakosztowała aż nadto w Wilżyńskiej Dolinie – więc tobie też będzie zabrane. Będziesz więc się i płakać, i miłosierdzia prosić. Ale go nie dostaniesz.

Włosy podniosły się wokół jej głowy i tańczyły teraz w nieistniejącym wietrze – płowe, nierówno poobcinane kosmyki, nieprzystające ani przyzwoitej gospodyni, ani dziewczce żyjącej z darów swego ciała. Teraz jednak nikt nie wzięłby Gronostaj za ladacznicę, kiedy stała rozkazująca i pełna dumy.

– Wcześniej jednak coś przyniesiesz. – Jasnowłosa uśmiechnęła się zimno, odsłaniając zęby. – Coś ukradniesz. Człowiecza magia, choćby przyobiecana, zawsze musi zostać wykradziona.

Wiedźma syknęła ze złością i obraz w misie pomętniał i zmącił się na chwilę. Jednakże choćby zdmuchnęła ze stołu cały ceber, nic by to nie pomogło, bo mleko rozlało się na długo przed tym, zanim przywołała w wodzie obraz Kordelii, jak w desperacji sprzedaje swoją przyszłość szczurakom.

– Nie należało tyle zwlekać – wyszeptała niewyraźnie wiedźma.

Ogień przygasł pod kominem i na powierzchni wody nie pozostało już zupełnie nic. Na zewnątrz było przeraźliwie cicho, jedynie wiatr poruszał uchyloną okiennicą. Wiedźma siedziała nieruchomo na stołku i gapiła się w ogień, póki płomienie nie przygasły i tylko żar tlił się jeszcze długo, pobłyskując ku niej w mroku czerwonymi ślepiami. Koboldy wciąż siedziały pod progiem i myszy ani drgnęły w swych norkach, jakby bezruch wiedźmy rozprzestrzenił się po całej izbie, pełzł jak cień poprzez pogruchatane sprzęty, śmieci zaścielające grubą warstwą podłogę, omszone pajęczynami zakamarki, komórki, schowki i skrytki, poprzez podwórze z jabłonką, która trwała, smętnie zwiesiwszy gałęzie, z żurawiem i studnią, w której magiczna woda nie odbijała księżyca i gwiazd, bo wszystko, co się w niej pojawiło, bezpowrotnie wykoślawiało się i odmienione znów przeciekało w rzeczywistość. W mroku niewidzialne czary krzepły na kształt pajęczyny, rozwijały się niepostrzeżenie, przesycone wonią dymu i płatkami sadzy. Wyczuwały je kury w kurniku i kryły głowy pod skrzydła. Przerażone koboldy tuliły się do siebie, trzęsąc posiwiałymi brodami. Nietoperki zerwały się z łopotem i przez komin poleciały w noc, pozostawiając nocnicę, która spijała

magię, jakby to była krew.

Wiedźma w zadumie żuła róg chustki w czerwone róże. Ciemność pozwalała nic nie czuć i nie myśleć, chociaż dzika magia spowijała ją coraz ciaśniej. Nie czuła tego. Czasami przychodziły takie chwile, kiedy świat uderzał w nią z niezwykłą wyrazistością. Jakby pozbawiono ją naskórka. Jakby nie mogła się oddzielić od krzyku noworodka, który w okopconej chacie tęsknił za piersią matki, ani od rżęzącego oddechu starca, który mozolnie pokonywał ból w piersi, by jeszcze raz zaczerpnąć życia.

Gdzieś poniżej, w głębi Doliny, Kordelia pojękiwała w płytkim śnie, póki nie ukoił jej obraz Waligóry rozszarpanego przez szczuraków. Jej mąż spał głęboko obok nagiej Jewki, która, napojona gorzałką, pochrapywała rozgłośnie i poświstywała. Spali grzesznicy w kopalni, w sennych majakach przeklinając po równo kupca, który ściągnął na nich nieszczęście, jak i wiedźmę, która mu nie zapobiegła. Spali ławnicy, zagrzebani w cudzych łózkach i przykryci pierzynami, które również do nich nie należały. Poczciwi kmiecie, od pokoleń osiadli w Wilżyńskiej Dolinie, drzemali czujnie, nasłuchując w opłotkach zauszniaków kupca, którzy we ćmie zakują ich w kajdany i powloką na sąd.

Kupiec nie spał. W migotliwym świetle kaganka gładził palcami pergamin, na którym zapisano objawienia świątobliwej księżniczki. Kiedy padły Książęce Wiergi, ukrył go w tajemnej skrytce pod wozem i wywiózł przez górskie trakty, bo w przeciwieństwie do wielu nie ufał w zapewnienia spichrzańskiego księcia, który obiecywał, że nikomu nie będzie zaglądał w dusze i sumienia. Nie, kupiec wolał wyjechać jak najdalej od miasta, choćby i na jednym wozie, bez sług i zauszniaków. Ludzie rozpierzchają się łatwo, myślał sobie, ale kiedy nadejdzie moment, skupią się wokół słów księżniczki jak opiłki wokół magnesu. Tak zwykle się dzieje. Słowo drąży ludzi skuteczniej od noża. Kiedy nadejdzie dzień...

Myśli ropucha, niegdyś wilżyńskiego karczmarza, były mętne i rozmyte jak muł na dnie jeziora. Dawne troski, gniew i pragnienie zemsty wypłukały kolejne dni. Głód, strach, kiedy ponad stawem rozlegał się klekot bociana, gody. Nie chciał nic więcej.

Wiedźma spróbowała sięgnąć jeszcze dalej, głęboko pod kamienie, gdzie kiedyś płonęło jądro jej mocy. I, jak wiele razy wcześniej, napotkała

puszki. Niektóre drzwi, raz zatrzaśnięte, nie dawały się ponownie otworzyć.

Lecz Wilżyńska Dolina tętniła, szumiała wokół niej w porannym, letnim chłodzie. I sama nie wiedziała, jak się nagle znalazła w małżeńskim alkierzu Kordelii.

– Uciekaj – powiedziała cicho.

Zbójca poderwał się natychmiast. Wciąż był krzepkim mężczyzną, wielkim i zbitym w sobie jak pień, chociaż twarz pokreśliły mu stare blizny i świeże bruzdy. Opuchnięty od pijaństwa, podpasiony na łatwym chlebie, wciąż poruszał się zwinnie, a w jego spojrzeniu nie pokazał się ani cień niepokoju, kiedy stał naprzeciw wiedźmy, oddzielony od niej jedynie spiętrzoną stertą pierzyn i uśpioną dziewczyną.

– Twoje kobiety dobiły targu o twoją skórę.

Potrząsnął ciężko głową, jakby chciał rozproszyć resztki snu.

– Kordelia wezwała szczuraków i Gronostaj przyobiegała jej pomoc.

Waligóra roześmiał się gromko. Nie wydawał się zaskoczony tą nagłą komitywą sponiewieraną żony z ladacnicą, z którą, zanim przystała do szczuraków, ochoczo połowicę zdradzał. Nie, zbójcę Waligórę, jako i jego kamratów, z rzadka zaskakiwała zmienność i plugawość ludzkiej natury, a przyparty do muru nie kajał się i nie skomlał jak szczenię.

– Trza ją było ubić – zauważył, ni to do siebie, ni to do wiedźmy, nie objaśniając, którą z niewiast miał na myśli.

Zdążył już wdziąć nogawice i przypasać miecz. Wcześniej go nie nosił, bo nawet pod nieobecność władzyk chłopi nie kwapili się obnosić z symbolami szlacheckiej władzy, wiedząc, że każdy księżę i pan bezlitośnie podobną uzurpację tępi.

– Znalazłaby się inna – odparowała Babunia. – Choćby i ona – pokazała na Jewkę, która przewróciła się na plecy i tkwiła pomiędzy nimi, bezwstydnie młoda i naga jak wypowiedzenie wojny.

Mężczyzna skinął głową.

– To zawsze przychodzi. Później lub pierwej.

– Zabiją cię.

– Obojętne – po raz pierwszy w głosie mężczyzny pokazał się cień

emocji. – Każdy kiedyś zdycha.

– Jeno niektóra śmierć od innych gorsza, a szcuracy nie słyną z miłosierdzia.

Wykrzywił się z kpina.

– Jako i ty. Coś sobie umyśliła? Że znów za postronek szarpniesz, a ja jak do pani matki polecę?

Wiedziała, że nigdy jej nie wybaczył – ani że go uratowała od pewnej śmierci, kiedy pachołkowie zostawili go w lasku, zakopanego aż po szyję, ani że potem uwięziła w Dolinie, płacząc ścieżki tak, że nie mógł trafić na trakty, do świata kupieckich konwojów, pachołków, zbójców, łapaczy i tego wszystkiego, co sprawiało, że we własnych oczach był mężczyzną, a nie tylko poganiaczem bydła i roztrząsaczem łajna.

– Zdjęłam czar. Możesz iść, dokąd zechcesz.

Przez oblicze mężczyzny przebiegł dreszcz.

– I tyle ma starczyć? Za te wszystkie zimy, kiedy gniłem tu beczynnie, obrastałem tłuszczem, syciłem rozpacz piwskim i tym starym babskim, które mi naraiłaś?

To akurat była nieprawda, o czym obydwójce wiedzieli. Waligóra pierwiej czmychnął z wiedźmiej chatki, później zaś zaplątał się pod pierzynę młynarzowej.

– Czy rozumiesz, co nam wrócił kupiec? – zapytał cicho, wychylając się ku niej bezwiednie, bo jednak uratowała go kiedyś, a potem przydarzyła się zima, której nie zdołał zapomnieć, choć, bogowie świadkami, ile sił próbował. – Pozwolił nam poczuć, kim kiedyś byliśmy. Kiedy krew płynęła naprawdę pod ciosem miecza, a nocny tętent pachołków ścinał ją w żyłach. Kiedy szliśmy ścieżką wilka, ścieżką księżycy, którego nie zatrzymają żadne pęta. Rozumiesz, babo? Rozumiesz, co nam zabrałaś?

Nie złościł się na nią jednak: zbyt wiele czasu minęło, by gniew nie przygasł. Poza tym czas dobiegał wreszcie kresu, skoro pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, postanowiła przyjść poprzez noc.

– Nigdy nie będziesz nas miała bez reszty – powiedział w końcu mężczyzna. – Możesz nas tu uwięzić, ale to nie wystarczy. Nie będziemy dzielili twojej niewoli. Nie z własnej woli. Będziemy chcieli więcej.

Zawsze więcej.

Wiedźma nie odpowiedziała. Wpatrywała się tylko w niego pałającymi ślepiami.

– Żebyś zdechła! – wykrzyknął nagle Waligóra i skoczył ku niej ponad łóżkiem, ponad Jewką, która szamotała się, uwięziona wiedźmim czarem wewnątrz pijackiego snu, bo nie powinno jej tu być tej nocy.

Babunia Jagódka nie cofnęła się, kiedy schwycił ją za rzadkie siwe włosy i szarpnął głowę w tył, odsłaniając chudą, poznaczoną pulsującymi żyłami szyję. Nie przyłożył jednak noża, tylko potrząsnął nią mocno, aż zagrzechotały kości.

– Pokaż mi się prawdziwa – ni to zażądał, ni poprosił schrypniętym nagle głosem, mnąc w rękę chustę w czerwone róże i płącząc kosmyki skąpych włosów, pomiędzy którymi przezierała żółta, starcza skóra.



– Pokaż mi się prawdziwa – ni to zażądał, ni poprosił schrypniętym nagle głosem, mnąc w rękę chustę w czerwone róże i plącząc kosmyki skąpych włosów, pomiędzy którymi przezierała żółta, starcza skóra.

Dotknęła jego piersi poczerniałym paznokciem. Palce miała lodowato

zimne.

– Prawdziwa nie istnieje.

A zaraz potem trzymał w rękach dziewczynę, czarnowłosą i piersiastą w podkaszanej czerwonej sukni, która ani odrobinę nie osłaniała jej wdzięków.

Dotknęła jego piersi poczerniałym paznokciem. Palce miała lodowato zimne.

– Prawdziwa nie istnieje.

– Pokaż mi, do cholery! – powtórzył Waligóra i zacisnął ręce na jej ramionach tak mocno, jakby mógł nagiąć to odporne starcze ciało i ukształtować je wedle swojej woli.

Jewka znów chrapnęła przez sen, wybełkotała grube przekleństwo i przewróciła się na bok.

Żadne z nich nie drgnęło.

– Nie masz już czasu – powiedziała wiedźma.

– Więc go dla mnie ukradnij. Chociaż jedną chwilę.

Zawahała się. Po zapadniętym policzku ściekała jej kropla potu.

A zaraz potem trzymał w rękach dziewczynę, czarnowłosą i piersiastą w podkaszanej czerwonej sukni, która ani odrobinę nie osłaniała jej wdzięków.

– To nic nie zmienia. – Na dnie jej odmienionego głosu wciąż pobrzmiwało starcze skrzeczenie.

– Nie – zgodził się Waligóra, unosząc ją gwałtownie. – Wszystko jedno.

Ale kiedy wreszcie przesunął dłoń po jej skórze, jasnej i rozświetlonej od magii, nic nie było obojętne, ani szept, ani gest, ani dotyk. Tyle że wszystko trwało bardzo krótko. Tak im się w każdym razie zdawało. Bo potem gdzieś nieopodal zapiał kur.

– Nawet ja nie mogę powstrzymać słońca – powiedziała łagodnie Babunia, chociaż przez pęcherze w oknach nie przesączała się jeszcze szarość.

Pokręcił głową. Wciągnął nogawice i buty. Przypasał miecz.

– Byłaś dla mnie... – zająknął się, szukając odpowiedniego słowa – łaskawa. Dałaś mi dobre życie. Ale nie moje.

Musnął jeszcze czubkami palców jej ramię. I poszedł.

A kiedy o świcie dowlokła się smętnie do leśnej chatki, przed progiem czekała na nią cała gromadka przemienianych w żaby utopców.

– Czego? – warknęła wrogo, bo akuratnie tego poranka nie miała chęci na pogawędki z demonami.

Jednakże utopce tak długo plątały się jej koło butów, tak długo podskakiwały, rzechocząc przeraźliwie, że wreszcie musiała odczarować ich przywódcę.

– My też już pójdziemy, Babuniu – oznajmił rześko, kiedy tylko strząsnął z siebie żabią skórę. – Z podziękowaniem za gościnę. Byle nas prędko odzabcie.

– A dokąd wam tak spieszo?

– Nie słyszeliście, Babuniu? – zdziwił się potworek. – Pan nasz władcyka powraca, to i nam zda się wracać. Zanim szcuraki, ścierwa, stawy nam pozajmują.

– Szcuraki raczej pod ziemią siedzą – zauważyła wiedźma, zbyt zmęczona, żeby się naprawdę z utopcem spierać.

– Dlatego koboldy pierwsze poleciały – z entuzjazmem podchwycił demonek. – Prościuchno do kopalni, bo to, powiadają, może uproszą władcykę, coby takiej pięknej dziury łaskaw był nie zasypywać.

Babunia Jagódka rozejrzała się po zagrodzie. Na dachu domu nie spostrzegła ani nocnicy, ani żadnego z nietoperków. Może poleciały na łowy, pomyślała, lecz noc dobiegała kresu i o tej porze zwykle cały jej inwentarz powoli układał się do snu. Tymczasem nikt nie przytruchtał jej powitać. Bazyliszek, zwykle nachalny jak stary kocur, nie pokazywał się na podwórku. Skrzaty nie uwijały się koło spiżarni, korzystając z nieobecności gospodyni. Myszy nie harcowały w obórce. Nawet za rozwartymi na oścież drzwiami kurnika pozostały tylko kostropate piórka: dotychczasowe lokatorki pognały ku wiosce, by się przyłączyć do wspólnej zabawy.

– Wszyscy już poszli – odezwał się nieśmiało utopiec, pocierając umorusaną stopą o równie brudną łydkę – tylko nas czar tu trzyma.

Wypuścież nas stąd, Babuniu...

Spod łopuchów, spomiędzy resztek nasturcji, które jarzyły się we śmie poranka jak żar, spod kamieni i szczap drewna wyłazili jego pobratymcy i rechotali błagalnie.

– A jeśli władzyka nie wróci? – zapytała ze znużeniem Babunia.

– Jakżeby miał nie wrócić? – zdziwił się potworek. – Wszak od szczuraków obiecan.

Wiedźma pokiwała głową. Co się było dziwić, w Wilżyńskiej Dolinie wieści rozchodziły się szybciej, niż niejeden zdążył pomyśleć. Zresztą sama zawiniła najbardziej, bo tak szparko do Waligóry leciała, że zapomniała obłożyć obejście czar-zapominajką. A tak wystarczył jeden wścibski karaluch, który wypatrzył w cebrzyku, co nie jego, a potem rozniósł wieść, kędy tylko się dało.

Po prawdzie jednak żaden czar nie uchował się w Wilżyńskiej Dolinie zbyt długo i darmo było nad tym teraz biadać.

– Niechże więc będzie – rzekła z westchnieniem, a potem podeszła do studni i wyciągnęła dłoń, a woda, nigdy niesyta czarostwa, wyprysnęła ku niej z radosnym bulgotem.

Strząsała krople na kolejne żaby, a one podnosiły się z rosy, oślizgłe i uszczęśliwione w swojej prawdziwej postaci, po czym nie tracąc czasu na pożegnania, gnały ku folwarkowi.

Wreszcie na podwórku nie został nikt. Tylko wiedźma stała, wsparta o furtkę, gapiąc się przed siebie zamglonymi oczami.

Jabłonka nieśmiało dotknęła jej pleców młodą, giętką witką, ale zaraz cofnęła się w przestrachu. Po plecach Babuni pełgały ledwo widoczne błękitnawe ogniki. Magia, rozhuśtana przez Kordelię i szczuraków, usiłowała wyrwać się na wolność.

– Nie – powiedziała wiedźma. – Nie i nie, po trzykroć nie.

Zacisnęła mocniej ręce na sztachetach. To jednak nie mogło wystarczyć, bo tej nocy wszystko szło nie tak.

Kiedy otworzyła oczy, stała przed nią Kordelia. Wędrowka musiała przyjść jej nie bez trudu, bo wspierała się ciężko na kosturze, a po policzkach ciekły jej łzy – żalu lub wysiłku, wiedźma nie umiała rozstrzygnąć.

– Nie jestem szafarką śmierci – powiedziała Babunia.

– Ani miłosierdzia – odparła twardo młynarzowa. – Wasze dary są robaczywe i zepsute do głębi.

– Jednak przyszłaś.

Wieśniaczka zaniosała się suchym śmiechem, który niebawem urwał się w kaszlu.

– Wszyscy do was przychodzą, później lub pierwej. Tego od nas żądacie.

Długo mierzyły się wzrokiem – sterana, odziana w łachmany wieśniaczka i wiedźma w całej krasie swej magicznej urody – jakby każda z nich wyliczała w myślach wszystko, o co walczyły.

– Nie będę się z tobą swarzyć – powiedziała na koniec wiedźma. – Wiem, po co przyszłaś.

– Nie zdołasz tego powstrzymać.

Tym razem zaśmiała się wiedźma.

– Ależ zatrzymam. Zatrzymam bez wątpienia, jeśli tylko zechcę. Ale nie chcę. Bo jedno za drugim gada, że na swobodę chcecie. Więc wam pozwolę. Niechże się wszystko wypełni wedle waszego życzenia. Twojego, Waligóry, Gronostaj. Nawet nieszczęsnego kupca. Wszyscy będą szczęśliwi.

– A kupcowi zaś co do tego? – spytała podejrzliwie Kordelia.

– Wszak o męczeństwie marzy. – Wiedźma wzruszyła ramionami. – Jeno nie zwłócz, głupia, żeby ci sprytnie nie umknął.

Otworzyła furtkę i minęła Kordelię, wychodząc w las. Nie obejrzała się, kiedy młynarzowa wślizgnęła się na podwórko, ostrożnie i trwożliwie jak złodziej, chociaż nikt nie bronił jej przystępu i nawet jabłonka opuściła gościnnie ramiona. Wszystko stało otworem, chałupa, drewnutnia, szopka na siano, w której sypiał Szymek świniopas, zanim wyruszył w wielki świat i został wojownikiem. Kordelia, z dawien dawna bogata gospodyni, niezwykła tutaj bywać, a po prawdzie z pogardą spoglądała na wszystkich, którzy tak dalece nie władali swym życiem, że musieli prosić się u wiedźmy o pomoc. Nasłuchiwała się jednak przy skubaniu gęsi i przy zimowym przedzeniu o wszelkich podstępnych dziwach, jakie czyhają na śmiałków w obejściu wiedźmy. Nie miała

jednak czasu nad tym dumać. Nie miała czasu nawet na strach. Wpadła do izby i porwała pospiesznie pierwszą rzecz, o jaką się potknęła.

Małą kryształową figurkę smoka.

Ci, którzy obudzili się tamtego ranka w Wilżyńskiej Dolinie, powiadali później, że wielką bitwę w folwarku rozpoczęła niewiasta, która spadła z jaśniejącego nieba na wielkiej skrzydlatej bestii.

- Była przodziana w słońce – mówili jedni.
- Prowadził ją księżyc i gwiazdy – gadali drudzy.
- Spowijał ją żywy ogień – powiadali inni.

Wszyscy wszelako zgadzali się, że była to niezawodnie sprawa więdźmy. A i zachwyty trwały krótko. Akuratnie dopokąd nie wyszło na jaw, kto dosiadał potwora.

Owszem, wiergowski kupiec postanowił stawić atakowi czoło. Jak na zwyczajnego mieszczucha z mierną przygarścią pachółków bronił się całkiem nieźle. Zabarykadował się z pachółkami w największej sztolni i nie wypętlzył z niej nawet wówczas, kiedy skrzydlaty potwór rzygnął mu ogniem po dachach. A kiedy od dołu zaszyły go koboldy, wolał się w płomień rzucić, niżli dać pojmać – w przeciwieństwie do własnych pachółków, którzy rozbiegli się rączo na wszystkie strony.

Stronnicy Waligóry bronili się jeszcze bardziej zaciekle w ruinach dawnego dworu, chociaż niejednen z wilżyńskich wieśniaków, nawet i tych, którzy w kopalniach służyli, wzywał ich do poddania i obiecywał darowanie win. Jasne, nie zamierzano im puścić płazem, że tak nierozważnie przystali na służbę do kupca, ale przecież większość wieśniaków dała mu się zrazu zmamić. Trzeba wszak sobie wybaczać drobne sąsiedzkie niegodziwości. Może wymazano by ich smołą, może nawet otłuczono po trochu, ale zapewne na okrwawionym grzbiecie by się skończyło, bo wiekowi wilżyńscy obywatele pamiętali, że wiedźma osobliwy ma wstręt do palenia na stosie i piętnowania.

Nadto wyrozumiałość w narodzie wzmagiał widok Kordelii, która unosiła się nad folwarkiem, okraciła na bestii i z rozwianym włosem, a rykiem przy tym zagłuszała potwora, obiecując pomstę na ślubnym małżonku. Nic dziwnego, myślał sobie jeden i drugi, że się postanowił Waligóra pozbyć tego szpetnego grzyba, a że zahulał przy tym zanadto, to i zrozumieć nietrudno. Chłop musi sobie ulżyć. Zwłaszcza przy takiej

babie.

Jednakowoż dawni rabusie najwyraźniej postanowili dokonać żywota po zbójce i na wszelkie propozycje pertraktacji odpowiadali z samopałów. Nie utrupili przy tym nikogo ani nie ranili nawet poważnie, dlatego ledwo bitewny kurz opadł i dopaliły się zgliszcza, co bardziej litościwe babiny jęły się nad nimi użalać, że ich haniebnie uwędzono i niewspółmiernie do winy. Ostatecznie bowiem potwór obniżył się nad ruinami folwarku i tak długo je ogniem smagał, aż nie ostała się tam ani żywa dusza. I za jego przyczyną Kordelia ponownie została wdową, choć tym razem przyczyniła się walnie do śmierci współmałżonka.

Co zabawne, nikt nie poczytywał jej tego za zasługę. Nawet ci, których Waligóra z wysokości swojego urzędu wtrącał do sztolni. Wdzięczność w narodzie nie trwa długo. Babunia Jagódka doświadczała tego od bardzo dawna.

– Mogła sobie obrać przyzwoitszego sprzymierzeńca – oświadczyła cierpko Rozalka, która po uwolnieniu z plebanii czuła się upoważniona wyrazić uczucia całej społeczności. – Nawet trupy zeżarli. Jakże tu ludziom pochówek godziwy urządzać, kiedy choćby jednej kosteczki brakło.

I nic nie pomogło, że szczuracy nie popasali w folwarku dłużej niż kilka godzin. Przetrasnęli całą posiadłość – ani chybi srebro pokradli, powiadali nieżyczliwi – po czym ledwo słońce wspięło się wysoko, zniknęli bez śladu. W niczym nie przysporzyło to jednak sympatii Kordelii.

A wtedy, ledwo szczuracy rozwiali się wśród kurzu, do folwarku rzucił się cały magiczny drobiazg. Rozradowane utopce najpierw wytaplały się w strudze, potem z wielką radością utopiły trzech kupieckich pachółków wystarczająco głupich, by się przycziąć w szuwarach, a na koniec rozbiegły po wiosce, plując do studni i pryskając wieśniakom w twarz cuchnącą wodą. Skrzaty, popiwszy się solennie resztką wiergowskiego piwa, uczyniły sobie ognisko na środku wioskowego placu. Nocnica pobiła się z bazyliszkiem, kto zamieszka w folwarcznym kominie, ten bowiem dziwnym trafem ocalał z pożogi. Darli się przy tym tak głośno, że ludziom krew z uszu ciekła, a dwie baby młode powiadały, że za ich przyczyną płód z nich zleciał – choć jaszczurcze języki, bo gdzież ich przecież nie ma, kłapały, że same się

dziecka pozbyły, wprzódę ze sługami kupca szpetnie zgrzeszywszy. To jednak wyszło na jaw później. Na razie koboldy, ożłopane piwkiem, obszczywały płoty, salamandry powypełzały z nerek i za przykładem latającego potwora zionęły ogniem do owiec, a zielononóżki parzyły się w łopianach z bazyliszkiem, drąc się z rozkoszy.

– I to pod jasnym słońkiem. – Rozalka z niedowierzaniem kiwała głową. – Tak się magiczne tałatajstwo rozbestwiło.

Cały dzień trwały gody i bezhołowie kompletne. Wiedźma nie wychylała nosa z lasu, chociaż wielu zarzekało się potem, że widziało ją w stawie z utopcami albo jak jeździła wierzchem na czarnym capie, golusieńka jak ją bogowie stworzyli. Wśród ogólnego tumultu wieśniacy spieszenie załatwiali swoje rachunki. Przykładnie splądrowano domostwo Kordelii – wszak mąż jej zhańbił się służbą u obmierzłego kupca – a także chałupę Ortyła, Kowlika i Włokity, którzy razem z nimi zasiadali w radzie. Sprawiedliwość ludowa nie oszczędziła także Szyszka, Osęka i Sułka, którzy wysługiwali się obcym, chociaż w gruncie rzeczy szło nie o kolaborację, jeno o redystrybucję zboża, z której wiejska gromada wywiązała się nad podziw sprawnie, przy współudziale skrzatów w mig opróżniwszy trzy stodoły. Na koniec do jednej z nich zaciągnięto Jewkę, która dopiero co ocknęła się z pijackiego zamroczenia, i rozciągnąwszy ją na klepisku, pozwolono przykładnie odpokutować grzechy. Leżąc na plecach.

Pito, weselono się, wyrzynano zarekwirowane przez wiergowskiego jagnięta, bo i tak ciężko byłoby dojść, z czyich owiec zrodzone, więc lepiej je było zeżreć dla zachowania spokoju. Smok zniknął z horyzontu, lecz nikt nie był pewien, czy szcuracy na dobre zabrali go ze sobą, pochłaniano więc mięsiwo pospieszenie, żeby żadna kropla tłuszczu nie ściekła na zmarnowanie. Należało się spieszyć. W Wilżyńskiej Dolinie spokój nigdy nie trwał zbyt długo.

Nieszczęsny ropuch wylazł z bagniska i ośmielony harcami utopców, pomstował przy ruinie gospody.

Pod wieczór, kiedy zapał w narodzie przygasał, kiedy wyłapano już wszystkich najemników kupca i poprzebieranym za baby kazano im tańczyć pod świątynią, a potem wysmagano ich jak należy i kiedy ludzie powoli zaczynali jęczeć z przeżarcia – a także przewidując nowe biedy, jakie niezawodnie wynikną z dzisiejszego zamętu – wtedy właśnie na

ścieżce prowadzącej w doliny pojawił się jeździec.

- Na białym koniu - mówiła zezowata Pietka.
- Z szyszakiem, jak potrzeba - dopowiadała z dumą Miłka.
- I z białą kitą - kończyła Rozalka, przyciskając w zachwycie dłoń do piersi.

Konny jechał niespiesznie. Lecz taka dostojność z niego biła, taka godność przemożna, że ledwo się do biesiadujących przybliżył, milkły sprośne przyśpiewki, dziewczki obciągały spódnice, a pachółkowie ocierali gęby.

A może po prostu po wiosce rozeszła się wieść, jakież to życzenie wygłosiła durna Kordelia.

Koń wdzięcznie potrząsał grzywą.

Puklerz łowił ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Znad opuszczonej zastawy bacznie połyskiwały oczy.

Kiedy skręcił na ścieżynkę prowadzącą do folwarku, nikt już nie miał wątpliwości. Wieśniaczki i chłopci, dzieci i starcy, podnosili się powoli ze zdeptanej trawy i ruszali za nim w uformowanym naprędcie pochodzie.

Ktoś szlochał cicho.

Wreszcie jeździec zatrzymał się przed zgliszczami dworzyszczca. Przekrzywił głowę i długą chwilę przypatrywał się w namyśle nocnicy, która wrzeszczała od strony osmalonego komina. Przy wyschniętej studni, przewieszony przez cembrowinę, chrapał jakiś utopiec, świecąc słońcu w twarz gołym zadkiem.

Pomiędzy końskimi kopytami uwijały się koboldy, sypiąc płatki róż.

Jeździec zsunął się z siodła. Stęknął ciężko, od serca.

- Tu zostanę! - oznajmił z mocą, a wtedy cała wioska wybuchła jednym rykiem entuzjazmu.

- Nasz jaśnie pan słodki - powiedziała wieczorem Rozalka, po czym poprawiła plebanowi szlafmycę i ułożyła się koło niego w pościeli. - Teraz wszystko wreszcie będzie jak należy.

Ale oczywiście nie było.

POWRÓT KMIECIA



apamiętano tamten czas jako jesień władzy, bo wszelkie inne wypadki przyćmiła i zatarła srebrzysta i kruczokara wspaniałość jego powrotu. Wilżyńska wioska – jedyna, jaka pozostała z trzech, które rozpościerały się w Dolinie przed nastaniem wojny – mozolnie lizała rany po turbacjach, sprowadzonych na nią przez wiergowskiego kupca. Ale że samozwańczy starosta i całego zamieszania wódz, zbójca Waligóra, padł w boju ze smokiem, wściekłość jego sąsiadów rozeszła się jakoś po kościach. Winny wszak został ukarany, wraz z garścią kamratów spłonawszy nędznie w smoczym ogniu, a resztki kupieckich pachółków utopce załechtały na śmierć. To wystarczało.

Nadto pora nie sprzyjała zabawom: zgodnie z wiejskim zwyczajem zemstę odkładano do zimy, kiedy człowiek wypocznie po jesiennych obrządkach i zacznie mu się z nieróbstwa cnić w dobrze opalonej izbie. Na razie zaś pilnie zwożono z pól rzepę, buraki i brukiew, gnój rozrzucano, orano i bronowano zaciekle, żeby sobie dobry plon na przyszłość zapewnić. Po sadach, po lasach i miedzach – wszędzie zbiór czyniono, zwłaszcza że szcuracy, plemię łupieżcze i nienażarte, choć popasali w Dolinie dzień ledwie, zdołali pokaźnie uszczuplić zwiezione już z pól zapasy. Kmiecie krzątali się zatem, każdą wątłą marchew wykopywali niczym skarb i do piwniczki chowali, ze znaków bowiem na drzewach i ptasich lotów można było wnosić, że zima przyjdzie sroga i długa.

Tylko proboszcz, uwolniony z obłączenia na plebanii, podczas każdej sumy wetował sobie przymusowe milczenie i wyliczał z ambony imiona wszystkich grzeszników, którzy nastawali na jego życie.

Wiedźma, jak co roku, smażyła powidła.

Nic dziwnego, że wśród tej krzątany powrót kmiecia przeszedł

zrazu niepostrzeżenie.

Wronisz pojawił się w osadzie jakby nigdy nic. Wędrował pieszo, cichuśko, nie obnosząc się z sobą. Minał wioskową bramę w kapturze naciągniętym na twarz i nikt się nie domyślił, kim jest ten pielgrzym z nędznym tobołkiem na plecach, który tak grzecznie wilżyńskich obywateli pozdrawiał, jakby ich znał od dzieciństwa. Jakaś litościwa gospodyni wysłała do niego dzieciaka z kęsem kołacza, bo nigdy nie wiadomo, kogo w dom sprowadzą bogowie. Obcy za jałmużnę podziękował, lecz nie zjadł ani nie przysiadł przy wioskowej studni, żeby wody skosztować i w cieniu się przestudzić, bo skwar panował okrutny. Poszedł dalej, cichy i tak uroczysty niezmiernie w swoim milczeniu, że ludzie ustępowali mu z drogi.

– Ani chybi do miejsc świętych idzie – orzekła stara Siwka, która obserwowwała wiejski pejzaż z kruchty.

– Za nasze grzechy – zawtórowała jej Miłka, po czym przegryzły ziarnem siemienia, które, jak wiadomo, pamięć osobliwie wspomaga, a one chciały wszystko pamiętać, wszelkie współziomków przewiny, małości i pożądlivosti niecne: inaczej wszak po co żyć?

Wędrowiec minął świątynię bez słowa, pochylił się tylko nieznacznie na znak uszanowania, i brnął dalej w upalnym powietrzu. Spod stóp podnosiły mu się kłęby wyschniętego pyłu. Zza węgła wypadła sfora wiejskich kundelków, rudych, wychudłych i gotowych oszczezać obcego i poszarpać na nim kapotę. Mężczyzna rozpędził je kosturem, bez gniewu wymierzając ciosy, póki nie rozbiegły się z bolesnym ujadaniem. Potem zniknął staruchom z oczu.

– Ciekawe... – zaczęła Siwka i urwała, bo zawstydziała się niecnej dociekliwości.

Ale Miłka skinęła tylko w roztargnieniu głową, zastanawiając się, jaki też ślad wyryły na twarzy obcego odległe trakty, gospody i targowiska. Tej jesieni czuła w piersiach coraz dotkliwsze klucie: podrywało ją z posłania każdego chłodniejszego poranka i miarkowała, że nie doczeka wiosennych roztopów. Przeczucie śmierci sprawiało, że pozwalała sobie na myśli, jakich nie doświadczyła nigdy wcześniej, i w krótkich, starczych snach przychodziły do niej obce miejsca i ludzie wybujali ponad miarę Wilżyńskiej Doliny.

Tymczasem mężczyzna minął główną część osady, gdzie mieszkali najbogatsi gospodarze, zagrodę Szyszka, któremu udało się szczęśliwie przeżeglować ponad mieliznami gminowładztwa, obejście Małego Sułka, podupadające po odejściu jego brata, młyn i domostwo Kordelii, od wielu dni zaparte na głucho. Droga prowadziła go gładko pomiędzy płotami, szopami, przybudówkami, drewnutniami, kępami bzu, jaśminu oraz leszczyny, które powyrastały na rozstajach, póki nie zszedł w niższą część wioski, wychyloną już ku lasowi.

Tutaj obejścia stały nieco rzadziej, zanurzone w kępach drzew i kwiecia. Droga ze stukotem przetoczyła się dwukółka wypełniona nawozem. Wędrowiec usunął się nieco w bok, żeby przepuścić zaprzęg, i uczynił gest, jakby chciał klepnąć po zadzie dziarskiego siwka. W ostatniej chwili cofnął jednak rękę i głębiej ukrył twarz pod kapturem. Woźnica strzelił z biczka – bardziej z wesołości, bo robota szła mu rześko tego dnia, niż żeby konika popędzić – i wóz potoczył się dalej po stromiźnie, ku wysokim polom. Przybysz spoglądał za nim, a kiedy zniknął za wzniesieniem, ruszył dalej.

Nikt nie widział, jak przy kapliczce Kii Krindara skręcił ku chacie, połyskującej ku drodze zielonkawymi okiennicami. Jakby z ociąganiem odemknął furtkę, kilka razy pogładził niepoczerniały jeszcze skobel, bo wszystko w tym obejściu było nowe i rozsiewało żywiczną woń drewna, po czym wszedł na podwórze.

Wronisz wrócił do domu.

I nie stało się zupełnie nic.

Drzwi od chałupy nie odemknęły się. Nikt nie wybiegł mu na powitanie z ramionami rozpostartymi na oścież. Kury nadal spokojnie grzebały na przyzbie. Maciora drzemała pod płotem, podczas gdy gromada warchlaczków taplała się z upodobaniem w błocie. Przyciśnięte upałem gołębnie tkwiły na krawędzi gołębnika. W powietrzu unosiła się woń obornika, kurzu, kwiecia i rozgrzanych ziół. Poza tym domostwo wydawało się wyludnione: bydło wypędzono na pastwisko, a i ludzie rozbiegli się do swoich zajęć, więc Wronisz siedział cierpliwie, zzuwszy trzewiki z umordowanych stóp, i wodził wzrokiem po czworoboku podwórza, po wciąż jasnej strzesze i dwóch stodołach z gładkich desek, z uczepionymi u boku drewnutnią, kurnikiem i chlewem, ze stertą gnoju, ukrytą za szpalerem wybujałych malw.

Bzyczały pszczoły i dziwna słodkość opadała na niego jak sen.

W stodole zamiauczał kot. Coś zaszurało w słomie i na gumno wybiegła drobna, może pięcioletnia dziewczuszka z płowymi włosami ujętymi w dwa cienkie warkoczyki. Na widok Wronisza stanęła jak wryta. Chwilę trwali, jakby pochwyceni nawzajem w swoje spojrzenia, aż wreszcie dziecko poruszyło się pierwsze.

– Matulu, złodziej! – wykrzyknęła.

Mężczyzna poderwał się, żeby ją pochwycić, uciszyć, sam nie wiedział, co, ale mała przemknęła tuż obok jego wyciągniętych rąk i pognęła w pole.

Znów zapadła cisza. W rozwartych wrotach stodoły ryży kocur mył łapkę, zerkając na obcego spod zmrużonych powiek.

Chwila ciągnęła się za chwilą, zanurzona w lepkim syropie gorąca.

Kiedy na drodze zatętniły kroki, Wronisz powitał je z ulgą, chociaż ten moment, moment nieuniknionego spotkania, przerażał go podczas pięciu zim, jakie spędził z daleka od Wilżyńskiej Doliny. Wzwał buty i powstał, żeby przywitać to niewiadome z całą godnością, jaką tylko umiał w sobie odnaleźć.

Słońce chyliło się nad nim jak jeden tych wielkich słoneczników, które wysysają z ziemi wszystkie soki.

Furtka podskoczyła jękliwie, rozwarta kopniakiem, i na podwórze wpadło trzech pacholków – jeden starszy, jasnowłosy i przyodziany jak gospodarz, w białej koszuli i w butach o wysokich cholewach. W lewej ręce trzymał siekierę, w prawej – długi nóż i broń dobrze leżała u w rękę, Wronisz zauważył to od razu. Za nim gnało dwóch młodszych w niebielonych koszulach i zwykłych chodakach, pewnie najmitów. Jeden dzierżył widły, drugi gruby, naoliwiony kij.

– Stój, ścierwo! – zwołał ten najbogaciej ubrany.

Wronisz czekał nieruchomo, z odkrytą głową. Przepatrywał twarze tamtych, szukając w nich znajomego rysu, czegokolwiek, czego mógłby się uczepić. I nic nie znajdował.

Zachodzili go, przypierali do studni, wcale nieułagodzeni tym, że czekał tak pokornie i bez broni.

– Cóżeś dzieciakowi uczynił? – wycedził przez zęby ten najstarszy,

dając jednocześnie znak innym, żeby puścili go przodem.

Miał u nich mir, bo posłuchali bez zwłoki. Przybliżał się giętkim, czujnym krokiem. Bez strachu. Przeciwnie, była w jego ruchach jakaś dziwna swoboda, jakaś lekkość i Wronisz wyrozumiał od razu, że zwada nie jest dla tego człowieka pierwszozną.

– Pohamujcie się – powiedział, pokonując dziwną suchość w gardle.

Podniósł prawą rękę do pasa, jakby spodziewał się napotkać tam rękojęść. Ale nie, palce musnęły tylko powrósto, którym się przepasał na drogę, i opadły.

Jasnowłosa natychmiast wyczuł w jego geście pogrózkę.

– A ty, kurewniku, rękami noża nie macaj, bo ci je zaraz odrąbię – rzekł zimno.

– Czegoś tu chciał? – zawołał piskliwie jeden z pachołków. – Ogień podłożyć? Kury kraść?

Starszy uciszył go krótkim gestem. Nie odrywał wzroku od Wronisza.

– A ja ci flaki wypruję. – Uśmiechnął się. – Rozumiesz, stary? Sprawię cię jak barana.

Ostrze w jego ręku drżało lekko, łowiąc promienie słońca. Wronisz chciał przymknąć oczy, bo ten blask pochłaniał go, prowadził wstecz ku miejscom, których nie chciał pamiętać.

– Jestem... – zaczął z wysiłkiem.

– Nie dbam, kto jesteś – przerwał mu ten ze sztyletem. – Choćbyś był samym Cion Cerenem, należało u płotu czekać. A skoroś tu wlaź, jesteś mój.

Jeden z pachołków zaśmiał się – wysokim, piskliwym śmiechem, bo gardło dławił mu strach przed bliską rzezią.

– Mój jesteś – powtórzył mężczyzna, przybliżając się do przybysza z nastawionym ostrzem.

Kiedy znalazł się już na wyciągnięcie ramienia, zamarkował uderzenie. Wronisz odsunął się, wciąż z pustymi rękami, lecz wtedy tamten wyprowadził cios siekierą, z zamachu mierząc prosto w bok. Wronisz odskoczył instynktownie, ciało poruszyło się, jak mu wpojono przez miesiące ćwiczenia, a ręka pochwyciła kij.

Odbił drzewce siekiery. Uderzenie było tak mocne, że w pierwszej chwili nie poczuł bólu, kiedy sztylet ugodził go w ramię. Mężczyzna w białej koszuli znów zaśmiał się, odskakując.

– Próbujesz kasać, ścierwo. Ale połamiesz zęby. Bierzcie, go! – Dał znak pacholikom.

– Nie... – odezwał się od płotu jeszcze jeden głos, ale tak słaby, jakby dobiegał z głębi studni.

Obejrzeni się. Wszyscy czterej. Kobieta przy płocie wyglądała jak duch – pospolita, przysadkowata wieśniaczka w spódnicy podkasej do pracy, z twarzą spaloną słońcem i kosmykami spłowiałych włosów wyglądających spod chustki. Stała, wczepiona rękoma w sztachety i tak biała na twarzy, jakby wyciekła z niej wszelka krew.

– Liwienka! – Mężczyzna opuścił sztylet i przyskoczył do niej, jakby walka i ten obcy mężczyzna pod studnią stracili nagle na znaczeniu. – Co z tobą, Liwienka?

Wieśniaczka potrząsnęła głową, usiłując wydobyć z siebie głos.

– Nic... – Łzy ciekły jej po policzkach jak groch. – Ja... – Znów potrząsnęła głową, oniemiała ze zgrozy. – To Wronisz – powiedziała wreszcie.



Wieczorem Wronisz zasiadł przy stole na jedynym krześle, jakie mieli w izbie. Gospodyni stała przy piecu, mocno ściągając rogi chustki. Nogą miarowo poruszała płożą kołyski: dziecko usnęło już, ale nie przestawało przewracać się i kwilić przez sen. Na posłaniu przy piecu ułożono jeszcze pięćcioro drobiazgu – dwie główki ciemne, z wijącymi się włosami Wronisza, i trzy jasne. Dziewuszka, która pierwsza zobaczyła obcego przy studni, udawała tylko sen i przysunawszy się na skraj posłania, poprzez źdźbła słomy bacznie obserwowała dorosłych.

– Liszka, a pójdziesz spać albo rzemieniem trzepnę! – rzuciła ze złością matka i mała znikła jak zmieciona.

– Szybkość się pocieszyła – powiedział bardzo cicho Wronisz. – Jeszcze wiatr śladów nie zamiótł, a położyłaś się z innym.

– Nie pocieszyła się! – Jasnowłosa mężczyzna, ten, który powitał powracającego z siekierą, wysunął się szybko z cienia i stanął obok gospodyni.

– Zostaw, Łagnik, nie trzeba. – Kobieta usiłowała go odepchnąć.

Kolebka zmyliła rytm i dziecko zakwiliło głośniejsze, więc jakiś czas wszyscy milczeli i tylko polana trzaskała pod kominem.

– A ty czemu gębę rozwierasz – odezwał się po długiej chwili Wronisz, nie zwracając się do nikogo szczególnie i nie spoglądając nawet na Łagnika – kiedy cię nie pytają?

Pomiędzy nimi, na stole, stał dzban piwa i bochenek chleba, wciąż nieprzełamany, bo nikt tego wieczoru nie tknął jedzenia.

– Bo może trzeba zapytać – odparował Łagnik, niby spokojnie. – Może zdałoby się rozumieć, co się wydarzyło, kiedy przyszli grasanci.

– Byłem na wojnie. – Wronisz mówił bezbarwnym, wypranym z emocji głosem.

– Spalili chaty. – Łagnik spoglądał na tańczące płomienie, ale jego ręka poruszyła się jakby powodowana własną wolą, przybliżyła do dłoni gospodyni i opadła bezwładnie, zanim się zetknęły. – Ale wracali. Raz, drugi, potem trzeci.

Przez twarz Wronisza przeszedł cień.

– A ty z nimi byłeś?

Jasnowłosa aż się cofnął. Spojrzał bezradnie na kobietę, przełknął ślinę.

– Byłem. Ale nie tutaj.

Dziecko znowu zapłakało przez sen. Na piecu szeleściły myszy.

– Jakże wygodnie – skwitował cierpko Wronisz.

Łagnik zacisnął zęby. Przy pasie wciąż miał sztylet i tę samą białą koszulę, co wcześniej. Coś się jednak odmieniło, bo trzymał się z boku i stracił dawną pewność, choć z całej jego postawy dało się łatwo rozeznaczyć, że nie był to człowiek łatwo tracący kontenans.

– Przyszła zima – odparł cicho. – Zima w górach.

Obaj pachółkowie, zwyczajem najemnych robotników, spali w stodółce na sianie, ale w izbie rozmawiano półszepem, jakby słowa

mogły precyzyjnie się przez szczeliny pomiędzy deskami i uciec w nieznaną. Bo w wilżyńskiej wiosce poszedł już już o obcym, który zawitał do zagrody Łagnika, i baby schodziły się o zmierzchu po kuchniach albo przystawały u studni na placu, żeby pobiadolić nad dziwnością świata.

– Zostawiłem czworo dzieci – powiedział ciemnowłosy.

Kobieta znów zaczęła płakać.

Pod ścianą bieliła się na łóżku wysoka sterta nakrochmalonych poduszek i było coś ze szczerem nieprzyzwoitego w ich uroczystej bieli. Wszyscy troje starannie omijali je wzrokiem.

– A czegoś się spodziewał? – zachnął się Łagnik. – Była wojna.

Liwienka uczyniła gest, jakby go chciała uciszyć.

– Ja... – powiedziała z trudem. – Próbowałam...

– Och, milcz, babo głupia – rzucił ze złością przybysz, ale akuratnie dziecko w kolebce rozryczało się na dobre.

Wieśniaczka pochwyciła je pospiesznie i przycisnęła do siebie, jakby się chciała nim zasłonić. Usiadła na niskim zydelku, bokiem do mężczyzny i zasłaniając się chustą jak przed obcymi. Jej ramiona drżały. Jednakże niemowlę pocieszyło się szybko i w izbie słychać było miarowe odgłosy ssania.

– Przecież cię nie winię – rzekł po chwili Wronisz. – Nie powinienem był iść.

– A co niby miałeś zrobić – wyszeptała Liwienka – skoro pan władcyka kazali?

– W góry trzeba było uciekać – zachnął się czarnowłosy – jak Osuch.

Kobieta niżej pochyliła głowę nad dzieckiem.

– Osuch stary, niezdały – powiedziała ledwo słyszalnie – a i tak za nim łapacze do zimy po górach ganiali.

Po posadzce wysypanej piaskiem i świeżo ciętym tatarakiem przebiegła mysz i wszyscy drgnęli, i coś rozpadło się pomiędzy nimi.

Wronisz potarł czoło, żeby zamaskować grymas bólu. Ramię sam sobie obwiązał, Liwience nie dał się tknąć. Rana nie była głęboka, zadrapanie ledwie przy tych, jakie ścierpiał wcześniej w służbie księcia

pana, i ból też nie doskwierał przesadnie. Bardziej bolało, że doczekał się jej na własnym podwórzu.

– Dosyć. Ty precz – skierował palec na Łagnika.

Dziecko rozryczało się przeraźliwie, wierzgając spomiędzy pieluch różowymi, pulchnymi nogami. Matka milczała, tylko jeszcze niżej pochyliła głowę.

Wronisz podniósł się ciężko z krzesła.

– Dokąd...? – Liwienka urwała, jakby zadławiło ją to niezadane pytanie.

– Pola obejść. Kiedy wrócę – spojrzał na drugiego mężczyznę – ma cię nie być.



Następnego poranka osobliwa mnogość bab wystawała z wiadrami na wioskowym placu. Zwykle kiedy w wiosce działo się coś niecodziennego, woda w przydomowych studniach nabierała cierpkiego smaku. Co robić, trzeba było dźwigać wiadra i cebrzyki aż na plac, żeby zaczerpnąć wody i nowin oraz poutyskiwać na babskie trudy.

– Więc powiadacie, że Wronisz do domu wrócił? – dziwowała się Honorcia, która zwykle sama nie chadzała z koromysłem, bo ojciec trzymał w zagrodzie kobietę do posługi, ale tego poranka nie zdołała się oprzeć pokusie.

Miłka skinęła z namaszczaniem głową. Obie z Siwką królowały wśród tego rozgwaru, usadowione na kamieniu zaścielonym starą derką. Nawet nie próbowały udawać, że przygnało je tutaj jakieś gospodarskie zajęcie. Zresztą przepęłniała je duma, że pierwsze wypatrzyły powracającego ziomka i teraz czuły się tak, jakby właśnie one witały go w bramie wioski niczym utraconego syna.

– Po pięciu zimach – zawtórowała jej Siwka. – Ot, bogowie łaskawi.

Honorcia aż przyłożyła dłonie do pękatych, rozplómiennionych ciekawością policzków.

– A Liwienka co teraz zrobi?

Co młodsze spomiędzy dziewczuch zawtórowały jej pełnymi niedowierzania okrzykami. Młodość buzowała w nich jak wino, spychając w niepamięć wojnę, której wszystkie przecież niedawno doświadczyły. Dziś słońce świeciło jednak tak jasno, aż musiały mrużyć oczy. I chciały teraz wierzyć w szczęśliwe powroty oraz pojednania, choćby niemożliwe.

– A co ona ma zrobić? – zdziwiła się Miłka, zaciskając na kosturku starcze, wyschnięte ręce. – Gospodarz powrócił i mąż jej prawowity, tedy powitać go musi i przyjąć jako pana.

– A tamten drugi? – zapytała z przejęciem jedna z młodszych dziewczyn.

– Co niby z nim? – zaśmiała się Jewka, która również przywlokła się na miejsce babskich zgromadzeń.

Stała jednak w pewnym oddaleniu od innych, bo w wiosce nadal nie przebaczone jej zażyłości z rabusiami. Włóczyła się więc po wiosce, najmowała do pomocy w polu za miskę stawy, trochę przygaszona, lecz wciąż pełna jadu. Teraz też wyraźnie rozkoszowała się nieszczęściem Liwienki – jej chude, szurze oblicze zdawało się rozkwitać z każdym słowem.

– Co ma być? – mówiła, uśmiechnięta z ukontentowaniem. – Wypędzić trzeba gacha i tyle.

– Z gachami to ty masz bujne doświadczenie – syknęła jakaś starsza niewiasta.

Jewka tylko wzruszyła ramionami. Nie zamierzała się kajać, a już na pewno nie przed tymi spasionymi babami, z których żadna nie ujęła się za nią, kiedy ją bracia precz wypędzili z kuźni.

– Jako niejedna tutaj – rzekła, nie kryjąc satysfakcji. – Choćby ta sama Liwienka, co się tak nad nią użalacie rzewnie. Ledwo chłop w świecie zniknął, przygarnęła pod pierzynę innego. I kogo jeszcze? Ano zwykłego grasanta! – rozdarła się piskliwie. – To w czymże ode mnie lepsza?

Kobiety wokół studni skupiły się jakoś i zbiły w ciaśniejszą gromadę, widać bliskość sąsiadek dodawała im otuchy. Jewka napełniała je jakąś niezrozumiałą złością, mimo że miała rację, wszak nie ona jedna pokładała się z rabusiami. Ba! – po upadku kupca powróciła do Wilżyńskiej Doliny i Szczerbata Kryska, a teraz, z braku gospody,

uprawiała swoje zajęcie w krzakach koło cmentarza. Jednakże ani wioskowa ladacznica, ani żony stronników Waligóry, co wraz z nim zasiadali w komitecie i knuli zgubę bogobożnym wieśniakom, nie budziły takiej złości jak Jewka.

– A w tym – odezwała się w końcu Miłka, stara i niewzruszona na swoim kamieniu – że Liwienka dwa lata czekała, zanim chłopca nowego pod dach przyjęła. I w uczciwości z nim żyła, za męża go sobie wzięwszy...

– Teraz zasię ma obu – zaśmiała się szydliwie Jewka. – Dwóch mężów jak się patrzy, starego i nowego. Byle zapału nie zbrakło, wnet bachorów w komorze przybędzie.

– Och, milcz już, durna – prychnęła zezowata Pietka, którą cały babiniec w Wilżyńskiej Dolinie osobliwie szanował. – Będzie, jak trzeba. Po uczciwości – zakończyła, a inne gospodynie pokiwały z aprobatą głowami.

– Nadto Łągnik to rabuś – oznajmiła na koniec Miłka, która nie słynęła z tkliwości, jak zresztą większość bab, co dożyły szczęśliwej starości. – Wiatr go w Dolinę przywiał, to i z powrotem zabierze.

Jednakże nie wszystko poszło tak prosto.



Pierwszy dzień minął Wroniszowi w zamęcie i pomieszaniu. Nieomal do brzasku chodził po miedzach i polach, dotykał pni i na kamieniach granicznych przysiadał, jednakże wszystko wydawało mu się dziwne i obce. Potem długo na gumnie nasłuchiwał, jak świat budzi się i ożywa w przeczuciu słońka. Usiłował rozpoznać w szczekaniu psów i ryczeniu bydła tę tęskną nutę, jaka prowadziła go przez pięć zim w obcych bitwach, w tiurmach i po bezdrożach. Na próżno. Chwilami spoglądał ku chacie, która również patrzyła na niego ciemnymi oczami zapartych okiennic. Próg i ościeżnice starannie omotano czerwoną nicią, żeby żadne podstępne zło nie przedostało się we ćmie i nie ukrzywdziło mieszkańców. Ale drzwi pozostawiono uchylone – wyzwanie rzucone nocnicy i wszelkim nocnym lękom. A przecież nie śmiał wejść do środka, gdzie rozpościerała się przed nim ta przerażająca wykrochmalona biel i

gdzie czekała na niego kobieta, której już nie znał.

Może nigdy jej nie znał.

Nasłuchiwał w rozpraszaającej się pomroce cudzych słów i kroków. Jakichś czułych gestów, które pomogłyby na nowo rozbudzić w nim wściekłość, jaka nim wczoraj owładnęła na widok obcego, który sypiał w jego łóżku i jego łyżką jadał. Ale nic nie czuł – bezmierna jakaś pustota zalewała go jak woda.

Przesiedział tak do rana. Do stodoły iść nie chciał, żeby się najmitom nie pokazywać. Może trochę drzemał, bo chwilami zwidywało mu się, że oto siedzi w jamie, przy trupach towarzyszy i oddech w sobie tai, żeby się nie wydać przed chłopami, co przeszukują obozowisko, albo kuli się w rogu cuchthauzu, skostniały z zimna i głodny, ale uparty, ponieważ bardzo chciał wytrwać, nawet tam, gdzie inni umierali tak łatwo.

Sam teraz nie wiedział, czy było warto.

Ocknął się, kiedy ktoś pociągnął go za kapotę. Jasnowłosa dziewczuszka, ta sama, która pierwsza go wczoraj spostrzegła, stała przed nim z namysłem na twarzy.

– Gdzie tata? – zapytała z pretensją.

– Ja... – odchrząknął, bo nagle zawiodło go gardło.

W drzwiach chaty stanęła Liwienka.

– Wejdźcie do środka – powiedziała cicho.

Ale wewnątrz było jeszcze gorzej. Nic mu nie pasowało – ani glazurowana miska na stole, ani polewka z serem, jakiej zwykle nie jadali o tej porze roku, ani świeże sprzęty o szczytach wyrzeźbionych w jakieś karbowane wzory, ani talerze na półkach, niebieskie, bez wątpienia spichrzańskie, ani skrzynie, od pokostu aż tłuste. Zamieszał ze dwa razy łyżką i odsunął strawę.

– Ułożyło się wam – skonstatował ponuro, bo spod jasnych sprzętów i ścian przebijała mu inna izba, okopcona i niższa, ale wytęskniona od dawna.

Żona milczała, kołysząc w chuście dziecko. Pod piecem dwoje maluchów bawiło się na polepie: ładowały wióry na maleńki drewniany wózek przyprzężony do karych koników. Zabawka była misterna, z pańska malowana farbą i zaznaczono nawet czerwone wstążki w

końskich grzywach.

Tuż obok, na niskim stołeczku, jasnowłosa dziewczuszka łuskała groszek, mamrocząc coś pod opadającymi na twarz włosami.

– Te moje? – zapytał Wronisz.

Kobieta pokręciła głową.

– Starsze w polu od rana.

Teraz przyszła jego kolej, żeby przytaknąć. Nic więcej jednak nie umiał z siebie wydusić, a dzieci też przerwały zabawę i usiadły na zydlach, uroczyste i poważne, nie spuszczać z niego wzroku.

– Gdzie jest tata? – odezwała się z nagłą dziewczynka i poprawiła się spieszenie, widząc, że matka zadygotała: – Ten zwykły tata?

Mężczyzna podniósł się na oślep i wyszedł na podwórze.

Z tyłu za nim płakało dziecko.

Znów włączył się po ścieżkach, wzdłuż rzędów kolczastych malin na miedzach, wzdłuż strugi, którą poobsiadały gęsto wierzby, olchy, derenie i trzmieliny. Kiedy wszedł w ich wilgotny gąszcz, poczuł, jakby znowu zniknął, i oczy same zamknęły mu się do snu.

Spał aż do wieczora, ukojony rechotem żab i buczeniem trzmieli, wystarczająco jednak czujnie, żeby ocuciły go wozy, toczące się z turkotem po mostku. Za nimi biegło dwoje czarnowłosych dzieci, chłopiec i dziewczynka, podnosząc z pyłu rzepy, które stoczyły się na wybojach. Poderwał się, żeby do nich zawołać albo chociaż spojrzeć im w twarze – niemal nie pamiętał piskląt, które żegnały go kiedyś u płotu, cały wielki świat temu, ale przez moment chciał, ogromnie chciał, zobaczyć w nich swoje odbicie i chociaż na moment upewnić się, że istnieje. Potem jednak zobaczył na koźle ostatniego wozu Łagnika.

Z nagłą coś chwyciło go za pierś i targnęło do przodu. Wyskoczył z łoziny, wrzeszcząc i tupiąc nogami do wtóru. Co wrzeszczał – nie zapamiętał, utkwily mu w pamięci jedynie oczy tamtego, czerwone i opuchnięte z bezsenności. Łagnik coś powiedział, tak się w każdym razie Wroniszowi potem zdawało, i jeden z pachółków podbiegł żwawo i schwycił lejce.

– Miałeś zniknąć! – wykrzyczał Wronisz, ucapiwszy go za koszulę. – Miałem cię więcej nie oglądać!

Tamten nie szarpał się, po prostu usiłował ustać na nogach, a wozy oddalały się szparko, dzieci biegły za nimi, nie śmiejąc zbierać rzepy, oglądały się tylko przez ramię z lękiem.

I na to też Wronisz nie był przygotowany, zwłaszcza że wciąż nie potrafił zapomnieć ich niegdysiejszego strachu, który w nich zapewne zapadł się bez śladu, zmieciony późniejszymi trwogami. Ale sam pamiętał – swój krzyk, przerażone twarze dzieci nad krawędzią pieca, rozsypane jagły na stole i kobieta z twarzą poczerwieniałą od płaczu. Znow wszystko wracało i nie potrafił nad tym zapanować.

Cofnął się o krok, przerażony. A tamten drugi stał przed nim tak niezrozumiale, upiornie spokojny.

– Rzepę zwieźć trzeba – powiedział. – Wkrótce zaczną się deszcze.

Wronisz aż się zachnął. Jemu życie rozwiewało się właśnie jak plewy na klepisku, a ten gadał o rzepie.

I zaraz przysłała następna myśl: widział w obejściu stodołę wypełnioną ziarnem, beczki pełne zakiszonej kapusty, groch, soczewicę i marchew, wszystko uszykowane porządnie na zimę. Wcześniej nie zawsze tak bywało. Nie za jego bytności.

– A skądże możesz wiedzieć? – zawołał wściekle, buntując się przeciwko całej tej potworności, która czekała na niego w domu, nieprzepowiedziana żadnym snem ani ostrzeżeniem. – Co ty, wróżka jesteś? Kii Krindar, który deszczami włada?

– Po prostu wiem – odpowiedział cicho Łagnik.

I Wronisz, zupełnie bez powodu, uwierzył mu natychmiast. Ręce opuścił bezwładnie, zgarbił się, zmałał naraz na tym podpróchniałym mostku.

– Z pól trzeba zebrać. – Jasnowłosy unikał jego wzroku. – Zima będzie ciężka. Liwienka...

– Nie wymawiaj jej imienia.

– Pochowała już dwoje dzieci. Nie przyczyniaj jej następnego truchła.

Nie będziesz moim sędzią, chciał krzyknąć Wronisz. Nie masz prawa. Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz, czym, kim byliśmy dawno temu, przed wojną. Nie wiesz zupełnie nic.

Słowa jednak stały się dziwnie trudne.

– Nie będę zachodzić do obejścia – rzekł na koniec Łagnik, po czym odwrócił się i począł dalej w wyschniętym pyle.



W dwa dni później baby wybrały się kopać kłacza kozłka. Właściwie dziwna rzecz, że tyle zacnych wilżyńskich gospodyń poczuło jednego dnia kłucie w piersiach i niepokój musiało ukoić. Dość że po porannych obrządkach jęły się pojedynczo wymykać z chałup w kierunku Wdowiego Lasku, gdzie się, jak wiadomo, zioła osobliwie udają. I jakież było zdziwienie, kiedy wśród poszukiwań schodziły się sąsiadki pomiędzy chaszczami. No, ale skoro już się spotkały, grzech byłby kilku uprzejmych słów nie zamienić. Z ulgą podstawiały więc kosze i kobiałki nad strumieniem, gdzie chłód sprzyjał pogawędce. Niby to rozmawiały o zbiorach, o tym, która z komorniczych córek do nadmiernej poufałości z wędrownymi pachółkami przysła i czy przed zimą od brzemienia się rozpuchnie, o nędznym losie Kordelii, o wilkach, które się nadzwyczajnie w górach rozpleniły i pod samym nosem pastuchów owce z pastwisk porywają. Wymieniano jednak nowiny niemrawo i jakby z obowiązku, żeby się całkiem otwarcie nie przyznać, co je przygnało do Wdowiego Lasku w ten piękny dzień, rozmarzony od babiego lata.

– Wciąż wokół zagrody łązi – rzekła wreszcie Miłka ponuro, przy czym w przygnębienie wprawiały ją nie tyle nieszczęścia ziomków, ile ból w plecach, bo dawno się nie zapuszczała tak daleko od wioski. – Oj, będzie z tego bieda.

– Przepędzić by się gozdało – syknęła przez zęby rumiana panna Bażynka, w której odezwała się młodzieńcza wiara w proste rozwiązania.
– Czego tu jeszcze szuka? Toć jest rabuś zwykły!

Wieśniaczki rozłożyły się na trawie w swoich sutych spódnicach i jasnych bluzkach jak krąg barwnych grzybów. Staruchy poprzysiały na kamulcach, ale pozwalały się raczyć piwem i chlebem grubo posypanym solą.

– Ani chybi Waligórze sprzyjał – zawtórowała jej inna kobiecina, chuda i poznaczona na gębie śladami po ospie. – Zdałoby się go obwiesić.

Siwka lekceważąco wzruszyła ramionami. Umordowała się

straszliwie, żeby przywlec się aż tutaj, ale za nic nie zlekceważyłaby takiej pociesznej awantury. W skrytości ducha liczyła, że powrót Wronisza da poczciwym ludziom należyty asumpt, żeby wreszcie przegnali resztki zbójeckich przybłęd. Owszem, w swoim czasie, tuż po najazdach maruderów, spędzeni przez wiedźmę rabusie i złodzieje pomogli osieroconym gospodyniom przetrwać zimowe miesiące i wioskę ze zgłiszczy podnieść. Niektórzy wżeni się nawet w poczciwe kmiece rody, to prawda. Jednakże zdaniem Siwki większość z nich to łajdusy ordynarne i niegodne zaufania, a wioska wywdzięczyła im się aż nadto, żywiąc ich i chroniąc przed katem. I basta. Starczy pospólnego życia. Kukawka zawsze pozostanie kukawką, choćby i w kurzym gnieździe chowana, wnet braci i siostry z drzewa zaczną strącać. Lepiej jej zatem kark skrócić, zanim się zanadto rozpanoszy.

Nie, w Wilżyńskiej Dolinie nie kochano obcych.

Nadto nie wiedzieć, kto jeszcze może wrócić, skoro pojawił się Wronisz, którego dawno wszak oplakano i złożono w grobie.

No, Łagnika może trochę Siwka żałowała, grzeczny był z niego kawaler, nic nie można powiedzieć. Czapki zawsze uchylił, kiedy ją na ścieżce spotkał, i mleka ze skopka odlał, jeśli zaszła na podwórze. Ale jak mus, to mus – i trza sprawiedliwość czynić.

– E tam -- burknęła, przebijając paluchami w przydużych chodakach. – Łagnika nikt w komitecie nie widział i od całej kopalni się on z daleka trzymał. Robotny jest, więc w polu siedział.

– Prawda – poparła ją Honorcia, która jako córka najzasobniejszego we wsi kmiecia czuła się w obowiązku zaświadczyć o gospodarskich kompetencjach Łagnika. – Zboże pierwszy zwiózł. W caluńskiej Dolinie.

– I co z tego? – prychnęła Bażynka: zagroda jej ojca sąsiadowała z Szyszkową i nieustannie trwały spory o włazące w szkodę prosięta, psy, co nową kapotę poszarpały, zaduszone kurczęta i podebrane gęsie jaja, nie potrafiła więc przepuścić okazji, żeby nie przygadać córce najzacieklejszego wroga. – Rabuś jest, pospolity rabuś. Nie wiedzieć, co on tam nadokazywał, zanim go tu Babunia sprowadziła.

Honorcia posłała jej tak wyniosłe spojrzenie, jakim dziedziczka sześciu mórg oraz czerwonych koralu, najdłuższych w całej wiosce, może obdarzyć spadkobierczynię nędznego dwumorgowego zagonu.

– Tak mi się coś zdaje – rzekła z podstępą słodyczą w głosie – zem cię nie dalej jak trzy niedziele temu z jednym z tych rabusiów na wielce poufnej pogawędce pod drewnutnią oglądała. Ale może mi się przywidziało.

Porażona potwarzą Bażynka otworzyła usta, by wybuchnąć potokiem zwyczajowych złorzeczeń, ale przez chwilę jedynie łapała powietrze jak ryba wyciągnięta na brzeg. Cierpiała bowiem na tę przykrą przypadłość, że w zdenerwowaniu jąkała się i rumieniła tak mocno, jakby jej z policzków miała trysnąć krew.

– Nie w tym rzecz – przerwała karcąco Miłka, która nie lubiła, gdy młodzi nazbyt dokazywali – ile drzewiej nabroił, jeno w tym, że nie nasz jest. Nikt nie wie, kto jego rodzice i skąd ród swój wiezie.

– Powiada, że od strony Turzni, gdzie targi bydłące – odezwała się nieśmiało Goryczka, małżonka koniokrada.

Kilka bab pochyliło się ukradkiem ku ziemi, żeby ukryć uśmiech politowania. Goryczka była niewiastą nabożną i z kośćmi pocziwą, wszelako nie grzeszyła nadmiarem rozumu, podobnie zresztą jak jej łajdacki małżonek. Zapewne dlatego wybaczone mu współudział w nieszczęsnej awanturze na folwarku, a nawet i to, że za hycła przystał i nie tylko padło po wiosce zbierał, ale i na rozkaz kupca wyliczał sąsiadom razy u pręgierza. Każdego innego wściekli gospodarze rozszarpaliby bez zwłoki, koniokrad jednak nadal snuł się po wiosce, popatrywał im w twarze szczerymi błękitnymi oczami, uśmiechał się spod postrzępionej grzywki i szczyrzył pieńki zębów w pozapadanych dziąsłach. Każda wioska potrzebuje swojego głupka, więc wzdychano z ubolewaniem nad durnotą koniokrada, ale i czerpano z niej niemało satysfakcji. Wystarczająco dużo, by przemóc niskie pragnienie zemsty.

– Powiadać to on się może choćby utraconym synem Kii Krindara – rzekła z mocą Siwka.

– Albo nawet córką – dodała z rechotem Miłka i inne baby zawtórowały jej z uszanowaniem, że wszystkich bowiem wilżyńskich staruch miała najostrzejszy jęzor i zawsze lepiej było się jej przypochlebić niż pochopnie wystawiać na obmowę. – Ale nie w tym rzecz, powiadam. Skąd wiemy, jaka krew w nim płynie?

– I czym się, jeśli nie w tym, to w następnym pokoleniu odbije –

zawtórowała Siwka. – Z przybłędami nigdy nie wiadomo.

– Jeszcze któryś wuja siekierą zarąbie, jak to łośkiej wiosny Kokoryk uczynił – rzuciła z nabożną grozą dziobata baba. – Albo komuś popiołu z żab do strawy dosypie, jak, pamiętacie, jeszcze przed wojną Kruszczyzna świekrze swojej zadała, żeby w męczarniach zdechła?

Inne zawtórowały jej natychmiast gorliwie, nie poświęciwszy ani jednej myśli temu, że ubolewają nad niegodziwościami godnych wilżyńskich obywateli, od wielu pokoleń w okolicy zasiedziały.

– I nie może prawowity gospodarz być na własnej ziemi za pachotka – rzekła z mocą Honorcia, bo jako dziedziczka twardo wierzyła w przyrodzony porządek świata. – To nie po bożemu.

– Ani nie godzi się babie z dwoma chłopami mieszkać – dodała z namaszczeniem Miłka. – Ogień by na nas bogowie za to z nieba spuścili.

Bażynka otwierała usta i chciała coś jeszcze dorzucić, refleksję wiekopomną, która wpędzi wszystkie sąsiadki w zadziwienie i podziw, ale stara ściągnęła z dezaprobatą wargi. Nie zamierzała pozwolić, żeby jakaś narwana smarkula gadała po niej bez pozwolenia. Baby pokręciły się zatem jeszcze po Wdowim Lasku, przez przyzwoitość nakopały trochę kłaczy, żeby nie wracać z pustymi rękami, i w poczuciu spełnionego obowiązku przed południowym biciem dzwonu rozeszły się do domów.



Przez następne trzy dni do zagrody Wronisza zwożono rzepę, buraki i seler, zbierano w sadzie jabłka, gruszki i pigwy. Dzieci wyprawiały się do lasu po orzechy i grzyby, a Liwienka najęła do pomocy Jewkę, żeby to wszystko przerabiać na dżemy, nalewki, kisić, solić i suszyć. Po zmierzchu utrudzony Wronisz walił się w butach na posłanie, jakie sobie uszykował w komórcie za piecem, gdzie zimą trzymano żywninę. Bo spać obok żony nie potrafił i nie chciał, mimo że każdego wieczoru łóżko mamiło go stertą wykrochmalonych poduch. Wieczera też stała się przemyślną torturą. Siadał na gospodarskim miejscu, a znad błatu śledziło go z przerażeniem pięć par dziecięcych oczu, kiedy modlitwę odmawiał i chleb łamał. Nie umiał tego znieść. W pół posiłku wstawał,

mamrotał coś o krowach, o obrzędku i do obórki uciekał, chociaż dobrze rozumiał, że tylko pogłębia zamęt i obcość.

Dobrze, że Łągnik w oczy mu nie lazył, bo chyba by nie zdzierzył. Ale choć rywala nie oglądał, przecie wszędzie natykał się na ślady jego obecności. Przetarte rzemienie w uprzęży przez noc ulegały cudownemu załataniu. Wyszczerbiona wieczorem siekiera rankiem czekała na pieńku, znowu ostra jak brzytwa. Ktoś ośkę pękniętą wymieniał, gnój w warzywniku rozrzucał, koniom owsa przed brzaskiem sypał. Wronisz w nocy spać nie śmiał, kulił się tylko na słomie i nasłuchiwał, lecz nigdy nie ułowił najlżejszego choćby śladu bytności rywala. Nie, do izby nie zachodził, tego Wronisz był pewien chociażby z płaczów dzieci, które Liwienka starała się koić, jak tylko potrafiła. Ale po zagrodzie się kręcił, bo cosik Wronisz nie wierzył, żeby wszelkie krasnoludki z całej Wilżyńskiej Doliny zbiegły się do jego zagrody na pomoc.

Rozwścieczała go ta nieuchwytna, a przecież nieustająca obecność. I nie szło bynajmniej o to, że sam ręki do gospodarstwa nie miał. Bo co tu kryć, kiedy jaśnie władyka pachółków zaczął zbierać, Wronisz nie tylko uciekać nie myślał, ale jeszcze ze starostą dwie noce z radości w karczmie pił, że się mu wreszcie uda na swobodę wyrwać. Chciał się w świecie wyszumieć, poużywać sobie. W Dolinie wszak życia nie miał, jedna bieda z nędzą, co rok nowy dzieciak i miska nieokraszonej kaszy.

Liwienka trochę płakała, ale babska rzecz płakać, więc nie przejął się zbyt, tylko groszem jej w oczy błysnął, co mu władyka na dobry początek wypłacił. Potem na dobry początek poszedł znowu pić, żeby tych nowych rozkoszy zakosztować, co na niego w wielkim świecie czekały. A na dobry koniec, z karczmy powróciwszy, żonę po grzbiecie wymłócił, kiedy na pożegnanie nóg mu się czepiała.

I wreszcie czuł się jak pan. Ba, jak kniaź się czuł, w całych Górach Żmijowych najpotężniejszy, taka moc i potęga go rozpierały!

Zadumany nad swymi dawniejszymi swymi głupotami ani spostrzegł, jak zawędrował nad gnojownik. Obok, w cuchnącym bajorku, z lubością pływały kaczki – pstrokaty kaczor przepędzał je z brzegu na brzeg, podszczypując w kupry. Z tyłu, od strony chałupy, dobiegało jazgotanie Liwienki. Beształa za coś maluchy, nie zrozumiał powodu, a wtórował jej przeraźliwy ryk dzieciaków i ujadanie psa, który stał na przyzbie, z uciechą przyłączywszy się do zabawy.

Zacisnął powieki, lecz dźwięki nadal bezlitośnie wdzierały mu się do umysłu. I przypomniał sobie nagle, przed czym na wojnę uciekał. Jak mu się wówczas ciasna i duszna wydawała ta chałupa i baba ponura, milkliwa, jeno do rodzenia dzieci zdatna, ale nie do śmiechu, nie do uciechy. I złość go z nagłą zdjęła okrutna, nieprzebrana, bo znów miał wrażenie, że cały świat zwiera się wokół niego jak dyby.

– A nie! – usłyszał znienacka za sobą. – Przez ciebie to wszystko! Przez ciebie!

Otrząsnął się. Jasnowłosa smarkulka stała przed nim z zaciśniętymi piąstkami. Na twarzy miała czerwone ślady po świeżych uderzeniach – i nienawiść.

– Wolałabym, żebyś zdechł! – krzyczała. – Żebyś nigdy nie wrócił!

Aż się wzdrygnął, z taką siłą smagnęło go to dziecięce życzenie, wykrzyczane pod jasnym słońcem. Dziewczynka odskoczyła w panice, spodziewając się ciosu, bo też podobne bezbożności nie mogły pozostać nieukarane. Wronisz odruchowo spróbował ją pochwycić, ale mała uchylła się zwinnie i jakimś sposobem – nigdy później nie wiedział, jak to się stało – popchnął ją jeszcze mocniej.

Dziecko krzyknęło jeden raz, nawet nie głośno, a potem omsknęło się z krawędzi grobelki. Wroniszowi mignęła przed oczami jej opuchnięta twarz, niemal nierozpoznawalna w przerażeniu, a potem mętna woda się zamknęła. Ani nie mignęła jasna koszulina. Tylko kaczki rozpierzchły się w popłochu.

Skoczył, jak stał. W czapce, w butach. Tyle że na darmo.

Nie mógł jej wymacać. Błotnista woda zalewała mu oczy, wdzierała się do płuc. Niby staw był płytki, taki, że stanąwszy w najgłębszym miejscu, nieledwie wyprostowanymi rękami sięgał powierzchni. A jednak dziecko wymykało się jego dłoniom. Już mu się zdawało, że ją czuje, chwycił skraj koszuliny i ciągnął na powierzchnię, lecz kiedy się wynurzył, w garści miał zaledwie garść przegniłych łodyg. Zupełnie jakby go jakiś bóg oślepił. Jakby chcieli mu to dziecko odebrać.

Słabł. Woda wokół gęstniała, pierś pęczniała od bólu i gdzieś z głębi stawu przyzywał go głos dziecka – „Wolałabym, żebyś zdechł, żebyś nigdy nie wrócił!” Ale chłód koił i przyzywał, i wszystko stawało się obojętne.

Nie usłyszał plusku. Po prawdzie nie poczuł nawet szarpnięcia, kiedy ktoś wyrywał go na powierzchnię. Potem krztusił się i rzygał, że mało mu wnąpia przez gardło nie wypadły. Wkoło nie patrzył, choć ktoś się tam krzątał, coś pokrzykiwał, rękami machał.

Gębę wreszcie otarł i usiadł. Sam. Kilka kroków dalej Łągnik tulił dziewczuszkę. Liwienka klęczała obok, cała zapłakana. Dalej inne dzieciaki, zaryczane i przerażone.

Omiótł ich wszystkich wzrokiem. Woda mu wciąż ciekła z czupryny, zalewała oczy.

– Tak dalej być nie może – powiedział powoli.



– Więc powiadacie, że się dogadali? – Panna Bażynka z przejęciem przyłożyła dłonie do rozplomienionych policzków. – I pospołu w chałupie mieszkają?

– Ajuści! – zaśmiała się grubo jedna z wędrownych żebraczek, co wędrowały po Górach Żmijowych, w czas żniw wynajmując się do rozmaitych robót. – I pospółek pod jedną pierzyną sypiają!

Miłka skarciła ją surowym wzrokiem. Przepędzić przybłądy precz nie mogła, bo baby zebrały się w kruchcie, żeby uwić z kwiatów nowe przybranie dla figury Cion Cerena i nijak było wzbraniać komukolwiek dostępu do świętego miejsca. Ale wcale jej nie cieszyło, że byle łazęga ciśnie się pomiędzy pierwszymi gospodyniami.

Nie, duch egalitaryzmu był Miłce całkowicie obcy, chociaż sama urodziła się na gołym klepisku, jako czwarte z dziewięciorga dzieci zagrodnika, który, ani chybi nie mogąc znieść tego urodzaju, obwiesił się pewnego zimowego wieczoru w chlewiku. No, ale nie po to przeżyła dobre sześć tuzinów lat, zmagając się z bólem krzyża, kłuciem w piersiach, puchliną nóg i bolesnymi wrzodami na brzuchu, żeby teraz rezygnować z przywilejów, jakie dawała jej starość. Bo teraz, w pełnej krasie pięciu zębów, jakie jej pozostały, zgarbaciącego grzbietu, kaprawych, nieustannie załzawionych oczu i resztek włosów, tak skąpych, że nie dawało się ich zapleść choćby i w najcieńszy warkocz,

Miłka stanowiła wilżyńskie ucieleśnienie odwiecznej ludowej mądrości. Ostatecznie była najbardziej sędziwą babą we wsi. I najbardziej złośliwą. I nie zamierzała pozwolić, żeby byle żebraczka wypchnęła ją z siodła.

– E, co to, to nie! – prychnęła Jewka.

Rzecz oczywista, siostra kowalików, niedawna kochanica zbójcy Waligóry i współniczka wiergowskiego kupca, w żaden sposób nie zasłużyła, aby jej dłonie dotykały świętej figury. Jednakże dzisiejszego dnia baby nie czyniły jej żadnych wstretów, mimo że jak zwykle przywłokła się z pustymi rękami, bez choćby kromki chleba i flaszeczki piwa. Nie dopuszczono jej jednak do komitywy za bezdurno. Miała Jewka bowiem towar od innych cenniejszy – wieści. Nie darmo najęła się do roboty w zagrodzie Wronisza.

– Razem się nie pokładają – ciągnęła z wyniosłym uśmiechem, bo nienawidziła zacnych wiergowskich gospodyń z taką samą siłą, z jaką one nią gardziły. – W każdym razie nie w izbie, bo kto ich wie, co nocką na sianie czynią? – zachichotała cienko, choć była to oczywista nieprawda i w stodole spało jeszcze dwóch najmitów, więc nijakiego poróbstwa tam urządzić nie mogli. – Liwienka tęga baba, obu może wygodzić.

Słowa Jewki ledwo docierały do Miłki. Z roztargnieniem przyglądała się wędrowniej żebraczce. Choć stara, jałmużniczka musiała być wciąż krzepka, skoro Szyszek, oszczędny jak każdy bogacz, najmował ją do kopania marchwi. Ale z gęby to jej uczciwość nie patrzyła, fuknęła w duchu Miłka. Nie, mordę miała chytrą i wredną od nieszczęścia, bo jest rzecz powszechnie znana, że im człeka bardziej zły los przygniecie, tym bardziej zawistny się staje i dla szczęśliwszych od siebie jadowitszy.

Ani chybi, myślała sobie dalej Miłka, a nozdrza się jej rozdymały, jakby zwietrzyła coś niezmiernie smakowitego, łatwo z tej nienawiści do jakowejś niecnoty przyjdzie, bo życie, zwłaszcza cudze, dla onych gołodupców rzecz tania. A ona mi się nie na byle podpalaczkę patrzy, nie na trucicielkę zwykłą, co bydłu szaleju zada. Nie – skrzywiła się, bo żebraczka akuratnie sięgnęła zachłannie po kromkę chleba, a Miłka zwykła uważać resztki po takich babskich spotkaniach za przynależną sobie własność – ona raczej na wiedźmę wygląda, taką, co i dzieciaka umorzy, i niewiastę w połogu spaskudzi, i chłopu płodność odbierze. Właściwie, jakby się dobrze rozpatrzyć, pewnie już niejednego do

śmierci przywiodła... Miłka wsadziła do ust śliwkę i zaczęła z ukontentowaniem przeglądać kalendarz ostatnich sąsiedzkich śmierci.

Tymczasem inne wieśniaczki, osobliwie panny, a więc mniej doświadczone w rozkoszach małżeńskiego łoża, z napięciem wpatrywały się w Jewkę, wyczekując rozpustnych szczegółów. A siostra kowalików uśmiechała się krzywo, włosy w palcach kręciła i rozkoszowała się każdą chwilą swojej ważności.

– At, zmyślasz, ścierwo. – Siwka poczuła się w obowiązku przywołać Jewkę do porządku.

Lecz po prawdzie i ją uwierały rewelacje dziewczyny. Bo jakże tak? Jak już się trafiło, że dwóch mężów jednej babie ślubowało, zdałoby się jakoś ten węzeł rozplątać, a szybko, zanim się bogowie rozjuszą.

A, co jest wiedza powszechnie znana, skoro po dobremu nie wyszło, trza po niedobremu spróbować.

Choćby i żelazem. Choćby i tajemną trutką.

– Bogowie odpuście! – Uczyniła znak odpędzający złe, bo ani chybi bies jakiś podsuwał jej nieczne zamysły w świętym przybytku Cion Cerena.

I to również wina Liwienki i jej obu gachów, pomyślała wrogo. Nie dość, że sami grzeszą, to jeszcze innych do złego przywodzą.

Zerknęła spod oka na Miłkę, najbaczniejszą życia wilżyńskiego obserwatorkę, wyczekując od niej wsparcia. Ale Miłka, rzecz osobliwa, siedziała cichutko na swoim stołku i tylko gębą nieznacznie ruszała. Może chleb żuje, pomyślała ze współczuciem Siwka, bo zębów jej już wiele nie zostało, o nie...

Raptem błysnęła jej w umyśle fortunna myśl.

– Plebaną, dobrodzieja naszego o radę poprośmy! – wykrzyknęła, choć zwykle pilnowała bardzo, najakuratniej zaś innych, żeby głosu w świętym przybytku nie śmieli podnosić. – Wszak on tu na straży praw boskich stoi.

Inne baby jęły mrużyć i kiwać z aprobatą głowami.

Tylko Miłka wciąż w zadumie przyglądała się zebraczce, gdy ta ogryzała resztki chrząstek z pieczonego kurczaka, którego przyniosła Honorcia. I zastanawiała się, jak by tu tę jałmużniczkę wstrętną a hardą

sprytnie uwędzić, żeby się Babunia Jagódka nie dowiedziała.

W Wilżyńskiej Dolinie każdy miał swoje troski.



W Wilżyńskiej Dolinie mijali panowie, klerycy wykruszali się jako piasek ze źle związanej zaprawy, kmiecie marli bądź uchodzili na wojnę, niewiasty uciekały z wędrownymi parobkami albo łajdaczyły się pokątnie i marły pod ciężarem nieprawego brzemienia, poczciwi gospodarze obmieniali się w zbójców, zbójcy zaś obrastali tłuszczem i gospodarską wprawą – słowem, świat odmieniał się i migotał jak odbicie w stawie. Wszelako wśród tego zamętu pleban trwał, niewzruszony jak księżyc i gwiazdy.

I nie dlatego bynajmniej, że wyrywał się przed szereg i śmiałym słowem smagał choćby i najdosłojniejszych grzeszników. Nie, żeby wytrwać w Wilżyńskiej Dolinie, należało być człowiekiem łebskim i giętkim, a w potrzebie potrafiącym i oczy trzymać mocno zamknięte.

Dlatego czcigodny duszpasterz nie uradował się bynajmniej, kiedy w kruchcie opadła go gromada bab. Ani zdążył kadzielnicę pochwycić, żeby się przed świątobliwym zapałem podopiecznych zasłonić, kiedy jęły go niewiasty po rękach całować i jazgotliwie zdrowia oraz wszelkiej pomyślności mu życzyć. Pleban natychmiast spochmurniał. Wylewność wieśniaczek nie wróżyła nic dobrego, ale wymknąć się nijak nie mógł. Ostatecznie był u siebie. We własnej świątyni.

Czasami miał ochotę zamknąć ją na kołek i wreszcie mieć trochę spokoju od wilżyńskiej hałastry.

– Musicie coś, wasza świątobliwość, z tą sprośnością zrobić – oznajmiła surowo Siwka, kiedy minął powitalny rejwach.

Pleban stropił się jeszcze bardziej. Raptowny awans z „mości dobrodzieja” na „waszą świątobliwość” niechybnie zwiastował nieszczęście.

– Świątynię trza zamieść – burknął, żeby zbić babiniec z tropu i do przyrodzonych mu zadań zapędzić.

Ku jego zaskoczeniu żadna nie chwyciła za miotłę, choć baby w

wilżyńskiej wiosce były – w ogólności – poczciwe i zwierzchność szanujące.

– Pierwej trza zgorszeniu kres położyć – zajazgotała wytrwale Siwka – zanim nas bogowie za zatwardziałość pokarają.

– Ajuści! – zawtórowała jej Goryczka, która jako żona obwiesia, przy tym przygłupiego, miała wszelkie powody, by napawać się deprawacją bliźnich. – Nie może być, żeby w biały dzień niewiasta z dwoma chłopami cudzołożyła.

– Zwłaszcza że dla niektórych i po ciemku jednego nie staje – wtrąciła Jewka, rzucając przy tym wstrętne spojrzenie ku Bażynce, która istotnie doszła już do wieku dojrzałego, a jakoś się do niej zalotnicy nie garnęli.

– A żebyś zdechła, cholero! – pożyczyla jej serdecznie rumiana panna.

– Wy mi tu jarmarku nie czyńcie! – huknął pleban, w głębi ducha rad, że się baby lada chwila wezmą za łby i rzecz, czymkolwiek była, rozejdzie się po kościach.

Ale się przeliczył.

– Cichać, ścierwa! – Miłka poderwała się zniecka ze stołka i wymierzyła kilka bardzo celnych ciosów kosturkiem.

Bażynka kwiknęła cienko, podczas gdy Jewka aż się cała skuliła po tym, jak sękata laska raz po raz opadała jej na grzbiet – bowiem Miłka bynajmniej nie tłukła z jednaką siłą zasobnej panny i obszarpanej powsinogi.

– Tuście są przed obliczem boga i samego pana dobrodzieja – napomniała je trzęsącym się głosem zezowata Pietka. – Nie godzi się urągliwą mową świętej ziemi kalać.

Pleban uczynił dwa kroczyki ku bocznej nawie, żeby się wymknąć chyłkiem. Z rozjątrzenia babinca wnosił, że w wiosce szykuje się coś bardzo, ale to bardzo niedobrego, i zły był na gospodynię, że go w porę nie uprzedziła. Bo wilżyński duszpasterz rozumiał wybornie, że człek nie owieczka bez skazy, musi sobie czasem pofolgować. Dopiero co pohulali zagrodnicy, podjudzeni przez wiergowskiego kupca, a teraz baby zaczynały szaleć. Co oznaczało, że najwyższy czas wybrać się na wysokie pastwiska i błogosławić pasterskie szałas, póki się tumult w wilżyńskiej wiosce nie utrząsie.

Zrobił jeszcze dwa kroki – baby szumiały i poczywały do kudłów sobie sięgać – poczuł na grzbiecie bezpieczny chłód nawy, kiedy Honorcia znienacka ucapiła go za skraj kapicy.

– A jeśli od tego bezceństwa bogowie mór na nas spuszczą? – załkała. – Niewiastom łona wygniją, krowom wymiona wyschną?

Pleban skrzywił się nieznacznie. Chociaż uważał, że strach wśród maluczkich jest pożyteczny, mierziły go brednie o końcu świata, rozprowadane przez wędrownych kaznodziejów. Nie rozumiał, po co w ogóle zapuszczają się aż do Wilżyńskiej Doliny. Najchętniej wywieszałby ich jak zwyczajnych kłusowników.

– Jakby od byle grzechu niewiasty rodzić przestawały – rzekł jowialnie, bo wprowadzie czelność panny go złościła, ale ojciec Honorci potrafił sypnąć groszem na nowe pokrycie dachu świątyni i niejedną gęś porą zimową na plebanię posłał – już by człowieczego rodzaju całkowicie zbrakło.

Tych parę słów wystarczyło, żeby gromada bab opadła go na nowo.

– Ale jakie zgorszenie! – zamlaskała bezzębnymi ustami Siwka. – Jaki wstyd przed ludźmi!

– Obmówią nas na jarmarkach! – podniosły entuzjastycznie inne gospodynie. – Pójdzie hyr po górach, że u nas baby wspólne, wielomęstwo uprawiają.

– Wyświęcić ich duchem trzeba! – Miłka wymachiwała nad głowami sąsiadek kosturem niczym bitewną chorągwią. – W dziegciu i pierzu wytarzać.

Pleban poddał się z jękiem. Opadł na ławkę, bo z wiekiem nogi doskwierały mu coraz bardziej, i dał białogłowom znak, żeby się nieco odsunęły.

– Powiedzcie mi zatem, moje dobre kobiety, co się wydarzyło – nakazał kwaśno.



Kiedy o zmroku wilżyński pleban zawitał do obejścia Wronisza, z pozoru wszystko wyglądało jak należy. Ledwo furtki uchylił, pies

rozszczękał się jak szalony, a gospodyni przytruchtała do płotu i cmoknąwszy w rękę, z uszanowaniem powiodła gościa do izby. Wewnątrz było zamiecione, pachniało świeżą strawą, na łóżku sterta poduch w wykrochmalonych powłóczkach sięgała prawie do powały. Słowem, nie dostrzegał żadnych widocznych śladów łajdactwa.

Poza dwoma mężczyznami, którzy siedzieli po przeciwnych stronach stołu nad wieczerzą.

Przez chwilę wszyscy trzej gapili się na siebie w oszołomieniu. Potem obaj domownicy poderwali się jednocześnie – Wronisz z krzesła, Łagnik z zydlu, który przewrócił się z hałasem.

Usadowiona na bocznych ławach dzieciarnia przypatrywała się wszystkiemu ze zdumieniem. I w ciszy, skonstatował pleban. Cisza nie wróżyła zbyt dobrze.

– Tak dalej być nie może – rozpoczął twardym głosem, pominąwszy wszelkie zwyczajowe pozdrowienia i pogawędki o pogodzie, bo sprawa, z jaką przyszedł, nie sprzyjała towarzyskim płasom. – Trzeba rzecz prędko przeciąć, zanim się zgorszenie rozejdzie. Zanim spadnie na was kara bogów. – Przeniósł wzrok na Wronisza, licząc, że gospodarz go poprze.

Zapamiętał go jako człeka spokojnego i prawego, który szanował prawa ludzkie i boskie, a od wszelkich kłopotów starał się trzymać z daleka. Dlatego też wilżyński duszpasterz był teraz skłonny wspomóc go w potrzebie. Bo pewnie chłopina pogubił się trochę, kiedy po powrocie zastał w domu podrzutka. No, ale jeśli się Wronisza naprostuje po trochu, na pewno sobie poradzi. Grunt, żeby co żywo tego drugiego usunąć, a wszystko się jakoś ułoży.

– Kara? – odezwał się zniecierpliwiony Wronisz, ale wcale nie pokornie, tylko z przyciszoną złością. – Gorsza od tego, co już się wydarzyło?

Pleban ślepią wybałuszył.

– Bogowie cię szczęśliwie do domu przyprowadzili – spróbował jeszcze, oblekając oblicze w ten rodzaj dobroduszości, która nieodmiennie przyginała harde wilżyńskie karki.

Mężczyzna zacisnął dłonie na krawędzi stołu, aż mu pobieleły kłykcie.

– Bogowie wysłali mnie na tę wojnę – wysyczał. – Bogowie odebrali mi dwoje dzieci, a niewiastę popchnęli na poniewierkę i sami wiecie, co jeszcze się tutaj wydarzyło. A potem – zniżył głos – potem dali mi nadzieję. Tylko po to, żeby zaraz ugodzić mnie jeszcze dotkliwiej.

– Bluźnisz, człeku – skarcił go pleban.

– Wolałbym nie żyć! – wybuchnął Wronisz.

Liwienka płakała cicho i dopiero wtedy pleban pojął, jak wiele łez przelano już w tej izbie.

Uzaliłby się nad nią bardziej, gdyby nie wspomnienie babińca, zaczejonego w kruchcie. Znał staruchy aż za dobrze i wiedział, że nie dadzą mu spokoju, póki sprawiedliwa kara nie zostanie wymierzona – bogowie może i odpuszczali grzechy, ale Miłka z Siwką nigdy. Niby miały rację. Co tu kryć, wioska aż huczała na tę nieobyczajność. I zły przykład szedł między ludzi.

Powinien ich wszystkich wykląć i z wioski precz popędzić. Ale kiedy toczył wzrokiem po izbie, oświetlonej ledwo migotliwym kagankiem, jakoś brakowało mu do tego werwy.

Rozłożył bezradnie ręce.

– Nie możecie żyć se pospołu.

– Tak i my uradzili – odezwał się po raz pierwszy Łagnik.

Gospodyni poruszyła się gwałtownie. Pochwyciła niemowlę i przycisnęła je do piersi.

– A nie! – wykrzyknęła piskliwym, łamiącym się głosem. – Ja nie radziłam. I nie zgadzam się.

Pleban w oszołomieniu wodził między nimi wzrokiem.

Owszem, słyszał o nowomodnych sprośnościach, wszak minstrele zapuszczali się czasem i do Wilżyńskiej Doliny, żeby z luteńką w rękę zawodzić w gospodzie o dalekim, dworskim bezwstydzie, gdzie dwóch gachów pokładało się z jedną ladaczną, a najlepszy druh zakradał się skrycie do łóżnicy władcy, czyniąc z niego rogacza. Ba! – nie zatarła się jeszcze w wiosce pamięć o Jarosławnie, pięknej młynarzównie, którą wiedźma wyswatała niegdyś prawdziwemu księciu, a tyle przyszło z tego pożytku, że się z książęcego tronu ześlizgnęła szybko na postanie Szymka, ongiś świniopasa i wiedźmiego pomocnika. Wielkie namiętności

nie były więc plebanowi ze szczętem obce i potrafił o nich grzmieć bardzo akuratnie, kiedy podczas sumy opisywał wieśniakom ponure ścieżki nieprawości, co prowadzą prosto w wieczysty ogień. Nawet Szczerbata Kryska, wioskowa ladacznica, przystawała wtedy w ciemnym kąciuku babińca, zasłuchana i w rozchełstany przyodziewku, bo wychodzący ze świątyni gospodarze ochoczo zbaczali w zakamarki smentarza, gdzie uprawiała swoje rzemiosło. Pleban rzucał jej wściekłe spojrzenia, prychał i głową potrząsał ze zgrozy, podczas gdy opisywany przez niego występki niepostrzeżenie nabierał bujnych, mleczno-rumianych kształtów Kryski.

Miał więc wilżyński pleban w porywach żądy należyte rozeznanie, choć sam ich nigdy nie doświadczył, jako że Rozalka była niewiastą poczciwą i wierną nad podziw. Nadto chłopstwo – poza niesławnym wyjątkiem Jarosławny – nie kwapiło się do dworskich farmazonów. Płomieniste zapały uczuć rozżarzały się czasem nadmiernie za przyczyną wędrownych parobków, wnet jednak warzyły je pierwsze przymrozki, kiedy najmici powracali do siebie. Ma się rozumieć, czasami przydybano w drewnutni jedną czy drugą gospodynię z sąsiadem albo, co gorsza, domokrążcą, ale otrzaskana przez męża po pysku wnet przychodziła do rozsądku. Obrzemienione dziewczki też szybko przestawały szaleć, a dwa dodatkowe świniaki posagu prędko cerowały nadwątloną cnotę. Ale wszystko to działo się pokątnie i z uszanowaniem dla obyczaju. Nie, jawnie grzechu w Wilżyńskiej Dolinie nie celebrowano i baby się swobodnie między dwoma posłaniami nie włączyły.



Wielkie namiętności nie były więc plebanowi ze szczętem obce i potrafił o nich grzmieć bardzo akuratnie. Nawet Szcherbata Kryska, wioskowa ladacznica, przystawała wtedy w ciemnym kąciku babińca, zasłuchana i w rozchełstany przyodziewku. Pleban rzucał jej wściekłe spojrzenia, prychał i głową potrząsał ze zgrozy, podczas gdy opisywany przez niego

występek niepostrzeżenie nabierał bujnych, mleczno-rumianych kształtów Kryski.

Aż do teraz.

Dlatego plebanowi języka zgoła w gębie zbrakło. Bo przysadzista, cycata Liwienka nijak nie pasowała do pieśni minstrela, a żaru w niej widział tyle, co w okopconym kotle. Obaj jej mężowie, przykurzeni jakby i pomętniali pod ciężarem nieszczęścia, też wydawali mu się bardziej zdadni do pogawędki o parchach jabłoni albo prosieniu macior niżli roztrząsania udręk serca.

– Trzeba wybrać – powiedział szeptem Wronisz. – Nie może trwać tak dłużej.

Kobieta milczała z zaciętą twarzą.

Kiedy pleban z podkulonym ogonem wrócił po wojnie z miasta, Liwienka żyła już w jednym obejściu z Łagnikiem, jak i wiele innych niewiast czyniło, pobrawszy sobie za towarzyszków opryszków przygnanych do Doliny przez Babunię Jagódkę. Że zaś po podwórku bawiło się dwoje płowych dzieciaków, wilżyński duszpasterz zacmokał z przyganą, po czym kazał Rozalce wezwać obcego na posłuchanie. Łagnik stawiał się na plebanii na suto wyładowanym wozie, dając znak niezawodny, że przyzwoitość i bogobojne obyczaje nie są mu obce. Wypito flaszkę podpalanki, kilka worków najprzedniejszej pszenicy, antałek ciemnego spichrzańskiego piwa, prosiak i tuzin kogutków zmieniły właściciela, a w najbliższą niedzielę pleban uroczyście połączył jasnowłosego grasanta z wdową po Wroniszu. Tak, wilżyński kapłan musiał przyznać, że przybłąda okazał się gospodarzem nad podziw sprawnym. Bardziej akuratnym niż ten pierwszy, przemknęło mu przez głowę i zaraz zdusił tę myśl niecną, bo przecież nie było dwóch. Był tylko jeden prawowity mąż, cała reszta stanowiła oszustwo, a samego plebana też zwiedziono ohydnie, że je pobłogosławił.

Wszystko to jej wina, pomyślał z pretensją, tej baby durnej. Nie mogła chwili jeszcze poczekać? Nie, tak ją swędziało, że nowego potrzebowała chłopa, coby ją dobrze wyłechtał. A teraz jest ambaras i zgorszenie jawne.

– Nic nie wybiorę! Nie wybierałam wojny ani tego, co przyniosła. Nie

wybierałam zgliszczy, głodu ani mogił, ale musiałam przejść przez nie i pomimo nich, i przeprowadzić dzieci, te – krótko, gniewnie kiwnęła brodą ku maluchom, które przypatrywały się jej w oszołomieniu – co mi zostały. I żadnego z was też nie wybiorę. Nie zrzucacie tego na mnie.

Któreś z młodszych zaczęło rozgłośnie i zaraz starszy brat przycisnął mu rękę do ust, żeby zdławić nieprzystojne dźwięki.

– Jednego ci bogowie naznaczyli małżonka – pouczył ją pleban, który, mimo urazy, czuł się w obowiązku udzielić tej rodzinie duchowego wsparcia. – Tego, któremuś pierwej...

Gospodarz poderwał się ze swojego stołka i taki gest uczynił, jakby chciał kapłana odepchnąć. Proboszcz odskoczył szparko i ramieniem się zasłonił, lecz Wronisz pohamował się szybko i ujął go tylko za łokieć.

– Po mojemu czas się wam do wieczornych modłów szykować – oznajmił szorstko, po czym powiódł opierającego się pasterza ku wyjściu.

Zanim pleban zdążył jakikolwiek protest z siebie wykrztusić, znalazł się na progu, a drzwi za nim zatrzaśnięto i pospiesznie zasunięto skobel.

– Jakże tak...? – wybełkotał, lecz zniewaga docierała do niego już, przystrojona w wielogębną plotkę o jego pociesznym wypędzeniu z chałupy, która pewnie przed świtem obiegnie wilżyńską wioskę.

We łbie mu się nie mieściło, że Wronisz śmiał go tak poniżyć. Pocziwy, korny Wronisz, który nigdy nikomu nie ubliżył, który przed sołtysem albo jego pomocnikiem giął się i płaszczył, jak przed jaśnie panem. Ale gwałt ów, owa zniewaga na najznakomitszej osobie w wiosce popełniona, rozjątrzył plebana niezmiernie. I w tejże minucie podzielał całkowicie oburzenie Miłki i innych niewiast. Grzech, raz zapuściwszy korzenie, rozrasta się prędko i wnet wydaje gorzkie owoce. Wszak sam tego najlepiej doświadczył.

Pogroził kułakiem zapartym okiennicom.

– Jak sobie pościelicie, tak się wyśpicie, ścierwa! – wykrzyknął i zaraz ucichł, bo wilżyńskiemu plebanowi nie uchodziło drzeć się, niby kocurowi w rui, pod zamkniętą chałupą.

Jednakże tamtej nocy mało kto spał w Wilżyńskiej Dolinie.



Wrzask poderwał ich z posłania tuż przed północą. Coś skomlało, skowyczało, zawodziło i piszczało tak potępieńczo, że w pierwszej chwili Wronisz zląkł się, czy nocnica nie zakradła się niepostrzeżenie do izby. Dzieci też rozdarły się ze strachu aż pod powałę. Liwienka, z rozpuszczonymi włosami i w jasnej koszuli, na próżno usiłowała je ukoić.

Dźwięki wzmagały się – do krzyków, ryków i zawodzeń dołączyły teraz piski donośne, kląskania niby jakieś, piski, miauczenia i świergoty, a zaraz później wszystko przytłumił łomot pustych garnków.

– Hej, wychodźcież, gospodyni! – przez hałas przedarł się czyjś głos. – Może i nam dobrze wygodzicie, jeśliście taka skora. – I zawtórowały mu śmiechy, buczenia i nowe łaskoty.

Cała izba zdawała się trząść i dygotać.

W drzwiach komórki dla żywizny stanął Łagnik, w portkach ledwo i ze sztyletem u pasa.

– Tatusiu! – Jasnowłosa dziewczynka rzuciła się ku niemu z rozwartymi ramionami.

Tuż pod drzwiami ktoś łomotał w kociołek.

– Nie teraz. – Odsunął ją łagodnie ku matce. – Nie bój się. Nic się nie stanie.

Coś zabłysło, zamigotało blaskiem w szczelinach okiennic.

– Już się stało. – Liwienka przygarnęła ciaśniej dzieci.

– On ją kołkiem łechce, ona woła jeszcze! – rozległo się prosto w komin i czyjeś nogi załomotały na dachu, wygrywając na krokwiach łajdackiego hajduka.

Śmiechy i łaskoty zdawały się ze wszystkich stron napierać na ściany, ale, rzecz dziwna, dzieci pozostały cicho. Lgnęły tylko do matki i chowały w jej koszuli buzie, ogarnięte tym rodzajem strachu, który wystawia ptaka na pastwę węża.

Tak samo musiały wyglądać, pomyślał ze zgrozą Wronisz, kiedy przyszli grasanci. Wtedy musiało być zupełnie tak samo.

– Dylu, dylu, dylu, zagrajże mi na badyłu! – darł się inny głos.

Coś załomotało w kominie, we ćmie Wronisz nie umiał rozpoznać co. Dopiero kiedy w izbie podniósł się plugawy smród, pojął, że ktoś sypie im do izby piguły łajna.

– Miał ci ją na gumnie, miał ci ją na desce – zawodził ktoś tuż za oknem. – Kuśka mu przywiędła, ona woła jeszcze!

Łagnik przesunął się ciszkiem ku oknu, czujny jak zwierz, kiedy łowca chodzi mu wokół legowiska.

– Nie ociągajcież się, gospodyni! – Znów walono kosturami w drzwi i śmiano się rozgłośnię. – Skoro dwóch nie nastarcza, znajdzie się więcej miłośników.

Wronisz nie rozpoznawał głosów prześmiewców. Zbyt wiele czasu minęło – dzieci, które bawiły się w błocie z prosiętami, kiedy wyruszały wojować, porosły i zmieniły się teraz z młodzików, złaknionych łajdactw i aż nadto ochoczych ojcom ujmę czynić. Sam przecież, wyrostkiem będąc, nieraz jeden wygrywał kocią muzykę pod chałupami bab nazbyt kłótliwych albo mężów bijących i panny rozwiązałe w dziegiu poniewierał.

– Młódź to jeno rozochocona – bąknął. – Wyszumią się i precz pójdą...

– Nie. – Łagnik przyłożył dłoń do okiennicy, jakby przez drewno chciał wyczuć tych, którzy nadal krążyli po podwórzu. – A jeśli nawet, to wrócą. Sfora została spuszczone.

Błyskawicznym gestem odemknął okna i roztworzył je na oścież.

Przed nimi, sypiąc iskrami w niebo, płonęła furtka i ogień rozprzestrzenił się już na część płotu.

– Precz! – krzyknął ku ciemnym kształtom, a te rozprysły się, rozplynęły w mroku, lecz z daleka jeszcze słyszeć było śmiech, buczenie, łoskot i pomiaukiwania.

– Będą wracać, aż nas spalą – wyszeptała Liwienka.

– Chyba że... – powiedział Wronisz i spojrzał badawczo na Łagnika.

Dawny rabuś skinął głową.



O poranku wilżyńską wiedźmę obudziło skrzywienie furtki. Ale jakieś takie niemrawe. Wręcz po trochu gościnne.

Psuje się w obejściu, pomyślała ze złością, oj, na psy ze szczętem schodzi. Furtka się sama odmyka, jabłonka natrętów gałęziami nie tłucze, kura ogniem nie beknie, gości nie osmali. To co toto jest? Wiedźmie obejście czy zamtuz?

– Trza cię będzie skarczować – mruknęła w kierunku jabłoni, po czym z niechęcią podniosła się na posłaniu, wsunęła stopy w rozczłapane kapcie i wylazła na ganek.

– Czego? – warknęła, mrużąc oczy przed słońcem.

Pod płotem, grzecznie przedeptując z nogi na nogę i mnąc czapki w garści, stało dwóch pacholów. Jednego znała dobrze, postawny był i całkiem gładki, ale dziecisków narobił i zdiadział u baby pod pierzyną, więc nie gwarzyła z nim od dawna. Za to dobrą chwilę trwało, zanim wygrzebała tego drugiego z zakamarków pamięci.

– Po prośbie my przyszli – zagaił pokornie czarnowłosy.

Byстрыm oczom Babuni nie umknął i ten szczegół, że obaj dzierżyli pękate flaszki – a po prawdzie ściskali je tak, jakby ich życie od nich zawisło.

I może jakiegoś inszego ranka uradowałby ją trunek, ale ledwo zeszłej nocy uporowała się z powidłami i wciąż miała na sobie poplamiony fartuch, bo taka utrudzona do pościeli padła, że ani go spostrzegła. Paliły od niewyspania oczy, w krzyżu kłuło. Nie, stanowczo nie zamierzała zaczynać dnia od pijaństwa. Zwłaszcza w towarzystwie wiejskich przygłupów.

– No, nie może być, moi ziomkowie poczciwi – zakpiła. – A ja myślałam, że na wesele.

Chłopi gapili się na nią z wytrzeszczonymi oczami.

Jak dwa barany, pomyślała z niechęcią. Jakiż ten naród gruby, jaki bezrozumny...

– Wynocha! – ulitowała się, a po trochu i stać jej się dłużej nie chciało, jak kołkowi, na progu.

Coś jednak nie dawało jej spokoju. Furtka nie odemknęła się bez powodu.

Ciemnowłosa przełknął ślinę, ani chybi zbierając się na odwagę, bo niełatwo sprzeciwić się wiedźmie, na dodatek w jej własnym obejściu.

– Wždy nie pójdziemy – rzekł, a grdyka latała mu w górę i w dół, jakby chciała wytrysnąć na swobodę i co prędzej uciec z tego przekłętego podwórka. – Choćbyście ubili.

Wronisz, przypomniała sobie i raptem pojęła, co ich sprowadza.

Z góry, od komina, zaświergotała nocnica. Wyczuwała nieszczęście jak kot sperkę.

– Do kapłana raczej idźcie – poradziła im z westchnieniem. – Albo do władzyki, skoro nam szczęśliwie wrócił – dodała szyderczo.

– Władzyka pijany leży – odpowiedział Łagnik. – A z plebanem my już mówili.

– Żeby go zaraza stoczyła! – syknął Wronisz i chyba właśnie to serdeczne życzenie najlepiej przekonało Babunię.

– Ano, to wejdźcie – rzekła, ustępując im z drogi.



– Nie odpuszczą nam – oświadczył Wronisz w trzy flaszki później, bo Babunia również sięgnęła do swoich zapasów i teraz pili jej nalewkę na jeżynach, tak siarczystą, że wszelki rozum od niej mętniał.

– Tedy im z oczu zejdzcie. – Wiedźma wzruszyła ramionami. – Jeden czy drugi, obojętna. Nic prostszego.

Wronisz poderwał się z zydlu i zaczął chodzić po izbie, lawirując pomiędzy plamami przyschniętych konfitur, wiórami, potłuczonymi czarkami, pęczkami ziół i tygielkami z jakąś zetlałą, ciemną zawartością, której przeznaczenia ani śmiał dociekać. Właściwie przerażeniem napełniał go już fakt, że oto siedzi z wiedźmą w jednej izbie i gorzałkę chłopcze, jakby się właśnie do tego narodził. Kiedyś, przed wojną, ani mu do głowy przyszło, żeby tu zawitać. Owszem, baby latały do Babuni, to rzecz oczywista. Ale godni gospodarze nie spoufalali się z nią, boby ich ludzki śmiech zabił, że nie potrafią dochodzić swoich racji inaczej, jak chyłkiem i z pomocą wiedźmy.

– A dzieciakom co rzekniem? – odezwał się ponuro Łagnik. – Że ojca wiatr na przepadłe w świat wywiał? Że je z dobrej woli porzucił?

– Nie, Babuniu – zawtórował mu Wronisz, któremu w oczach ćmiło się po równo od trunku i z rozpaczy, bo wspomniął, jak mu się tego ranka najstarszy syn rękawa uczeplił i wedle płotu trzymał, powtarzając raz po raz: „Aby znów nie znikniesz, tato? Nie ostawisz nas samymi?” – myśmy to na wszystkie strony obracali i do niczego nie doszli.

– Prócz tego – dorzucił jasnowłosey – że cokolwiek pocznem, ktoś utrzywdzony będzie.

– A bo wiecie, Babciu – Wronisza nagle sparła osobliwa chęć, żeby najgłębsze myśli wypowiedzieć – mnie się z początku wydawało, że dość to ścierwo – machnął ręką ku jasnowłosemu – wypędzić i drogi powrotnej mu zakazać. Alem wnet zrozumiał, że zawsze się będzie tu kręcił. Jak wilk nocką popod płot podejdzie i do krwi swojej będzie warczał.

– A ty byś swoich zostawił? – mruknął Łagnik.

Ręka Wronisza zatrzęsała się, kiedy sięgał po kubek z okowitą.

– Ja moich żem zostawił, w tym rzecz. Ale raz powróciwszy, nie mogę ich odbiec na nowo.

Głucho zachlupotała nalewana okowitka.

– Widzicie, Babciu – rzekł powoli Wronisz – jam zawsze wszelkie prawa szanował. Nikomu nie uchybiłem, ludzi i bogów w poszanowaniu trzymałem. Do karczmy nie zachodziłem, w karty nie grałem, do bójek się nie kwapiłem. Nikt mnie obmową nie skalał, nikt nie nienawidził. Alem nic z tego nie miał. – Szarpnął się za włosy, mocno, z niedowierzaniem. – Nic a nic. Pola mi nie rodziły, owoce toczył robak, ot, jakoby bogowie przeklęli...

Bez słowa skinęła głową. Takim go właśnie pamiętała – przyciężkiego kmiotka, któremu kamienie same się pod pług garnęły, a piwo kwaśniało mu w dłoniach. Nic specjalnego przecież. Ot, nie szczęściło mu się, ale innych bieda bardziej jeszcze cisnęła. Tak bywa.

– Aż wreszcie takem się własną przyzwoitością uprzykrzył – ciągnął kmieć – że precz na wojnę poszedłem. Żeby wreszcie prawdziwie – zawahał się, po raz pierwszy chyba ubierając w słowa coś, czego sam do

końca nie rozumiał – zakosztować żywota, żeby mi spienioną strugą popłynął do gardła.

– Aleś się jeno zachłysnął – rzekła wiedźma.

Wieśniak porwał się palcami za włosy i mierzwił je długą chwilę, jakby mu to pomagało myśli pozbierać.

– I sobie wtedy, w tiurmie pomyślałem – podjął bardzo cicho – że wciąż mogę wszystko załatać. Że jest czas naprawić, co z niecierpliwości utraciłem. Jednak nic się nie wraca.

Wiedźma w milczeniu obracała kubek.

– A zabijać się nie będziem. – Łagnik zapatrzył się posepnie w płomień.

– Wszyscy tam jeno patrzą – potaknął mu drugi – aż się za łby weźmiemy. Ale niedoczekanie.

– Jakże po tym przed rodziną stanąć? – Dawniejszy rabuś potrząsnął głową. – Jako ojcobójca?

Babunia Jagódka siąknęła nosem.

– A pleban?

– A co on tam wie? – zachnął się Łagnik. – Na zapiecku siedzi, dziesięciny przeżera. Komu on kiedyś pomógł? Za kim się niby ujął? Ot, ledwo maruderzy przyszli, zawiął się i uciekł.

Nie była to cała prawda o wilżyńskim pasterzu, wiedźma wołała jednak zamilczeć. Niezręcznie jej jakoś było ujmować się za plebanem.

– Świątynny chce, żeby on – Wronisz machnął kubkiem ku drugiemu mężczyźnie tak zamasyście, że aż mu trunek pociekł po palcach – precz szedł, bo skoro jeden mąż żyje, tedy drugiego męża nie ma. Jeno że się te wszystkie zimy w dym nie rozwieją od jego chcenia i dzieci też nie ubędzie.

Opróżniona do dna flaszeczka zatrzęsała się, zawirowała i spadła pod stół.

– Co tu dużo gadać – podjął Łagnik. – Myśmy rzecz całą dobrze obmyślili. Trzeba, żebyście nas w kamień zaklęli.

Wiedźma pstryknęła, najmniejsze drzwiczki kredensu odemknęły się ze skrzypem i wyskoczyła zza nich nowa flaszeczka, ciemniejsza od

poprzednich i bardziej omszała.

Przyszedł czas na sławetną wiedźmią piołunówkę.

– Pomiarkujcie się, dobrzy ludzie – zaczęła łagodnie. – W nic was nie będę obmieniać. – I połała sownie trunku, który miał tę miłą właściwość, że wymywał ludziom ze łbów głupoty.

Po prawdzie, jeśli się go piło odpowiednio długo, wymywał ich również z życia.

Ale ku jej przygnębieniu obaj łyknęli napitek gładko jak pospolity cienkusz.

– A wiemy, że potraficie. – Łagnik wyciągnął ku niej paluch, jakby ją zamierzał nim bodnąć. – Nie darmo utopce w bagnie wyśpiewywali, jakeście ich w żaby zakłęli, przed kupcem kryjąc.

Oczy wiedźmy zaskrzyły się żółtą złością.

– Utopce winny gęby zawarte trzymać – prychnęła. – Ale to dla was, moi zacni ludzie, tym gorzej. Wyczerpałam już limit dobrych uczynków na ten rok i na następny także.

Otarła kapkę, która wisiała jej na czubku nosa, wielkiego i zakrzywionego, jak przystoi wiedźmie.

– Jakbyście nas chcieli, Babuniu, przegnać, tobyście z nami nie pili – zauważył Łagnik, zdumiewająco trzeźwo jak na kogoś, kto dobre pół dnia biesiadował z wiedźmą.

– Poza tym mir u ludzi zyskacie, jeśli im od czasu do czasu czarem nowym w oczy zaświecicie – próbował ją chytrze podbechtać Wronisz.

– Mir mam i bez tego – ucięła Babunia ostro. – Wy mnie tutaj nie szczujcie.

Jednakże nadmiar trunku stępił strach i Łagnik tylko ręką machnął, jakby się odganiał od natrętnej muchy.

– Powiadam wam, jeden jest sposób – mówił już cokolwiek bełkotliwie, ale z tym większą determinacją. – W kamień nas zamieńcie. Na pół roku jednego, na pół roku drugiego, po sprawiedliwości.

Wronisz przytaknął mu tak entuzjastycznie, że mało nie spadł ze stołka.

Wiedźma załamała ręce.

– Czy wyście podurnieli? Pół życia chcecie pod głazem przeleżeć? Toż nie lepiej do inszej doliny pójść lub choćby i do miasta, na pół roku do zarobku się nająć? Nikt by nie musiał wiedzieć.

Łagnik tylko prychnął.

– Akurat! – fuknął Wronisz. – Póki by nas ktoś na jarmarku nie zdybał albo w byle karczmie. Nie, nie, Babuniu, to nie wystarczy.

– Nasi owce pasają – wsparł go Łagnik – i na służbę też idą. A są jeszcze domokrażcy, żebracy i insze łążęgi. Wieść, gdy nieproszona, w mig się rozejdzie.

– Nic, jeno w kamień chcemy – powtórzył swoje Wronisz.

Wiedźma objęła ich wspólnym spojrzeniem. Nie wyglądali w tej chwili zbyt godnie – rozognieni na pyskach, w rozchełstanych koszulach, poprawiający się nieustannie na stołkach, jakby usiłowały ich na ziemię postrącać.

– Wnet się zaczniecie swarzyć – powiedziała cicho. – Jednego będzie uwierać, że pole orze i sieje, a inny plon zbiera. Że jeden latem pot roni, drugi zimą wypoczywa i plony przejada.

– Et, głupstwa! – Łagnik uśmiechnął się szeroko. – Gospodarzyć mogę, robota mi niestraszna.

Wronisz również się rozpogodził. Wiedźmę aż obrzydzenie brało patrzeć na jego głupkowato wesolutką fizjonomię.

– Lepiej niech on gospodaruje – zgodził się z pańską miną – jam do roli nigdy ręki nie miał. A że ludzie zaczną gadać, że u żoninego gacha za parobka jestem, to im w twarz plunę i tyle. Lepiej tak, niżby małe przymierały głodem.

– Będzie dobrze, Babuniu – obiecał jej Łagnik, wciąż uśmiechając się ni to przymilnie, ni to zawadiacko, ale przez moment mignęła wiedźmie w jego twarzy zadzierzystość dawnego grasanta, który brał się ze światem za bary i nikogo nie bał. – Zobaczycie.

– Jeno że mnie o wszystko obwinia – burknęła gospodyni.

– Wyście są przecież wiedźma – zdumiał się szczerze Wronisz. – Co wam zależy?

– Ano może i racja – zgodziła się po namyśle Babunia.

Piołunówka i na nią działała niezgorzej i właściwie gotowa już była nieba przychylić tym dwóm zacnym kmieciom, z którymi tak mile się biesiadowało. Powietrze paliło ją w twarz, kształty wokół miękły.

Właściwie, pomyślała, przydałaby mi się nowa, ucieszna przygoda. Ostatnio opadła ją osobliwa ponurość, wszelką chęć do szutek i prześmiewek odebrawszy. Ot, tkwiła przy kominie i gnuśniała ze szczętem, a wieśniacy dokazywali, jak im się podobało.

Łagnik przysunął się do niej na stołku.

– Tylko widzicie, Babuniu – rzekł konfidencyjnie, buchając jej w twarz odorem nieprzetrawionej gorzałki – nie możemy się przed innymi z konszachtami wydać.

– To by było nie po bożemu – zawtórował mu Wronisz, a oczy mu tak krwią nabiegły, że nawet tęczęwki wydawały się całe czerwone.

– I żyć by nam nie dali – dodał Łagnik. – Jakże tak, żeby kmięć z wiedźmą w konfidencyję wchodził?

Tu wiedźma mimowolnie fuknęła ze złości, wspominając swoją zażyłość z możnymi tego świata. Ale właściwie nijak jej było przecież boczyć się na prostaczków, którzy ani mogli rozumieć, z jaką znakomitością mieli do czynienia.

– Ale nie frasujcie się, Babciu – Łagnik się tak ośmielił, że pokrępijąco poklepał ją po ręku – myśmy wpadli na pomysł, jak i temu zaradzić.



Następny dzień zapamiętano w Wilżyńskiej Dolinie na długo.

– Wiedźma z rana na plan wioskowy wylazła – relacjonowała potem plebanowi Rozalka – ale taka przepita, że iście żal brał patrzyć.

– Kręciła się wokół studni, widać ją suszyło – prawiała Siwka, kiedy ją zaproszono do Szyszkowej komory na darcie pierza.

– A taka wściekła – kiwała głową Miłka, usadowiona na swoim miejscu w kruchcie niczym królowa na tronie – że się nawet psy pochowały, bo znać było po minie, że jeno zaczepki szuka.

- Traf chciał - mówiła Jewka, która tamtego ranka wlokła się przez wioskę w poszukiwaniu czegoś do jedzenia - że akuratnie napatoczyła się na Wronisza, który wiózł resztki rzepy z pola.

- Talentu do powożenia nigdy, biedak, nie miał. - Szyszek kiwał smętnie głową.

- Ani szczęścia - dodawał pleban.

- No i tak się nieszczęśliwie zawinął - gadała Jewka, a jej gęba aż pałała ukontentowaniem - że wozem o wiedźmę zahaczył.

- Nie dość, że ją błotem opryskał - opowiadała Rozalka, która lubiła wszystko detalicznie wiedzieć - to jeszcze jej rzepy na łeb nasypał niby ulęgałek.

- A na koniec - potrząsała siwą głową zezowata Pietka - kiedy go dobrze okłęła, koniem ze strachu tak szarpnął, że wóz cały wywrócił. Dokładniusięko na wiedźmę.

- Jak się spod niego podniosła - opowiadała w czeladnej Honorcia, bo musiała się przecież tą opowieścią podzielić, chociażby i ze służbą - oczy jej od wściekłości pały jako kaganki. „A bodajbyś się, ścierwo, w żywy kamień obrócił!” - tak mu prosto w twarz rzekła. I wiecie już, co się stało.

- Ja ją z wioski wyświęcę! - gorączkował się pleban, a Rozalka roztropnie milczała, rachując w myślach, na jak długo starczą zapasy wiedźmiego remedium na hemoroidy. - Ja płoty tak szkaplerzami każę poobwieszać, żeby się na dwie mile do chałup nie przybliżyła! Nie będzie mi się tu w biały dzień pałętać i ludzi bogobojnych w kamień zaklinać. Do czegoż to podobne? Czy tu jest wioska poczciwa czy jakiś wiedźmi matecznik?

- Ani przez głowę nam przeszło - w kilka miesięcy później Szczerbata Kryska mościła się na kościstych kolanach wędrownego kramarza i ocierała o niego lubieżnie tam i ówdzie, bowiem celebrowała swój fach z ochotą, nawet jeśli miłośnik nie mógł godziwie zapłacić - że tuż przed pierwszym przymrozkiem Wronisz się w człeka odmieni, a Łagnik precz skamienieje.

- Wiedźmę zrozumieć trudno - przestrzegała młode dziewczuchy Miłka, rozkoszując się i ich przestachem, i własną ważnością. - Kto tam teraz dojdzie, czym jej i Łagnik zawinił? Ponoć się z niej wyśmiewał, kiedy wtedy u studni giczołami w błocie machała. A może poszło o to, że

konia źle ułożył, bo on go wszak od źrebaka hodował. Wszystko teraz za jedno. Grunt, że obaj przekłęci.

– Nieprzyjaciółka wszelkiego rodzaju ludzkiego! – grzmiał z kamienia pod studnią wędrowny kaznodzieja. – Zda się ją w ogień rzucić!

– Albo z daleka omijać – dodawała, bardziej realistycznie, Siwka.

– A tych, co od wiedźmiego czaru najsrożej ucierpieli – dodawał z kazalnicy pleban – tych, których wiedźmia przewrotność najbardziej udreńczyła, sąsiedzka troską otoczcie i nie skąpcie im wsparcia.

Nie skąpiono zatem.

I nikt też nie dociekał, jak naprawdę było.

RUSAŁKA



Wilżyńskiej Dolinie z rzadka mówiono o Paszku. Szyszek, jego ojciec i najbardziej majątny kmieć w wiosce, nie schodził z ludzkich języków. Matkę również wysławiano pod niebiosa, kiedy kumy zbierały się na modły na cmentarzyku wokół kościoła, chociaż po prawdzie za życia nieźle potrafiła zająć sąsiadkom za skórę. Siostra, Honorcia, nie umywała się wprawdzie do sławetnej Jarosławny, ale z braku godniejszych kandydatek dzielnie pełniła obowiązki kobiety fatalnej, w księżycowe noce w cienkim ledwo gieźle latała po rosie dla, jak to powiadała, zachowania gładkości skóry, romansowała z wędrownymi parobkami na sianie, a w czas polowania na smoka niemal się wyswatała za prawdziwego rycerza.

Jednakże o samym Paszku co było rzec? Ot, rosły pacholek i silny jak tur, do roboty pilny, przy tym ociężały po trochu. Do karczmy nie zachodził, jako że ojciec z rzadka mu pieniądź wydzielał. Zagadnięty na trakcie, ledwo słowo wydusił, czerwieniąc się przy tym i sapiąc, jakby go ktoś przyżegał. Inni pacholekowie podśmiewali się z niego, ale za plecami, bo Paszko, chociaż pokorny, potrafił się rozsierdzić, a wówczas latały sztachety aż w powietrzu furczało. Zazwyczaj jednak był to chłopak poczciwy, że do rany przyłóż. Osobliwie lubiał drwalską robotę, co się dobrze składało, bo Szyszek miał ładny szmat lasów, rozrzuconych po okolicznych zboczach. A kiedy do wioski pod wieczór wrócił, to żuru się chętnie napił i kiszka krwawą zakąsił, po czym na zapiecku się kładł i przesywał do rana.

Prosty był z niego chłopak. Prosty i zwyczajny ze szczętem.

Do czasu.

A było to tak. Pewnego dnia Paszko jak co rano chleba sobie ukroił, solą obficie posypał, maślanką jeszcze popił, po czym wziął na ramię

siekierę i powędrował do lasu. Do wieczora pracował. A kiedy do domu wrócił, to z rusałką.

– W jesionie sobie żyła – tłumaczył Paszko skonfundowanemu ojcu – co go przy źródle ściałem. W środku grzecznie leżała, w sukience, wianuszku i przezroczystych trzewiczkach, jakby uczynionych z kryształu. To co z nią uczynić miałem? Przygarnąłem.

A rusałka tymczasem siedziała na zydlu, rączki białe łamała i zalewała się łzami, jak tylko rusałki potrafią. Istotnie, na rozpuszczonych srebrzystych włosach miała wianuszek z jasnego kwiecia, giezełko leciuchne, jakby uprzedzone z pajęczej przędzy, a na nogach trzewiczki kryształowe. Na jej włosach i na sukieneczynie krople rosy połyskiwały jak najcenniejsze klejnoty.

Honorcia, która dałaby się zabić za takie włosy i skórę jaśniejszą od mleka, spoglądała na nią nienawistnie.

– To jest rusałka, synu – wyrzekł z namaszczeniem Szyszek, był bowiem człowiekiem rozumnym i nie zamierzał wpuszczać pod dach magicznego pomiotu.

Jednakże syn, który zwykle na byle zmarszczenie ojcowskich brwi tropił się i jękał, tym razem ani ramieniem nie wzruszył.

– Ale ja ją kocham – oznajmił, po czym zabrał rusałkę, wdrapał się z nią na piec i tak donośnie zachrapał, że aż święte obrazy się na ścianach trzęsły.



W trzy dni później – czy też raczej trzy noce, bo rzecz się działa przy współnictwie księżyca – Szyszek zameldował się pod furtką wiedźmy.

– Ja się prosić nie lubię – rzekł na powitanie i znacząco zadzwięczał trzosem, kiedy przydybał Babunię powracającą z nocnej przechadzki.

Wiedźma ściągnęła z wściekłością brwi.

– Ja jestem człowiek rozsądny – ciągnął dalej Szyszek, tak przejęty własnym kłopotem, że nie zauważył zimnego powiewu na łydkach. – I spraw swoich pilnuję, ale od wszelkiego magicznego plugastwa z dala się wolę trzymać. Sami możecie zaświadczyć.

– Co tedy, moiściewy, na moim progu robicie? – zagadnęła kąśliwie wiedźma.

– Ano, wedle rusałki przyszedłem – oznajmił kmięć i cała jego pękata, spocona ze zdenerwowania postać pałała oburzeniem. – Nie dla mojego syna ona. Lepiej ją sobie zabierzcie.

Wiedźma pod boki się wsparła.

– A co ja, przytułek prowadzę? – syknęła przez zęby.

Szyszek pogardliwie machnął ręką. Im większy gromadził majątek, tym łatwiej lekceważył drobne trudności.

– W obórce ją gdzieś uwiążcie, mnie tam obojętne – rzekł lekko. – Sowiec za wszystko zapłacę. Chcę odzyskać syna.

– A co ma synek do tego? – zainteresowała się szczerze wiedźma, której ledwo majaczyła pyzata i czerwoniutka fizjonomia młodego kmięcia.

Gospodarz tak się nadał, że ledwo jak purchawka nie pękł.

– Ano, bo się zakochał!



Do dolin Gór Żmijowych z rzadka zagładały rusałki, wybrała się więc Babunia następnego dnia pod wieczór obejrzyć leśne dziwo. Panienska faktycznie jaśniutka była i wiotka, akuratnie tak, jak ją z oburzeniem opisywał Szyszek. Tyle że na głowie nie miała już wianka, a na nogach trzewiczków.

– Paszko jej pozabierał – poinformowała wiedźmę Honorcia, która siedziała w przeciwnym kącie izby i wpatrywała się wrogo w rywalkę. – Coby nie próbowała uciec.

Leśna panienczka znowu zalała się łzami. Płynęły tak rzęsiście, jakby pośrodku Szyszkowej izby otwarło się źródło.

– Nic, tylko siedzi i beczy – sarknął Szyszek. – A w pasie taka cienka, że da się ją w rękach przełamać. Co z niej za baba?

W drzwiach do chałupy pojawił się raptem Paszko, ogorzały od słońca i wysmagany od wiatru, z siekierą na ramieniu. Izba jakby

pomalała, kiedy wlażł do środka, ledwo co nie zaczepiwszy głową o framugę.

– Ale ja ją kocham – oznajmił stanowczo. – I wy mnie, ojciec, od tego ślubu nie odwodźcie, bo się zezłoszczę.

Gospodarz posłał wiedźmie wymowne spojrzenie.

Babunia Jagódka gębę kułakiem zakryła, żeby mu się nie zaśmiać w twarz, taki się wydawał oburzony krnąbrnością syna.

– I nikt w całej wiosce drugiej takiej nie ma. – Paszko uwalił się ciężko na zydel i wyciągnął nogi. – No, pomóżże mi, żabko. – Przyciągnął do siebie panienkę i tak ją pieszczotliwie po tyłku klepnął, że na polepie przysiadła.

Mozoliła się przy ściąganiu butów, plątała sznurowadła, szarpała drobnymi paluszkami twardą skórę cholewki, ale Paszko czekał cierpliwie, a nawet ją w międzyczasie miłośnie gładził po włosach. Ledwo skończyła, pociągnął ją do pieca i nakazał, coby mu nałożyła miskę kapusty z grochem. Jadł ze smakiem, mlaskał rozgłośnie, palcem w zębach dłubał i tą samą łyżką raz po raz wciskał leśnej panience strawę do gęby.

– Musisz mi, żabciu, potłuścić – śmiał się przy tym dobrotliwie, przesuwając dłonią w dół rusałkowych pleców.

Jasne pasma włosów przesypywały mu się w palcach jak czyste srebro.

– Cały czas jedno czynią – zauważyła złośliwie Honorcia, kiedy, nasyciwszy głód, brat sięgnął po dzban z piwem, po czym usadził sobie rusałkę na kolanach i jął do niej przepijać. – Tulą się i miziają, i z gąbek sobie piją. Wstyd i sromota!

Najwyraźniej gdyby rzecz zależała od Honorci, rusałka nie popasałaby długo w domostwie ojca.

– Będzie z tego bieda – mruknął Szyszek. – Będzie ani chybi bieda, jeśli jej precz nie odeślecie.

Leśna panienka krztusiła się i łkała, z trudem łykając grube, ludzkie jadło, ale w miłosnym uścisku Paszka ledwo mogła zipnąć.

– Ano będzie niejedna – zgodziła się wiedźma. – A pierwsza mianowicie taka, że nie mam jej dokąd odesłać.

Ojciec i córka wbili w nią zadziwione spojrzenia. Tylko Paszko nie zwracał na nic uwagi, bo właśnie podciągał ukochanej pończoszki, wyrzekając, że półgoła po obejściu się włóczy i ludzi w oczy kłuje. Istotnie, dwóch najemnych pacholków gapiło się na nią zachłannie przez uchylone kuchenne okno i mało im ślina nie ciekła z oskomy.

– Rusałka w drzewie żyje – wyjaśniła wiedźma, starając się nie patrzeć, jak Paszko chichocze i pannę pod sukieneczką łechcze – a wyście jej drzewo ścięli. Bezdomna jest teraz, a po prawdzie i bezbronna jak dziecko. Zresztą sami widzicie.

– Znaczy się, co? – Szyszek podskoczył na zydlu, z pańska podścielonym poduszką z karmazynowego sukna. – Znaczy, że ona tu na zawsze?

Honorcia rozbeczała się jak koza. Babunia zerknęła na nią spod nasuniętej głęboko chustki. Oj, nie powodziło się córce Szyszka ostatnimi czasy. Krucze kosy wyblakły i straciły połysk, na brodzie uformowała się dorodna kurczajka, oblicze opuchło, rysy pogrubiały. W kibici też zdawała się szersza, bardziej ociężała w ruchach, ale bynajmniej nie za przyczyną bękarciecia. Po prostu jakby ubyło jej blasku, jakby cała krasota i powab odbiegły ją i magicznym sposobem przyłgnęły do leśnej panienki.

– Ja ją sromotnikiem utruję – zagroziła piskliwie Honorcia.

Wiedźma potrząsnęła głową.

– To nie pomoże.

– Wy mi nie gadajcie, że nie ma sposobu – rozsierdził się Szyszek.

Podreptał do kredensu, zrzucił z półki malowane dzbanki – co był znak najwyższego wzburzenia, bo Szyszek nie marnował bez przyczyny dobytku – ale w ostatniej chwili przypomniał sobie o najmitach, którzy nadal, jak przyrośnięci, tkwili przy kuchennym oknie.

– A poszli won! – ryknął, aż spod powały sypnęło próchnem i pajęczynami.

Niepotrzebnie się sierdził, parobczaki bowiem tak przyłgnęły wzrokiem do leśnej panienki – Paszko akuratnie podkasał ją nieomal do pasa, coby sprawdzić, czy bardzo ją pokąsały pluskwy – że mógłby im teraz szczerozłotą koroną zamachać przed nosem, a nic by nie spostrzegli. Na dźwięk głosu pryncypała ocknęli się jednak i odtruchtali

karnie.

Gospodarz rozejrzał się jeszcze czujnie, ślinę dwa razy przełknął, po czym odemknął tajemną skrytkę.

– Mam środki – oznajmił, kładąc na blacie ciężki od srebra trzos i wzdychając przy tym żałośnie a z głębi serca, bo nie rozstawał się bez bólu z raz zdobytych majątkiem.

– Fiu, fiu – zagwizdała wiedźma przez zęby: nieczęsto trafiała się jej podobna gratka. – Musicie bardzo swego syna kochać.

W tejże samej chwili przedmiot ich rozmowy zagnał rusałkę do ubijania masła. Panienczka mozoliła się, kułutuzką klekotała, ale jej drobne paluszki ledwo mogły objąć gruby kij. A Paszko tymczasem zaśmiewał się, rękami po udach bił z uciechy.

– Inszego nie mam – rzucił kmieć oschle. – I wnuków też chcę doczekać. Zwykłych, nie rusałczego pomiotu. Dlatego jej w obejściu mieć nie chcę. I nie będę.

Srebro nawet nie brzęknęło, kiedy wiedźma pochwyciła trzosik i ukryła go w czeluściach rozlicznych fałdek, zapasek, koszulin i spódnic. Kapka na czubku jej nosa tańczyła i drżała z łapczywości.

– Jest sposób, a jakże – oznajmiła, wesolutka jak szczygieł, bo cudze nieszczęście zwykle oznaczało jej zysk. – Zawsze jest sposób.

Oblicze Szyszka wygładziło się w ukontentowaniu. Przywykł stawiać na swoim. Przez te parę zim, kiedy w wiosce brakło władcy i plebana, rządził się własną wolą i teraz, po powrocie przyrodzonego pana Wilżyńskiej Doliny, niepokoił się trochę tą odmianą losu. Tym bardziej cieszyła go zgodliwość wiedźmy: przywracała mu wiarę w srebrzystą i przemożną moc gotówki.

– Bo to widzicie, mój dobry Szyszku – wiedźma umościła się wygodniej na stołku i stuknęła poczerniałym pazurem w blat, coby jej trunek podano – rusałki są różne.

Honorcia zakrzętnęła się szybciotko, odszpurowała antałek piwa, ale ojciec dał jej brwiami znak, żeby lepiej wiedźmę uhonorowała: skalmierskim winkiem, które w tym obejściu pijano jedynie w czas pogrzebów, chrzcin i wesel, znaczy się, nieczęsto.

– Różne są rusałki. – Wiedźma mlasnęła z ukontentowaniem,

rozkoszując się słoneczno-słodkim aromatem trunku. – Są takie, co w źródelkach żyją. Są górskich pieczar mieszkanki, co je byle promyk na śmierć oparzyć może. Są na koniec i takie, co błędne ogniki na oparzeliskach pasą...

– A pies je wszystkie lizał! – zawrzasnął Szyszek, zgoła niezainteresowany typologią magicznego ludku. – Niechże sobie nawet w gnojówce siedzą, byle nie w mojej chałupie.

– A są i te drzewne, te najbardziej paskudne – ciągnęła niezrażona Babunia, bo trunek był zacny i miała ochotę sobie pogadać, skoro i tak musieli jej słuchać. – W drzewach mieszkają co starszych i co bardziej potężnych, zwłaszcza jeśli przy rozstajach rosną albo na uroczyskach, albo gdzie człek bezbożną śmiercią zginął. Z rzadka, pod księżycem w pełni, po leśnych łąkach tańczą, ale płochliwe takie, że mało kto je widział. I tych lepiej nie tykać, niechże sobie pod korą spokojnie siedzą. No, ale kiedy drzewo ściąć – uniosła brudny, pokrzywiony paluch, żeby wagę swych słów należycie podkreślić – o, wtedy zgoła insza sprawa. Powiadam wam, mój dobry Szyszku, nie trza jej było tykać...

– To jakże mnie drewno ścinać? – zbuntował się Szyszek, który coraz pilniej pnie zwoził w dół traktem wedle Pała, Maczugi i Mnicha i zysk miał z tego niemały. – Skąd mam wiedzieć, gdzie pod korą jakie lichy śpi? Wszak wojna niedawno była, w co drugim tutaj wykrocie kogoś ubili, a i uroczysk nie zliczyć!

Wiedźma wzruszyła ramionami.

– Możecie fachowca wynająć – rzuciła chytrze. – Są tacy, co rusałkę wyczują, choćby i przez warstwę kamienia.

Twarz Szyszka się wydłużyła. Znał dobrze ceny, jakie wiedźma śpiewała za swoje usługi.

– Pierwej tej trza się pozbyć – burknął, a Paszko tymczasem zaśmiewał się do rozpuku, bo leśna panienczka usiłowała dźwignąć maśnicę, ale tylko wywróciła się razem z nią i cała zalała maślanką.

Przez przemokniętą sukienczynę przezierały drobne piersi i inne rozkoszne zakamarki.

– Et, bies nadał to wszystko! – Szyszek spiesznie odwrócił oczy.

Honorcia znów się rozbeczała jak koza. Głos miała niemiły i

chropawy. Zupełnie nie taki jak wcześniej, skonstatowała Babunia.

– Trzeba w miejsce ściętego inny jawor posadzić – powiedziała pod ciężkim wzrokiem Szyszka.

Córka kmiecia zamilkła w pół kwiku i ruszała teraz niemo ustami.

– Ja jej cały zagajnik posadzę – rozpromienił się kmieć. – Byle sobie poszła.

– On ma posadzić. – Wiedźma skierowała paluch na Paszka, który tarzał się po klepisku, ślizgając na maślance i szarpiąc panienkę za włosy.

– W tym rzecz. Ten, kto drzewo ścina, ten i zasadzić musi.

Dobry humor Szyszka zwarzył się natychmiast.

– On chceć nie będzie – rzekł krótko.

– Ze szczętem przy niej zdurniał – zawtórowała Honorcia. – Choć za mądry to nigdy nie był – dodała refleksyjnie.

Szyszek walnął pięścią w stół z taką siłą, że flaszka przewróciła się i byłoby się wino ze szczętem rozlało, gdyby go wiedźma magicznym sposobem nie zatamowała.

– Nie będę mieć w obejściu rusałki!

– Nie będziecie. – Babunia Jagódka uśmiechnęła się słodziutko. – Już moja w tym głowa.

– A teraz dla mnie zatańczysz! – Paszko poderwał rusałkę z klepiska i klepieniem w zadek popchnął ją ku wyjściu, a z taką siłą, aż skuliła się po ciosie i przysiadła jak królik. – Tak, jak lubię.

Leśna panienczka wyprysła na podwórko i jęła płasać między obórką, kurnikiem i gnojownikiem. Jej bose stópki ledwo muskały ziemię, a kiedy spod chmur wychynął księżyczek, zdawał się przeświecać przez jej blade ciało. I znów wyglądała na tak wiotką i słabą, jakby się miała rozpierzchnąć pod lada podmuchem wiatru. Rozpuszczone włosy wirowały wokół, furkotała podarta, mokra sukieneczka i z całej postaci taki blask bił osobliwy, że trudno się było rozeznać, gdzie rusałka, a gdzie księżycowe światło.

A Paszko stał w drzwiach, bosą stopą w ościeżnicę łomotał, poddając takt jej krokom, i głową radośnie podrzucał.

Honorcia ze złością obgryzała paznokiec, ale patrzyła pilnie na

tanecznice. Szyszek też nie odrywał wzroku.

W drzwiach stodoły skłębili się najemnicy. Grdyki im chodziły jak gąsiorom.

– Moja jest! – zaśmiał się ku nim Paszko. – Moja i cudna. Nikt takiej drugiej nie ma.

Z oczu panieneczki znów płynęły łzy.

Wiedźma z namysłem podrapała się po nosie, ozdobionym okazałą bulwką.

– Już moja w tym moja głowa – powtórzyła po cichu.



W dwa dni później wiedźma przycłapała do zagrody Szyszka z maleńką flaszką. Postawiła ją na stole, ale zanim kmieć zdążył ucapić, pochwyciła z powrotem.

– Jeszcze tuzin dukatów. Robocizna jest droga.

Gospodarz zmełł w zębach przekleństwo, ale wyjął trzosik. Znał wiedźmę i wiedział, że jak raz kogoś pochwyci, wycisnie go niczym gomółkę sera.

– Chybaście tę miksturę na łajnie żar-ptaka warzyli – burknął ze złością.

– Możecie poszukać, kto tańszy – odcięła się gracko wiedźma.

– Nie bądźcież, Babuniu, wredni – sapnął Szyszek – i nie dręczcież mnie nad potrzebę. I tak mam dosyć!

Machnął ręką ku podwórzu, na którym leśna panieneczka mozoliła się, wygarniając z parnika karmę dla świń. Przez niedomkniętą furtkę wieprzki wymknęły się z zagrody i płaszały teraz wokół rusałki, kwicząc z ukontentowania, póki się nie wykopyrtnęła razem z wiadrami.

– I cały czas tak jest. – Kmieć przewrócił oczami. – Czego się tknie, to popsuje. Już wolałbym, żeby nic nie robiła.

– Ale Paszko chce, żeby pracowała. – Honorcia ciężko westchnęła. – Była jak inne baby, jeno od onych lepsza. Tak ją ćwicz i łaja, że aż żal bierze patrzeć – dodała ciszej. – Ciężem nam ślozy leje.

Istotnie, błękit w oczach leśnej panienczki zużył się nieco i spłowiiał. Lecz dwa mętne jeziorka w jej twarzy nadal były bezmierną żalnością.

Sponiewierawszy ją na gumnie, prosiaki rozbiegły się na wszystkie strony. Na darmo rusałka próbowała je chwytać. Umykały, powikując wesoło, i nic, najzupełniej nic nie robiły sobie z jej wysiłków. Wreszcie największy i najlepiej spasiony wpadł z rozpędu na furtkę. Skobel, widąc źle zasunięty, opadł i całe świńskie stadko entuzjastycznie pognało główną wilżyńską ulicą.

Szyszek pochwycił się za koszulinę na piersi i jął dyszeć jak pies.

– Zróbcie coś prędszej, Babuniu! – zawołał, spieszenie dobywając z kredensu dwanaście świeżutkich dukatów. – Bo na serce się zatchnę.

Leśna panienczka stała pod płotem z opuszczoną głową. Ramiona jej drgały od szlochu.

Wiedźma schwyła monetę, oszacowała zębem próbę kruszcu, po czym, ustysfakcjonowana, położyła na blacie flaszkę z ciemnego szkła.

– Zadajcie jej co wieczór dwie krople w strawie – rzekła pogodnie. – Dwie krople i wnet się sprawa rozwiąże.



Przez kolejnych pięć dni w Wilżyńskiej Dolinie tak lało, że wiedźma nie wychylała nosa z chałupy. Siedziała sobie w ciepłuńskiej izbie pospołu ze skrzatami, nietopyrkami, nocnicą i bazyliuszkiem, i nie chciało się jej nawet karmy kurom podrzucić.

– Niechże sobie żywina sama radzi – orzekła filozoficznie. – Przynajmniej mszyce z kwiatów wybiorą.

Kiedy jednak ulewa zelżała odrobinę, okutała się opończą i poczłapała do Szyszka. Nie z poczucia obowiązku bynajmniej. Po prostu ciekawość aż ją rozpierała.

Szła powoli, bo po zamienieniu Wronisza w kamień nie miała wielu okazji, żeby pogwarzyć z wieśniakami i rozpatrzyć, jak też władyka poczyna sobie na starych śmieciach. Przystawała przy płotach, w izby zaglądała, nie bez zadowolenia konstatując, że dzieci nadal pierzchają na jej widok, a matki zasłaniają niemowlętom twarze, żeby nie padł na nie

złowieszczy cię przeklętnicy. Dorośli również nie kwapili się do pogawędki, co to, to nie. Kmiecie spieszenie ściągnęli czapki głów, wbijali wzrok w ziemię i mamrotali jakieś mętne słowa powitania, ale nie ośmielali się czynić znaku odpędzającego zło. Nikt nawet na księżówkę z mordą nie polecał, że wiedźma w biały dzień po gościńcu chodzi i jakże można dozwolić.

Tak, myślała z ukontentowaniem Babunia, dobrze czasem kogoś w kamień zamienić. Od razu mores w narodzie odżywa.

W Szyszkowej komorze baby siedziały przy kołowrotkach. Leśna panienczka także, przy samiuśkim kaganku, ale zamiast przejrzystego rusałczego gizełka miała na grzbiecie płócienną koszulę i sutą, pasiastą spódnicę, ani chybi po Honorci. Córka kmiecia szersza była w ramionach i bardziej rozrośnięta w pasie, więc przyodziewek wisiała na leśnej panienczce jak kapota na wróblim strachu i może od tego odzienia jakoś się rusałce nieco poprawiło. Nie wyglądała już, jakby ją miał byle podmuch unieść.

– Paszko nakazał, coby się przyzwoiciej odziała – wyjaśniła Honorcia, podając Babuni dzban piwa na dobre zadziergnięcie rozmowy – bo się pachółkowie z całej doliny zasadzali pod płotem, żeby na nią popatrzeć. No i wczoraj musiał Paszko dwóm kości pogruchotać, bo na jabłonkę wyleźli i okienkiem zerkali, jak się niedojda myła. Bo ona – dodała z przekąsem – co wieczór balię szykuje i odzienie zrzuca. Taka nieobyczajna!

Panienczka tymczasem przędła, przędła że hej. Tyle że nic się jej w palcach plątała i rwała po kawałku. Ale za to okazało się, że śpiewać potrafi. Wprawdzie nikt za bardzo nie rozumiał, w jakim języku śpiewała, lecz i tak brzmiało ładnie.

– Żeby jeszcze tak strasznie nie marnowała przędzy – westchnęła po cichu Honorcia. – Ojciec tak się zeźlili, że pić poszli, a że karczmy nie ma, pod młynem siedzą i mokną. A źli jak osa.

Leśna panienka akuratnie w tej chwili skaleczyła się wrzecionem w palec i kilka kropel czerwonej krwi skapnęło na przędzę.

– Może niech tylko śpiewa – zaproponowała wiedźma. – Same uporacie się zwawiej.

Honorcia pokręciła głową. Była w smętnym humorze, potargana i

niedbale odziana. Na gębie miała cętki, jakby ją pluskwy pocięły. Nie, Honorci stanowczo nie powodziło się zbyt dobrze.

– Kiedy się nie da. Paszko się uparł, bo, powiada, żona ma mu wedle obyczaju ślubną koszulę szykować, i to taką, jakiej Wilżyńska Dolina dotąd nie oglądała.

Istotnie, był zwyczaj w Wilżyńskiej Dolinie, że panna po zrękowinach własnoręcznie sprawiała koszulę odświętną dla swego przyszłego małżonka, w której on w dzień ślubny z dumą paradował. Dziewuchy z wioski osobliwie w owych koszulinach się ścigały, która piękniejsze płótno utka, a która bardziej fikuśne ozdoby haftem wyszyje, wierzono bowiem, że da się z niej wyczytać całą przyszłość i losy małżeńskiego stadła.

– Żona? – zdziwiła się nieco Babunia, która nie sądziła, że sprawy w Szyszkowej zagrodzie zaszły tak daleko.

Dziewczyna z przejściem przycisnęła dłonie do policzków. Brodawka na brodzie wyglądała jak dojrzała poziomka.

– Oj, nawet nie chcecie wiedzieć, jak się tatulo zeżlili. Już chcieli Paszka siekierą rąbać, ale mu ją Paszko wyrwał i tak styliskiem zakręcił, że potem aż do rana tatulo rzygali.

Wiedźma uśmiechnęła się pod nosem. Umiała sobie wyobrazić, jak potężny synek sponiewierał starego.

– Na zapowiedzi poszedł dawać – dodała ciszej dziewczucha. – Rozumiecie, Babuniu, jaki byłby dyshonor i między ludźmi prześmiewka? Dobrze, że go pleban precz popędził, bo to, powiada, demonica nie panna. Ale Paszko uparty. – Rozłożyła ręce. – Nikogo nie słucha.

Kaganek zaskwierczał i kropla gorącego oleju spadła rusałce na ramię. Panienczka wzdrygnęła się i załkała z cicha.

– Nie lubi ognia – wyjaśniła Honorcia. – Nawet przy palenisku nie siada.

– Od ognia drzewa płoną – zauważyła wiedźma.

– A Paszko to wnet zrozumiał – córka kmiecia przysunęła się wiedźmy i jęła konfidencjonalnie szeptać – i jeszcze bardziej ją ciśnie, żeby drew dorzucała albo kominy czyściła. Że niby, gada, strach trzeba

przemóc. Z koszulą też będzie bieda – dodała po chwili. – Sami zobaczycie.

No i zobaczyła, bo akuratnie w ten czas Paszko z roboty wrócił, a zły i umordowany, że strach, bo przemókł i wyziął w lesie. W furtkę wszedł, jął na psy pokrzykiwać i podwórze rozwibrowało się od jego tubalnego głosu. Leśna panienczka poderwała się od kołowrotka i zakrzętnęła żwawo przy kuchni. Niby drew dokładała, niby strawę warzyła, ale tak na ogląd Babuni Jagódki, kończyło się na trzaskaniu garnkami i wnet od pieca poszła woń spalenizny.

Honorcia przewróciła oczami, kiedy rusałeczka, niezgrabna w przydużych chodakach, potknęła się i rozsypała jagły. Udało się jej jednak dobrnąć do stołu i postawić miskę akuratnie, kiedy Paszko odmykał drzwi od izby. Twarz już obmył przy studni i odłożył na progu topór, ale nadal wielki był, rozczochrany i spotworniały w drwalskiej robocie niby leśne lichy. Drobniutka rusałka, chuda i blada na twarzy, wyglądała przy nim na dziecko.

– Daj całusa, żabciu – powitał ją pogodnie, po tyłku z lekka klepnął, żeby uczucie okazać, po czym się rzucił na kaszę.

Panienczka zsunęła się na klepisko i trzewiki mu zzuła, sapiąc przy tym i pojękując z wysiłku.

– Widzicie, jak się mozoli? – syknęła zajadle Honorcia. – Jakby już nasza była.

Jednakże, co tu kryć, nawet w wiejskim odzieniu leśna panienczka wyglądała tak świetliście, jak gdyby ktoś nagnał w chałupę księżycowego blasku.

Paszko nie zwracał na to jednak żadnej uwagi. Żarł zachłannie, mlaskał, skwarki z kaszy wyławiał, aż wreszcie z beknięciem odsunął miskę. Rusałka natychmiast nalała mu w kubek piwa.

– A co ty skwaszona? – ofuknął ją dobrodusznie syn gospodarza. – Narzeczony w dom wrócił, zdałoby się mu po znojnym dzionku ulżyć, pieśczołą trudy osłodzić. – Usadowił ją sobie na kolanach i gładził łapczywie po włosach.

Baby przy kołowrotkach zerkały ku nim ciekawie, niby to zaprzątnięte nićmi. W rzeczywistości jednak ledwo kółkiem obracały i wkrótce wiedźma zrozumiała dlaczego.

– Teraz robotę pokaz – nakazał po chwili Paszko.

Leśna panienczka jakby się wzdrygnęła, ale posłusznie podreptała po wrzeciono.

– Co to, na wszystkich bogów! – rozdarł się Paszko ze złością.

Któraś z kobiet w komorze zachichotała z uciechą. Jak się zdawało, rusałka nie zaskarbiła sobie względów wilżyńskiego babińca.

– Tu zasupłane, tu grube! – Pachoł rwał i targał pokłose całodziennych wysiłków panienki. – Tu się nitka rozłazi! Coś ty se umyśliła? Że mnie na pośmiech wystawisz? Że do kościoła w tym pójde?

Cisnął wrzeciono przez całą izbę, aż grzmotnęło o ścianę i potoczyło się między statki.

Schwycona za koszulę na piersi, leśna panienczka szamotała się w uścisku Paszka, kiedy przysunął ją do siebie i wysyczał jej prosto w twarz:

– Za co ty mnie masz? Za jakiegoś rusała? Niedoczekanie twoje! Tak długo będziesz siedzieć, aż nić, jak należy, uprzedzisz. Rozumiesz?

Odepchnął ją ze złością.

– Choćby do rana – dodał, a potem uciekł z chałupy, ale z podwórza dobrą chwilę niosły się jeszcze jego przekleństwa.

Leśna panienczka chwiejnie powlokła się do kołowrotka. Z przegryzionej wargi sączyła się jej krew. Ale nie płakała.

– Oj, nie gruchają już nasze gołąbeczki, jako wprzód – zauważyła zgryźliwie Honorcia. – Znaczy się, Babuniu, idzie ku dobremu?

Wiedźma uśmiechnęła się tajemniczo.



Przez kilka kolejnych dni sprawy toczyły się swoim tokiem. Rusałka parała się przedzeniem – a w każdym razie tak przypuszczała Babunia, bo Paszko, jeśli łeb raz sobie czymś nabił, trwał w postanowieniu nader wytrwale. W niedzielę, jak donieśli jej pastuszkowie, których na wyrębach zdybała, zdarzyła się ucieszna awantura, kiedy pleban wygonił ze świątyni rusałkę, jako że, powiadał, nie będzie mu się na poświęconej

ziemi płałał pomiot demona. Potem nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego: Paszko darł się o siekiere, żeby plebana w łeb trzasnąć, Szyszek wygrażał, że do wiergowskiej herezji przystanie, a panienczka płakała.

Nic więcej pastuszkowie jednak nie wiedzieli. Szyszek zagnał rodzinę do domu, poprzysiągłszy solennie, że do świątyni nie wróci, póki się nie doczeka przeprosin i zadośćuczynienia. Rusałka nie pokazywała się nikomu. Zresztą odkąd nie nosiła już leśnego giezełka, pachółkowie aż tak się nie rwali, żeby ją podglądać. Wiedźma zasię trawiła czas na zbieraniu grzybów, osobliwie zaś rydzów, które nade wszystko lubiła. Aż tu jednego słonecznego popołudnia, całego osnutego wonią miodunki i pajęczymi nićmi, dopadła wiedźmę zadyszana Honorcia.

– Prędko, prędko, Babuniu! – Wczepiła się jej w ramię, mało co nie wywaliwszy grzybów z kobiałki. – Paszko rusałkę zabije!

W potarganej koszuli, w burej chuście wyglądała jak zwykła pomywaczka. Ech, znikła gdzieś zupełnie ta paradna panna, która kiedyś piastowała na podołku prawdziwego rycerza.

– Opamiętaj się, głupia! – ofuknęła ją wiedźma.

Dziewczyna opadła na kolana, narzuciła fartuch na głowę i zaczęła tak zawodzić, jakby ją piłą rznęli.

– Zabije ją, zabije!

Wiedźma przyglądała się tej demonstracji z niejaką rezerwą. W Wilżyńskiej Dolinie byle chłopka potrafiła na zawołanie lamentować jak płaczka.

– To ładnie, że ci jej szkoda.

– E tam, Paszka mi szkoda. – Honorcia cała się obsmarkała. – I na języki nas wezmą.

– Dobrze, polecę sprawdzić – poddała się Babunia, bo raz zapłatę wzięwszy, zwykła się wywiązywać z zadania.

Prędziutko ułamała dyl z najbliższego drzewa, obskubała co grubsze gałęzie, po czym wsadziła go sobie między uda i zachęcająco kiwnęła na Honorcię.

– Okrakiem nie usiądę – oburzyła się córka kmiecia. – Pannie nie wypada.

– A dyrdać dołem wypada? – zainteresowała się wiedźma. – No i na wszystko się spóźnisz... – dodała kusząco.

Honorcia przygryzła wargę: strach przed obmową walczył o lepsze z ciekawością.

– Ale nad wioską ze mną nie przeleciecie – zastrzegła się. – I wylądujecie z dala od ojcowego podwórza.

Wiedźma uśmiechnęła się obłudnie.

– Ależ oczywiście – zapewniła ją słodko. – Jakżebym mogła inaczej?

Śmignęły więc nad świątynią – Honorcia darła się od pędu i kto chciał, słyszał ją, jak przelatywała nad księżówką – dalej nad cmentarzem i stawem, gdzie baby, bijące kijankami pranie, miały okazję podziwiać blade łydki Szyszkowej córki. Dziewczyna, ledwo żywa od strachu i szybkości, wczepiała się z całej siły w Babunię Jagódkę, lecz kiedy znalazły się nad gospodarstwem ojca, znalazła w sobie dość siły, żeby zaprotestować.

– Nie na podwórze! – ryczała, przekrzykując świst wichru. – Byle nie na podwórze!

Wiedźma skierowała dyl ostro w dół. Powietrze wokół syczało, jakby cięli je nożem.

Honorcia wciąż coś ryczała, kiedy gałąź zapikowała prosto w dach chałupy. A w chwilę później obie znalazły się w Szyszkowej kuchni.

– Prawdziwe wiedźmy nie lądują na podwórzu – pouczyła ją Babunia Jagódka, otrzepując spódnice z popiołu.

Ale Honorcia raczej jej nie słyszała, bo właśnie desperacko usiłowała ulżyć żołądkowi w kącie nad wiadrem z odpadkami. Zresztą w izbie panował taki rejwach, że przez chwilę przybycie wiedźmy pozostało niezauważone.

Najemne baby płakały, poupychane w kątach, żeby nie uronić ani jednego słowa. Szyszek, czerwony jak indor, wygrażał synkowi i wrzeszczał. Rusałka głośno zawodziła w kątku przy maśnicy i chyba nie bez powodu, bo gębę miała opuchniętą od ciosów. A Paszko miotał się pomiędzy trzema pacholkami, którzy usiłowali go w ryzach utrzymać.

Wiedźma zmarszczyła brwi. Nie lubiła, kiedy nie zwracano na nią należytej uwagi.

Zanim jednak zdołała dysgust swój okazać, dostrzegła coś pośrodku izby, na pustej przestrzeni, zupełnie jakby Szyszkowi domownicy ze wszech sił starali się trzymać od tego z daleka. Właściwie ciężko jej było rozeznąć, co to naprawdę było – wyglądało jak kłęb przemieszanych gałązek, liści, piór modrych, szafranych i tęczowych, pajęczej przędzy, opalizujących kryształków, wyschniętych nici, kamyczków, pracowicie pochwyconych w koszycki nici. Ostrożnie przybliżyła się i trąciła osobliwe znalezisko, rozgarnęła je kijaszkiem na boki. I wtedy zrozumiała.

Patrzyła na ślubną koszulę, utkaną przez rusałkę dla Paszka.

– Ja ci wszystkie gnaty przetrączę! – darł się wściekle oblubieniec i nogą próbował wierzgać, żeby choć czubkiem buta dzieło leśnej panienczki przydeptać. – Zrób mi tak jeszcze raz, durna, a z powrotem cię wcisnę w ten pieniek, coś z niego wylazła!

Babunia Jagódka uśmiechnęła się niemiło. Mógł Paszko wygrażać i skakać, ale prawda była taka, że skoro jesion ściął i pannę do domu sprowadził, związali się z sobą na dobre i nic się nie dało zrobić. W każdym razie nie wcześniej, niż posadzi nowy jesion, w którym by się mogła schronić.

– Gdybym tylko mogła tam wejść! – zawołała znienacka rusałka, a głos, jak się okazało, piskliwy miała i zgoła nieprzystający zwiewnej postaci. – Gdybym mogła stąd uciec, to bym się choćby w żołądź spróchniały wcisnęła!

Nigdy wcześniej nie przemówiła, więc teraz jej słowa wywarły iście pionujący efekt. Pachołkowie natychmiast zapomnieli, że mieli Paskowi bronić przystępu do narzeczonej, i gapili się na nią w takim bezbrzeżnym przerażeniu, jakby się jej ziemia pod stopami rozstąpiła. Szyszko zamarł z pogrzebaczem w ręku. Honorcia podniosła łeb znad kubła, strużka śliny ciekła jej po brodzie.

Wiedźma przybliżyła się szparko do Szyszka i trąciła go poufale łokciem.

– Moje to dzieło – oznajmiła z dumą, żeby wiedział, że jego datek nie poszedł na marne.

Ale kmieć ani drgnął. Z wybałuszonymi gałami patrzył na niedoszą synową.

Rusałka odsunęła się o krok – z zaciśniętymi pięściami i jakaś naraz zbrzydła, obkurczona na gębie. Już nie płakała. Przeciwnie, taka wściekłość biła z jej oblicza, że nawet Babunię dreszcz przeszedł. Wreszcie syknęła jak żmijka i wybiegła na podwórze, w deszcz.

Szyszek poderwał się pierwszy.

– A nie mówiłem? – zakrzyknął, przyskakując do Paska w przyptywie rodzicielskiego współczucia. – Nie mówiłem, żeby przybłądę wygnąć, zanim nas zamorduje? Kto wie, do czego ona zdolna?

– Posadźże jej wreszcie ten jesion – odpowiedziała usłużnie Honorcia, która zdążyła się podnieść z klęczek. – Sama precz sobie pójdzie.

– A co to, to nie. – Pasko uspokoił się w jednej chwili. – Mowy nie ma. Roztrącił pachółków, spozierając nienawistnie na krewnych.

– Wszystko to wasza wina – oznajmił, kopniakiem usuwając rusałczyne arcydzieło w kąt. – Tyle się, biedna, starała, a wam ciągle mało. Ani chybi, tak jej zależliście za skórę, że znów w rusałstwo popadła. Pewnie ciągle słyszy, że jej tutaj nie chcą.

– Co jest szczerą prawdą. – Szyszek z godnością pokiwał głową.

Ale jego potomek nie zamierzał dać sobie przerwać przemowy.

– Zwłaszcza zaś ty, cholero! – Pogroził siostrze pięścią. – Znam ja ciebie dobrze, chciałyś być tu panią. Ale niedoczekanie! Prędzej sama o żebrach pójdziesz niżli ona – dorzucił z pogroźką w głosie, po czym w ślad za ukochaną wypadł z chaty.

Wiedźma wciąż się uśmiechała.



Przez kolejne dni Babunia Jagódka spotykała rusałkę a to przy kładce, jak prała, a to w Szyszkowym sadzie, a to wreszcie na leśnych polanach, gdzie po chrust chadzano. Spoglądała na nią z daleka, mamrotała do siebie pod nosem, ale sama nie wyłaziła z krzaków. Wszystko wszak było na dobrej drodze.

Zresztą wszyscy w Wilżyńskiej Dolinie nabierali nadziei, jako że

władyka ocknął się wreszcie w swoich folwarcznych ruinach i kędyś z wioski pojechał. A kiedy wrócił, ciągnął chuderlawego chłopinę, dwa wozy i kilka jucznych mułów. Zacni wilżyńscy gospodarze tłumnie wylegli na majdan, żeby obejrzyć nowe cudło. Nawet pleban dobrodziej wytarabanił się na ganek księżówki i wrogim wzrokiem obserwował, co za nowe porządki mu popod nosem czynią. Bo władyka zatrzymał się przy ruinach gospody, pachółków z wozów zegnał, a chudego chłopinę do siebie szparko przywołał i coś tam ciszką radzili. Potem jaśnie władyka w strzemionach się raczył być unieść, żeby poddanym ogłosić, że oto piwowara im przywiózł.

Ech, żadnego feudała tak nie kochano w Wilżyńskiej Dolinie, jak owego wieczoru jaśnie pana władykę. Chłopstwo wiwatowało na jego cześć, nieledwie po rękach obcałowując, i z takim zapałem przystąpiło do wznoszenia przybytku grzechu, że jeszcze przed niedzielą odszpuntowano w karczmie pierwszą beczkę.

Tylko ropuch, nieszczęśnik, zakradał się nockami na stare śmieci i tak żałośnie kumkał, że się serce krajało. A że wilżyńscy obywatele niechętnie pijali na smutno, psami go wściekle szczuli i pochwycić próbowali, aż, zgnębiony ze szczętem, w najgłębszym się zaszył bagnisku.

Oni tymczasem pili, i w karty rznąli do rana, i sprośnie tańcowali, aż ich w kolanach łamało, chociaż nie karczma to była, ale zaledwie klepisko, dachem nędznym przybrane.

– Wreszcieśmy są państwo – oświadczył Szyszek, wyrażając tym życzenia i bogatych, i gołych, i starych, i młodych.

– Jak w paradnym mieście – dodał Mały Sułek, który wreszcie mógł w spokoju oddawać się ulubionej przywarze, bo jego stara matka, jakkolwiek w chałupie bardzo krzykliwa, zwyczajem starych babek brzydziła się do karczmy zaglądać.

A Babunia przeciwnie, z rozkoszą odzyskała dawny punkt obserwacyjny. Obrąła sobie kącik tuż przy palenisku, lecz mroczny jak należy i natychmiast dodatkowo go okopciła. Widać piwowar posłyszał o niej to i owo, bowiem ani słowem nie protestował, kiedy na borg brała, co tylko dusza zapragnie. W końcu, nakarmiona gulaszem z kaszą i rozgrzana gorzałką, mogła się przyznać przed sobą, że przemienienie poprzedniego oberżysty w żabę i zdewastowanie karczmy było

cokolwiek przedwcześnie.

Oprócz piwa miał piwowar i gorzałkę z acną. Pod koniec drugiej flaszki mrok wokół Babuni jął się jakby zagęszczać, a kiedy przymknęła oczy, miała przelotne wrażenie, że wszystko jest jak dawniej. Pleban, władyka wrócili. Młyn znowu turkotał wesoło, dzwon na kościele dzwonił, a piwo strugą się łało. Tak, przez chwilę ogarniała ją błogość, że udało się porwane sznurki powiązać i stare skorupy zdrutować. Ale tylko przez chwilę.

Aż tu na skraju ławy, z daleka od innych, dostrzegła Paszka, zafrasowanego i nieszczęśliwego nad kubkiem wódki.

Bezceremonialnie kiwnęła pokrzywionym paluchem na koniokrada, który, chociaż przygłupi, zawsze dobrze wiedział, co w trawie piszczy, a ostatnimi czasy z woli władyki objął też i odpowiedzialną funkcję grabarza, więc i w największych wilżyńskich nieszczęściach nieźle się orientował.

Doliba przytruchtał natychmiast, uśmiechnął się głupkowato, czym zwykł maskować obawę.

– A temu co doskwiera? – Wiedźma czubkiem brody pokazała Paszka. Koniokrad poskrobał się po głowie.

– Ano, źle się tam u Szyszka w obejściu dzieje – powiedział wreszcie i nawet cokolwiek litościwie, bo przeciwieństwie do wielu bogobojnych mieszkańców Wilżyńskiej Doliny, koniokrad szczerze współczuł bliźnim w nieszczęściu.

Wiedźma aż zatarła ręce. Nic tak nie dodawało człekowi otuchy jak soczysta plotka.

– No, gadajże mi, głupi – ponagliła Dolibę solidnym kuksańcem, bo jakoś się dziwnie ociągał.

Chłopina ledwo się skrzywił. Co tu kryć, na posadzie wiejskiego głupka dobrze do prztyczków przywykł.

– Ano, baby się za łby wzięły.

– Baby? – zdziwiła się Babunia. – Znaczy się, które?

Koniokrad westchnął ciężko.

– Ano Honorcia z tą niby rusałczaną przybłądą.

- Naprawdę? - uradowała się wiedźma. - Moiściewy! A o co poszło?
Mężczyzna ciężko przestąpił z nogi na nogę. Cosik nie czuł się swobodnie, donosząc o przywarach sąsiadów.



– No, gadajże mi, głupi – ponagliła grabarza solidnym kuksańcem, bo jakoś się dziwnie ociągał.

Chłopina ledwo się skrzywił. Co tu kryć, na posadzie wiejskiego głupka dobrze do prztyczków przywykł.

– Ano – zaczął, bo kłąc się przy wiedźmie bojał, a jakże tu inaczej wyrazić całą gamę emocji? – kramarz do doliny przyszedł i tak w Szyszkowej komorze gardłował, póki ich nie przekonał, że lampę trzeba nad drzwiami powiesić. Ano, taką ze szkiełkiem, jak w wielkich miastach miewają – w jego głosie mimowolnie zabrzmiał cień podziwu, bo po ładnych paru zimach w Wilżyńskiej Dolinie Dolibie wciąż się zdarzało tęsknić za wielkim światem.

Wiedźma pokiwała ze zrozumieniem głową. Szyszek, choć kmieć z dziada pradziada, po wojnie w piórka porósł, ziemię od sierot i wdów skupując, lasy rąbiąc i drewno do miast spławiając. Nic zatem dziwnego, chciał się teraz pokazać i nad innych wywyższyć. Stąd szybki powstawił w okna, cholewy miał z pańska wysokie i rosół w dzień powszedni żarł z kurą. A teraz zamarzyła się mu latarnia.

– Ano – ciągnął koniokrad – że dwie latarnie przekupień pokazał. Jedną z żółtą szybką, drugą z zieloną. I o to spór poszedł. Bo już Honorcia po tę żółtą sięgała, już ojcowe pieniądze za nią odliczała, kiedy się z nagłą rusałka ocknęła i dalejże gardłować, że ma być zielona i żadna inna.

– A Szyszek co na to? – zaciekawiała się wiedźma.

– Ano – Doliba rozgłośnie wysmarkał się w palce – z początku to niby nic, tak się biedaczysko zdumiał, że mu we własnej chałupie baby okoniem stają. Potem zasię się rozdarł, że jego są pieniądze, znaczy się, ma być, jak on chce, znaczy się, jego córka.

Tego się akurat wiedźma spodziewała. Szyszek, jak większość tych, co do bogactwa własną pracą doszli, ni umiał, ni lubiał się dzielić, osobliwie zaś władzą. Jedynie córka, Honorcia, zawsze tak umiała mu się przymilić, tak go pod brodą łechtać, że jej ustępował.

– Lecz wtedy Paszko się wmieszał do swaru – ciągnął koniokrad – że przecież on chłop jest i dziedzic, więc jego winien ojciec przedkładać nad siostrę.

Tu Babunia Jagódka uśmiechnęła się pod nosem, wyobraziwszy sobie zdumienie Szyszka. Bo jego syn, zgodliwie dotąd pozwalał, by ojciec powodował nim wedle woli, a siostrze też dla świętego spokoju ustępował we wszystkim. Owszem, umiał się zeźlić, ale nie przeciw swoim.

Coś się zatem musiało we łbie Paszka odmienić, skoro umiał się ojcu postawić i to w sprawie tak błahej.

– A rusałka – koniokrad zniżył głos – jeszcze go podbechtywała i do Honorci skakała jak wściekła. I darła się. – Pokręcił głową. – Ano, Babuniu, strach, co ona wygadywała.

– Co, co? – rozentuzjasmowała się wiedźma.

– Ano – Doliba splunął na klepisko – że lada moment ona w obejściu panią zostanie, a Honorcia precz pójdzie. Że jak się będzie stawiać, to ją za byle włóczęgę wydadzą i świńskim łajnem wywianują, ot co. Wreszcie za kudły się wzięły i póty dokazywały, póki ich któraś kobieta starsza z cebra przez łby nie chlusnęła...

W głębi chaty jeden z pachółków piwowara wyciągnął skądś skrzypeczki i jął zajadle rzępolić, zagłuszyszy na chwilę koniokrada.

– A Szyszek jeno słuchał? – nie dowierzała wiedźma.

– Zaśby tam słuchał – zachnął się Doliba. – Wrzeszczał jako inni i do syna z pięściami skakał, że nie będą przybłądy za życia schedy po nim dzielić, a córkę wydziedziczać. I że jeśli go bardziej zeźlą, gotów się jeszcze ożenić i tuzin dziatwy napłodzić, a Paszka z rusałką pospołu na żebry każe wypędzić. Z chałupy iść im kazał, niechże na zimnie ochłoną. Paszko tymczasem powiada, że chętnie precz sobie pójdzie, jeno niechże mu ojciec zarobek cały wypłaci i spadek, co mu się po matce należy. A jak nie – koniokrad ściszył głos – do jaśnie władzyki pójdzie, niechże jaśnie pan sądzi, komu się krzywda dzieje.

Wiedźma zachichotała z uciechy. Co starsi wieśniacy w Dolinie wyśmienicie pamiętali sądy, sprawowane nad poddanymi przez władzykę, wspartego autorytetem teścia, sławetnego starosty Wężyka. Jaśnie pan sprawy przeciągał, chętnie skarg wszelkich słuchał, ale za każdą rozprawę grosz sowity pobierał, póki zwaśnieni nie zbiednieli ze szczętem lub nie ugodzili się sami.

– Ano i tym ojca Paszko nieco utemperował – dokończył ponuro

koniokrad. – Ale baby zajadłe i coś mi się zdaje, że się na tym nie skończy.

Babunia Jagódka z niecną uciechą skinęła głową. Też nie sądziła, żeby Honorcia odpuściła. Albo rusałka, skoro już o tym mowa.



Nie przewidziała jednak, że tak prędko do kolejnej potyczki przyjdzie. Jeszcze bowiem trzeciej flaszki do dna nie opróżniła, kiedy do karczmy wpadła zasapana baba.

– Honorcia kona! – zakrzyknęła wieśniaczka. – Ratujcie ją, dobrzy ludzie!

Jak się okazało, Honorcia bynajmniej nie zamierzała wyzionąć ducha. Leżała w kuchni na narach, trochę posiniaczona, nieco powalana błotem, ale bardzo godna. Na widok wchodzącej wiedźmy poprawiła się na posłaniu i wyżej zadarła brodę.

– Chcieli mnie zamordować – oznajmiła z dumą.

– Ale coś im nie wyszło – zachichotała wiedźma, wciąż mile połączona gorzałką.

Honorcia się zachnęła.

– A to?! – Zapalczywie schwyciła za kraj spódnicy i zadarła ją aż do pasa.

Prawa noga sterczała jej pod dziwnym kątem.

Wiedźma wytrzeszczyła oczy.

– To co?! – zawołała triumfalnie Honorcia.

Oparty o piec Szyszek rwał z głowy resztki włosów.

Natomiast parobczakowie gapili się zachłannie, bo nigdy dotąd nie oglądali obnażonych wdzięków dziedziczki. W każdym razie nie wszyscy pospołu i nie w jasno oświetlonej chacie.

– To będzie kosztować – oznajmiła refleksyjnie wiedźma.

W drzwiach chałupy stanął Paszko, a za nim – cały tłumek gapiów, wywabionych tym niezwykłym zdarzeniem z gospody. Dopiero kilka siarczystych komplementów z podwórza przywróciło Honorci rozum.

Przygryzła wargę – bo złamana noga naprawdę mocno jej doskwierała, chociaż przed przybyciem więdźmy przedsiębiorcze baby napoiły ją wywarem makowym – i pospiesznie obciągnęła odzienie.

– Nie trzeba tam było włązić – burknął Szyszek, bo perspektywa wydatku z nagła rozproszyła jego rozpacz. – Parobka trza było posłać. On na pewno by nie spadł.

Honorcia płaczkliwie wykrzywiła usta.

– Chciałam ją sama zawiesić – odparła, przybierając ton małej dziewczynki, który nieodmiennie zmiękczał serce ojca.

Ale nie tym razem.

– Zaraza z wami, babami – zeźlił się Szyszek. – Jeno targi i kłótnie. A na co mi ta latarnia, jak baby w zagrodzie nie będzie? Kto obejścia dogładnie i o inwentarz zadba? Kto spiżarnię na zimę wyszykuje? Tyś do niczego niezdatna.

– I nie polepszy się prędko – pocieszyła go serdecznie Babunia. – Co najmniej dwie niedziele, zanim się noga zrośnie.

Kmieć jęknął cicho.

– I ładnych parę talarów, żeby krótsza nie była – zadała kolejny cios więdźma. – Złamanie rzecz niebezpieczna, można całe życie utykać.

Córka kmiecia poszarzała na twarzy. Nieraz przecież oglądała pod kościołem rozmaitych połamańców, których wołano Kulas, a którzy włoczyli się po Górach Żmijowych za łaskawym chlebem.

– A wszystko przez tę zarazę! – Wymierzyła oskarżycielski palec w rusałkę, która wcisnęła się w ulubiony kątek przy maśnicy z bardzo ukontentowaną miną. – Stopień oblużowała.

– Anim na podwórzu była! – odcięła się piskliwie rusałka. – Groch mi łuskać kazałaś. No, ale teraz – dodała z satysfakcją – nieprędko sobie porządzisz.

Szyszek wodził pomiędzy nimi zdeorientowanym wzrokiem.

– Ona mi to zrobiła – załkała raptem Honorcia. – Przez skórę jej zawiść czuję.

– Aha – rusałka wzięła się pod boki i nie zamierzała ustąpić ani o jotę – za pomór i gradobicie też pewnie odpowiadam.

We drzwiach Paszko potrząsał łbem, jakby chciał zamroczenie w umyśle rozwiać i dojść, co się tu, przebóg, dzieje. Wreszcie wpakował się do domostwa, do oblubienicy przepchnął i przygarnął ją mocno. Drobniutka panienczka ginęła w jego objęciu, chociaż Babuni i tak się zdawało, że znowu potłuściła jej ramiona i w pasie też już nie była równie wąska jak wprzódy.

– Nie śmieję mi na nią gadać – rzucił z pogroźką do siostry. – Bo za obmowę jest kara i w pręgierz cię za nią wsadzą, i kijmi jeszcze obiją, aż skóra na grzbiecie pęknie.

– Ty mi głupot nie gadaj – zezłościł się Szyszek, który pozbiierał się trochę i postanowił kłótnię zakończyć, zwłaszcza że sąsiedzi przysłuchiwali się jej z dziką uciechą.

– Ej, ojciec, jam to dobrze obmyślił – rzekł chełpliwie Paszko – i z piwowarem gadałem. Jak wy mnie nie szanujecie, za pachółka przystanę, a co! – Klepnął się po szerokiej piersi. – Piwowar się zarzekał, że łebski ze mnie chłopak i silniejszy od tura, na pewno władcy się nadam.

W chałupie zapadło grobowe milczenie. Chłopi najwyraźniej nie zastanawiali się dotąd nad konsekwencjami powrotu przyrodzonego pana.

Szyszkowi, przyzwyczajonemu dotąd, że powoduje synem, zbrakło języka w gębie.

– Przecież będzie musiał porządek zaprowadzić – ciągnął z zadowoleniem Paszko – a tego bez pomocnika nie dopnie. A ja jestem najlepszy. Uczciwy, tutaj chowany, więc wszystkich znam co do joty i wszelkie ludzkie łajdactwa.

– Chyba że – włączyła się niespodziewanie rusałka – lepiej się z nami, ojciec, rozliczysz. A ona – machnęła pogardliwie na Honorcię – niech przestanie jazgotać.



Kurowanie kmiecej córki szło opornie. Owszem, zaniesiono ją na górkę, do własnej, przytulnej izdebki, gdzie grzecznie przyjmowała mikstury Babuni – bez wątpienia rozumiejąc wybornie, że ojciec

własnymi rękoma ją zadusi, jeśli uroni choćby kroplę cennego trunku. Ale odwiedziny sąsiadek wcale nie poprawiały jej nastroju. A już odgłos krzątającej się na dole rusałki rozjuszał ją do głębi.

– Jak się, ścierwo, tu rządzi – syczała nienawistnie do Babuni – jakby u siebie była. Niech no do zdrowia powrócę, już ja jej, kto rządzi, pokażę.

Na razie jednak w obejściu niepodzielnie panowała rusałka. Wprawdzie nadal się nie garnęła do gospodarskiej roboty, a co w ręce wzięła, to jej przez palce przeciekło, ale do rozkazywania dryg miała jako rzadko. Szparko porozdzielała zajęcia między najemne baby i parobków, a potem tylko chodziła po podwórzu i włosy grzebykiem gładziła.

– A żeby oparszywiała! – życzyła jej wylewnie Honorcia, dźwigając się na łokciach, byle przez okno dojrzeć, co jeszcze leśna panienczka zdołała powyczyniać.

Nudziło się jej w łóżku, och, nudziło straszliwie. Domownicy wnet wyczuli, skąd świeży wicher wieje, i na wyprzedki przymilali się rusałce. Do Honorci mało kto zachodził, żeby się Paszkowej narzeczonej nie narazić. Bo Paszko paradował już w cudnej ślubnej koszuli, wprawdzie niewyszykowanej przez leśną panienczkę, ale chyłkiem uszytej przez krawcową z miasteczka. Kmiecie podśmiewali się z tego po cichu, baby wygadywały z oburzeniem, że się odwieczny, święty zwyczaj kała, ale po prawdzie niektórzy i chwalili rusałkę, że taka przedsiębiorcza. Czego innego należało oczekiwać po synowej najbogatszego we wsi kmiecia?

Sam Szyszek wydawał się w tych dniach dziwnie osowiały. Niektórzy tłumaczyli sobie, że władzyki się lękał, bo ten niby we folwarku wciąż siedział, ale mógł się kiedyś zebrać i wejrzeć, jak się w posiadaniu kmiecia znalazły te pola piękne i dąbrowy. Inni gadali, że żal go w piersi gniece na syna, co mu publicznie ubliżył. Jakkolwiek było, do córki zachodził z rzadka. Przysiadł na stołku, posapał, bo mu się ciężko było na górkę wspinać, na dolę swą powyrzekał, jako i na kłopoty, co mu ich przyczyniła, po czym wnet precz uciekał.

– A przez nią, zarazę, to wszystko – popłakiwała Honorcia, a gęba jej coraz bardziej brzydła ze złości. – Paszka uczarowała, tedy i ojca musiała uczarować. No, ale ze mną nie pójdzie tak łatwo. Jeszcze się, popychadło drzewne, przekona.

Jednakże leśna panienczka bynajmniej nie kwapiła się do

czarowania Honorci. Właściwie w ogóle nie zaprzętała sobie nią głowy. Może i dobrze, bo z jej charakteru rychło się dało rozpoznać, że nie do naporów miłosnych, ale raczej do szaleju jest skłonna. A tak złośliwie umiała każdemu przygadać, każdą niedbałość wytknąć, że prędko zaczęto jej schodzić z drogi, zwłaszcza że Paszko stał za nią murem, coraz dumniejszy z talentów swej narzeczonej.

– Wiecie, Babuniu – rzekł pewnego wieczora Szyszek, kiedy wiedźma, stękając, złaźła z Honorczynej górki – jest z niej jaki taki pożytek.

Siedział przy piecu i nogi do żaru wyciągał. Rusałka obstałowała dla niego cudne domowe bambosze.

– Wszystkie drzewo najlepsze rozpozna – ciągnął, pomlaskując z aprobatą. – Wie, które popróchniałe, które robak toczy.

Wiedźma przypatrywała mu się spod opuszczonych powiek. A Szyszek wąs żuł, rozmyślał, skrycie rachując zyski.

– Mówi, żeby wciąż ścinać – odezwał się po chwili, niby to mimochodem zerkając ku gościowi. – Że rzeki nieprędko zamarzną.

Babunia uśmiechnęła się przebiegle. Ani zamyślała dać się chytruskowi na zwierzenia naciągnąć. A już na pewno nie darmo.

– Rusałki na drewnie się znają. A na pogodzie... – zawiesiła głos. – Na pogodzie gorzej.

Tego roku jednak rusałka miała rację, bo jesień ciągnęła się, wlokła powolusieńku, cała brązowa i złota. A po lasach siekiery stukwały, piły warczały dzień cały, a i czasami po zmierzchu, bo po wojennych trwogach odbudowywały się Wiergi i strażnice nowe rosły przy księżących traktach, klasztory, karczmy i miasta – i wszędzie potrzebowano drewna. Szyszek teraz całymi dniami w osadzie siedział, załadunku doglądał, kiedy chłopci drewno traktem w dół wieźli. A rusałka z Paszkiem po lasach biegała i z każdym dniem wydawała się krągłejsza, bardziej rumiana i swojska.

Tymczasem, jakby na przekór całej tej domowej szczęśliwości, noga Honorci nie chciała się zrosnąć. Dziewucha jęczała i stękała, niby próbowała wstawać, ale zaraz chyliła się i bezwładnie opadała w piernaty.

– Ej, coś mi się zdaje – rzekła jej pewnego dnia wiedźma – że nazbyt

się z sobą pieścisz.

– Bo boli – wyjęczała dziewczyna.

– Noga czy serce cię boli? – zapytała chytrze Babunia.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Honorcia pierwsza spuściła oczy.

– Za popychadło tu będę. – Kmieca córka rozplakała się żałośnie. – U własnego ojca.

– Jako się i wcześniej z Paszkim przez szmat czasu działo – zauważyła filozoficznie wiedźma. – Nikt go tutaj w poważaniu nie miał, a ty rządziłaś, jak chciałaś, co nie jest wszak rzecz dziewczynska.

– Ale to zwykła przybłęda – załkała Honorcia. – Z gołym zadkiem tu przyszła, nic z sobą nie przyniosła. To jakże to tak? Że teraz ode mnie lepsza?

Wiedźma milczała. Nie obchodziły jej przesadnie dziewczynskie kwęki.

– Onegdaj tu do mnie zaszła – wyznała, spłakawszy się jak należy, Honorcia. – Na skrzyni mojej usiadła i jeszcze się odgrażała, że weselisko wnet będzie. I żebym se nie myślała, że do kościoła nie pójde lub jej w czym ubliżę. Bo albo się przed nią pokłonię i przed dźwierzami powitam, albo mnie każe przepędzić. I nikt mnie przed nią nie broni – dodała cichutko. – Najmniej zaś ojciec.

– Szyszek zarobek rozumie. – Wiedźma wzruszyła ramionami. – Ty jesteś dla niego wydatek, a rusałka zysk pewny.

Honorcia znów zaczęła ryczeć.

– Ale ja jestem córka.

– Córki prędko w świat idą – rzekła obojętnie wiedźma – i o swoich się troszczą, a pod jednym dachem będzie żył z synową.

– Aleście mi obiecywali!

– Ja? – Babunia brwi uniosła.

– I pieniądz suty wzięliście – nie ustępowała dziewczyna – coby ojciec rusałki w obejściu nie miał.

– I nie ma – odparła spokojnie wiedźma.

Honorcia poderwała się z łóżka.

– A żebyście zdechli! – wykrzyknęła.

Pokuśtykała do kufra i spod spódnic, zapasek wygrzebała flaszeczkę, którą jej kiedyś podarowała Babunia.

– Żeby was pokręciło! – Cisnęła flakonik w wiedźmę. – Żebyście nędznie szczęśli.

Chybiła. Naczynie roztrzaskało się o ścianę i w izdebce podniosła się śmierdliwa woń kurzego łajna.

Nie darmo Babunia miała za chałupą cały kopiec gnoju do destylacji.



Weselisko Paszka i jego leśnej panienci – która kazała się nazywać Jesionka, co nie było zbyt wytworne miano, lecz pasowało jak ulał – długo wspomniano w Wilżyńskiej Dolinie. Pleban, ułagodzony przez Szyszka sowitym wziętkiem, z kwaśną miną wygłosił zwyczajowe błogosławieństwo, lecz kościół tak suto przybrano, że i za ślubowania władzyki piękniej nie wyglądał. Na biesiadę zaproszono jedynie najzaciejszych gospodarzy, ale na gumnie piwo lało się i dla biedoty. Przygrywali muzykanci sprowadzeni spod klasztoru Cion Cerena. Upieczono cztery barany, gromadę prosiaków i tyle tuzinów ptactwa, że nawet wioskowe psy z obżarstwa brzuchami po ziemi wlokły.

Honorcia siedziała w kącie, nastroszona jak puchacz. Ale na znak ojca podrywała się z ławki i biegła z kawalerami tańcować, wybierając co grzeczniejszych i z bogatszych chałup. Paszko, rozebrany gorzałką, rozrzewnił się wprawdzie nad ranem, siostrę do serca przygarnął i obiecywał, że jej wszystko przebaczył. Ale ze spojrzeń, jakie jej posyłała rusałka, Honorcia rozumiała, że niedługo będzie w ojcowej zagrodzie popasać.

Pośrodku tego całego zamętu Szyszek wydawał się nieco niespokojny.

– Podobno na wiosnę zlegnie – zwierzył się konfidencjonalnie wiedźmie. – Szybko się, ścierwa, uwinęli – dodał z odcieniem podziwu, popatrując na leśną panienczkę, której akurat inne baby, zawodząc, spletały włosy w warkocze i nakrywały je czepcem.

– Bo baba piękna, a i chłopak galanty – przypochlebiła mu się wiedźma.

Szyszek z zadowoleniem pogłaskał się po brodzie.

– I trochę się upała – rzekł, spoglądając na rusałkę. – Na gębie też jakby lepsza.

Istotnie, leśna panienczka nadal wyróżniała się w tłumie wiejskich dziewczuch świetlistą skórą i drobniejsza była od innych, lecz jej srebrzyste włosy pociemniały. Policzki miała rumieńsze, ramiona nabrały ciała, a z oczu i z oblicza nie wyzierała już ta osobliwa obcość. Gdyby ją teraz wędrowiec zoczył na miedzy, wziąłby niezawodnie za zwyczajną wieśniaczkę, może od innych gładszą, może bardziej gibką.

– Jeno tak się wciąż lękam – Szyszek przysunął się do Babuni po ławie i szeptał jej wprost do ucha – żeby jakichś rusałcząt nie powiła.

– Nic się nie martwcie. – Wiedźma poklepała go pocieszająco po ramieniu. – Dzieciak będzie różowy i tłuściutki jak prosiak.

– Naprawdę tak myślicie? – uradował się Szyszek.

A kiedy Babunia skinęła głową, poderwał się z ławy jak młodzik i z innymi zapląsał.

Cała stodoła zdawała się huczeć od muzyki i wrzawy.

Wreszcie nad ranem zadyszany Paszko pochwycił leśną panienkę na ręce i pognął z nią do nowej izby, którą dla nich postrojono w przybudówce. Weselni goście rzucali im pod nogi drobne monety i kwiaty – na dobre życie, na szczęście, na zasobność i w dzieciach urodzaj. Kiedy prawie już próg minęli, spomiędzy tłumu wysunęła się czyjaś ręka i wiedźma dojrzała rozplomienioną wściekłością twarz Honorci. Dziewucha coś cisnęła. Cienka, wiotka gałązka poszybowała w przód, uderzyła leśną panienczkę w ramię.

Rusałka aż się cała zwinęła, wizgnęła głośno od ciosu, chociaż witka wątła była i nie powinna nawet naznaczyć skóry. Lecz Paszko trzymał ją mocno i mknęli już przez podwórze, rozświetlone łuczywami.

Nad drzwiami do chałupy płonęła piękna, zielona pochodnia.

Zabawa potoczyła się dalej.

O brzasku wiedźma ułożyła się wygodnie na łące za domem. Trawa, chociaż nadwątlona jesiennymi deszczami, pachniała pysznie. Poranna

rosa mile chłodziła rozochoczone ciało.

W szopce na siano Honorcia przekonywała właśnie kowalskiego syna, że wykorzystał niecznie jej dziewczęcą słabość i musi się z nią teraz ożenić. Twarz miała złą i zaciętą.

Wiedźma przeciągnęła się, aż chrupnęło w stawach, odrzuciła z nagich piersi pukiel kruczoczarnych włosów. Wędrowny pacholek zamamrotał przez sen, kiedy zsunęła mu się z ramienia i przetoczyła na bok.

Wszędzie wokół było cicho i błogo. Wieśniacy rozumieli, że kiedy się wiedźma zakłębem „piękna-i-młoda” odmienia, to nie po to bynajmniej, żeby powąchać kwiatki, i nikt nie zakłócał jej odosobnienia. No, może z wyjątkiem kilku gospodarskich synów, którzy w pijackim widzie wdrapali się na jabłonki na skraju sadu i teraz, jak stado gawronów, wgapiali się w odmienione wspaniałości Babuni. Przeciągnęła się raz jeszcze, żeby mieli o czym śnić w zimowe noce, przy swych przytłustych babach, pod pierzynami ciężkimi od potu. A potem pogroziła im palcem, bo co za dużo, to boli.

Od strony sadu dały się słyszeć głuchoe odgłosy uderzeń, gdy, jak ulęgałki, sypali się na ziemię.

I usłyszała coś jeszcze. Czyjeś lekkie kroki po ścieżce i potem dalej, na trawie.

– Nie ruszaj go, niech pośpi. – Wiedźma omiotła spojrzeniem golusieńskiego parobka, który rozwalił się na wznak, pochrapując z błogością. – Zmordował się, niecnota. – Uśmiechnęła się niemal tkliwie.

Rusałka przykucnęła na piętach. Cienka ślubna koszulka sięgała jej ledwo do kolan i przez chwilę wyglądała niemal tak samo, jak wtedy, kiedy ją Paszko do ojcowskiego obejścia przywiódł.

– Paszko też usnął. – W ręku trzymała gałązkę.

Tę samą, którą ją uderzyła Honorcia.

Na jej ramieniu nabrzmiewała sina rana, jak od oparzenia.

– Zostawże to, głupia! – ofuknęła ją Babunia i wyrwała jej badył.

Palce też miała rusałka poparzone, ale nawet nie drgnęła.

– Myślicie, że jestem podła – powiedziała ni to do siebie, ni to do wiedźmy leśna panienczka.

– Myślę, że jesteś głupia i zaraz się zaziębisz – skarciła ją Babunia. – Gdzież tak po rosie biegać? Zwłaszcza we własne wesele.

– Że nie powinnam tu zostać. – Leśna panienczka objęła się ramionami, a włosy otulały ją, opadając do ziemi, w pierwszych promieniach słońca znów jak świetlista przędza.

– A dokąd ty, dziecko, pójdziesz? – rzekła łagodniejszym głosem wiedźma. – Na polu będziesz sterczeć, póki nie zmarniejesz jak drzewo, co cię z niego wyrwali?

Ale rusałka tylko potrząsnęła głową.

– Bo nikt mnie tu przecież nie chciał.

– No, Paszko chciał cię aż nadto.

– Nie, nie mnie – odparła rusałka. – W obejściu chciał babę robotną, coby jak koń tyrała, do pochedóżki rusałkę, coby mu jej wszyscy zazdrościli. A ja...

– A tyś – dokończyła cicho wiedźma – tyś mu się wedle życzenia obmieniła.

– Jeno że mnie już nie ma! – zawołała namiętnie rusałka.

Parobek poruszył się i zamlaskał przez sen.

– Cichaj! – Babunia położyła mu palce na skroni i pod jej dotykiem uspokoił się prędko.

– Nie ma mnie! – biadoliła dalej rusałka. – Nie istnieję.

Oczy miała teraz piwne i całkiem zmętniałe.

– Jak zwykle rusałka, kiedy się ją przemocą z drzewa wywlecze – powiedziała ze smutkiem Babunia. – Tej jednej rzeczy nie da się odmienić. Kiedy drwal ręki jej dotknie, nie zdoła się odeń uwolnić. Ani on więcej od niej, ani ona od niego. Chyba że jej drzewo zasadzi, żeby miała gdzie mieszkać.

– Ale on mnie nie chciał odesłać.

– Aż stracił, co zrazu ukochał – rzekła posepnie wiedźma.

– Ile nocy go błagałam, ale nigdy nie chciał – płakała leśna panienka. – Ile ja łez przelałam...

– Łzy tutaj tanio kosztują.

Leśna panienczka otarła buzię. Zacisnęła gniewnie wargi.

– Tedy nie będę już płakać. I będę taka, jak zechciał, skoro inaczej mnie nie ma.

Podniosła się bezszelestnie, niemal nie muskając stopami źdźbeł trawy.

– I w tym cała bieda – szepnęła do siebie wiedźma.

Rusałka zawsze spełnia życzenia tego, kto ją pochwycił.

ZAGUBIONE DZIECI

K

u uldze wieśniaków z pierwszym śniegiem w Wilżyńskiej Dolinie zapadła błoga cisza. Wiele się bowiem tego roku działo i trzeba było cokolwiek odetchnąć, zanim nowe niepokoje nastaną. Bo nikt nie wątpił, że przyjdą.

Na razie jednak śnieg padał cicho, płatek po płatku, i otulał wszystko milczeniem.

No, prawie wszystko. Bo w chałupę Babuni ktoś tak przygrzmocił szyszką, że wszystkie sople opadły.

– Ja ci, ścierwo, pokażę! – Wiedźma wypadła na przyzbę, nawet nie wdziwając kożucha.

Miała w chacie przyjaznego parobka, którego wyratowała na trakcie przed pewną śmiercią od wilków, i nie życzyła sobie, żeby jej przeszkadzano. Co tu kryć, na weselu Honorci rozochociła się ździebko i miała ochotę pohulać, póki nie stopnieją śniegi. Odrzuciła w tył loki i już miała zaklęciem trzasnąć, kiedy od strony płotu dobiegł ją jasny dziecięcy głosik:

– Wcale nie jest tak brzydka!

Wiedźma skuliła się odruchowo, usiłując zasłonić wdzięki. Szans na to nijakich nie było, bo dłonie też miała drobne, dziewczęce. Hycnęła zatem do chaty, drzwiami za sobą trzasnęła i dla większej pewności jeszcze je plecami podparła.

– Co się tam dzieje, duszko? – wymamrotał pacholek z pościeli.

– A nic, nic takiego – uspokoiła go wiedźma. – Śpij sobie, serdeńko, spokojnie – dodała, wzmacniając słowa zaklęciem. – Potem mi będziesz potrzebny.

Ledwo młodzik zachrapał, odmieniła się spiesznie w zwykłą, zgrzybiałą postać. W sam czas, bo dwie dziecięce twarzyczki właśnie zaglądały przez dziury w płocie.

– A kur nigdy nie ma – sarknęła pod nosem wiedźma – kiedy potrzebne.

Naprawdę jednak nie miała żywinie za złe, że się skryła przed mrozem. Sama też najchętniej nie wyściubiaby nosa za próg.

Wyjrzała ostrożnie przez okno. Smarkacze przedarły się przez płot i właśnie zaglądały do wygodki.

– Mówiłem, że nie jest z piernika. – Chłopak dłubał patykiem w ścianie.

Dziewczynka wspinała się na palce i usiłowała zajrzeć do środka przez wywietrznik.

Wiedźma przyglądała im się bardzo uważnie. Nie, nie wyglądały na tutejsze, zresztą aż za dobrze znała wszystkie osmarkane bachory, włączące się po wilżyńskiej wiosce. Te nosiły się nieco schludniej. I bardziej po pańsku.

Co, ani chybi, zwiastowało nieszczęście.

– E tam, wszystko bujda – oznajmił autorytatywnie chłopak. – Jak te okruszki na drogę.

Wargi dziewczuszki wygięły się w podkówkę.

– Przecież niania mówiła...

– A głupia baba jest ze wsi – przerwał jej ze złością smarkacz – więc powinna wiedzieć, że ptaki wszystko wyżrą.

– Przecież je przeganiałam.

Chłopak westchnął.

– I ślady tak zdeptałaś, że po nich już nie wrócimy. Nic, grunt, że znaleźliśmy wiedźmę.

– Ja jestem strasznie głodna. – Mała rozpłakała się z nagłą.

Oboje mieli słodkie, rumiane od mrozu twarzyczki i wielkie błękitne oczy, które cosik wydawały się Babuni znajome. Ale to nie miało większego znaczenia. Liczyło się tylko, żeby jak najszybciej zniknęli.

Rozwarła gwałtownie drzwi. Spod zdeptanych kapci sypnęło jej

chmurą śniegu.

– Już ja cię, smarkulo, nakarmię! – huknęła od proga.

Dzieci odskoczyły od chaty, bo po nagutkiej nieznajomej nie spodziewały się dojrzeć przygiętej, paskudnej staruchy o zakrzywionym nosie z nieodłączną kapką na czubku.

– Wiedźma! – rozryczała się dziewczuszka.

– Ajuści, że wiedźma. – Babunia Jagódka wsparła się pod boki. – A kogoście się spodziewali? Księżniczki?

Chłopiec wystąpił naprzód, zasłaniając małą. Wiedźma nie zdążyła spostrzec, kiedy w jego ręku znalazł się krótki rapier. Zamachał nim gracko, jakiś parat złożył, po czym stanął w szermierczej pozycji, mierząc jej sztychem wprost w gardło.

– A właśnie tak – oznajmił nader władczym głosem. – Bo więzisz tu naszą matkę. Księżniczkę Jarosławnę.



Pozbycie się smarkaterii nie zajęło wiedźmie wiele czasu: ostatecznie lepszych od nich zdarzało się jej przepędzać spod proga. Huknęła, ryknęła, nocnicą poszczuła, a dzieci pierzchły z podwórka jakby je bies gonił. Posłała za nimi kury – co poszło opornie, bo nie chciały na zimno wyłazić – żeby z krzaków ogniem ziajały i zagnały gówniarzy prosto na ścieżkę do wioski.

Ostatecznie nie chciała ich umorzyć. Może i faktycznie były spokrewnione z księżniczką. A utrupienie książęcych pociotków nawet na tym zadupiu oznaczało kłopoty. Grube kłopoty.

– A tam niech się już nimi władyka z plebanem zajmą – powiedziała sobie z ukontentowaniem i w poczuciu spełnionego obowiązku obudziła parobka.

Jej radość okazała się wszelako przedwczesna. Owszem, kury jak po sznurku doprowadziły intruzów na wioskowy plac, mało co widoczny w zadymce, która się akuratnie podniosła. Dzieci, mocno już zmarznięte i przysypane śniegiem, pokręciły się trochę wedle studni, obeszy kilka zapartych na głucho chałup. Lecz nawet jeśli ktoś ku nim spoglądał przez

szpary w oknach, ani myślał odmykać wierzei, co to, to nie. Zimą ze szczytów spuszczały się ku wioskom rozmaite wygłodniałe stwory i wilki wcale nie były spośród nich najgroźniejsze. Nie, dobroduszni wilżyńscy wieśniacy nie mieli pojęcia, kto się kryje pod postacią dwojga samotnych, rumianych dzieci. I ani chcieli zgadywać. Są rzeczy, których lepiej nie tykać.

Ale wielka kołatka księżówki hałasowała doprawdy donośnie.

– Kogo tam bies prowadzi? – Pleban poderwał się ze złością spomiędzy pierzyn.

Ogień w alkierzu dogasał i powietrze zaczynało kąsać chłodem, a plebanicha, jak każda dobra wilżyńska gospodyni, nawet w najsroźsze mrozy paliła w piecu dwa razy dziennie, rano i wieczorem, i nie zamierzała tego zmienić, choćby padła trupem. Dlatego pleban marzył, co wcale nie wprawiało go w przyjazny, łaskawy dla bliźnich nastrój.

Hałas się wzmacniał i dołączyło do niego rozpaczliwe pokrzykiwanie.

– Niezawodnie nikt z naszych. – Rozalka naciągnęła okrycie aż po czubek nosa.

Ani myślała wyłazić. Plebańskie miłosierdzie miało swoje granice.

Zresztą zima była porą wypoczynku. Należało się położyć w wyrze i przeleżeć do cieplejszych czasów. No, chyba że jakiś wieśniak nieroztropnie wyzionął ducha lub baba dziecię powiła. Jednak wilżyńscy kmiecie również woleli poczekać z duchową potrzebą na stosowniejszy moment i nie marli ani nie rodzili się bez potrzeby. Pleban zatem wygrzewał kości w łóżku i mróz zapijał grzany winem, które przynosiła mu wierna Rozalka.

– Niech se w kruchcie poczeka – zdecydował i obrócił się na drugi bok, a gospodyni przywarła do niego, też ciepła i mięciutka od ochoty.

Kiedy miała pewność, że nikt się do księżówki nie wedrze, ożywało w niej błogie, młodzieńcze rozmarzenie i dawała się czasami namówić na takie rzeczy, o jakich nabożne wilżyńskie gospodynie ani śmiały pomyśleć. A potem mogła grzech wyznać, co również dostarczało niebagatelnej przyjemności. A potem znów go popełnić, póki nie padli bez życia.

Nie, wilżyński duszpasterz nie chciał tych rozkoszy przerywać.

Dzieci, owszem, zagładnęły do kruchty, gdzie wicher nawiał całkiem pokaźną zaspę.

– Tutaj nie przeczekamy – postanowił chłopak.

Dziewczynka nic nie powiedziała. Szczękały jej zęby.

– Przestań się pieścić, Lila – ofuknął ją ostro. – Księżniczce nie uchodzi – dodał pouczająco i z tak przesadzoną intonacją, że bez wątpienia powtarzał czyjeś słowa, rodziców lub preceptorów, trudno zgadywać.

Ponad świątynią wył wicher.

– Musimy iść – zdecydował. – Dasz radę, Lila?

Dziewczynka skinęła głową. Nie marnowała oddechu na słowa.

Powlekli się znowu przez wioskę, przygęci pod naciskiem zawiei i mrozu. Zmierzchało i obejścia majaczyły coraz słabiej w liliowosinym mroku. Dziewczynka słabła. Teraz chłopiec musiał ją ciągnąć, lecz oboje potykali się i przewracali co kilka kroków.

Śnieżyca natychmiast zasypywała ślady.

– To chyba nie był dobry pomysł – powiedziała w pewnej chwili mała.
– Przepraszam, Rańczyk.

– Idź, Lila, nie gadaj – skarcił ją chłopak. – Inaczej by nas ojciec nie puścili – dodał ciszej.

– I tak będzie bicie – załkała.

– Ty się módl, żeby było – poprawił ją brat, ale potem ugryzł się w język, bo nie powinien jej bardziej straszyć.

Z początku liczył, że trafią do jakiejś gościnnej zagrody, gdzie gospodarze ogrzeją ich i nakarmią należycie, cali przejęci zaszczytem i tak dostojnymi gośćmi. Teraz gotów był się włamać choćby i do chlewa, a zgłodniał tak przeraźliwie, że mógłby świniom strawę z koryta wyżerać. Tyle że żadnej chałupy nie widział, bo coraz gęstszy zmrok pokrywał wszystko – i rozumiał wyśmienicie, że jeśli coś się prędko nie odmieni, zamarzną tu na próżno i nikt nie odnajdzie do wiosny ich trupów.

– Coś słyszę – odezwała się niespodzianie dziewczynka. – Skrzypeczki.

– Nie wydziwiał, Lila! – zezłościł się jej brat.

Wiedział, że siostra uczepli się każdej wymówki, byle tylko nie iść dalej, skulić się w przytulnym, miękkim śniegu i dać mięśniom odrobinę wytchnienia.

– Kiedy naprawdę słyszę! – rozpłakała się Lila, a kiedy jej łkanie ucichło, on też usłyszał.

Muzyka prowadziła ich rozedrganą ścieżką. Przefiltrowane przez melodię domy wynurzały się kolejno spośród zawiei, znów bliskie i znajome, i chłopiec nie potrafił zrozumieć, jak mogli się zagubić w tak niepozornej osadzie.

Nad drzwiami gospody wisiała latarenka, wabiąc wędrowców, choć trakt zasypało doszczętnie i nikt nie mógł tej nocy przyjechać z nizin.

– Tatko nas nie znajdą – powiedziała dziewczynka, kiedy weszli do ciepłej sieni, obwieszanej końską uprzężą i zastawionej beczkami.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– O to przecież chodziło.

Śnieg topniał im na szubach.

Odemknęli drzwi do większej izby. Zaduch, muzyka i gorąc buchnęły im prosto w twarze.

– Aby drzwi za sobą zaprzyjcie, bo idzie zimno! – huknął odruchowo piwowar, a potem odwrócił się ku gościom spod pieca.

I zamarł. Ledwo widoczna spod ośnieżonych futer gapiła się ku niemu para dzieci.

– A wy odkuda...! – rozdarł się, żeby krzykiem zamaskować zdumienie.

Chłopak się wyprostował.

– Oberżysto, wina grzanego podajcie – przerwał mu donośnie i jakoś tak po pańsku, że tamten od razu usłyszał. – I strawę duchem nieście, bo siostra moja zdrożona.

Pociągnął Lilę do ławy przed paleniskiem i pomógł jej ściągnąć przemoczoną szubę, a potem trzewiczki i kapturek.

Dźwięki skrzypceczek zamilkły i nigdzie nie widzieli muzykanta. W istocie gospoda była pusta, ani żywego ducha, i tylko dwa brytany spały po ławami.

– Naści. – Młoda niewiastka w rozchełstanej sukni wychyłała znikąd i podała im przetartą derkę.

– Dziękuję. – Rańczyk pochwycił ją prędko i otulił siostrę.

– Jaki uprzejmy maluch. – Niewiasta z rozbawieniem strąciła mu kaptur i zmierzwiła włosy.

– Nie jestem mały – odpowiedział ze złością.

– Nie, no skądżeby znowu. – Roześmiała się. – Ot, prawy chłop jak się patrzy. To może chcesz zakosztować i chłopskich uciech?

Chłopak zamarł, fala czerwieni zalała mu policzki i tak dotkliwie pokąsane mrozem, bo dopiero teraz zrozumiał, z kim się zetknął. Pochylił głowę, żeby ukryć zmieszanie, i zaczął bardzo starannie zzuwać przemoknięte buty.

Ladacznica wciąż śmiała się perliście.

– Tak mi się też zdawało.

– Ty ich, Jewka, nie ruszaj. – Piwowar niósł dwa parujące kubki.

Zapachniało korzeniami i miodem. Lila sapnęła z zachwytu i wyciągnęła rękę po naczynie, lecz gospodarz prędko je cofnął.

– A zapłacić czym macie?

– Jak śmiecie? – oburzył się chłopak. – Nasz ojciec, książę...

– Ale go tu nie ma – uciał piwowar. – A ja na borg nie daję. Zwłaszcza małym przybłędom.

– Rańczyk ma pieniądze – odezwała się cieniutkim głosikiem dziewczynka.

Jej brat z ociąganiem wy dobył spod przyodziewku aksamitną sakiewkę. Niby nosił się już jak paniczek, nie dziecko, a jednak wciąż nie miał pojęcia, jak sobie radzić w podobnym miejscu i z ludźmi od zachłanności niebezpiecznymi jak wilki. Pod baczny m spojrzaniem piwowara otworzył mieszek. Błysnęło srebro. Mężczyź nie też zabłysły oczy.

– Po talarze za kubek – szcze knął od mienionym przez pazerność głosem.

– Ile?! – zakrzyknęli jednako chłopak i ladacznica.

Gdzieś pod ławą ostrzegawczo zawarczał brytan.

– Sumienia, Biezdar, nie masz – rzekła z przyganą dziewczka.

– Interes mam! – huknął gospodarz, hardo zadzierając brodę. – Jałmużny nie rozdaję. A jeśli się nie podoba, tedy droga wolna. Co się i ciebie, Jewka, tyczy.

Ladacznica natychmiast spięła się jak gronostaj, gotowa skoczyć piwowarowi do oczu.

– Pomnij ty dobrze, Biezdar, co się tutaj poprzedniemu oberżycie przydarzyło – wysyczała przez zęby.

– Starczy. – Rańczyk machnął ręką, przerywając kłótnię.

Wysupłał z sakiewki dwa talary i cisnął je gospodarzowi pod nogi.

Monety brzęknęły, a piwowar rzucił się natychmiast je chwytać, zanim wpadną w szpary między deskami. Ze spojrzeń spode łba należało wnosić, że nie bardzo ceni ten pański gest.

– Ot, i masz nowego przyjaciela, synku – powiedziała cicho Jewka.

Rańczyk nie słuchał jej jednak, łapczywie pochłaniając trunek, a potem zabrał się do chleba z serem, który w międzyczasie pojawił się na stole. Dziewczynka również jadła, tyle że trochę wolniej i rozglądając się po bokach. Ona też postrzegła jeszcze jednego człeka w ciemnej, okopconej wnęce nieopodal wejścia.



- *Sumienia, Biezdar, nie masz – rzekła z przyganą dziewczka.*
- *Interes mam! – huknął gospodarz, hardo zadzierając brodę. – Jałmużny nie rozdaję. A jeśli się nie podoba, tedy droga wolna. Co się i ciebie, Jewka, tyczy.*

- Patrz! - Pociągnęła brata za rękaw.

We ćmie niewiele dało się dojrzeć i twarz nieznanego pozostawała przed nimi zakryta, ale jego strój pobłyskiwał żywymi, jaskrawymi barwami, złotem, karmazynem i zielenią, a wysokie cholewy butów i zawieszona na rapciach szabla niezawodnie należały do szlachcica.

- Rańczyk, jak myślisz? - emocjonowała się Lila, która na dworze ojca przywykła, że panowie szlachta spełniają jej życzenia.

Chłopak zawahał się.

- Jego nie tykajcie - przestrzegła ich ladacznica. - To nasz pan władcyka.

Jakby urażony rozmową, włodarz Doliny uniósł się nieco na stołku.

- Biezdar, grać! - ryknął ze złością i piwowar natychmiast przytruchtał do niego ze skrzypeczkami.

Muzyka znów zawirowała pomiędzy okopconymi ścianami, tak przemożna i rzewna, że wtulili się w nią pospołu jak puchową poduszkę. Ladacznica oparła brodę na rękach, rozmarzona jak dziecko. Rańczyk zapatrzył się w płomień, na moment zapominając o wiosce, karczmie i śmierci, której ledwo co uniknęli, i w milczeniu napawał się spotkaniem z wiedźmą - która wcale nie okazała się taka straszna - oraz wszystkimi innymi przygodami, jakie miały ich spotkać, i z których wyjdą zwycięsko, oczywiście dzięki jego roztropności i sprytowi. Lila ułożyła bratu głowę na ramieniu i zaczynała drzemać.

Psy powarkiwały przez sen.

Władcyka raz po raz kubek do ust podnosił i ze dzbana nalewał, uczarowany, obezwładniony muzyką. Aż skrzypeczki jęknęły boleśnie - piwowar zagrał fałszywą nutę.

- Dzban nowy! - Jaśnie pan uniósł się i trzasnął opróżnionym naczyniem w polepę. - Byle prędko! - dorzucił i wzmocnił rozkaz siarczystym policzkiem.

Gospodarz skłonił się nisko i potruchoł do komory. Po drodze potrącił ławę przed paleniskiem, tak że dziewczynka omal nie spadła.

- A nie spać mi tutaj! - huknął, widać chcąc na nich powetować niedawne upokorzenie, bo wprawdzie jaśnie władcyce nie śmiał się

przeciwstawić, ale do dwójki zagubionych dzieci więcej miał śmiałości.

Oczy ladacznicy błyszczały jakby powleczone olejem.

– Kiedy właśnie przenocować chcemy – powiedział chłopak, mozolnie siląc się na uprzejmość wobec człowieka, który nie tylko był niższy mu stanem, ale i grubiaństwem go mierzył.

W ojcowskim zameczku kazałby go osmagać, ale postanowił nie dzielić się z nikim tą refleksją. Powoli pojmował, że wiedźmia dolina bardzo, ale to bardzo różni się od jego rodzinnej posiadłości.

– Miejsc nie mam – warknął piwowar.

Ladaczniczka skinęła głową, jakby potakiwała. Ona wyśmienicie rozumiała, co się w tej izbie dzieje.

– Jakże miejsc nie macie, kiedy wszędzie pusto? – zawołał z oburzeniem chłopak.

– Jednym pusto, innym zapełnione po brzegi. – Piwowar wsparł się pod boki, przy czym zawinął mu się nieznacznie skórzany fartuch, osłaniając solidny rzeźnicki nóż za pasem. – I zbierajcie się szparko, bo zaraz zamykam! – dodał, po czym zagłębił się w komorze i tylko zza przymkniętych drzwi dobiegało postukiwanie dzbanów.

– Ale ja zapłacę. – Rańczyk z niedowierzaniem pokręcił głową. – Po książęcu zapłacę...

Ladaczniczka roześmiała się głucho.

– A po cóż mu się targować? Siennik słomą wypychać i pochodnię rychtować? Tyle samo sam zbierze, kiedy na mrozie uświerkniecie.

Lila gapiła się na nią z wytrzeszczonymi oczami.

– Wypędzi nas na mróz, żeby potem ograbić? – zapytał ze zdumieniem chłopak.

– Prędko ustaniecie. – Jewka wzruszyła ramionami. – Nie będzie musiał daleko szukać. Rano trupy odkopie i sakiewkę odetnie, ot i cała historia.

– Nasz ojciec...

– A mało ludzi góry pożarły, aby im nagi szkielet w zębach błysnął? – przerwała mu bezceremonialnie dziewczka. – Wasz ojciec przybędzie wiosną. Wszyscy będą się kłonić i głowami potrząsać, i straty mu

szczerze współczuć, lecz nigdy nie dojdzie, co się naprawdę stało. Nie trza się tu było zapuszczać.

– Ale my szukamy matusi – pisnęła cicho Lila.

Spojrzenie Jewki na moment złagodniało.

– Myśmy tu żadnej zbłąkanej pani nie oglądali, dziecko.

Dziewczynka wyraźnie chciała coś dłużej mówić, lecz jej brat, nienawykły jeszcze do porażki, ze złością strącił derkę na klepisko i w kilku susach przyskoczył do władyki.

– Pozwolicie, panie, by nas poniewierano? – zapytał, rozjątrzony tą niesłychaną niegodziwością, jaką im wyrządzano.

Władyka podniósł łeb. W pooranej, jakby zetłatej twarzy błysnęły przekrwione oczy.

– Paszoł won! – rzekł krótko i kubkiem w chłopaka wymierzył, ale że był pijany, o dobry łokieć chybił.

Rańczyk odskoczył, jeszcze bardziej oszołomiony.

– Wyście krwi szlachetnej. Nie wstyd wam...

Władyka nawet na niego nie spojrzał. Machnął ręką na znak, żeby gospodarz odpędził natręta.

– Wynocha! – Piwowar popchnął młodego, aż ten się pod ścianą przewrócił. – I to już. Interes mi psujecie.

– Ale my tu zginiemy – rozplakała się Lila.

Jewka podała jej szubę.

– Buciki zwawo wdziejawaj, bo boso po śniegu zapląsasz.

Jaśnie pan pochylił się nad stołem i miłośnie objął nowy dzban trunku.

– A co mnie do tego – wybełkotał po chwili. – I tak wszyscy umrą.

– Uciekać mi, byle prędko – srożył się właściciel gospody – bo brytanami wyszczuję.

Zagwizdał i dwa łaciate psy wyskoczyły spod ławy, odsłaniając kły.

W okamgnieniu znaleźli się w sieni. Lila otwarcie płakała, kiedy brat wiązał jej pod brodą kapturek.

– Nie maż się – burknął. – Poradzimy sobie.

Drzwi do dużej izby uchyliły się i Jewka wymknęła się przez szczelinę.

– Akurat. – Wcisnęła Rańczykowi półbochenek chleba i pęto kiełbasy.
– Naści, głupi! – ofuknęła go, kiedy, niezdecydowany, obracał dar w rękę.
– Bez żarcia daleko nie zajdziecie. Biezdar, szczwana liszka, wino wódką zaprawił. Uśniecie gdzieś popod płotem i tyle was widzieli. Ona już zasypia. – Pokazała palcem na dziewczuszkę, która istotnie osunęła się na ścianę i drzemała z głową opartą o deskę.

– Zabierz nas do siebie – poprosił Rańczyk. – Zapłacę – dodał, bo czegoś się jednak w tej gospodzie nauczył.

Ladacznica pokręciła przecząco głową.

– Gospodarz nie dozwoli. Ja tu w obórce sypiam, ale – zmieszała się trochę i rzuciła Lilce przepraszające spojrzenie – co rusz nie sama. Dzisiaj też niebawem pójdę do władzyki.

– A on zawsze taki?

Skrzywiła się.

– Odkąd z wojny wrócił.

Dziewczynka zapłakała przez sen.

Jewka westchnęła ciężko.

– Pokażę wam miejsce... – rzekła z wahaniem w głosie. – Jeśli ona dojdzie.

– Dojdzie, choćbym miał ją donieść – obiecał chłopak.

Ostatecznie musieli jednak nieść ją oboje, bo ledwo minęli kilka chałup, Rańczyk także ustał. Noc zapadła już ciemna, a nawałnica nie ustawała ani o jotę. Drobiny śniegu siekły po policzkach, zbijały się w szczelną ścianę i Rańczyk doprawdy nie wiedział, jak Jewka rozpoznaje drogę. Brnęli przez zaspy, mijali jakieś płoty, przechodzili przez furtki, pomiędzy szopami, ledwo widocznymi spod nawisów śniegu, stertami drewna na opał, studziennymi żurawiami. Każdy krok wymagał coraz większego wysiłku. Kiedy wreszcie miał się poddać i zawołać o odpoczynek, ladacznica odemknęła przed nimi jakieś drzwiczki i wepchnęła ich pospiesznie w cuchnącą, mroczną czeluść.

– Spocznijcie – powiedziała jeszcze, a może mu się zdawało, bo jej głos i wszystko inne rozplynęły się w ciemności.

Zwinał się w kłębek obok siostry na czymś miękkim, śmierdzącym. Przez moment czuł wokół siebie jeszcze wężące oddechy i posapywania, lecz potem wszystko umilkło. Przywarł do pleców Lili i usnął.



– Budźta sie! – W ciemnym pomieszczeniu pobłyskiwały upiornie jasne białka.

Rańczyk poderwał się, chciał za rapier zmacać, lecz broni przy pasie nie znalazł. Nie pamiętał, czy sam ją w gospodzie odpiął i zapomniał na ławie, czy mu później dziewczka odebrała.

Lila uniosła się na łokciu, przecierając oczy. Gromada wieprzy przybliżyła się do niej i pokwikując, ciekawie trącała ich ryjami. Przy boku dziewczynki leżała wielka maciora i jej brat już wiedział, co ich grzało tej nocy.

– Duchem! Zara tu będą. – Jakieś drobne, kosmate stworzenie ciągnęło go za rękaw.

Odsunął się odruchowo, wciąż odurzony snem, a zaraz później przypomniał sobie wczorajszy dzień – wiedźmę, gospodę i ladacznicę.

– Oberżysta? – Zdumiony, patrzył na to nowe dziwo, mówiącego prosiaka, który objawił się nie wiadomo w jaki sposób.

Stwór wydał z siebie serię ponagających odgłosów. Nie, to nie prosiak, uświadomił sobie chłopak. Choć obcy owinął się niewyprawionymi skórami i łąził na czworakach, zamiast ryja miał niezaprzeczalnie ludzkie oblicze, chociaż pokryte grubą warstwą błota zmieszanego z gnojem i ledwo widoczne spod długich, pomierzwionych kudłów.

– Kiejby zaś oberżysta? – zdziwił się obcy. – Toć Jewka.

Lila już wyginała buzię do płaczu. Cała ta przygoda układała się niezupełnie według jej wyobrażeń.

– Ona nam pomogła – obruszył się Rańczyk.

Tamten wydał jakiś pogardliwy dźwięk, ni to śmiech, ni chrumknięcie. Poruszał się szybko, nerwowo, ni chwili w miejscu nie

stał, więc chłopak wodził za nim wzrokiem, usiłując rozpoznać, z kim ma do czynienia. Świniarkowie w zamku jego ojca wyglądali zgoła inaczej. I starsi byli od tego, na ile umiał rozpoznać. Bo pod tymi skórami, co smrodem przewyższały zwyczajną woń chlewika, krył się zwyczajny maluch. Młodszy chyba od Lili ładnych parę zim, chudy przy tym niezmiernie i niewyrośnięty, jak często między chłopstwem bywało.

– Jewka sobie jeno pomocna. – Wieśniak mówił chropawym, nienawykłym do rozmów głosem. – Za parę miedziaków matkę własną sprzedaje.

Na zewnątrz chlewika dały się słyszeć hałasy i nawoływania, spośród których przebijał śmiech ladacznicy. Ktoś szedł ku nim poszumiście, śnieg buciorami tratował, wcale się nie kryjąc.

W górze, przez dach chlewika, przeświecało światło, rozsiane przez kurz i drobiny słomy opadało smugami na ich legowisko.

Nastał ranek.

– To jakże będzie? – Świniarczyk gapił się na nich z kpiną. – Czekacie, aż was zarzną?

Po policzkach Lili ciekły ciurkiem łzy, nie wydała jednak żadnego dźwięku.

– A tobie czemu mamy zaufać? – zapytał podejrzliwie chłopak.

Świniarczyk uśmiechnął się, odsłaniając zdumiewająco równe i białe zęby.

– Bo ich nienawidzę. Co do jednego.

– Pójdę za nim – odezwała się niespodziewanie Lila i przez chwilę nie była w tym chlewiku zaryczaną smarkulką, ale kobietą, którą stanie się w wiele zim później.

Maluch pociągnął ją ku przyzmię gnoju, która piętrzyła się w kącie. Rańczyk z ociąganiem podążył za siostrą, wciąż nieprzekonany, czy powinien ufać nowemu znajomemu.

Ten tymczasem kopał zajadle w nawozie, póki triumfalnie nie odstąpił niewielkiej, na wpół wpuszczonej w posadzkę kłapy.

– Prędeż – ponaglił, odmykając wieko.

Z dołu bił zimny powiew. I ciemność.

– Ty pierwszy – sprzeciwił się Rańczyk, bo nie wiedział, co ich czeka na dole: szyb przepastny, z którego nikt nigdy nie wydobędzie ich kości, czy droga ucieczki.

Świniarczyk znów się uśmiechnął – z jakimś przedziwnym szyderstwem. Zaświergotał przez zęby i świnię natychmiast otoczyły ich gromadką, zanurzyły ryje w nawozie.

– Ślady zادةpczą. – Chłopak opuścił się w dół.

Przez moment zawisł na ramionach, widzieli jeszcze jego rozczochraną czuprynę, suto przetkaną źdźbłami słomy i gnojem, a potem skoczył.

Z dołu rozległ się głuchy plask.

– Teraz ona. Złapię! – zawołał z dołu, aczkolwiek nieco na wyrost, bo wypasiona na białym pańskim chlebie panienka ważyła dobrze lepiej od niego.

Rańczyk byłby się jeszcze wahał, lecz Lila podbiegła i zeskoczyła, zanim zdążył ją powstrzymać.

Stęknęcie i odgłos upadku zwały się w jedno.

– Jest ciężka – zaśmiał się w dziurze świniarczyk, a potem Rańczyk nie czekał już dłużej i opuścił się jak najostrożniej.

Wiek zatrzasnęło się za nimi: widać świńskie stado dobrze potrafiło chronić swego pana.

W dole było ciasno, duszno i wilgotno. Musieli pełznąć na kolanach, a czasami tunel obniżał się tak bardzo, że szorowali brzuchami po ziemi. Podłoże zresztą rychło zmieniło się w bajoro, pełne lodowato zimnej wody.

– Stójta! – nakazał świniarczyk, lecz i tak Lila wpadła na niego gwałtownie i przewrócili się oboje. – Tu poczekamy – wyszeptał jej prosto w twarz.

– Na co? – zapytał Rańczyk.

– Zaraz tamci przyjdą – odpowiedział wieśniak.

Długo jednak nic nie słyszeli. Rańczyk nie zgadywał nawet, gdzie się znaleźli, a bał się spytać świniarka, bo kiedy Lila do niego szeptała, zatykał jej dłonią usta. Trwało to i rwało, burczało im w brzuchach i

mięśnie sztywniały z zimna.

Potem zniemacka coś załomotało w górze, posypały się grudki ziemi.

– Gdzieś ich zaprowadziła, ścierwo? – rozległ się głos piwowara, a tak blisko, że Lila odruchowo wczepiła się w brata.

Rańczyk poczuł, jak ze zgrozy podnoszą mu się włosy. Wieśniaczek zawiódł ich pod samiuśką gospodę i teraz od pościgu oddzielała ich zaledwie wąta kłapa podsypana ziemią. Wyraźnie słyszeli odgłosy uderzeń i skowyty Jewki, która zarzekała się na wszystkie świętości, że usłuchała pracodawcy.

– Zaprowadziłam ich – powtarzała z płaczem. – Wszystko, jak kazaliście, zrobiłam.

– Srebro oddaj! – wrzeszczał piwowar. – Wszystko, coś im ukradła. Albo z życia wyzuję!

Świniarczyk uśmiechał się mściwie.

– Niech ją ze skóry obłupi – pożyczyl z głębi serca.

Być może tak właśnie się działo, bo Jewka darła się jeszcze bardziej.

– Odcięła mi sakiewkę – poskarżył się płaczliwie Rańczyk, który w obliczu rozgrywającej się obok kaźni znów poczuł się jak mały chłopiec.

– Tak akuratnie zrobiła – potwierdził z uciechą świniarczyk. – Alem ją przydybał, kiedy była z władką. – Wydobył spod przyodziewku trzosik i cisnął nim, wcale mocno, w Rańczyka.

Wycie Jewki przybierało na sile.

– Nasz ojciec cię wynagrodzi – zapewniła świniarka Lila i wyciągnęła rękę, jakby go chciała pogłaskać po policzku.

W istocie to dziwne, na poły zwierzęce, na poły ludzkie stworzenie wzbudzało w niej zaciekawienie i chęć opieki. Nie darmo hodowała w pałacowych ogrodach dwa okulawione jeże i półtuzina jelonków, które ku oburzeniu ogrodników ogryzały z kory pnie owocowych drzewek i nie przepuściły nigdy świeżym sadzonkom. Ostatecznie mogła też przygarnąć wiejskiego świniopasa, zwłaszcza jeśli uratuje im życie.

Już zaczęła obmyślać, jaką naszykuje chatę dla niego i jego świń.

Maluch odtrącił jej ramię.

– Mam w rzyci waszego ojca – burknął ponuro. – Czas dalej.

Pełzli zatem wytrwale, lecz w coraz gorszych humorach, bo ścigało ich bolesne zawroty głowy, odzierając ucieczkę ze wszelkich pozorów barwnej i szumnej przygody. Wreszcie świniarczyk wymacał w korytarzu jakieś ukryte drzwi i odemknął kolejną kłapę.

– Wyłaźcie – nakazał sucho.

Sam wydobył się pierwszy, a potem wespół z bratem podciągnęli Lilę.

Znaleźli się w piwnicy, suchej i całkiem ciepłej. Wokół mieli beczki, dzbany, skrzynie oraz cebry, lecz wszyściusięńkie puste, i całe to rumowisko niepotrzebnych sprzętów sprawiało zgoła ponure wrażenie.

– Ona tu nie zachodzi – oznajmił świniarczyk. – Wszystko jadło pobrała na górę.

– Kto ona? – zapytał Rańczyk.

– No, jakżeby kto? – zdziwił się dzieciak. – Stara wiedźma.



Pożarli potem półbochenek chleba i pęto kiełbasy, litościwie podrzucone przez Jewkę przed zdradą. Świniarczyk pochłaniał swoją część zachłannie jak zwierzę.

– Tu mieszkasz? – zagadnęła go Lila, kiedy strach, że oto znaleźli się znowu w obejściu wiedźmy, nieco zelżał.

– E, gdzieżby? – zdziwił się z pełnymi ustami wieśniak. – U Małego Sułka ze świniami siedzę.

– A nie szukają cię teraz? – poddał mu Rańczyk, nieco zaniepokojony, że się siostra tak ochoczo spoufala z plebsem.

Ucieczkę z zamku mógł mu ojciec jeszcze wybaczyć, ale zażyłości ze świniopasem na pewno nie puści płazem. Właściwie już czuł na zadku ślady po rzemieniu.

– Skądże znowu? – Świniarczyk jeszcze bardziej się zdumiał. – Pijany teraz leży.

Pochylił się nisko nad ziemią i skrupulatnie zbierał okruszyny chleba. Nie usiłował jednak podkraść cudzej porcji ani nie dopraszał się o więcej, zauważyła nie bez zadowolenia Lila.

– On całą zimę pije – ciągnął wieśniak. – A jak mu trunku zbraknie, do piwowara idzie i prosiaka za gorzałkę sprzedaje. I po to też mnie trzyma. Żeby mu świń doglądał. A to największe w Wilżyńskiej Dolinie stado – dodał z dumą. – I mądre jakie!

Rańczyka nie interesowały jednak zalety trzody chlewnej. I coraz mniej mu się podobał ten przygodny kompan, który, owszem, ocalił mu życie – i sakiewkę – ale stanowczo nie powinien się lekkomyślnie bratać z jego siostrą.

– To ojciec twój? – Mimowolnie przybrał wyniosły, książęcy ton.

Świniarczył spojrział spode łba, ale tak, że chłopaka od razu ciarki przeszły.

– Nie.

– Nasz tatko to jest księciem – zaszcebiotała Lila, która bynajmniej nie rozumiała klasowych dylematów brata. – A matkę wiedźma porwała.

– Dajże spokój, Lila – skarcił ją brat.

Świniarczyk wyglądał jednak na zaniepokojonego, a Lila lubiła niezmiernie skupiać na sobie uwagę.

– Tak, tak, prawdziwa wiedźma. – Uniosła umorusany paluszek. – Jeszcze maleńkim dziecięciem, rodzicom ją zacnym porwała i hodowała u siebie, w nędzy i poniżeniu. Ale prawdziwej księżniczki nie da się przekabacić ni ukryć, więc kiedy mama dorosła, to taka piękna była, że księżyc i gwiazdy kłoniły się niziuchno, żeby hołd jej złożyć.

– Lila! – napomniał ją brat, sam nie wiedząc czemu zawstydzony słowami siostry.

Wieśniak słuchał jednak jak zaczarowany. Nasycony jadłem, ułożył się na brzuchu, brodę na rękach podparł i gapił się z zachwytem na dziewczuszkę.

Rańczyk też korzystał z okazji, żeby mu się bliżej przyjrzeć. Poprzez grubą warstwę nieczystości i błota nie rozpoznawał rysów wieśniaczka, ale ręce i nogi, wyzierające spomiędzy świńskich skór, przypominały gnaty ledwo obciążone skórą. Kimkolwiek był Sułek, z pewnością nie szafował jadłem dla swego pomocnika.

– No co ty, przecież niania mówiła – syknęła z przyganą dziewczynka. – Wiedźma jej prąść kazała i to ze słomy złoto, ale że mama była

najprawdziwszą księżniczką, więc i to potrafiła. A potem ją tato uwolnił i zakochali się w sobie, i myśmy się urodzili. – Tak się rozpromieniła, że cała piwnica wokół niej jakby pojaśniała. – Bo oni się tak kochali – powiedziała szeptem – jak nikt się w świecie nie kocha. I dlatego wiedźma ich znienawidziła. I znowu nam mamę porwała.

– Ja moją ledwo co pamiętam – odezwał się zwińarczyk i jego twarz stała się na moment miękka i bezbronna. – Tylko Małego Sułka.

– Nasza była piękna – rozmarzyła się dziewczuszka. – Miała oczy niebieskie niby wiosenne niebo, a jej włosy były koloru złota i tak cudne, że aż świeciły w ciemności. A kiedy się uśmiechała, to kwiaty rozchylały płatki i małe leśne ptaszki siadały jej na ramionach. Dlatego wiedźma jej nienawidziła. Nie mogła znieść, że na świecie istnieje coś tak pięknego.

– I że ojciec ją uwolnił – dorzucił brat, bo chociaż usiłował zachowywać się jak dorosły mężczyzna, przecież i jego ta opowieść przejmowała ze szczeniem.

– No i ją porwała. – Siostra rozłożyła ręce. – Jeszcze byliśmy malutcy, kiedy przyleciała nad zamek jak stara kracząca wrona, i porwała naszą mamę, i nie widzieliśmy jej więcej.

W oczach zakręciły się jej łezki.

– Dlatego postanowiliśmy ją uratować – odezwał się dziarsko jej brat, który w żaden inny sposób nie umiał zdławić wzruszenia.

– Bo tato to jest już stary – powiedziała dziewczynka. – I ma za dużo zajęć.

– I musi nas pilnować – dodał jej brat. – W każdym razie tak mówi – zreflektował się po chwili.

– I zabłądziliście? – dopytywał się zwińarczyk.

– Nie, wszystko zrobiliśmy jak trzeba – zapewniła go dziewczynka. – I rzucaliśmy za siebie okruszki, żeby wiedzieć, jak wrócić.

– Ale nawet zanim spadł śnieg, ptaki je wyżarły – przypomniał ponuro Rańczyk.

– Ja też się w świat wybiorę – wyznał zwińarczyk. – Tyle że muszę poczekać. Zimą nikt po mnie nie przyjedzie. Pora do podróży niedobra.

– Jakiśmy uciekali wcześniej, tatko zawsze nas łapał – wyjaśniła Lila.

– A śnieg pogoń zatrzyma.

– I was mało co też by zatrzymał – zauważył świniarczyk. – Pod zaspą.

Zapadło posępne milczenie.

– A skądście wiedzieli, gdzie jej trzeba szukać? – zapytał wreszcie wieśniaczek.

– No, przecież że od niani! – oznajmiła dziewczuszka. – W Wilżyńskiej Dolinie żywie wiedźma najpotworniejsza w całych Górach Żmijowych. Wszyscy o tym wiedzą.

– Nasza Babunia Jagódka? – Świniarczyk wydawał się mile połechtany w swej lokalnej dumie. – Ale księżniczki żadnej tośmy tu nie oglądali – dodał z powątpiewaniem i po głosie znać było, że trochę jest tym rozczarowany.

– A skądże masz, głupi, wiedzieć? – zacietrzewiła się Lila. – A jeśli ją w kamień zakłęta? Albo pod ziemią schowała?

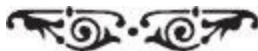
– Może i masz rację – zgodził się po namyśle dzieciak. – Jeno z Babunią kłopot, bo jak co złapie, nie puszcza.

– I na to mamy sposób. – Panienska uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Trzeba wiedźmę przymusić, żeby nam szczerze wyznała, gdzie matuchnę więzi, potem mamę łzami skropić, to zrazu się pięknie ocknie.

Świniarczyk nie wyglądał na przekonanego.

– Niania nam powiedziała. – Lila przyłożyła palec do warg na znak, że to najtajniejszy sekret. – Ona ją kiedyś widziała, jak nam matulę wykradła.

– Tatko ją zabije – rzekł ponuro Rańczyk. – Niańkę, znaczy się, bo z wiedźmą to trudniej by było.



Świniarczyk ich zostawił, przykazawszy solennie, żeby się nigdzie z piwnicy nie ruszali, póki nocką nie wróci.

– Nikt się na moich korytarzach nie wyzna – powiedział na pożegnanie – tedy bezpieczni jesteście. Aby nigdzie nie łaźcie, bo wtedy

nie ręczę.

Ale Lili się cniło. Obeszła wszystkie beczki i skrzynie, zajrzała do kufrów i koszy. Wszędzie pusto, choć deski, z dawna nieużywane, trzymały jeszcze woń mąki, jabłek czy kiszzonej kapusty. Część sprzętów pogruchotano i zostawiono w nieładzie, jakby od dawna nikt tu nie zachodził i nie doglądał dobytku. I pewnie naprawdę tak było, bo pająki pozasnuwały wiele statków, a przy drzwiach na polepie zalegała niepokalana warstwa kurzu.

– Zajrzyjmy, co jest na górze – zaczęła prosić i jęczeć. – Skoro tu mieszka wiedźma...

Rańczykowi nie widziało się, żeby mogli korytarzami świniarka przejść całą drogę do chatki w lesie, ale ugiął się w końcu: siostra umiała prosić i cała ta szaleńcza górską eskapada zrodziła się w jej rozumku, naszpikowanym nadmiernie opowieściami niani. Przywykł ją jednak chronić, więc pierwszy odemknął drzwi i wychynął z piwniczki.

Sień była całkiem zwyczajna. Ot, duża wiejska sień. Skrzynie, kredens i zydle świadczyły, że żyło się tu zasobnie. Potem jednak coś musiało się popsuć.

Na półce przy świętym obrazie uwiły gniazdko myszy. Patrzyły na dzieci oczami jak czarne paciorki i nieobeznane z ludźmi, nawet nie próbowały uciekać.

– Tu nikogo nie ma – wyszeptała Lila, którą wyludnione domostwo napełniało osobliwym lękiem.

Brat pospiesznie zatkał jej usta.

– Ci...

Powędrowali dalej – przez kuchnię z wygasłym kominem, i komorę, gdzie dojrzeli ledwo kilka zeschniętych skórek od chleba. W alkierzu obok kuchni na łóżku wciąż widniał odcisk czyjegoś ciała. Ale kiedy Lila usiadła na posłaniu, z poduchy i z pierzyn podniósł się tuman kurzu, aż zaczęła się krztusić i pokasływać z cicha. Nie zniechęciła się jednak.

– Jak tutaj nikt nie mieszka – zaczęła chytrze – to co będziemy na dole po ćmaku siedzieli? Ja to wszystko ogarnę, posprzątam jak należy i będzie nam dużo lepiej.

Brat się nieco zawahał. Mała porwała tymczasem grzebień z komódki

przy łóżku, zsunęła kapturek i z rozkoszą zaczęła wyczesywać łąjno z włosów, a włosy miała jasne i sięgające aż do pasa. Zerkała przy tym filuternie na Rańczyka, jakby chciała go skłonić do nowego szaleństwa.

– Ale świniarek mówił...

– Miotły trzeba poszukać – przerwała mu dziewczynka, z entuzjazmem szykując się do zabawy w dom. – I w piecu zda się napalić. – Podskoczyła na łóżku, wzbijając nową chmurę kurzu, a potem rozkaszała się całkiem donośnie.

Rańczyk rzucił się do niej, chciał jej buzię zatkać, ale z pośpiechu zawadził nogą o nocne naczynie.

Błaszany nocnik załomotał rozgłośnie, aż oboje pisnęli.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– A tuście mi, szkodniki... – W drzwiach stanęła rozczochrana siwowłosa niewiasta.

Kaganek upiornie oświetlał od dołu jej twarz, wydłużając i tak okazały nos oraz podkreślając bruzdy na policzkach. W długiej białej koszuli wyglądała jak upiór. Podstarzały, tęgi i bardzo rozeźlony upiór.

– Aaaaaa! – rozdarła się natychmiast Lila.

Ale jej cudny głosik, który doprowadzał do rozpaczki opiekunki i wymuszał na ojcu wszelkie możliwe koncesje, tutaj okazał się boleśnie nieskuteczny.

Baba bowiem nawet cofnęła się o pół kroku – i nic dziwnego, bo głos Lili osiągał coraz wyższy diapazon, aż w uszach dzwoniło i zęby cierpły. Ba! – nawet na gębie przybladła i oczy jej na wierzch wylazły. Poruszyła ustami, choć we wrzasku czynionym przez Lilę trudno było rozeznąć słowa. Ale w lewej ręce wciąż ścisnęła bardzo solidny pogrzebacz. I Rańczykowi wyglądała na taką, co to wie, jak go użyć.

Złapał nocne naczynie, zasłonił się nim jak tarczą i stanął pomiędzy siostrą i babą, która majaczyła przed nimi na kształt nocnego widziadła.

Akuratnie ten moment wybrała sobie Lila, żeby zamilknąć. A może po prostu zadyszała się i tchu jej brakło.

Baba upuściła pogrzebacz.

– Jarosławna... – wyszeptała, przyciskając rękę do piersi. – Moja

Jarosławna...

Na dźwięk imienia matki Lila rozwrzeszczała się jeszcze bardziej, tym razem już całkiem przerażona.

Przez chwilę Rańczyk gapił się na nie bezradnie. Potem, nie wiedząc co robić, grzmotnął nocnikiem w kaganek.

Baba pisnęła cienko. Lampka wypadła jej z ręki i stłukła się. Struga ognia pobiegła ku bosym stopom w drewnianych chodakach.

– Chałupę mi, ścierwa, palą! – zawrzasnęła wściekle stara, wionąc ku nim słabo przetrawionym winem.

Zdarła ze ściany makatkę i jęła dusić ogień.

– Duchem! – Rańczyk złapał siostrę za rękę, odepchnął z całej siły babę i rzucił się z Lilą ku schodom.

Wpadli do piwnicy, podparli drzwi najbliższym antałkiem, co było zupełnie bez sensu, bo tęga gospodyni bez kłopotu wywaliłaby pustą beczkę. Stara nie goniła ich jednak. Jeszcze trochę człapała na górze, mamrocząc do siebie mętnie. Potem ucichła.

Lila dygotała, całym ciałem przytulona do brata.

– Zgubiłam trzewik – szepnęła.

– Mówiłem, żeby tam nie iść – nie omieszkał jej wypomnieć, lecz naprawdę wcale nie był zły.

W każdym razie nie bardziej niż wtedy, kiedy namówiła go na wyprawę po zaczarowanego jelenia albo kiedy przez pół nocy wałęsali się po bagnach w poszukiwaniu błędnych ogników.

– Ona prędko uśnie – pocieszył ją, bo chlipała naprawdę żałośnie i wiedział, że jest wyczerpana. – Wtedy pójdziemy po bucik.

– Nasza mama też kiedyś zgubiła bucik – wymamrotała Lila, tak zmęczona płaczem i ciągłymi ucieczkami, że słowa się jej plątały. – Kiedy tańcowała z rusałkami. Ale tato ją dojrzał, a potem znalazł pantofelek, i po nim ją u więdźmy wytropił...

Kiedy zasnęła, Rańczyk nakrył ją szubą i ułożył wygodnie. Sam nie spał. Siedział w ciemności, wsłuchując się w melodię pustych kiszek, i rozmyślał, ile jeszcze czasu powinien dać świniarczykowi, zanim obudzi siostrę i wyjdą stąd, żeby poszukać drogi powrotnej do zamku.

Chyba że Lila uprze się, żeby znów odwiedzić wiedźmę. Nie był pewien, czy sam nadal ma na to ochotę. Po wczorajszych przygodach uwalnianie matki spod władzy czaru wydawało się jakby mniej atrakcyjne.

No, ale skoro zaszli aż tutaj, powinni przynajmniej spróbować. Tyle że się bał. Wiedział, że nie powinien, ale i tak bał się po prostu przeraźliwie.

A Lila spała błogo, rozsiewając wokół dojmującą woń gnoju.

Świniarczyk jednak przyszedł. Raptem wychynął z mroku tuż obok Rańczyka.

– Jak ładnie śpi – szepnął bardziej do siebie niż do jej brata. – Jak prawdziwa księżniczka.

Książę sapnął z przyganą. Nawet jeśli świniarczykowi zdarzało się myśleć o jego siostrze, powinien być rozsądny, by tego nie mówić głośno.

– Widzieliśmy starą wiedźmę – powiedział, żeby go popchnąć ku bezpieczniejszym tematom. – Tę, co tutaj mieszka. Nie próbowała czarować.

– Kordelia nie czaruje – prychnął wieśniaczek.

– To czemu wiedźma? – zdumiał się Rańczyk.

– Zwyczajnie, stara i wredna – odparł rzeczowo chłopiec. – A kiej jej chłop, Waligóra, łupić sąsiadów zaczął i do kopalni ich strącać, do reszty rozum straciła. Szczuraków do Doliny ściągnęła, na smoku nad folwarkiem latała i męża smoczym ogniem spaliła.

Tu Rańczyk, wprawdzie chowany na dworze, ale bardzo przyzwoitym i chędogim, zacukał się nieco. Nie tak wyobrażał sobie rodzinne komplikacje w zabitej deskami wiosce gdzieś w głębi Gór Żmijowych.

– Ojej – zdołał tylko wykrztusić.

Kiedy rzucał nocnikiem, ani mu przez łeb poszło, że poniewiera wioskową znakomitość.

– Ajuści – potaknął z dumą chłopak. – I tylko dlatego jeszcze jej nie spalili – dodał. – Nikt nie wie, gdzie potwora trzyma.

– Znaczy się – Rańczyk aż się zatchnął, kiedy pojał, co naprawdę wynika ze słów świniarka – smok się tutaj kryje? W chałupie?

Świniarczyk lekceważąco machnął ręką.

– E, gdzieżby zaś! – prychnął i jakoś tak pobłaźliwie popatrzył na księcia, że Rańczyk chętnie strzeliłby go z batoga za samo spojrzenie. – Jam tę chałupę od piwnicy jak należy przeszukał i smoka żadnego nie znalazł. Nie musicie się strachać.

Krew buchnęła księciu na twarz. Dotąd nikt nie zarzucał mu tchórzostwa. Nawet kiedy się bał. Dworzanie po prostu uprzejmię odwracali wzrok, kiedy się wzdragał zanurkować w lodowato zimnej gliniance albo wylazł na drzewo podczas polowania na dzika. Tutaj jednak było zupełnie inaczej. Najwyraźniej w Wilżyńskiej Dolinie nie ceniono uprzejmości, jak dobry zwyczaj każe.

– A po co tobie smok? – burknął.

– No, jakżeby zaś po co? – nie krył zaskoczenia chłopak. – Toć żeby ich wszystkich spalić. Piwowara, plebana, Małego Sułka i samego władkę.

Rańczyk wytrzeszczył oczy. Rozmach planów malucha wręcz zapierał dech w piersiach.

Wieśniaczek tymczasem wyszczególniał na palcach.

– Dolibę, bo mnie onegdaj wedle cmentarza skopał, że pono nieboszczyków łupię. I Miłkę, bo mi w babińcu spać nie pozwalała, że to, powiada, śmierdzą. Szyszka też, bo kości woli psom rzucić niż mi pozwolić je zabrać. I jeszcze Wronisza – dodał po namyśle – bo mnie jego bachory wytarzały w gnoju. – Niby mówił twardo, lecz pod koniec tej wyliczanki rozsmarował się jakoś raptem i głowę w ręce schował. – No, ale smoka nie ma – powiedział po chwili z żalem. – Więc wszystko jedno.

W piwnicy zrobiło się dziwnie ponuro.

– Ona zna naszą matkę – powiedział naraz książę.

– Kto?

– Ta wiedźma. Znaczy, baba – poprawił się, bo był skrupulatny i lubił rzeczy nazywać wedle ich istoty. – Znaczy się, Kordelia.

Świniarczyk jął zajadle drapać się po głowie, aż dopadł dokuczliwą wesz i zdusił ją paznokciem.

– E, zdawało się wam – rzekł z wielką pewnością.

– Kiedy jej imię znała.

Wieśniaczek tylko się zaśmiał.

– A bo ludziska mało imion znają? – fuknął. – Ale to jest Kordelia, po starym młynarzu wdowa, a nie żadna pani. Kudy jej do księżniczek albo inszych paniąt.

Wprawdzie nie przekonał całkowicie Rańczyka, księżę postanowił jednak zmilczeć i nie narażać się dłużej na kpiny.

– Jadło wam przyniosłem. – Rańczyk wcisnął mu brudne zawiniątko.
– Znaczy się, głównie dla niej – pokazał na uśpioną Lilę. – Ty jeszcze wytrzymasz.

Księżę skinął głową, chociaż w brzuchu kurczyło mu boleśnie. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek był taki głodny.

– Śnieżyca ustała – ciągnął świniarczyk – ale w wiosce wciąż huczy. Jewka pobita leży, gnaty jej połamali. Piwowar z pachółkami jak wściekły po okolicy lata, w obejścia wieśniakom zagląda, aż się ludziska dziwują, czego on tak pilnie szuka. Musicie jeszcze z dwa dni ciszką tutaj przesiedzieć. Później was na trakt przeprowadzę.

Chłopak zaciął wargi. Niby świniarek bardzo roztropnie gadał, ale księcia złość brała, że tak akuratnie i składnie wszystko we łbie poukładał, że plan miał zawczasu gotowy, że niczego się nie bał.

– Ona nie dojdzie – burknął.

Świniarczyk wzruszył ramionami. Zwierzęce skóry rozchyliły się, ukazując świeżą, dopiero co przyschniętą ranę na lewej ręce.

– To sanki się ukradnie albo i konika do nich. No, co się gapisz? – złątał księcia. – Mnie nie pierwszyczna.

– Skoroś taki cwany – zadrwił Rańczyk, którego przechwałki małego brudasa napełniały osobliwą złością – czemu na gościniec nie idziesz, tylko ze świniami harujesz?

I zaraz zawstydziła go własna małoduszność, bo przecież mały nędzarz otoczył ich opieką, kiedy wszyscy inni zawiedli.

– Ty świń nie ruszaj, bo one dobre – odburknął świniarczyk. – Od ludzi lepsze.

Rańczyk zawstydził się jeszcze bardziej.

– Mój ojciec ma chlewnie pod zamkiem – powiedział, nie potrafiąc

zapanować nad przechwałką w głosie – większe niż ta wioska. Chodź z nami, na pewno będzie ci lepiej. I Lila się ucieszy – dodał przebiegle.

Ale świniarczyk nie potrafił docenił zaszczytu.

- Nie mogę – rzekł krótko.
- Dlaczego? – osłupiał Rańczyk.
- Bo czekam.

Szuba, w którą zawinięta spała Lila, drgnęła i spod splugawionego futra wychyliła się jasna główka.

- A na co? – zapytała ciekawie i Rańczyk od razu zrozumiał, że od dobrej chwili przysłuchuje się rozmowie.

Ku jego zaskoczeniu świniarczyk nie zamierzał zaspokajać jej ciekawości.

- Na moich – odpowiedział tak szorstko, że nie śmieli dalej pytać.

Lila naburmuszyła się natychmiast. Nie lubiła przegrywać nawet w drobnych sprawach.

- A ja na trakt nie pójdę – oznajmiła, bijąc drobną piąstką w polepę. – Na krok się stąd nie ruszę, póki nie uwolnimy mamy.

- Chyba z uma żeś zesła! – wyrwało się świniarczykowi.

Rańczyk, który myślał to samo, przezornie zmilczał. Zbyt dobrze znał krnąbrny charakter siostry, by próbować ją teraz przekonywać. Po cichu miał nadzieję, że kolejne dwa dni przesiedziane w piwnicy nadwątlą jej chęć przygód.

Mała posłała wieśniakowi urażone spojrzenie.

- Musimy uratować mamę.

- Czekala już tak długo, jeszcze trochę poczeka – rzekł flegmatycznie prostaczek. – Możecie wiosną wrócić – dodał na osłodę, bo mina Lili zrobiła się nagle zajadła i zgoła mało książęca. – Z ojcem i żołnierzami. Im łatwiej więdźmę przekonac.

- Akurat! – prychnęła dziewczynka. – Jakby to było tak prosto, już by matuchnę tatko wyswobodził dawno. Nie, obejścia więdźmy zaklęcia przeokrutne bronią, co przez nie tylko dziecię czyste przejść może. Znaczy się, my.

Świniarczyk gapił się z powątpiewaniem na jej szubę, całą nabitą

grudami zaschniętego łąjna.

– E, tutaj wszyscy do Babuni Jagódki chodzą. Starzy i młodzi.

– I ty byś też tam trafił? – podchwyciła z entuzjazmem Lila.

Rańczyk wywrócił oczami. Rozumiał świetnie, na co się zanosi.

– Czy może się więdźmy boisz? – dodała chytrze.

Pod bacznyim spojrzeuim dziewczuszki świniarczyk wyprostował się dumnie.

– Nic a nic się nie boję – oświadczył hardo. – Zresztą często tam bywam. U Babuni jest jadło, bardzo łatwo podebrać.

– I dzisiaj też byś poszedł? – zapytała słodziutko. – Czy może ci za zimno?



Ostatecznie wybrali się oczywiście wszyscy troje, kiedy już udało im się odnaleźć na górze trzewik Lili. Z początku przeciskali się korytarzami świniarka, które wiły się i splatały pod całą wilżyńską wioską.

– Jak szcuracy w Dolinę przyszedli – wyjaśnił chłopiec – to właśnie z tych tuneli się na świat wyroili, bo to szczwane pleię i bardzo pracowite. Ale po nich nikt już dołem nie chadza. Za bardzo się wieśniacy boją. Wyjścia pozasypywali, gdzie je tylko znaleźli, i myślą, że to po wszystkim. A mnie się zdaje – dodał sprytnie – że szcuracy wrócą. Na próżno by tego wszystkiego nie postroili.

Wygramolili się na powierzchnię daleko od zabudowań osady, ledwo widocznych spod grubych czap śniegu. Nad chałupami górowała kościelna wieża, dalej widzieli żuraw studzienny i połyskujące świeżym drewnem ściany karczmy. Kiedy śnieżycą ustała, cała okolica wyglądała zupełnie zwyczajnie i Rańczyk nie mógł się nadziwić, że wczoraj błąkali się tutaj tak długo i omal nie zamarzli pośrodku wioski.

– Z więdźmą zaś jest tak – świniarczyk z upodobaniem przybrał ton wyższości, widać nie zdarzało mu się to zbyt często – że lepiej jej nie budzić. Zwykle o tej porze ma w chałupie parobka, więc może nie zauważy. Jenó kur trza się wystrzegać. – Chyba nawiedziło go jakieś

przykre wspomnienie, bo przystanął i z grymasem na twarzy jął pocierać stopą o łydkę drugiej nogi. – Strasznie, ścierwa, parzą.

– Parzą? – Lila rozchichotała się serdecznie. – Kury?

– A co? – burknął wieśniaczek. – Ogniem z dziobów zieją. W kurniku bazylipek siedzi, ale byle tam nie leżć, nikogo nie ruszy, bo mrozu strasznie nie lubi. I nocnica pod dachem. Z nią bieda, jak zacznie krzyczeć, krew się z uszu puszcza. Są także skrzaty, utopce i taki tam inny drobiazg. I cap, jeśli się wiedźma już parobkiem znudziła.

Po prawdzie po tych objaśnieniach Rańczykowi całkiem odechciało się bohaterskich wyczynów. Nadrabiał jednak miną, bo Lila aż podskakiwała z ukontentowania i wiedział, że nie da się jej w żaden sposób zawrócić.



*- Parzą? - Lila rozchichotała się serdecznie. - Kury?
- A co? - burknął wieśniaczek. - Ogniem z dziobów zieją. W kurniku bazyliszek siedzi, ale byle tam nie leżć, nikogo nie ruszy, bo mrozu strasznie nie lubi. I nocnica pod dachem. Z nią bieda, jak zacznie krzyczeć, krew się z*

uszu puszcza. Są także skrzaty, utopce i taki tam inny drobiazg. I cap, jeśli się wiedźma już parobkiem znudziła.

W splugawionej, potarganej szubie, ciasno okutana kapturkiem, sama wyglądała jak leśne lichy.

– Musimy wszystko przetrząsnąć – klarowała świniarczykowi. – Trudno przecież odgadnąć, w co wiedźma mamę zaklęła.

Jej brat przewrócił oczami. Przeszukanie całej graciarni, jaką zgromadziła w obejściu wiedźma, potrwałoby aż do wiosny. A coś mu się nie widziało, żeby stara chciała dobrowolnie wyznać, w co odmieniła księżniczkę.

Okazało się jednak, że nie docenił zaradności świniarka.

Dzieciak wyciągnął spod przyodziewku kilka złocistych bulw i z dumą zaprezentował je rodzeństwu.

– Cebulę Kordelii ukradłem. Ma jeszcze po izbach trochę zakopcowanego jada.

Lila zmarszczyła z obrzydzeniem nosem.

– Cebulę? Cebuli nie jadam.

Świniarek natychmiast cofnął rękę.

– Głupia, nie masz jeść, tylko płakać – pouczył wyniośle księżniczkę.

Rańczyk aż czknął ze zdziwienia.

– Że jak?

Świniarek wyszczerzył śnieżnobiałe zęby.

– No, tak mnie się zdaje, że łzami chcecie matkę ożywić. To trzeba będzie płakać.

Musiał twarz śniegiem przetrzeć – ani chybi na cześć Lili, pomyślał cierpko Rańczyk, jako że jego błękitnooka, złotowłosa siostrzyczka wywierała takie wrażenie na wszystkich, od ojcowskich paziów po wiekowych masztalerzy – bo skórę miał czystsza niż wczoraj. Wciąż wyglądał ohydnie, nie wpuściliby go nawet do książęcych stajni, lecz przynajmniej się starał.

Co w jakiś osobliwy sposób irytowało jej brata. Podobnie jak zapobiegliwość świniarka.

Rańczyk, mimo że młody, czuł zdrową, książęcą niechęć do polegania na innych.

– Chyba że wolicie inaczej – zarechotał świniopas. – Ma wiedźma kije samobije i od nich też można płakać.

– Kije samobije? – podekscytowała się natychmiast Lila.

– Ano, w komorze je trzyma. – Dzieciakowi pochlebiało jej zainteresowanie. – W skórzanym worze. Widziałem, jak kiedyś otłukła nimi Kowlika, kiedy się nocką wedle zagrody plątał.

– A ciebie? – zapytał Rańczyk, przybierając najbardziej wyniosły książęcy ton.

– A ja jestem za szybki. – Wieśniaczek wzruszył ramionami. – I za cicho chodzę.

Kiedy dotarli do wiedźmiej zagrody, dał im znać, żeby się ukryli dobrze przed opłotkami. Lila z ulgą przycupnęła za zaspą. Dzisiaj mróz mocno zelżał, ale śniegu było mnóstwo i oblepiał ich przy każdym kroku.

– Śnieżki szybko lepcie – ponaglił ich świniarczyk.

– My nie na zabawy tu przyszli – powiedział z przyganą Rańczyk – jeno matkę ratować.

Lila wpatrywała się w nich z wyczekiwaniem. Ale świniarczyk za nic miał sobie pańskie miny i nie zamierzał ustąpić.

– Tedy czasu nie marnuj. Zaraz obaczysz.

Kiedy nalepili już pokaźny stosik, świniarek kazał im się jeszcze głębiej zakopać w śnieg.

– Teraz uważajcie – rzekł chełpliwie.

I zaczął razić śnieżkami – prosto w jabłonkę, śliczną i wciąż obwieszoną owocem, która rosła tuż przy wiedźmiej studni.

Bombardował pociskami pień, bębnił po konarach. Niektóre nie trafiały celu i opadały na cembrowinę albo prosto na ziemię, w stado pstrokatych kurek. Drób rozpierzchał się, gdakał piskliwie, nogami przebierał, lecz nigdzie nie mógł dostrzec nieprzyjaciela, który weń niecznie raził. Część kokoszy, tych co bardziej tchórzliwych, pomknęła co tchu do kurnika, ale na drążek przy studni wyskoczył mały, czubaty kogucik i wodził wzrokiem po podwórzu niby generał szacujący armię.

– On jest, ścierwo, najgorszy – westchnął ciężko świniarczyk.

Kogucik rozwarł dziób, ale zamiast pienia wydał z siebie okazałą strugę ognia.

– Tatul! – pisnęła z przerażeniem Lila, kiedy płomień liznął sztachety i okamgnieniu stopił pokrywający je śnieg.

Świniarek objął ją ramieniem i przycisnął mocno do ziemi, chociaż ogień nie miał prawa dolecieć aż tutaj. Rańczyk postanowił jednak przymknąć oczy na tę niebywałą bezczelność i przesunąć rozmowę o szacunku dla prawdziwej księżniczki na inny moment.

Tymczasem wieśniaczek nie ustawał w wysiłkach i dalej raził pstrokatego kurka. Ptak, z natury ślepowy, nie mogąc wyrozumieć, kto go prześladuje, zionął ogniem przed siebie, aż w końcu czknął kilka razy, puścił dziobem obłoczek dymu, po czym bardzo prędyutko zeskoczył z drążka i jak niepyszny ukrył się w kurniku.

– To da nam trochę czasu – oświadczył świniarczyk. – Teraz jabłonka.

Ze zdwojoną siłą powrócił do maltretowania drzewa, tkwiącego pośrodku opustoszałego już podwórka.

– Zimą trochę przysypia – wyjaśnił chłopak. – Ale jeśli się potem obudzi, tak nam grzbiety wymłóci, że się nie podniesiemy.

Za jego plecami brat z siostrą wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dobry był ze świniarka chłopczyzna, ale po trochu głupawy.

I wtedy właśnie jabłonka postanowiła się ocknąć. Zadygotała jak zwierzę, otrząsnęła się z śniegu i wyciągnęła ku nim ramiona. A potem jęła razić jabłuszkami.

Drobne, rumiane owoce zaświstały w powietrzu. Opadały tak gęsto, że trudno się było ukryć, a i jabłonka, najpewniej magicznym, niecnym sposobem, lepiej od kur rozumiała, gdzie nieprzyjaciel się tai. Rańczyk jęknął, kiedy jabłuszko ugodziło go prosto w szyję.

– Z bliska bardziej boli – pocieszył go świniarczyk.

Jabłonka srożyła się czas jakiś, gałęziami trzęsła, lecz poza tym niewiele mogła zrobić, solidnie umocowana korzeniami w ziemi. Bo Rańczyk nie miał wątpliwości, że gdyby tylko się dało, przyskoczyłaby do nich i zdrowo po grzbietach otłukła, taka z niej wściekłość biła.

Wreszcie ostrzał zelżał. Świniarczyk wyprysnął zza zaspy i

pracowicie wybierał owoce do płachty.

– Jabłka bardzo zacne – uspokoił Lilę, która go obserwowała, niepewna, czy się nie obmieni w jakieś nowe dziwo. – Zrobaczywiałe po trochu, ale to nie szkodzi. Jeno trzeba się spieszyć, bo wnet nowe wyrosną.

Pomknęli zatem ku furtce, a potem przez podwórze, trzymając się obok zabudowań.

– Byle z daleka od studni – przestrzegł ich jeszcze świniarek. – Bo w niej czai się licho. Niejeden srebra tam szukał i ze szczętem przepadł.

Zaczęli od szopki na siano. Świniarczyk rozłupał cebulę i dał po połowie rodzeństwu, a oni chodzili wokoło, skrapiając rzewnymi łzami grabie, łopaty i cebry.

Lila znudziła się pierwsza.

– Do końca świata nam zejdzie. – Rozpłakała się, tym razem naprawdę.

– Może te łzy z cebuli niewiele warte – pocieszył ją brat, korzystając z okazji, żeby przygadać bezczelnemu smarkaczowi.

– E, nie o łzy tutaj chodzi. – dziewczynka ze złością strząsnęła z ramienia rękę Rańczyka – ale że tego za dużo. I nie przystoi.

Chłopcy wybałuszyli oczy.

– A tak. – Lila wzięła się pod boki. – Jestem przecież księżniczką. Nie będę się skradać jak złodziej.

– Co? – powiedzieli jednym głosem książę i świniarczyk.

– Właśnie że to. – Lila odęła się natychmiast, wyczuwając opór. – Trzeba wiedźmę zmusić, żeby nam mamę oddała.

– A jak zamierzasz ją zmuszać? – zainteresował się brat szyderczo.

Liczył, że świniopas małą wyśmieje, ale ten tylko gapił się w nią niby w obrazek.

– Choćby tym samobijem – wyjaśniła z mocą dziewczuszka. – Może i tam jest szcurzy podkop?

Chłopak pokręcił głową.

– Gdzieżby szcuracy tam poszli – prychnął. – Jeszcze im życie miłe.

– A umiałbyś je dla mnie zdobyć? – wdzięczyła się Lila. – Tak po prostu je ukraść?

Wieśniaczek się zawahał. Podobał mu się zachwyty w oczach dziewczynki, ale i wiedźmy bał się przecież niezgorzej.

Rańczyk uznał, że musi ich przywołać do porządku, zanim porwą się na coś głupiego.

– A co potem zrobicie? – zagadnął z kpina. – Pogroziecie jej kijkiem i powiecie, oj, ty wstrętne wiedźmo, gdzieś nam mamę ukryła?

– Będziemy tak długo tłukli, póki jej sama nie odda – wyjaśniała krwiożerczo Lila.

Świniarczyk zaczął się czochrać ze wzburzenia. Wyraźnie nie palił się do jej pomysłu.

– Dobrze, to sama idę! – Księżniczka tupnęła drobną nóżką.

– Nie!

Lila uśmiechnęła się promiennie. Pewne sposoby skutkowały, czy szło o ojca, czy o masztalerza, czy wreszcie o małego świniopasa.

– Ja pójdę – rzekł z westchnieniem świniarczyk.

– Obaj pójdziemy – poprawił go Rańczyk, który nie zamierzał się chować za niczymi plecami. – A ty poczekaś! – przykazał stanowczo siostrze.

Lila zgodziła się grzecznie. Po prawdzie trochę zbyt grzecznie.

Chłopcy cichutko wspięli się na ganek.

Rańczyk pisnął cienko, kiedy spod stóp prysnęło mu stadko krasnali w mysich czapeczkach.

– Cichajże, głupi! – ofuknął go świniarczyk.

Wiedźma nie obudziła się jednak. Pochrapywała na łóżku przy piecu, opleciona mocarnym ramieniem parobka. Rańczyk przełknął ślinę, oszołomiony rozpostartą na oścież panoramą jej wdzięków. Wprawdzie miał już wcześniej doświadczenie w podglądaniu praczek, a i razem z paziami zadzierał spódnice dwórkom, czegoś takiego jednak nie oglądał wcześniej.

– Ślepią ci na wierzch wyleżą – zakpił wieśniaczek. – Zakłamię się w młodą obmienia – objaśnił litościwie, gdy Rańczyk wciąż się gapił, jakby

obląkany – żeby się z pachółkami łajdaczyć. Tutaj wszyscy to wiedzą. A teraz marsz do komory! – Przepchnął księcia ku małym drzwiczkom w ścianie nieopodal pieca.

Wewnątrz mocny, ziołowy zapach aż kręcił w nosie, a zewsząd, z powały, z półek i szafek zwieszały się pęki ziół. Na ziemi porozstawiano dzbany z ziarnem, pękate flaszki, których zawartości ani się śmiał Rańczyk domyślać, a wszystko przetkane pierzastymi i futrzastymi truchłami.

Przełknął ślinę, kiedy coś zaszurało w wiązках ziół. Świniarek tymczasem, niestropiony niczym, buszował w mrocznym wnętrzu, na półkach garnczki przestawiał, coś do siebie mamrotał. Księżę wolał się trzymać bliżej drzwi i przy każdym dźwięku podskakiwał jak zajac, kiedy mu na ogon nadepną.

Zapewne też dlatego pierwszy dostrzegł Lilę, kiedy stanęła w drzwiach izby.

Zaczął jej zza półprzymkniętych drzwi komory dawać rozpaczliwe znaki, żeby cofnęła się prędko, jak się umówili. Ale dziewczuszka, śmiała nad swoją płeć i ciekawa jak sroczka, maszerowała przez izbę, pstrząc posadzkę mokrymi śladami. Drzwi z przejścia zostawiła otwarte. Klekotały teraz na obluzowanych zawiasach, a wicher duł, nawiewając do środka garści śniegu.

Czas się było zbierać.

– Mam je! – wyszeptał z triumfem świniarczyk.

– A ja mam was! – Drzwi do komórki rozwarły się naraz na oścież i stanęła w nich wiedźma, znowu stara i wstrętna.

Haczykowaty nos sięgał jej prawie do brody, oczy patrzyły wrednie i kaprawo. Schwyciła Rańczyka za kark i podniosła niby kociaka. Darmo wił się i wrzeszczał. Sękate paluchy wbijały mu się w skórę i myślał, że zaraz go rozerwą na strzępy. Przysunęła łup bliżej, wpiła w chłopaka żółte pałające ślepie, jakby chciała wyssać mu duszę.

Wszystko trwało mgnienie oka, może jeszcze krócej. Bo zaraz potem Lila wpadła z rozpędu na wiedźmę, w krzyż ugodziwszy ją stołkiem.

Stara zwolniła uchwyt i klapnęła na zadek, a Rańczyk też spadł na ziemię, naprzeciwko wiedźmy.

Przez moment miał przed sobą jej ogłupiałe oblicze. Ale gospodyni prędko przysłała do siebie i capnęła oboje rodzeństwa.

– Puszczaj! – darła się Lila, którą wiedźma trzymała za włosy.

Wtedy właśnie świniarczyk postanowił uwolnić kije samobije.

Rzucone z nienacką na ziemię, bez żadnego zaklęcia, kije zrazu ogłupiały nieco. Ponieważ jednak nudziły się cokolwiek w worze, z entuzjazmem przyłączyły się do zabawy.

I prały bez różnicy wszystkich, oprócz biednego świniarczyka, który stał, oszołomiony, z opróżnionym workiem w ręku. Nie wydawał się całkiem zadowolony ze skutków swej interwencji.

– Chodu! – wrzasnęła Lila, która spostrzegła dobrą okazję, żeby się z opresji wymknąć.

Rzucili się z Rańczykiem ku wyjściu zgodnym cwałem, jak zwykli byli czynić podczas niezliczonych psot, kiedy ścigali ich ochmistrzyni, kucharka, masztalerze czy zwyczajni posługacze. Tuż za progiem napatoczyli się na kogucika, który doszedł trochę do siebie po wcześniejszej konfuzji i smagnawszy płomieniem po łydkach, ponaglił ich do jeszcze większego pośpiechu. Rwali więc naprzód na oślep, potykali się, przewracali i biegli dalej znowu.

O niczym nie pamiętali.

Ale biedny świniarczyk nie mógł się wydostać. Na przeszkodzie stała mu rozjuszona wiedźma, która podniosła się właśnie z podłogi z wiązką kijów samobijów w ręku.

– Co to za łomot, duszko? – zawołał z pośłania pacholek.

– A nic, zwykłe szkodniki. – Wiedźma uśmiechnęła się niemiło.

Świniarczyk zadygotał.



Wstyd przyznać, ale Rańczyk i Lila nie zatrzymali się, aż z powrotem w piwnicy Kordelii. Tam zwalili się bez czucia pomiędzy pustymi beczkami.

A potem Lila się rozpłakała.

– Zostawiliśmy go – wyłkała – na zatracenie.

– Nie martw się – pocieszył ją Rańczyk. – Przecież wrócimy.

Lecz wcale nie był pewny, czy ma na to ochotę.

– A jeśli go wcześniej zeżre? – Księżniczka rozryczała się jeszcze bardziej rozgłośnie. – Ma taki piec przeogromny, akurat dobry na dzieci. A jeśli go w nim upiecze?

W tym samym czasie wiedźma moczyła świniarczyka w balii. Chłopiec, zbyt oszołomiony, by się bronić, siedział w mydlinach, podczas gdy wiedźma z całej siły szorowała mu kudły.

– Smrodem mnie chcieliście zabić – gderała, ale znów w swej młodzieńczej postaci, więc głos jej nie brzmiał jak należy zgrzytliwie, co trochę psuło zabawę. – Nie, trzeba będzie to obciąć. – Jedną rękę złapała za splecione kosmyki, a w drugiej dzierżyła nożyce do strzyżenia owiec.

Wieśniaczek bezwolnie poddawał się jej zabiegom. Właściwie nie sprawiały mu przykrości, zwłaszcza kiedy wiedźma pochylała się nad balią i owiewał go tkliwy, chlebowy zapach jej ciała. Spać mu się z nagłą chciało, wtulić w wiedźmie ramiona, oczy zamknąć i płakać. Sam nie rozumiał dlaczego, bo przecież mamała go tylko i wiedział, że niebawem ta postać opadnie z niej jak znoszona skórka z węża. A jednak coś go przejmowało do głębi. Skulony w wodzie, dygotał, owładnięty osobliwą słabością.

Ale może to z kąpieli. Sułek nigdy nie kąpał się w grzanej wodzie. Zresztą w ogóle się nie kąpał i powiadał, że jeśli kto chce żyć długo, nie powinien wchodzić w nadmierną zażyłość z wodą. Dlatego w chałupie nie sprzątał i ze studni nigdy nie pijał. I powiadał, że będzie trwał na zagrodzie dziesięć tuzinów zim albo jeszcze dłużej.

Wiedźmi miłośnik tymczasem pomykał ręczo, donosząc ze studni świeże cebrzyki z wodą i sterty drew na opał. Właściwie był kontenty, że może coś wreszcie zrobić. Od dwóch niedziel wiedźma nie wypuszczała go z łóżka.

Na koniec wyszorowanego i okręconego w płótno świniarczyka posadzono przy stole.

Pod kominem buzował ogień.

Pachniała pieczeń. I świeży chleb, który wiedźma wielką łopatą wyganiała zręcznie z pieca.

Kręciło mu się od tego wszystkiego w głowie, a usta same wyginały w podkówkę.

– Więc powiadasz, że matki tutaj szukają – zagadnęła chytrze wiedźma i nałała chłopcu polewki na piwie, tej samej, którą się raczył parobek.

Sama piła czerwone wino, ale świniarczyk nie dziwował się temu. Ostatecznie wiedźma.

– Ano, Jarosławny księżniczki – odparł machinalnie i zaraz się zorientował, że go pod włos wzięto.

Naburmuszył się.

– Nic wam więcej nie powiem. – Zasznurował usta. – Ja nie jestem zdrajca.

Wiedźma też się zachmurzyła.

– Jedz! – Wcisnęła mu w garść pajdę chleba.

Chleb pachniał tak rozkosznie, że wszelkie opowieści o wiedźmich trutkach wywietrzały mu z głowy. Jadł, polewkę chłeptał, a gospodyni przyglądała mu się z namysłem. Spod warstwy brudu i świńskich odchodów wynurzył się bowiem całkiem urodziwy malec o jasnej skórze i włosach, nakrapiany rudymi piegami na nosie. Rysy miał drobne, usta ładnie wykrojone, ale policzek znaczył wielki, opuchnięty siniak.

Żarł, mlaskał, odbekiwał i znowu się rzucał na jadło. Parobek ze śmiechem dolewał mu piwa.

– Już dosyć. – Wiedźma nakryła dłonią kubek. – Więcej w żołądku nie strzyma.

– Wyście są strasznie skąpi. – Chłopczyna oskarżycielsko wyciągnął do niej palec.

Naprawdę się jednak nie złościł. Dobrze mu było, tylko w głowie ciężko.

Rozmaślonym wzrokiem gapił się na wiedźmę.

– Zaraz się, synku, obrzygasz – powiedziała surowo.

Westchnął, kiedy odsunęła dzbanek na drugi koniec stołu. Wiedział, że nie ma co wierzyć, i tak więcej nie wskóra.

– Ale potem mi dacie? – spróbował jeszcze.

Wiedźma się uśmiechnęła.

– Ile tylko zechcesz. Ale wpierw mi opowiesz.

Chłopiec się nastroszył.

– O tamtych nic nie powiem. Nie jestem...

– Ot, zadziorny kogutek – zarechotał parobek.

– ...Zdrajcą, wiemy. – Wiedźma skrzywiła się nieznacznie. – To o sobie opowiedz.

Odruchowo poskrobał się po głowie. Wszy wiedźma wytepiła brunatnym, smrodliwym proszkiem, ale głowa swędziała dalej.

– A co niby o sobie? – zapytał ostrożnie.

– No, czyj ty jesteś, chłopczyku – poddała czarnowłosa. – I skąd te sińce na gębie.

Świniarczyk wzruszył ramionami.

– Sułek mnie długo szukał, a on nie lubi czekać.

Wiedźma zmarszczyła czoło. Nie przypominała sobie, żeby Mały Sułek, co był w Wilżyńskiej Dolinie najpaskudniejszy ochlapus, a i grubianin niezgorszy, trzymał w obejściu babę. No, ale nie trzeba przed ołtarzem ślubować, żeby się dorobić bachorów, poprawiła się w myślach. I tak dziw, że łaskawie Sułek bękartą przysposobił.

– Przypominasz go z gęby – postanowiła mu się przypocholebić, bo faktycznie widziała w twarzy malucha pewne podobieństwo do opuchniętej od trunku fizjonomii Małego Sułka. – Twojego tatę.

– Znaliście mojego tatę? – rozpromienił się chłopak.

Owszem, Małego Sułka znała, odkąd od pieluch wyrósł. Właściwie długo zapowiadał się na grzecznego pachółka, chociaż zawsze był mniejszy od brata i bardziej chuderławy. No, ale Wielki Sułek słynął w całej Wilżyńskiej Dolinie, a i w pięciu okolicznych miasteczkach, trudno było mu sprostać. Mały Sułek długo rósł sobie spokojnie w jego cieniu. W polu harował jak trzeba, świn hodowlą się parał, a niedzielę w świątyni siedział, od awantury stronił, a w ramach zimowego szaleństwa najwyżej piwa się napił.

Póki jego brat nie ocalił kasztelanki ze szponów smoka.

Wówczas coś się w głowie Małego Sułka odmieniło ze szczętem. Stał

się opryskliwy i nieswój. Gospodarękę zaniedbał, chociaż brat scedował na niego swój udział w ziemi, co wielu uważało za nadzwyczajną – a po prawdzie i lekkomyślną – wspaniałomyślność. Ale Mały Sułek ziemię miał już za nic. W chałupie ciągiem siedział, matkę staruszkę do obrządku pędził. A potem pić strasznie zaczął.

Powiadali ludzie, że to z zawiści o brata, który kasztelanekę poślubił i we dworze osiadł. Ale nie każdy w to wierzył. Bo i jakże tak, żeby prosty chłop był zazdrosny o wielkiego pana?

Pewna myśl przebiegła wiedźmie przez głowę. Niepokojąca myśl. Bardzo, bardzo niedobra.

– A ojciec twój to kto jest? – zapytała.

Chłopiec gapił się na nią, hardo zadzierając brodę.

– A więc to tak... – powiedziała powoli gospodyni.

Parobek, nic nie rozumiejąc, celowo się przyssał do piwa.

– Miałem nikomu nie mówić – wyszeptał żałośnie chłopiec. – Matusia mnie prosiła.

Wiedźma pochyliła się nad nim jakoś tak matczynie, serdecznie, i naląła mu trunku.

– Nic mi, dziecko nie rzekłeś – oznajmiła, wsuwając mu kubek w palce. – Sama się domyśliłam.

Pamiętała dobrze, jak w tej samej izbie siedziała kasztelanek, ciężka i obrzmiała od płodu. Pamiętała też swoją wściekłość, kiedy wyszło na jaw, że nadęta panna objeżdżała wszelkie wróżbiarki i wiedźmy, żeby od każdej z nich kupić życzenie dla swego dziecka. Do Wilżyńskiej Doliny zawitała na końcu i to się wiedźmie, oj, nie spodobało.

Jakie to było życzenie? – usiłowała sobie przypomnieć. Minęło jednak parę zim i więcej niż parę łajdactw uszykowała dla bliźnich.

Chłopiec zapijał łyzy piwem.

– Jak tatula zabili – wyszeptał niemal niedosłyszalnie – matula do mnie przyszła i powiedziała, że teraz nie jest bezpiecznie. Że po mnie też wkrótce przyjdą, a ona mnie nie obroni. Bo nie zdoła. Bo będą panowie się gryzli, do gardeł nawzajem skakali, aż któryś po nią sięgnie. A ona jest teraz słaba, osamotniona, bez męża. Więc mnie nie zdoła obronić.

Ciarki przebiegły wiedźmie po krzyżu. W jej rozumieniu kasztelanka była słaba – akuratnie tak samo jak jadowita żmija. Ale chłopiec nie kłamał. Jego ojca zabito, z wolą matki lub bez niej. A wtedy odesłała syna.

– Dlatego musiała mnie ukryć – ciągnął jeszcze ciszej chłopiec. – Tam, gdzie nikt mnie nie będzie szukać. Gdzie nikt się nawet nie domyśli.

Wiedźma sapnęła gniewnie. Jak znała kasztelanę, na pewno nie wyjawiała dworzanom pochodzenia męża, a tym, co z nią nawiedzili Wilżyńską Dolinę w czas sławetnego polowania na smoka, tak zabełtała we głowach, że zanim do kasztelu wrócili, sami już nie wiedzieli, co im się przydarzyło oglądać. Tak, kasztelanka sprytu miała aż nadto. Wszystkich próbowała przechytrzyć, a plany snuła ambitne. Nad podziw ambitne.

Wiedźma wcale by się nie zdziwiła, gdyby w nich wadził kasztelance prosty kmiotek z Wilżyńskiej Doliny, który, choć mocarny, nie rozeznawał się w politycznych subtelnościach. Nie, Sułek był chłopak wielki, lecz kontentował się małym. Kasztelanka spadła mu prosto z nieba, a potem wszystko potoczyło się jakby mimo niego. Może szczerze ją kochał. Na pewno mu pochlebiła pańska narzeczona. Ale potem kasztelanka uwiozła go w wielki świat, gdzie wszystko było na opak, a chłopska tężyzna, wystarczająca do rąbania drzew w puszczy, okazała się bardzo zawodna pomiędzy dworzanami.

– Myśliwiec matuli mnie przywiózł – mówił dalej świniarczyk. – Z Małym Sułkiem w noc gwarzył, grosiwem słodko mu brzęczał. Aż się ugodzili.

– Na świniarczyka.

Chłopiec pochylił głowę.

– Z początku było inaczej – wyszeptał. – A potem... Potem Mały Sułek się zmienił.

Pachołek, który niewiele z całej historii rozumiał, zaszurał nogami pod stołem.

– Świniarstwo jest fach zacny – oznajmił pocieszająco. – Samem tak kiedyś zaczynał, zanim mi krzepy przybyło. Zobaczysz, synu, jeszcze i ty się lepszego losu dochrapiesz.

Nikt na niego nie zwrócił uwagi.

– Mały Sułek wciąż krzyczał – mówił cichutko chłopak, a głos mu coraz bardziej mętniał od wspomnień i wypitego trunku – że insza była umowa. Że miała matka grosz sypać na moje utrzymanie. A ona przez dwie zimy ni słówka nie przysłała. Może się jej coś stało? – Z nadzieją wbił w Babunię ogromne niebieskie oczy.

Wiedźma uniosła brew. Lecz nie, nie przypuszczała, że cokolwiek miało zagrozić kasztelance. Ani zaraza, ani trąd, ani gradobicie. Bo nagle przypomniała sobie życzenie. I wszystko było jasne.

– Może tak – powiedziała, a dreszcz biegł jej wzdłuż kręgosłupa, wspinał się jak lodowata żmijka grozy. – Tak się czasami zdarza.

Dziecko patrzyło się w nią z rozpaczą i nadzieją, i czuła, że nie może poprzestać na tych słowach, rzuconych na oślep, jak ochłap.

– Zawsze pragnęła cię ochronić – szepnęła, ponieważ tajemnice, nawet te nieprawdziwe, należy wypowiadać cicho i z należytych staraniem. – Kiedy cię nosiła pod sercem, chciała zaskarbić dla ciebie przychylność wszystkich wiedźm i wszelkich magicznych plugastw. Przewędrowała całe Góry Żmijowe, szła od wioski do wioski, sił ni starań nie szcędząc... – Przełknęła ślinę, ponieważ nie wiedziała, nie umiała jeszcze zgadnąć, jak zakończyć opowieść.

Płomień trzeszczał.

Parobkowi błyszcząły oczy. O picciu ze szczętem zapomniał i piwo ciekło mu z przechylnego kubka na nogi.

Chłopczyk złożył dłonie, jakby chciał każde słowo schwycić i przycisnąć do serca, żeby już go nigdy nie odbiegło.

– Szła od wioski do wioski, zbierając życzenia dla swego nienarodzonego dziecka – podjęła schrypniętym głosem wiedźma. – Wszelkie dary i skarby. Męstwo, szczęśliwość, bogactwo, ludzi podziw i przyjaźń. Wszystko, co mogłoby ochronić jej dziecko i wyposażyć je na przyszłość.

– To dla mnie? – wyszeptał z zachwytem świniarek. – Zrobiła to dla mnie?

– Tak właśnie – powiedziała wiedźma, która niegdyś zajrzała kasztelance w oczy i wiedziała, że nigdy, przenigdy, nie zrobiła nic dla nikogo prócz siebie. – Niosła cię pod sercem przez całe Góry Żmijowe,

tam i powrotem. Tak daleko, jak trzeba. Jak tylko mogła najdalej.

Znowu przełknęła ślinę. To wcale nie było łatwe.

– Ale o jednej wiedźmie zapomniała. Najzłośliwszej i najbardziej plugawej.

– Zaraza na jej głowę! – zahuczał z gniewem parobek, który dość się nasłuchał opowieści wiejskich babek, by wiedzieć, że skoro pojawia się wiedźma, nic dobrego się nie może zdarzyć.

– I kiedy się urodziłeś, kiedy matula z ojcem stali nad twoją kołyską – ciągnęła wiedźma – przeklętnica opadła na kasztel jak wielkie czarne wroniszczce. I rzuciła zaklęcie, odbierając cię matce.

– Jakże? – wyjąkał chłopiec. – Jakże mogła to zrobić?

Wiedźma uśmiechnęła się zimno.

– Ponieważ była wiedźmą i nienawidziła wszystkiego, co wymyka się jej woli. Wszystkiego, co ją osłabia. Wszystkiego, nad czym nie może zapanować. – Miało minąć wiele, bardzo wiele zim, zanim świniarczyk zrozumiał, o czym wtedy mówiła. A tamtego wieczoru rozumiał jeszcze mniej niż zwykle, zalewała go bowiem fala bezbrzeżnego szczęścia z powodu odnalezienia utraconej matuchny, która przecież gdzieś tam daleko za górami czekała na niego i opłakiwała wymuszoną rozłąkę. – Dlatego właśnie rzuciła ci życzenie na całe długie życie. Że będziesz się chował bez ojca i bez matki, samotny i w poniżeniu, wśród obcych. Tylko wtedy przeżyjesz. Jeżeli cię odeśle.

„Żeby się twoje dziecko chowało bez matki” – tak naprawdę brzmiało życzenie, które wypowiedziała w tej chacie prosto w pełne kpiny, zuchwałe oczy kasztelanki. Nie przewidziała jednak, że są natury tak złośliwe, że życzenie nie zdoła wyrządzić im żadnej krzywdy, co więcej, same wykrzywią, wypaczą jego sens.

– Kiedyś ją pomszczę! – zawołał cienkim, dziecięcym głosem świniarek. – Pomszczę nas oboje.

Babunia Jagódka położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie wątpię, kochanie – wyszeptwała. – Mścić uczymy się na samym początku.

Kiedy chłopiec usnął, ukołysany tą tęczową baśnią, którą przed nim rozsunęła, kazała parobkowi umościć dla niego posłanie na piecu i

pogroziła pięścią nocnicy, żeby go nawet nie śmiała tykać.

A potem opróżniła do dna antałek wina. Bez jednego słowa.



Po ładnych paru godzinach próżnego biadolenia Lila wpadła na pomysł.

– Poszczujmy wiedźmę smokiem! – wykrzyknęła radośnie. – Wszak mają tu smoka.

Rańczyk załamał ręce.

– Coś znowu wymyśliła?

– Świniarek przecież mówił – obruszyła się dziewczyna. – Baba latała na smoku.

– Mówił też, że go tu nie ma – zauważył kąśliwie chłopiec. – Nie wszystko, o czym gadają, naprawdę bywa – zauważył z dorosłą miną.

– Pewnie za słabo szukał. – Lila aż podskakiwała z zapału. – My poszukamy lepiej.

Brat westchnął.

– Pamiętasz jeszcze karczmarza? – zagadnął, widząc, że już się wspina na schody prowadzące do drzwiczek.

– A co? – rzekła obojętnie.

– A nie był zbyt przyjazny – rzekł sarkastycznie Rańczyk. – Oj, chyba chciał nas zabić.

Lila odemknęła skobel.

– I co z tego?

– Jak cię baba pogrzebaczem zdzieli, nie będzie co zbierać.

Usiłował ją złapać za rękaw, ale wymknęła się zwinnie.

– Będę szybko uciekać – zapewniła go słodkim głosem. – Chodź, Rańczyk, nie bądź tchórzem – dodała ostrzej.

No i oczywiście poszedł, chociaż ni odrobinę nie wierzył w smoka.

Chałupa wydawała im się osobliwie wielka – izby, komory, alkierze i

ciemne schowki, wszystko puste i omroczone zmierzchem. W spizarni wywęszyli kawał spleśniałego sera i zeżarli go szybko, omaszczając głodem. Mijali skrzynie, misy, narzuty, krosno i kołowrotki, przeglądali stare skorupy, przyprószone pyłem bele materiału, grzebali w pierzu, pakułach i zwojach sznurku. Smoka jednak nigdzie nie znaleźli.

Aż Lila wypatrzyła schodki prowadzące na górkę.

– Tam nie. – Brat próbował przemówić jej do rozsądku. – Tam pewnie stara siedzi.

Ale sprawa była stracona. I Lila oczywiście postawiła na swoim. Osiągnął tylko tyle, że obiecała iść druga.

Kłapę na górze pozostawiono otwartą. Całe szczęście, bo z głodu tak osłabł, że by jej sam chyba nie dźwignął. Ostrożnie wysunął głowę. I zaraz zobaczył babę.

Kosmyki nierówno przyciętych siwych włosów zasłaniały jej twarz. Siedziała na malowanej skrzyni i gapiła się w okno z taką miną wyteżonej bezmyślności, jaką czasami umiał przybrać trefniś jego ojca.

Tyle że okiennice były zamknięte, zauważył ze zgrozą, i nic, zupełnie nic, nie mogła dojrzeć przez sosnowe deski.

Za jej plecami kaganek migotał i kopcił czarną sadzą.

– Jarosławna – mamrotała do siebie stara. – Przyszłaś, Jarosławna...

Jej koszulę, niegdyś białą, pokrywały plamy, a przez rozerwany bok wyglądały tęgie, poznaczone sinymi żyłami nogi. Ręce splotła na piersi, głowa na pierś opadła. I nawet z daleka, na schodach, Rańczyk czuł tę osobliwą stęchło-kwaśną woń starości, która przesycala całą izbę.

Wcale nie chciał mieć do czynienia z tą obłąkaną staruchą.

– Tyle że za późno – zaintonowała śpiewnie, jakby zaczynała piosenkę.

Wtedy dobiegł go znowu smród ledwo co przetrawionego wina.

Więc może wcale nie była obłąkana, tylko pijana.

Nie zdążył się nad tym jednak zastanowić, bo właśnie wtedy Lila zrobiła jedną z tych szalonych rzeczy, które go przerażały. Przemknęła mimo niego po schodach z rozpuszczonymi włosami i w samej spodniej sukience, na której pozostało jeszcze trochę bieli. Przez moment zdumiał

się – nawet nie oburzył, tylko po prostu oczy w słupek postawił – że się bawi w przebieranki. A zaraz potem zrozumiał, że siostra dostrzegła coś, co jemu całkiem umknęło.

– Wcale nie jest za późno – powiedziała z cicha Lila.

Stara odwróciła się natychmiast. O tak, nie zwlekała ani chwili, a gwałtowność jej ruchu powinna spłoszyć Rańczyka. Ale tylko cofnął się w dół schodów, pozostawiając siostrę z tą starą, pijaną kobietą.

Baba wyciągnęła ręce, lecz opuściła je zaraz.

– Nie mogę cię przecież dotknąć – załkała. – Przecież ciebie tu nie ma, za moje grzechy.

– Ale możesz mi pomóc. – Lila uśmiechnęła się nieśmiało. – Potrzebuję smoka.

Starucha się cofnęła.

– Smoka? – powtórzyła bełkotliwie. – Ja już nie mam smoka. Odleciał. Precz-precz uciekł pomiędzy szczyty.

Dziewczynka niemal się rozplakała.

– A możesz go znowu przywołać?

Gospodyni potrząsnęła głową.

– Cokolwiek miałam, to oddałam. – Wzdrygnęła się nagle i wybuchła histerycznym śmiechem. – Oddałam, żeby zniszczyć to, co miałam. I smoka też oddałam. Za to, czego mieć nie umiałam.

– Dosyć! – Rańczyk złapał siostrę za rękę i niemal zwałował ją w dół po schodach. – Nic z tego nie będzie.

Ku jego zaskoczeniu, nie protestowała i całkiem grzecznie podreptała do piwnicy. Tyle że znów miała w oczach ten łajdacki błysk.

– Kury w nocy nie za wiele widzą? – odezwała wreszcie filuternie, bo zaparł się, postanowiwszy, że nie da jej chociaż tej satysfakcji i o nic nie zapyta. – Dlatego się mówi, że ktoś ślepy jak kura?



Tamtej nocy obejście Babuni Jagódki doświadczyło zgoła

niecodziennego widoku – a i wprzódki wiele tam przecież oglądano, włączywszy wiedźmę i jej cztery przyjaciółki, które uczyniły sobie pod jabłonką odmładzającą kąpiel w żywicznej kadzi, a potem w tęże samą kadź naspędzwały wędrownych kleryków. Nigdy dotąd jednak nie spotkano tam przerażającego, wielogłowego stwora, który parł przez ciemne podwórze, piejąc, gdacząc i lamentując. I rzygając przy tym na oślep strugami ognia.

– Mamy przecież sznurek – powiedziała w piwnicy Kordelii dziewczuszka, kręcąc w paluszkach kosmyk włosów – a i żywicy dosyć. To dlaczego nie mielibyśmy zrobić swojego własnego smoka?

Natenczas Rańczyk tylko gębę rozdziawił, przestraszony, czy szaleństwo baby nie przeniosło się aby i na jego siostrę. Kiedy jednak opowiedziała mu legendę o szczurzym królu, cóż, musiał przyznać, że przynajmniej warto spróbować. Też mu było głupio, że czmychnęli w popłochu, zostawiwszy w szponach wiedźmy wieśniaczka, który wszak próbował im pomóc. Ostatecznie prawdziwy książę nie porzuca swoich ludzi. Choćby i świniarków. Choćby i smalących cholewki do jego siostry.

Wyczekali zatem, aż się dobrze ściemni, a potem znowu zakradli się do wiedźmiego kurnika.

Dobrze, że jabłonka drzemała, myślał sobie Rańczyk. A jeszcze lepiej, że wiedźma też spała jak zabita.

– Pewnie go jeszcze nie zjadła – wyjaśniała ze znawstwem Lila. – Musi go najpierw utuczyć na jabłkach, kołaczku i miodzie. Tłusty lepiej się piecze.

Rańczyk nie był całkiem przekonany, postanowił jednak milczeć. Właściwie też chciał się przekonać, co takie ogniowe kury potrafią. Gdyby się udało kilka jajek podebrać, myślał z nagłą chciwością, ha! – toby dopiero tatulek panom kota popędził, dworce płonęłyby jeden za drugim.

Ale jajek nie zmacał. Po prawdzie i za bardzo nie szukał, bo kwoki tkwiły na grzędach, posapując przez sen i puszczając z dziobów obłoczki dymu. Tylko kogutek kręcił się niespokojnie i pochrapywał, a przy każdym chrapnięciu szły mu z nozdrzy wąskie, żółtawe płomyczki. Nie, kurek nie nastrajał księcia przesadnym bohaterstwem. Widział kiedyś, jak nieostrożny wozak podpalił stodołę, i ze strachu aż go świerzbiło pod

skórą, kiedy patrzył na to całe siano i usadowiony na nim drób.

– Lis! Idzie lis! – wrzasnęła cienko Lila, kiedy skończyli już wiązać kury i lepić je żywicą w pierzastego, wielogłowego stwora.

Ku zaskoczeniu Rańczyka kury zrozumiały ludzką mowę. Ba! – zrozumiały ją aż za dobrze i wszystkie razem rzuciły się do wyjścia.

Tylko że żywiczny kłajster, znaleziony w piwnicy wdowy po młynarzu, trzymał aż za dobrze. Zamiast więc gnać ku zbawiennym drzwiczkom, pospadały biedne kokosze na siano, skłębiły się, rozwrzeszczały pod niebo. Darmo przebierały w ciemności nogami, darmo młóciły skrzydłami i skrzeczały w panice. Coś je więziło, coś trzymało w uścisku. Ani chybi najeżona zębami paszcza lisa.

No i się zaczęło. Bo któraś z kur, bardziej od reszty płochliwa, bluznęła na oślep jaskrawym płomieniem, chcąc odstraszyć drapieżnika. Ale on wciąż nie puszczał, więc jej pierzaste siostrzyce, tak samo przerażone i ogłupiałe, też jęły ogniem rzygać.

Kurnik zajął się w okamgnieniu. Ledwo Rańczyk zdążył wywlec Lilę na zewnątrz.

Cokolwiek zamierzali potem uczynić – a nie zostało to dokładnie omówione, bo chłopiec powątpiewał, czy uda im się z tym planem zajść aż tak daleko – spełzło na niczym. Bo kury również wytoczyły się na podwórze, przerażone, rozognione i bardzo, bardzo wściekłe. Każda chciała iść w inną stronę, lecz kłajster trzymał mocno. Szarpały się więc, dziobały i wyrywały sobie nawzajem pierze. Kłęby tłących się piór sypały się na wszystkie strony, śnieg topił się z sykiem, ziemia tajała.

Kogucik wskoczył na studnię i darł się wniebogłose, zionąc ostrzegawczym ogniem.

– Na chałupę! – zagrzewała ich ukryta za stodółką Lila. – Dalejże na chałupę!

Ale spanikowane kury same już nie wiedziały, co czynią. Miotają się pomiędzy płotem a obórką. Obijały o cembrowinę studni, z której, obudzony rozgwarem, wychylał się magiczny szczupak, a łeb miał wielki jak koń i bardzo paskudny. Na kilku tuzinach skrzydeł podlatywały do góry, podczas gdy kilka tuzinów nóg natychmiast ciągnęło je w dół.

Rańczyk szarpał siostrę za rękaw.

– Trzeba je wodą polać. – Widział kiedyś, jak na zamkowym podwórcu podziobały się gęsi, lecz służba w mig doprowadziła je do porządku. – Bo jak się zaraz nie uspokoją, zagroda spłonie wraz ze świniarkiem.

– Lepsza śmierć niż niewola! – zakrzyknęła dziarsko Lila, której niania czytała nazbyt wiele rycerskich romansów, miała zatem ugruntowane pojęcie na temat prowadzenia wojny. – Kury, do dzieła!

A kury, jakby ją rozumiejąc, zakrzętnęły się żywo, osmaliwszy węgiel chałupy.

Oj, nie działo się dobrze w wiedźmim domostwie. Wnet stanęła w ogniu drewnitnia, płót się tlić poczynął pod ochronnym kozuchem zielonego mchu. Ale dopiero kiedy ogień zaczął pełgać po progu, drzwi rozwarły się i stanęła w nich Babunia Jagódka. Rozchełstana, zmrużyła oczy od blasku. Potarła koślawą stopą o chudą, posiniałą łydkę.

– Co się tu, do cholery...

– Oddawaj nam świniarka! – rozdarła się na całe gardło Lila, podskakując dla dodania sobie animuszu i wygrażając wiedźmie pięściami. – I mamę też oddawaj! – dodała po chwili zaciekle, bo przypomniała sobie o właściwym celu wyprawy.

Babunia Jagódka zamrugowała tylko, trudem usiłując ogarnąć rozgardiasz.

Zza jej pleców wyglądał chłopak. Bardzo czysty chłopak, umyty, przystrzyżony i wyczesany. I w ślicznej czerwonej rubaszce, obszytej żółtą tasiemką. No, ale tego Lila przez kłęby dymu nie mogła widzieć.

– Chodu! – wrzeszczała do niego, coraz bardziej wychylając się spoza stodółki.

Wyrwany znienacka ze snu, świniarek przecierał kułakiem oczy. Sam nie wiedział, co się zdarzyło naprawdę, a co sobie wyśnił.

– Ona cię w piecu upiecze! – darła się Lila. – Pożre cię żywcem!

I wtedy właśnie Rańczyk doszedł do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo. Złapał siostrę za kark, choć wiła się jak piskorz i wczepiała w belki, i powlókł ku furtce.

Niestety, w tejże samej chwili ocknęła się wiedźma.

– A wy szkodniki przebrzydłe! – zakrzyknęła wściekle.

Nabrała w ręce dymu, utoczyła go jak kulę, po czym cisnęła nim w kury. Ptactwo czknęło ze dwa razy, po czym rozpadło się na dwa tuziny bardzo zmęczonych i skołowanych niosek, które dreptały po zeszklonym piasku, pogdakując z pretensją.

Wiedźma tymczasem coś tam dalej wyrabiała w ręku, niezawodnie nowy czar plugawy, bo spomiędzy palców błyskało jej czerwienią i czernią. A w gębie miała taką złość, taką wredotę okrutną, że nogi Rańczykowi jakby w ziemię wrosły. Ani mógł w przód postąpić. Wtulony w cembrowinę, gapił się tylko i czekał, aż mu kark przetrąca.

– Oddawaj nam matuchnę! – ni to zawołała, ni załkała Lila.

– Ja ci ją pokażę! – Zadudnił w głębi studni szczupak.

Rańczyk zobaczył tylko błysk ostrych zębów nad studnią i ciemny krąg studzienki, kiedy Lila rzuciła się ku potworowi. I nie zdążył jej złapać, pasma włosów przesunęły mu się przez palce. Dziewuszka przechyliła się przez cembrowinę, zamachała w powietrzu trzewiczkami. Nie wpadła jednak do środka, o nie.

– Matuchna! – zawołała z zachwytem.

Więc i Rańczyk spojrział.

W głębi studni ujrzał kobietę, piękną i postawną jak królowa w koronie z jasnych warkoczy. Głowę nosiła wysoko, a oczy miała błękitne, błękitne jak letnie morze, otoczone już falkami zmarszczek. Zajrzała mu w twarz, tak jakoś głęboko i rzewnie, i wiedział, był tego całkowicie pewien, że naprawdę na niego czeka. Siedziała popod oknem, słoneczko rozświetlało jej włosy, pełgało złotymi plamkami u stóp. Obok stał kołowrotek, ten sam, na którym wyprzedła ze słomy złoto i miłość jego ojca, zamek od wieżyczek aż stromy, dwoje dzieci, i całą tę piękną baśń, którą go karmiono od kołyski.

Dlatego zrazu nie spostrzegł, że podłoga jest z poczerniałych desek i bynajmniej nie pańska. Nie widział chłopskiego pieca, grubego splotu jej sukni, ni rąk, zniszczonych i poczerwieniałych od pracy. Nic nie widział, prócz oczu, błękitnych jak przestwór nieba i jak cała dziecięca tęsknota, bo nie pamiętał jej twarzy i znał tylko oblicze z opowieści niani i zamkowych portretów.

Ale to była właśnie ona. Wiedział to na pewno.

Nie zobaczył nawet mężczyzny, który stanął jej za plecami, wysoki i ponury w wielkim, skórzanym fartuchu.

– Ocknijże się, Jarosławna – burknął. – Świniom podrzucić trzeba i goście o polewkę wołają.

Złapał ją za ramię i popchnął do komina. Lewą ręką, bo prawej nie miał, tylko mu pusty rękaw aż do pasa zwisał. I Rańczyk wiedział, że to ktoś bardzo podły, aż do głębi naznaczony łajdactwem, bo i na głębie nosił ślad katowskiego żelaza, blizny jakieś i rysy, których by uczciwy człek przecież nie miał.

– Przestań się gapić w niebo – wymamrotał poblížniony, pochylając się nad jasnowłosą, bo potężny był nad podziw i przewyższał ją o głowę z okładem. – Darmo żałować. Tamto minęło.

Jasne cętki rozprysły się na posadzce i słońce znikło za chmurą. Kobieta podniosła poszarzałą twarz. Zwyczajną twarz, z chłopską opaloną słońcem i nietkniętą barwiczką.

– Ja nie żałuję – odpowiedziała cicho. – Jeno mi czasem tęskno.

Ale Rańczyk wiedział, och, dałby sobie łeb uciąć, że ona kłamie. I zrobiło mu się tak smutno, tak przeraźliwie smutno, że sam nie wiedział, kiedy rozplakał się jak dziecko.

Lila też szlochała głośno.

A przecież spoglądali w studnię bardzo krótko. Tyle zaledwie czasu, ile potrzebuje serce, żeby pęknąć. Ile wystarczy wiedźmie, żeby wyskoczyć za próg i w kilku susach przemierzyć podwórze i ucapić ich za karki.

– A wy szczeniaki wścibskie! – zawołała ze złością i obraz na powierzchni wody rozwiął się bezzwłocznie. – Z tobą też się policzę! – rzuciła jeszcze do szczupaka, który pośpiesznie ukrył się pod powierzchnią.

– Oddawaj nam naszą mamę – zawodziła Lila, ale jakoś bez przekonania i nawet wyrywała się nieco niemrawo.

Widać to, co zobaczyła we studni, również nią wstrząsnęło do głębi.

– Ja was w komórce zawrę – odgrażała się wiedźma, potrząsając nimi jak dwoma kociakami. – Taki nieporządek uczynić! Ja wam to wszystko odpracować każę i jeszcze tyłki obiję.

Chyba właśnie ta perspektywa przeważała szalę, bo świniarek, który dotąd niemrawo przypatrywał się pożarowi i ucieczce rodzeństwa, rzucił się naprzód, jakby go dźgnęli ościeniem. I zanim Rańczyk zdążył choćby mruknąć, zanim zdołał docenić całą bohaterską bezsensowność jego postępu, nastawił łeb ku przodowi i z całej siły tryknął Babunię Jagódkę w plecy.

Stara stęknęła głucho. Rańczyk też niezgorzej stęknął, bo kiedy go wiedźma puściła, z rozmachem wyrznął o cembrowinę. Ona tymczasem chybotąca się jeszcze moment w rozczłapanych kapciach, aż wreszcie ciężko klapnęła w błoto.

– O rety! – wyjęczała, zmacawszy pod zadkiem wyjątkowo ostry kamień.

Tego jednak już Rańczyk nie usłyszał. Bo chociaż wyczyn świniarka nie miał szansy się powieść – nie wystarczy wszak zakuty łeb przeciwko wszelakim wiedźmim czarom – gnali już wszyscy troje do płotu, a potem jeszcze dalej, poprzez ciemny las, gdzie tylko stada ponurych wron podrywały się nad nimi z łopotem i krakaniem obwieszczają światu ich przestępstwo.



– Ona wcale nie chciała mnie zabić – argumentował świniarek, kiedy odsapnęli ździebełko w gościnnej piwnicy Kordelii.

Właściwie Rańczyk czuł, że trzeba niebawem poszukać innego ukrycia. Niby wejście do korytarzy znajdowało się daleko za opłotkami wioski, ale prędzej czy później ktoś dostrzeże na śniegu ślady, a potem póty będzie drążył i krążył, póki nie odkryje korytarza. Piwowar nie wyglądał mu na człeka, który, raz zwęszywszy zdobycz, łatwo rezygnował.

Nadto książęcemu synowi nie podobał się ten odmieniony świniopas, gładki, pobłyskujący ku nim różowiotką skórą. Nie i nie. Świniarek nie powinien mieć takich złotych, wijących się włosów. To wręcz sprzeczne z porządkiem świata.

Na razie jednak siostra Rańczyka nie zwracała uwagi na nową,

zaskakującą powierzchowność wieśniaczka. Nadąsana, odwróciła się do niego plecami. Lila nie lubiła, kiedy się jej ktoś sprzeciwiał. A już w ogóle nie potrafiła znieść, kiedy nie docenił jej przebiegłości i bohaterstwa.

– Wiedźma jest całkiem miła. – Świniarek odruchowo czochrał się i drapał po wymyłym łbie.

Wprawdzie nie rozumiał, o co się na niego gniewa księżniczka, ale ze wszech miar chciał ją udobruchać. Tyle że zupełnie nie umiał skłamać.

– Umyła mnie, nakarmiła, układała spać w czystej pościeli. I tak pięknie mówiła – rozrzewnił się wyraźnie. – Nie, taka zła ze szczętem to ona nie może być.

Tego już Lila nie mogła znieść.

– Ależ ty jesteś głupi! – wysyczała przez zęby, przybrawszy wyniosłą, książęcą minę. – Karmiła cię, żebyś potłuściał, zanim cię upiecze i zeżre. A spać położyła, żebyś się pod nożem nie szarpał, kiedy cię będzie zarzynać.

Świniarek nie wydawał się należycie przekonany, miał jednak dość rozumu, żeby zmienić temat.

– A matuchnę widzieliście aby? – zagadnął. – Wtedy, we studni?

– To wcale nie była nasza matka! – zawołała gniewliwie Lila. – Wiedźma nas chciała oszukać.

Rańczyk w zadumie milczał. Oj, nie zdawało mu się, żeby wszystko razem, studnia, szczupak i obraz, były dziełem wiedźmy. Miał też niejasne wrażenie, że powinien wyłuskać z tego zdarzenia jakiś głębszy sens i ojciec na pewno by to potrafił, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nazbyt dużo się działo. Bo w przeciwieństwie do siostry, która była szybka jak płomień i równie błyskotliwa, Rańczyk potrzebował czasu, żeby wszystko przetrwać. Myślał powoli, ale nieustępliwie, nieustająco szacował, wyliczał szanse, a myśl szła o wiele kroków przed nim.

Dlatego wołał milczeć.

– Ale wiecie co – odezwała się zniecka dziewczynka, która nie miała zwyczaju długo się smucić. – Mnie się ciągle zdaje, że baba, ta, co nad nami siedzi – pokazała w górę paluszką – musi znać naszą mamę. Dlatego Jarosławna mnie woła. W zamku wszyscy gadają – dodała z

dumą – jaka jestem do niej podobna.

– No przecieżem mówił – zeźlił się nieoczekiwanie świniarek, któremu fochy Lili dały się wreszcie we znaki – że ona żadnych księżniczek nie zna. A Jarosławny dlatego woła – dodał – że córkę Jarosławnę miała, ale to jest historia nie dla uszu księżniczki.

Rańczyk skrzywił się cierpko. Nie miał wątpliwości, że po czymś takim siostra wpół się skręci z ciekawości.

Nie omylił się wcale. Lila natychmiast zrobiła się słodka jak miód i tak długo się przypochebiała świniarkowi, tak mu dziurę w brzuchu drażyła, że wreszcie ustąpił.

– Ja tego sam nie widziałem, bo to dawno było – zastrzegł się jeszcze – ale ludzie gadają, że zawsze był jeno kłopot z tą Jarosławną. Pół wioski smaliło do niej cholewki, a ona nikogo nie chciała, taka była harda. Ale z wędrownymi parobkami lubiała figlować – bezwiednie przybrał pouczający ton starych bab, które podsłuchiwał w kruchcie – i za to ją bogowie potem pokarali. Wreszcie za prawdziwego pana poszła, daleko od Wilżyńskiej Doliny. Tam też srogo zbytkowała, rogi mu przyprawiawszy...

– No, no – wtrącił ostrzegawczo Rańczyk, który pamiętał, jak ojciec srogo ganił dwórki, jeśli się zbyt swawolnie przy małej księżniczce rozgadały.

– Przecież ja wszystko rozumiem – fuknęła urażona Lila.

Świniarek wzruszył ramionami.

– Dość, że jak się wysoko wdrapała, tak i nisko spadła – rzekł, jota w jotę powtarzając słowa Siwki, która osobliwie napawała się tą opowieścią. – Bo za zwyczajnym wojakiem w świat się powlokła. I nic jej nie zatrzymało, ani małżeńska przysięga, ani przyzwoitość, ani maleńkie dziatki. Ale to była inna Jarosławna – dodał, widząc wyraz namysłu, jaki raptem pojawił się w oczach dziewczynki. – Zwykła córka Betki młynarza. Wielu ją tutaj pamięta.

Ale Lila nie dawała się łatwo pokonać.

– A może się wam wydaje? – zaczęła szybko, żeby słowami przygwoździć i ukształtować tę myśl, która jej właśnie zaczynała świtać. – Może to jest ta sama? Tylko wcale nie urodziła się młynarzowi i jego

żonie, jeno im ją wiedźma na wychowanie dała, zakazawszy pod czarem komukolwiek gadać, że uprowadzoną księżniczkę hoduują? Może im ją potem niecznie odebrała, jako i wcześniej ją rodzicom skradła? A ten wielki pan to jest właśnie nasz ojciec, który klątwę przełamał...

Świniarek łypnął na nią sceptycznie. Miał jednak dość rozsądku, by nic otwarcie nie gadać.

– Dajże już, Lila, spokój – ofuknął ją brat. – A te parobczaki na sianie? Taką chciałybyś matkę?

– Kiedy to wszystko kłamstwa! – Lila poderwała się zapalczywie. – Właśnie o to chodzi, żebyśmy jej nie szukali więcej.

– A studnia? – zapytał wieśniaczek.

Księżniczka nie zamierzała pozwolić się zbić z pantałyku.

– Studnia także kłamała – odpaliła bez namysłu. – A szczupak był wredny.

Świniarek kategorycznie pokręcił głową.

– Studnia nigdy nie kłamie. Choć szczupak – dodał po chwili – prawda, jest wredny.

Rańczyk starannie unikał wzroku siostry.

– Wszyscy jesteście przeciwko mnie! – Lila rozpłakała się głośno. – A jeśli to szczerą prawdą, tamta baba na górze jest dla mnie jakby babcia. Chciałabym mieć babcie.

Świniarczyk zmiękł natychmiast. Zanim Rańczyk zdołał go powstrzymać, podbiegł do dziewczuszki i przytulił ją niepewnie.

– Ale nie Kordelię – przekonywał, gładząc ją po plecach. – Kordelia akuratnie taka zjadliwa, jako ta smocza gadzina, co nad folwarkiem hulą.

– Kiedy to może z nieszczęścia – chlupała Lila, która poza wszystkim miała też dobre serduszko i nadal nie ogarniała zbyt dobrze wilżyńskich rodzinnych waśni, zbiegostwa i śmierci. – Siedzi tutaj samiutka...

– Bo zła jest, stara cholera. – Świniarek znów zaczerpnął ze studni podsłuchanych w kruchcie mądrości. – Ledwo Betka był przestygł, którego go grasanci zarżnęli, a już się z nimi powlokła, hersztowi za kochanicę była.

– Dosyć! – zirytował się Rańczyk, bo powiew bujnego, wiejskiego życia nie wydawał mu się całkiem odpowiedni dla siostry. – Wystarczy tych bredni.

Urażony świniarek zamilkł. Ale nie wypuścił bynajmniej Lili.

Sama się od niego odsunęła.

– A może – oznajmiła i wyciągnęła w górę palec, żeby uzmysłwić obu chłopcom wagę tej nowej myśli – ją też wiedźma zaklęła?



Wiedźmie zeszło aż do wieczora, zanim jako tako ogarnęła obejście. Łatała drewno zaklęciami, aż jej trzeszczało w stawach, wygarniała popiół miotłą, besztła kury, które w poczuciu winy znosiły kwadratowe jajka. Zgliszcza drewnutni po namyśle zostawiła – przydawały zagrodzie grozy i dostojęństwa. Szczupakowi też odpuściła: magiczne ryby miały tę przykrą przypadłość, że choćby go ugotowała w zupie, a łeb przybiła nad drzwiami, i tak nie przestałyby gadać.

Najbardziej jednak rozsierdził ją parobek. Bo, owszem, krzątał się i pomagał aż miło, ale nie zamykała mu się gęba.

– Et, wisusy – narzekał, ale z ledwo co tajoną aprobatą dla rozmachu psoty. – Urwisy zapowietrzone. Przydałyby się nam gromadka własnych basałyków. – I zaglądał Babuni w oblicze tak czule, jakby już piastowała na rękę jego bękarcięta.

– Jeno najpierw trzeba stodółkę postroić – odpowiadała mu słodko. – Coś mi się zdaje, że nowy kozioł w obejściu przybędzie.

Bo i taka była przywara wędrownych parobków. Rychło bezczelnieli, a wówczas wykruszali się szybko. No, ale nie można wymagać zbyt wiele. Zwłaszcza od wędrownych parobków.

Najbardziej martwiły ją jednak uparte dzieciaki. Bo nie miała złudzeń – jeśli nie uświerkną na zimnie, znowu do niej przyleżą i nowej narobią szkody. Nie, dzieciaków musiała się pozbyć z samego początku.

Westchnęła ciężko, popatrzyła na rozwalonego przy piecu parobasa. Spocony, w rozchełstanej koszuli, wyglądał bardzo smacznie, lecz tak się robotą sterał, że musiałaby doprawdy wlać w niego niejeden kordiał,

żeby się na co nadał. Nie, parobczak mógł poczekać.

– Do wioski z wieczora pójdę – zagaiła słodkim głosem. – Wina z karczmy przyniosę.

– Ja ciebie zaprowadzę – ofiarował się mężnie młodzian. – Wilki, jak trzeba, rozpędzę.

Wiedźma odruchowo wyszczerzyła zęby. W całych Górach Żmijowych nie znalazłby się basior wystarczająco głupi, żeby zastąpić jej drogę.

– Kijaszek sobie wezmę – uspokoiła chłopaka. – Wilki u nas cherlawe, nie trzeba się ich lękać.

Parobek westchnął z ulgą. W gruncie rzeczy wcale nie chciało mu się oddalać od ciepłego pieca. Pomachał jej jeszcze przez szybkę, dwa całusy posłał, po czym z ulgą przewrócił się na drugi bok i usnął.

Babunia Jagódka odczekała, aż na dobre zachrapie, po czym wyłamała z płotu osmoloną sztachetę. Usiadła na niej okrakiem, a minę miała kwaśną i srogą. Nie lubiła błyskać gołymi łydkami na mrozie.

Księżyc świecił jednak jasno, zimowy i lisi, i zanim zegar na zamkowej wieży wydzwonił północ, dotarła na miejsce. W płatkach śniegu zawirowała nad blankami, z nawyku napluła strażnikom na hełmy, a potem ze świstem spuściła się przez komin. Prościuteńko do wielkiej sali, gdzie książę obradował ze swymi doradcami.

– A wy, jako ten kruk, zawsze gdzie nieszczęście – powitał ją kwaśno książę.

Mierzyli się wzrokiem, jak wtedy, dawno temu, kiedy pierwszy raz się spotkali w lesie nad ruczajem, gdzie książę wyczekiwał na wiedźmę, żeby spełniła jego życzenie i dała mu godną narzeczoną. Czas obszedł się z mężem Jarosławny łaskawie. Owszem, przyprószył mu skronie i wyszczuplił policzki, lecz wyglądał nawet szlachetniej niż w zaraniu swego panowania. Na zamku też musiało się powodzić nad podziw, bo ściany zewsząd łyssały pstrokatymi gobelinami, od świec w kandelabrach aż kłuło w oczy, a kielichy na stole były ze szczerego srebra.

A wiedźma, jak to wiedźma, wyglądała tak samo.

– Dzieci gdzie podzialiście, hę? – zagadnęła cierpko włodarza.

Przez dwór poszedł gniewny poszum. Jakaś piersiasta babina w białym, falbaniastym kornecie rozszłochała się głośno.

– Po co pytacie, jak wiecie? – odburknął książę.

Babunia strąciła ze stołka czerwonego na gębie panoszę i rozsiadła się wygodnie nieopodal włodarza.

– Nie dopilnowaliście, jak trzeba – zauważyła, bez ceremonii sięgając po półmisek z baraniną.

– A bo im ktoś bajek nagadał – odparł książę, łypiąc złowrogo ku dwórkom, które się jakby zbiły w ciaśniejszą gromadę.

– Tego też trzeba pilnować – pouczyła go Babunia Jagódka. – Ozór przyciąć lub dwa, żeby się jakieś gorsze nieszczęście nie stało.

Zawodząca niewiasta czknęła i zamilkła w pół szłochu. Toczyła teraz wkoło przerażonym wzrokiem, co nadawało jej krągłej, nalanej fizjonomii dość komiczny wyraz.

– Jak miło, że fatygowaliście się taki szmat górami – książę skrzywił się sarkastycznie – żeby mi udzielić stosownych pouczeń.

– Nie, nie. – Babunia rozgryzła kość, rozgłośnie wyssała szpik i uśmiechnęła się z zadowoleniem, bo nieodmiennie cenila dobrą baraninę. – Przyszłam oddać zgubę.

Przez dwór znów przeszedł szelest, tym razem pełen zdumienia. Tylko książę wydawał się na swym tronie odległy i obojętny.

– Tak bez targowania? – zdziwił się fałszywie. – Wybaczcie, lecz nie dowierzam.

Babunia Jagódka wychyliła się ku niemu nad stołem.

– Co, wolicie, jak je w kamień zamienię? – zapytała dobitnie.

– Uchowajcież bogowie – wyrwało się kobiecie w kornecie.

Książę uciszył ją gniewnym spojrzeniem.

– A czego chcecie w zamian? – zapytał podejrzliwie wiedźmę.

– Ach, od tej miłości ojcowskiej aż mi się na płacz zbiera – zakpiła Babunia Jagódka.

– Bo wiecie, jakiś się robię podejrzliwy, kiedy przynosicie dary – odpowiedział książę. – Ciekawe czemu.

Znów się na siebie gapili jak dwa psy, zanim skoczą sobie do gardeł. Oczywiście zebrani w komnacie znali legendę o zaklętej księżniczce, którą naraiła księciu spotkana w lesie wiedźma. Co do dobroci wiedźmy, którą wychwalano jeszcze podczas wesela, rozmaite panowały teraz opinie. Wprawdzie niektórzy gadali, że właśnie z powodu złośliwego czaru przecudna księżna uciekła w siną dal z najemnym wojakiem, pozostawiwszy dwoje drobnych dzieci i najlepszego z mężów. Większość jednak uważała, że wiedźma nie miała z tym nic wspólnego, zaważyły przeciągi w zamczysku, nuda i skrupulatność księcia, który z takim zapałem zabrał się do rządzenia, że nie miał już wiele czasu dla młodej i cudnej żony. Krwi księżna była gorącej, nikt nie miał w tym wątpliwości, przy tym cniło się jej do przygód, maskarad i szumnych zabaw, do których jej obowiązkowy małżonek nijakiej nie miał skłonności.

O tym wszelako nie opowiadano dzieciom.

– Zaradne smarkacze – odezwała się wreszcie wiedźma, ale jakoś miękko, po niewieściemu. – Nie uwierzylibyście, jak daleko założyły.

– Uwierzyłbym, uwierzył. – Książę machnął ręką i była w tym geście cała bezradność rodzica, który próbował już wszelkich sposobów i wie bardzo dobrze, że nie wygra. – Szukaliśmy ich po całym księstwie.

– Więc żyją, żyją moje gołąbeczki. – Baba w kornecie wyczuła, że wszystko zmierza ku dobremu i znów postanowiła się rozszlochać. – Nie zeżarły ich wilki.

– Wilki by się zadławiły, osobliwie tą małą. – Wiedźma zgrzytnęła zębami.

Ale przekomarzała się tylko i książę rozumiał to doskonale.

– Dziękuję wam, Babuniu – powiedział cicho, a potem ujął ją pod łokieć i ostrożnie poprowadził ku prywatnym pokojom, gdzie mogli wreszcie pogwarzyć spokojnie i z dala od wścibskich oczu.

Na toaletce w sypialni księcia, tuż przy wysokim małżeńskim łożu, za dnia skromnie przesłoniętym firankami, leżało zwierciadełko i srebrna szczotka. Pomiędzy jej kolcami, jak nici babiego lata, tkwiły długie złociste włosy. Pod oknem stał kołowrotek.

Tyle czasu, pomyślała z nagłym smutkiem wiedźma. Tak wiele czasu minęło.

– Z przyzwyczajenia – odezwał się szorstko książę, który nader akuratnie odgadywał jej myśli. – I z powodu dzieci.

Nie spoglądał jej jednak w oczy. Zresztą i bez tego wiedziała, że nie powiedział prawdy, w każdym razie niecałą.

– Czy jest teraz szczęśliwa? – zapytał szeptem pan zamku.

– Nie ma pełnego szczęścia... – zaczęła gderliwie wiedźma, lecz zaraz urwała, ponieważ ten książę, taki spokojny i godny, zasługiwał na coś więcej. – Nie, nie jest – odpowiedziała cicho, jako że pewne słowa nie mogą być wypowiedzane zbyt donośnie. – Może nie bardziej, niż byłaby tutaj. Ale przez jakiś czas znów niosła ją legenda, złota, szumna i strojna legenda wojny i męczyzny, którego miała u boku. Dlatego nie sprowadzicie jej z powrotem, choćbyście chcieli. Bo teraz nie pozostało jej już nic prócz legendy.

Książę tylko zacisnął zęby, choć nie mogła mu być w smak ta rozmowa o rywalu, o najemniku, za którym jego żona podążyła jak zwyczajna taborowa dziewczka.

– Podobno stracił rękę.

– W rejzie na Skalmierz – potaknęła wiedźma. – Ale to nic nie zmienia.

– To prawda – zgodził się książę. – Ona nie jest z takich, żeby się zlekła kalectwa.

Babunia Jagódka patrzyła na niego uważnie.

– Czasami myślę, że zrobiliśmy jej krzywdę – wyszeptał książę. – Wy i ja pospołu. Zamknęliśmy w tym zamku jak złotego żar-ptaka.

Wiedźma wzruszyła ramionami. Niezręcznie jej jakoś było użalać się nad śliczną, płochą Jarosławną, córką młynarza, która przez połowę życia wypłakiwała sobie oczy za księciem, a raz zostawszy jego żoną, uciekła na kraj świata.

– Nie szła tu po niewoli – burknęła tylko.

– Ale świata nie знаła – sprzeciwił się książę. – Ani własnego serca.

I był tak wzruszająco bezradny w obronie wiarołomnej żony, że nie swarzyła się więcej.

– Czas lecieć po dzieci – przypomniała z cicha. – Wilki ich nie ruszą,

ale za wieśniaków nie ręczę.

Książę otrząsnął się spiesznie.

– Skaranie boskie z nimi – sarknął. – Żebym się musiał za nimi włączyć po górach jak byle powsinoga.

Wiedźma łypnęła na niego wrogo.

– Zrozumcie wy mnie, Babuniu – usprawiedliwił się książę. – Niech tylko pójdzie po ludziach, że się z wiedźmą szlajam, znów będzie za rokoszem rokosz.

– No, jasne, jasne – przytwierdziła z drwiną wiedźma. – Musicie się szanować.

– Ale ja bardzo was cenię. – Książę usiłował ratować sytuację. – Zawsze macie u mnie miejsce.

– A wy u mnie – odwdzięczyła się jadowicie wiedźma. – Oboje będziemy po równo pasować, ja u was na zamku, wy u mnie w komorze.

Pan zamku chrząknął z zakłopotaniem. W obecności wiedźmy czuł się dziwnie nieswojo.

– To jakże będzie?

Babunia Jagódka podeszła do komina, który w książęcej komnacie uczyniono z różowego marmuru i dla lepszego efektu wyposażono w dwie kolumny na kształt nagich, bardzo kształtnych niewiast. Postukała paznokciem w kamień i z okopconego szybu wyskoczyła dziarsko sztacheta.

– A jakże ma być? – Staruszka okraczyła ją i poklepała znacząco miejsce za sobą. – Wsiadajcie.

– Co bym miał nie wsiadać? – Książę wzruszył ramionami. – Gorzej niż w kolasce nie wytrzęsie.

Lecieli szybciej niż wiatr. W każdym razie tak się wydawało księciu, bo ledwo się zdążył przestraszyć, a już opadli na wiedźmie podwórko. Do własnej chałupy Babunia Jagódka nie wlatywała przez komin. Za bardzo sypało na podłogę kopciem.

– Mieliście ostatnio pożar? – zdziwił się książę, rozglądając się po zgłiszczach drewnitni i okopconych zabudowaniach.

– Co też nie powiecie – odparła kąśliwie wiedźma.

Starannie odłożyła sztchetę do płotu i pstryknęła palcami, żeby przerdzewiałe gwoździe wskoczyły na swoje miejsce. Lubiła, jak wszystko w obejściu było na miejscu.

– Witam w mych niskich progach. – Pokłoniła się przed księciem nieco kpiąco i uchyliła przed nim drzwi do chałupy.

Pierwszym, co ksiązę zobaczył, był ogromny mosiężny gar – wiedźma smażyła w nim powidła – który opadł mu prosto na głowę.

Cóż, Lila nie zwykła się poddawać.



A było to tak: Rańczyk postanowił, że trzeba wracać do domu, a świniarek, wyjątkowo, zgodził się z nim co do joty.

– Już poczynają gadać – powiedział – że po Dolinie buszuje złe lichy. Wnet ktoś piwowarowi doniesie albo sam was zarżnie dla sakiewki srebra. Trzeba duchem uciekać.

Darmo Lila desperowała i wciskała piąstki w oczy. Za nic nie chcieli ustąpić. Nie pozwolili jej iść się pożegnać z młynarzową Kordelią ani nawet popatrzeć na nią z daleka, choć dziewczynka zarzekała się, że nie zamierza się żegnać z babunią, jak ją zaczęła nazywać. Nie pomogły krzyki, ryki, rzucanie się na ziemię i groźby, że się na sznurze obwiesi, kiedy tylko ją spuszczą z oka.

– Już my cię będziemy pilnować. – Brat pogroził jej palcem.

A Lila tym razem nie zrobiła biednej minki, jak zwykła kwitować wszelkie ponure groźby, tylko zacięła zęby. Bo przecież nie mogli jej jednocześnie pilnować i ukraść sań, prawda? Więc kiedy świniarek ruszył na grabież, a Rańczyk pakował zapasy na drogę, wymknęła się ciszkiem do tunelu.

Właściwie sami byli sobie winni. Mogli się przecież spodziewać.

Drogę do chatki wiedźmy odnalazła całkiem gładko. Tego też należało się spodziewać.

Parobczak otworzył jej drzwi. Nic dziwnego, nieczęsto widzi się na progu śliczną, zapłakaną księżniczkę. Owszem, był trochę podejrzliwy,

ostatecznie musiał sprzątać po pożarze.

– Ja przyszedłam tylko przeprosić. – Lila podniosła na niego załzawione oczki. – Oni mnie namówili.

Parobczak natychmiast zmiękł. Miał słabość do ładnych buzi.

– Wchodźże, zanim cię zawieje – zaprosił ją serdecznie. – Gospodyni nie ma, ale możesz poczekać.

Zakrzętnął się żywo przy ogniu, nalał jej gorącej polewki. Zziębnięta Lila przyssała się do niego jak cielę do cycka. Chłęptała, podsiorbywała, cały czas zastanawiając się, jakby tego parobczaka podejść. Właściwie nie miała żadnego planu, kiedy uciekała z chaty, ale nieobecność wiedźmy dodała jej skrzydeł. Teraz czuła, że sami bogowie postanowili jej pomóc. Należało się tylko odrobinę postarać.

– A czyja ty jesteś, córeczko? – zagadnął ją parobek.

Lila zakłopotana się trochę.

– A niczyja – odparła, odwracając wzrok.

– Moje ty biedactwo – uzalił się nad nią parobek, a ręce jakoś same wplątały mu się w jasne włosy dziewczuszki.

– Od ognia mnie strasznie suszy – poprosiła chytrze dziewczynka.

Młodzian chciał jej zrazu nalać piwa, ale potem nowa myśl błysnęła mu we łbie.

– Ja ci winka naleję, co je gospodyni w komorze chowa – zaofiarował się sprytnie i sam właściwie nie wiedział, czego się po tym winku spodziewa.

Podreptał do spiżarki, a Lila tylko tego czekała. Ledwo zniknął za drzwiczkami, dziewczynka przyskoczyła do nich żywo i podparła je miotłą, a potem dla pewności jeszcze zastawiła kufrem. Darmo się parobek szamotał i łomotał ze środka, kiedy przystąpiła do szykowania pułapki na wiedźmę.



Kiedy świniopas i Rańczyk wpadli na podwórze wiedźmy, w uchylonych drzwiach chaty zobaczyli lamentującą Lilę. Klęczała nad

nieruchomym księciem i zalewała się łzami.

– Zabiłam, zabiłam tatula – rozpaczała.

Wiedźma tkwiła nad nią ze złożonymi na piersi ramionami.

Parobek głucho łomotał w komorze.

Z garnka pięknie pachniało powidłami.

– Tatko?! – zawołał na poły ze zgrozą, na poły ze strachem Rańczyk.

Spomiędzy jasnych włosów księcia ciekła strużka krwi. Oczy miał zamknięte i nie poruszył się ani odrobinę, kiedy syn pochwycił go za rękę.

– Zabiłam go, rozbiłam mu głowę – biadoliła Lila. – Myślałam, że lezie wiedźma.

Świniarczyk przezornie trzymał się z daleka. Na twarzy widniał mu smutek i bynajmniej nie z powodu utłuczonego księcia. Rozumiał, że wszystko jedno, co się stanie z tym jasnowłosym mężczyzną, który spoczywał bez życia na wiedźmiej podłodze, ta cudowna przygoda dobiegła właśnie końca. Dzieci znikną, a na niego czekały tylko świnię i pijany Mały Sułek.

– Wy mi możecie pomóc! – Lila nieoczekiwanie przypadła Babuni do kolan. – Możecie go ożywić. Duszy własnej nie poskąpię, jeśli tylko go do życia zaczarujecie.

– O nie. – Wiedźma odsunęła ją stanowczo. – Żadnego czarowania. Ani odrobiny.

Trąciła księcia czubkiem buta. A potem poprawiła solidniej.

– Co wy, serca nie macie? – oburzył się Rańczyk. – Trupa poniewieracie?

– Oj, trupem to zaraz sypnie – syknęła wiedźma – jeśli gęby nie zawrzesz.

Ukryta za kominem nocnica zawtórowała jej entuzjastycznym kłapaniem dzioba.

Książę zajęczał słabo.

– Żyje tatko, żyje! – Lila prawie zapłasała ze szczęścia.

Wiedźma odsunęła ją szorstko.

– Nie twoja w tym zasługa.

Jej ojciec podniósł się mozolnie na łokciu.

– Jesteście wreszcie – usiłował się uśmiechnąć.

Lila znów się rozbeczała.

Babunia Jagódka przewróciła oczami. Poczłapała do kredensu, wyjęła małą flaszeczkę i przytknęła ją księciu do gęby.

– Pij! – nakazała stanowczo. – Zaraz będziesz jak nowy.

W izbie poniosła się ostra woń gorzałki.

– Ona cię, tatku, truje – desperowała dziewczynka.

Książę odsunął ją z niesmakiem.

– Zamilknijże lepiej, Lila.

Jednym haustem wychylił flaszeczkę. Oczy wyszły mu na wierzch, ale ścierpiał to dzielnie, tylko zasapał się z lekka i poczerwieniał jak indor.

– Znacie się – powiedział powoli książęcy syn. – I ufasz jej.

Skoro napięcie zelżało, w komorze na zapasy znów awanturował się parobek.

Nikt o niego nie dbał.

– A dajże mi, synu, spokój – odburknął ponuro książę.

Wydawał się zawstydzony.

– Mówiłem, wiedźma wcale nie jest najgorsza – postanowił się włączyć do rozmowy świniopas.

Ojciec Lili z niejakim zdziwieniem podziwiał jego wdzianko ze świńskiej skóry.

– O właśnie – pod boki ojca księżniczce szybko wracała pewność siebie. – Najgorszy jest piwowar. Chciał nas pozabijać.

– To prawda, Rańczyk? – Książę przeniósł badawcze spojrzenie na syna.

Chłopiec go jednak nie słuchał.

– Więc to wszystko o wiedźmie i mamie to bzdura – powiedział płaskim, zduszonym głosem.

– Rańczyk! – Książę usiłował go złapać za rękę, ale chłopiec odsunął

się szybko.

– Nie trzeba – powiedział głucho. – Jestem już duży.

Nieoczekiwanie wiedźma położyła mu ręce na ramionach.

– Nie, nie bzdura – powiedziała powoli. – Ale są różne wiedźmy. Takie i owakie. Jedna z nich zakłęta waszą matkę. Lecz tutaj jej nie znajdziecie. Ni tamtej wiedźmy, ni matki.

Chłopiec nie wydawał się jednak przekonany.

– Dlatego wróćcie do domu – podjął księżę. – Dość mi przysporzyliście zmartwienia.

Świniarek powoli cofnął się w cień, zupełnie jakby rozumiał, że w tym, co zaraz się zdarzy, nie będzie dla niego miejsca.

– Zostań – zawołała do niego Lila. – Chciałabym go zabrać, tatku. – Odwróciła się do ojca. – On uratował nam życie.

Księżę uczynił drobny, bezradny gest.

– Serdecznie zapraszam – rzekł z westchnieniem.

– Nie trzeba – odparł świniopas. – Wolę tutaj poczekać. Mam na co.

Rańczyk przyglądał się temu z jakimś przejmującym, bezbrzeżnym zmęczeniem. Jakby patrzył przez lustro. Przez szybką zmętniałą od mrozu.

Skończyło się. Czuł, że coś właśnie dobiegło kresu i nie tak jak trzeba. Za szybko i w pół słowa.

Nie dowie się, kim byli tamci ludzie w studni. Nie pokara karczmarza ani nie rozprawi się z Jewką. Nie odmieni losu świniopasa. Nie rozproszy szaleństwa Kordelii ani nie rozwikła zagmatwanej tajemnicy jej małżeństw.

Minie dzień lub dwa i śnieg zasypie wszelkie ślady. Zagoją się rany Jewki, na świniopasie przybędzie nowych sińców. Wszystko potoczy się jak wcześniej. Jakby ich nigdy w Wilżyńskiej Dolinie nie było.

Czuł w tym coś dogłębnie nieprzyzwoitego. Nie tak się powinny kończyć przygody.

Zwłaszcza takie, które przesądzają o całym życiu.

Oczy księżniczki błyszczały od łez.

– Dobrze, możesz poczekać – rzekła łaskawie do świniarka. – Na pewno wrócę.

Książę-ojciec aż się roześmiał, tak ogłupiałą minę miał świniopas.

Na cokolwiek czekał, nie była tym Lila.

W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Więc nic nie było naprawdę – powiedział z cicha Rańczyk. – Nic. Ani na jotę.

Nie mógł się teraz rozpłakać. Przecież książęta nie płaczą.

Wiedźma ukucnęła naprzeciw niego. Jej oczy pałały złotą magią.

– Nic nigdy nie jest naprawdę, synku – rzekła posepnie. – Nie bardziej, niżli trzeba.

WIOSNA WŁADYKI

Przez całą zimę w Wilżyńskiej Dolinie coś się kisiło i wrzało pod grubym czubem śniegu. Z pozoru wszystko szło jak trzeba. Wieśniacy melancholijnie przeżuwali zapasy. Owce beczały po stajenkach, porośnięte tak grubym futrem, że ledwo im spoza kłaków wystawały pyski. Psy w księżycowe noce wskakiwały po zaspach na dachy i wyciem nawoływały dzikich pobratymców. Nocnica szalała w wichurze. Pleban swawolił z Rozalką. Chłopi pili i płodzili potomstwo. Baby przędły, tkwały i opędzały się od pijanych małżonków. Dzieci biegały nad zamarznięty staw i topiły się w przerębli. Słowem, wszystko szło po staremu.

Z jednym wyjątkiem.

Zimę mości władyka przesiedział w większej części w karczmie u Biezdara. Żarł, figlował z Jewką, prał piwowara po pysku. Aż serce rośło, że taki pełny animuszu, że kmieci nahajką ćwiczy i babom pod zapaski zagląda. Wygląd też miał po wojacku siarczysty, ot, blizny ciemne na mordzie i rękę prędką, wyćwiczoną w szabelce.

– Teraz już ku dobremu pójdzie – trzęśli głowami gospodarze, srodze doświadczeni zrazu obcowaniem ze zbrojactwem, spędzonym do Doliny przez Babunię Jagódkę, potem zaś wyczynami Waligóry i jego komitetów.

– Szlachetna krew, gorąca – wzdychała z uznaniem Siwka, kiedy, zdarzało się, tuż przed sumą jaśnie pan zdybał za chrzcielnicą zagrodniczkę albo i kmiecią córkę, a potem zniewolił ją tak gracko, ledwo opuściwszy portki, że jeszcze dzwon bić nie przestał, a już było po wszystkim i tylko ogłupiała dziewczyna stała pośrodku kruchty, rozglądając się bezradnie po bokach, czy ktoś nie widział jej hańby.

– Będzie nad wami władza! – darł się z kazalnicy pleban, nieubłaganie wypominając wieśniakom, jak go w czas gminowładztwa na księżówce

zawarli. – Będzie gąsior i dyby, i plagi wymierzane jak trzeba!

– I do gospodarskich spraw ma należyte podejście – zacierał ręce Szyszek, kiedy od strony folwarku bił w niebo gruby dym, jako że wilżyński włodarz z pańską rozrzutnością palił w pogruchotanych piecach resztkami domostwa.

W te bowiem noce, kiedy wracał jaśnie pan z gospody, rozjarzał się folwark jak cytadela spichrzańskiego księcia. Pod niebo strzelały płomienie z uczynionego po podwórzu ogniska. Połyskiwały w wybitych oknach wieloramienne lichtarze. Rzucały wielobarwne cienie pozatykane na dachach latarnie, jakich jeszcze zanim spadły śniegi, nakupił pan władyka bez liku od wędrownych kupców.

Niby wszystko było jak dawniej. A nawet nie, bo jeszcze bardziej z pańska, jeszcze szumniej i piękniej.

A przecież nie. Omylił się Szyszek, który wierzył, że wypaliwszy do cna resztki starego domostwa, przyjdzie do niego władyka obstalować drewno na nowy dworzec. Nie miała racji Siwka, kiedy zanosila przed figurą modły, by gorącość krwi natchnęła feudała nowym ożenkiem, bo cniło się jej do widoku tłustych, różowiutkich paniąt, co by biegały po sadzie w bieluśkich koszulkach i z krzykiem rozpędzały gęsi. Omylił się sromotnie pleban, który widział w powracającym włodarzu podporę świętego porządku. Zawiedli się też i kmiecie, co sądzili, że otrząsnąwszy się nieco po wojennych przeprawach, weźmie się jaśnie pan do porządkowania dzierżaw i rewindykowania folwarcznego mienia, jakie pod jego nieobecność rozgrabili przedsiębiorczy obywatele.

Pierwsza zapowiedź nieszczęścia dostrzegła, o dziwo, Jewka, niesławna a złajdaczona kowalska dziewczka. Ją też władyka przydybał w magazynie na mąkę.

– Jeno że przyjemności żadnej to on z tego nie miał – opowiadała z pretensją sąsiadkom. – Po koguciu się sprawił, a jęczał przy tym i charczał, jak gdyby na wpół miał pęknać. Powiadam, jakby się zmuszał. To na co taka robota?

Bo władyce było wszystko jedno. Niby łąził po wiosce, żarł, pił i cudzołożył, ale brakło mu dawnego ducha, żywotności, fantazji, co niegdyś sprawiały, że bano się go jak złego, ale i szczycono się nim w trzech okolicznych powiatach. Kiedyś we wszystkim pierwszy, teraz

kontentował się byle czym. W świątyni nie pokazywał się niemal wcale, do braci szlachty w odwiedziny nie jeździł. Siedział jak borsuk w jamie w zrujnowanym dworcu, jadał gorzej niż psi, głód gorzałką zapijał, coś mamrotał do siebie. Ale wioska zobojętniała mu ze szczętem, podobnie jak własne życie.

– Et, owieje go wiosenny wietrzyk, wymiecie ze łba tę wojenną rzewność – pocieszała kumoszki Miłka. – Ocknie się nasz pan, dojdzie jeszcze do siebie.

Jednakże władyka wcale się nie otrząsnął. Kiedy jęły topnieć śniegi i lód puszczał na leśnych jeziorach, wychynął z gospody, zmierzwiony, okopcony i brudny jak leśne lichy. A zły tak, że ani zastęp mu drogę. Spomędzy pachotków, co z nim do Doliny przyszli, zachował sobie czterech – mordy zakazane i złe, a w garści tacy silni, że za dwa tuziny starczyli. Wieśniacy czapkowali więc panu, czoła błotem mazali. Ale i tak wystarczyło, że któryś źle się spojrział albo podszedł za blisko. Wnet nahajki latały, wnet po mordach prano.

– Srogi jest jako dawniej – oznajmił wiejskiej braci Osęk, bo na niego pierwszego padła chłosta przy pręgierzu, czy też raczej przy dylu, bo tego czcigodnego przybytku też się nie chciało władcyce odbudować. – Wie, jak sponiewierać człeka.

Osęk po trochu był dumny, że wraca dawna zażyłość między nim a panem, bo hen, jeszcze przed wojną, owce dworskie pasał i jagnięta kradł aż miło, więc teraz marzyły mu się dawne stada, mleczne, bieluśkie jagniętka, ruń ukradkiem sprzedawana kupcom. Lecz jego nadzieje nikły tamtej wiosny wraz z topniejącymi śniegami. Bo włodarz, owszem, bił, lecz nie szła za tym żadna moralna nauka. Żadna wiejskiego losu odmiana. Ani pokuta, ani zysk z przestępstwa. Ot, jakby bił z przypadku. Jakby kołatała się w nim jeszcze pamięć dawniejszego życia, lecz jakaś wypaczona, jakaś popękana.

– Spsiał nam, biedaczyna, w tym ogromniastym świecie – wyraziła powszechną obawę Miłka, kiedy pewnego dnia władyka, pijany na umór, przysnął sobie popod studnią, a co gorsza, tak się przez sen jął czochrać, że pchły wokoło skakały.

Wygląd też miał nikczemny. Zdążył przez zimę poterać paradny przyodziewek, w jakim się w Dolinie pojawił. Kontusik na nim ognił, zbutwiał od wilgoci i stracił płomienistą barwę, która wcześniej

radowała oczy. Kołpaczek mu się podarł, piórko połamało. Licowana skóra trzewików zniknęła pod zaschniętym błotem i nie otrząsała nieczystości nawet w niedzielę. Na gębie też zarósł straszliwie i siwa, postrzępiona broda opadała mu na pierś niby żebrakowi. Smrodem zresztą przewyższał wielu jałmużniczych dziadów. Aż litość brała patrzeć.

Jeno że w Wilżyńskiej Dolinie nie litość rosła, ale wzburzenie. Bo jakże to tak? – żlili się kmiecie. Nie po to mieli pana, żeby się go przed całym światem wstydzić. A z tym odmienionym władyką ani na jarmark jechać, ani przed wędrownym pachołkiem się pochwalić. Ot, ujma i niesława.

– Gorzej, niżby go wcale nie było – syczała panna Bażynka po tym, jak do wioski ściągnęli pierwsi wiosenni kupcy.

Zatrzymali wozy nieopodal wioskowej studni, wyłożyli towary, i, ach, mnóstwo błyskotek, które migotały zalotnie na tle świeżej, wiosennej trawy. Los chciał, że akuratnie tego dnia pan władyka upił się w karczmie kompletnie. Najpierw się w stawie z utopcami kąpał, co jeszcze podobało się ludziom, bo, wiadoma rzecz, u państwa potrzebna fantazja. Potem golusieńki na błonie wyskoczył.

– A nie było się czym chwalić – panienka Bażynka zmarszczyła się pogardliwie – bo znedźniał do cna i zwiądł w tej niewoli.

Jednakże pan władyka ganiał między wozami, przyrodzeniem trząsał, wieśniaczki próbował straszyć. Potem od śmiechu wraz do wściekłości przyszedł, nikt nie zrozumiał dlaczego. Wnet pachołków zawołał, kazał stoły tłuc i towary tratować. Ale to się już nie spodobało kupcom. Nadto własne sługi mieli, też wcale dorodne. A wtedy się okazało, że, owszem, folwarczni chętnie wieśniaków smagali, ale do zwady z godniejszym przeciwnikiem wcale nie było im spieszo. Darmo się mości władyka aż ze złości opluł. Właśni ludzie obwiązali go w chałat i powiedli do domu, a jeszcze obśmiawszy i napotrącawszy po drodze.

– I będzie z tego w całych Górach Żmijowych radość i prześmiewka – skonstatowała ponuro panna Bażynka. – Co on jest za pan, skoro go słudzy na postronku trzymają?

Nikt się zatem nie zdziwił, kiedy, pełną już wiosną, pojawił się na łąkach smok. Nawet nie musiał pleban za dużo gardłować o karze za

grzechy. Kmiecie rozumieli doskonale, że winy władzyki przybrały postać potwora, który póty będzie ich ścigał, póty będzie dręczył, póki pan nie wróci do dawnych, szlachetniejszych zwyczajów.

Szyszek, z braku starosty najbardziej poważany gospodarz, wybrał się nawet do plebana, żeby zagadnąć go o sposoby naprostowania władzyki.

– A skądże wam, chamom, wiedzieć, czy to za grzechy władzyki zesłano na wioskę smoka? – oburzył się pleban.

Po cichu wprawdzie trwożył się niemało postępkami jaśnie pana, nie zamierzał jednak chwiać podwalinami władzy. W każdym razie nie jawnie. I nie z poduszczenia chłopstwa.

– Kto w gminowładztwo się wdawał? – zagrzemiał wilżyński duszpasterz. – Kto złoczyńców hołubił? Kto więdźmy porad zasięga? Kto lubieżnością się hańbi? Kto pijaństwu folguje? Kto krasnale hoduje i wszelki inny drobiazg magiczny, bogom obmierzył i wstrętny? Wyście przecież nie lepszy, rusałkę za synową macie.

Musiał zatem Szyszek ustąpić. Wrócił jak niepyszny do dom, czapką o polepę cisnął, nic jednak nie umiał poradzić.

– Nie masz nad nim władzy ni boskiej, ni ludzkiej – sarkał Doliba, kiedy jaśnie pan, zmierzony szczekaniem, kazał mu jednego dnia wszystkie wilżyńskie psy wyłapać i powywieszać.

Był to bowiem dla koniokrada – obróconego w grabarza – trud niemały, a jeszcze gorsze pośmiewisko, kiedy się musiał po podwórkach, drewnutniach uganiać za byle burkiem.

– Jam się na rakarza nie pisał – wyrzekął, przemyśliwując mściwie o czasach gminowładztwa.

– A bodajby szesznał! – wtórował mu stary Kulas, któremu przypadł zaszczyt wywożenia psiego ścierwa.

To również stanowiło problem, wóz był bowiem jedynym źródłem jego utrzymania, a kto chciałby wieźć córę na wesele wozem lewo co otrzepanym z psiego futra?

Smok tymczasem srożył się po polach i wygonach, kmieciom owce pożerał, a kiedy ździebko popościł, i jałowicę zacną potrafił z łączki tuż za płotem wygarnąć.

– Niebawem i na dziewczki się rzuci – dogadywały stare baby w kruchcie.

– Zwłaszcza te niecnotliwe – dorzuciała Rozalka, która jako plebańska gospodyni z lubością wypowiadała się w kwestiach cnoty, osobiwie zaś cudzej.

Padł zatem strach blady na wilżyńskie panny, młode mężatki takż kryły się pod dachami, nad ruczaj nie chciały chodzić ani prania czynić. Słowem, żadnej z nich wyręki nie było w gospodarskich sprawach, za to biadoliły i płakały nad swoim losem, jakby już im smoczysko poogryzało kości. Ich mężowie i ojcowie również się nie rwali do spotkania z gadem, który od czasu rycerskiego polowania osobiwie wyrósł. Wielki był teraz jak góra, rykiem wicher zagłuszał i półtuzina owiec za jednym posiedzeniem potrafił wtrząchnąć.

– Do księcia trzeba nam posłać – uradzili chłopi, którzy córkę tę czy ową mogliby odżałować, ale straty w inwentarzu przejmowały ich grozą.
– Na władykę próżno liczyć.

Wyprawili zatem posłańca do spichrzańskiego księcia – a dla pewności jeszcze po jednym do zwierzchnika opactwa oraz do księcia Piorunka, który takż łąpczywie na tę część Gór Żmijowych spoglądał. Odpowiedź wszyscy przywieźli jednaką.

– Jest włodarz przyrodzony w Dolinie, niech on się smokiem troska – oznajmiano im zgodnie, bo wesoła fantazja na polowanie na smoka dawno już minęła w rycerskim narodzie, srodze przygniecionym nowymi podatkami.

A włodarz, zagadywany o smoka, przez zęby wesoło gwizdał.

– Niech se, żywina, lata – powiadał łaskawie, po czym kazał pachołkom wrony z drzew kamykami strącać, żeby nie krakały i na gościniec nie srały.

No, ale on owiec nie miał. Nie miał w ogóle niczego, więc nie było mu szkoda.

– Ludzi też mu nie szkoda? – oburzali się pospołu i Szyszek, co ze srebrnej miski wieszerzał, i Doliba, który często i trzy dni nic w ogóle nie jadł. – Przecież myśmy są jego.

Jeno że władyka nie był dłużej niczyj. Nic go nie obchodziło i nie

poważał nikogo.

– Cóż, trzeba będzie go otruć – oznajmiła filozoficznie Jewka, która, że mało miała do stracenia, śmiało gadała, co inni ledwo się ośmielali pomyśleć.

Jednakże wilżyński ludek bynajmniej się nie kwapił do mordowania jaśnie panu. Znadto dobrze pamiętano, jakie spadły na Dolinę plagi, kiedy się poprzednim razem zawieruszył. A smok żarł i żarł, i wciąż od żarcia puchnął. Owiec na halach mu zbrakło, bo niedobitki stad kmiecie trzymali w stodólkach. Chwytał więc, co się nawinęło. Ot, konie od wozu raz zeżarł, dyszla nie oszczędziwszy. Ryby powybieirał ze stawu przy wtórnie lamentujących utopców, a jednego razu i drwalem nie pogardził na porębie.

– Dobrze, że nie jednym z naszych – skwitował ponuro Szyszek, który miał lasów dosyć, a i syna w wyrębie nad innych sprawniejszego, jeno że teraz bał się go między drzewa puszczać, stąd i zgryzota w nim rosła, i w interesach uszczerbek. – Ale skoro raz zasmakował w ludziach, będzie teraz bieda.

I bieda, owszem, spadła na Wilżyńską Dolinę z tą samą nieuchronnością, z jaką przychodziły wiosenne burze, komary i bydłęce parchy. Uszczerbki w zwierzyńcu z każdym dniem stawały się coraz dotkliwsze. Baby ze strachu odchodziły od zmysłów. Ojcowie rodzin z trwogą myśleli o zimie, ba, nie wiedzieli, jak plon z pól zwiozą, skoro żaden koń nie mógł bezpiecznie wychynąć ze stajni. Tylko dzieci machały do smoka z uciechą, kiedy szybował nad Doliną z kolejną krową w szponach. No, ale one nie rozumiały, że się nie skończy na krowach.

Wreszcie Rozalka przemknęła się pewnego zmierzchu do chatynki Babuni.

– Smok nie mój – powitała ją cierpko wiedźma.

– Wiemy, toć wiemy, że nie wasz. – Księża gospodyni była skłonna zgodzić się na wszystko i do wszystkiego przyznać, byle tylko wyzbyć się potwora. – Ale może go chcecie?

– A na co mnie smok? – prychnęła wiedźma. – Kordelii raczej go dajcie – dodała zgryźliwie, bowiem nie lubiła, kiedy się chłopstwo mieszało do magicznych zabaw, a przecież to właśnie uczyniła wdowa po młynarzu, kiedy zabrała się do babskich czarów.

Plebanicha z niejaką wstydlivością spuściła wzrok.

– No, ja też wedle tego – wyznała, kręcąc w palcach fartuszek. – Widzicie, ludziska wzburzone, głód im w oczy zagląda. I sami musicie przyznać, że Kordelia przywołała smoka...

– No, to niech go se z powrotem zabiera – zgodziła się łaskawie wiedźma.

Rozalka zrobiła niewyraźną minę.

– Zabrać to go ona za bardzo nie może, bo się od jesieni straszliwie upaśł. Zresztą już próbowała. Na halę do niego wylazła, co nie jest łatwa sprawa, bo niemłoda przecież niewiasta i nogi ma popuchłe. Ale kiej ją smok zobaczył, ryknął, ogniem bluznął i bezzwłocznie uciekł.

– Ot, niczego nie umie przy sobie baba utrzymać – zauważyła wiedźma z satysfakcją. – Ani męża, ani smoka.

Choć tyle czasu przeszło, Babunia Jagódka jakoś nie mogła wybaczyć Kordelii nieszczęsnego ożenku ze swoim dawniejszym kochankiem.

– Cóż, trudny ma charakter nasza Kordelia miła – zgodziła się potulnie plebanicha. – Ale widzicie, Babuniu, ostatnimi czasy otrząsnęła się trochę, bo już się nam zdawało, że po tamtejszej awanturze w folwarku nie dojdzie, biedna, do siebie. Zawarła się w chałupie, nastroszyła jak sowa...

– Bo się bała, że kiedy nosa wyściubi, sąsiedzi ją widłami zadźgają. – Wiedźma wzruszyła ramionami, miłosierdzie nie należało bowiem do jej głównych zalet. – Co w tym dziwnego? Smoka na własną wioskę sprowadziła.

– Ale to przecież z nieszczęścia – ujęła się za wdową po młynarzu Rozalka. – Ciężko się jej z Waligórą żyło.

Wiedźma zacięła wargi. Owszem, zbój Waligóra miał charakter gwałtowny, przygrzmocić potrafił solidnie, zachłanny był przy tym i krewki. Ale smakował jej, jako żaden inny chłop od dawna. I nie przyjęła dobrze, że poszedł za inną.

– No, ale to stare dzieje – powiedziała Rozalka, która wyczuwała świetnie, że nie trzeba zbyt wiele rozwodzić nad małżeńskim życiem Kordelii. – Teraz jest całkiem inna. Powiada, że duch córki ukazał się jej zimą.

– Duch? – zachnęła się Babunia. – Przecież Jarosławna żyje.

– Ja tam tego nie wiem. – Plebanicha odęła wargi: nie lubiła, kiedy jej kto psuje całkiem dobrą historię, a ponadto pojawienie się zacnego ducha przydawało godności całej Wilżyńskiej Dolinie. – Dość, że przyszła do niej zimą Jarosławna i gorzkimi łzami płakała nad matki wielką mizериą. I kazała jej, żeby przestała się w gorzałce ukrywać...

– To Kordelia piła? – zdziwiła się przyjemnie Babunia Jagódka.

Rozalka ściągnęła wargi. Właściwie potępiała pijaństwo, zwłaszcza babskie pijaństwo. A jednocześnie nie chciała dawać Babuni zbyt dużej satysfakcji.

– Może troszkę zanadto w nalewkach zasmakowała – rzekła z ostrożnością.

– Musiała pić jak gąbka. – Wiedźma aż ręce zatarła z radości. – Tedy wyjaśnione, jak Jarosławnę widziała.

Ale Rozalka wcale nie wyglądała na przekonaną.

– A po mojemu duch być musiał prawdziwy – oznajmiła z mocą. – Duch pomocny a mądry, bo tak ją szczęśliwie natchnął, że odtąd ni wódki nie tyka, ni w próżniactwie nie tkwi. Chałupę ogarnęła, podwórze wysprzątała, choć przecież sama jedna. No – dodała po chwili z namysłem – teraz to już nie jedna.

Wiedźma nastroszyła się od razu. Dziwnie niemiła była jej myśl o trzecim zamęściu Kordelii.

– A kogo tam znów dopadła?

– E tam, zaraz dopadła – prychnęła Rozalka. – Sierotę przygarnęła, tego, co go Mały Sułek ze świniami hodował.

Babunia Jagódka uniosła brwi. Jakoś nie wierzyła w nagłą dobroczynność Kordelii.

– Parobka potrzebowała?

– A skądże by tam, Babuniu – zaprzeczyła żywo Rozalka. – Jak swojego go chowa, powiadam wam, jak syna. Izbę mu naszykowała, ciepłą, wedle komina. Z jednego stołu z nim jada, pacierza wyuczyła. Nawet do świątyni wspólnie chadzają i w jednej ławce siedzą. No i tego dzieciaka najbardziej by było szkoda – dokończyła cicho – jakby Kordelię spalili...

Przez dobrą chwilę gapiły się na siebie z namysłem.

– A więc to takie buty – odezwała się w końcu wiedźma. – Chcecie, żebym ratowała Kordelię.

– No, nie jedną Kordelię – odpowiedziała prędyutko Rozalka. – Ten smok nas wszystkich wnet zeżre, pomnicie moje słowa. Władyka nam nie chce pomóc – rozsłochała się raptem. – Opat precz kazał uciekać. Książęta ani spojrzą. To kto się za nami ujmie, jeśli nie wy, Babuniu? Przecież jesteśmy wasi.

Babunia Jagódka w zamyśleniu ssała poźółkły pazur.

– Mnie się to nie podoba – oznajmiła wreszcie. – Za stara jestem na smoki.

– Ależ co wy, Babuniu – oburzyła się fałszywie Rozalka. – Hoża jesteście jak młódka.

Wiedźma sapnęła ciężko. Księża gospodyni nigdy nie umiała podpuszczać z wdziękiem. Teraz będzie się łaścić, po pomoc pokornie zabiegać, a odpędzona wróci i zacznie od nowa. To już wolała oszczędzić sobie tych korowodów.

– Dobra, pójdę pogadać z władyką – oznajmiła posępnie. – Ale nie spodziewajcie się wiele.

Wybrała się od razu, po części też i po to, żeby obejrzeć wreszcie wioskę stłamszoną w smoczym uścisku. I już od opłotków wiedziała, że na kmieci padł blady strach. Ani jedna kura nie pałętała się wolno po ścieżce. Krowy smętnie ryczały za pozapieranymi wierzejami obór. Dzieciaki darły się z głębi chat. Przy studni nie siedziała żadna starucha. Nawet kruchta świeciła pustkami.

– Gorzej niżli w zarazę – zagderała wiedźma.

W gruncie rzeczy wcale się nie cieszyła. Po wojennych pogromach odbudowywała tę wioskę z takim wysiłkiem, że teraz nie mogła jej po prostu oddać na pastwę potworowi.

Zanim weszła w bramy folwarku, wyprostowała się energicznie i wydłużyła kroki. Cóż, skoro taka potrzeba, władyka zrobi, co jego. Choćby wcale nie chciał.

Szła przez nieuprawiane zagony, mijała rowy, wykopy, dziury, resztki podpór, kołowrotów oraz rozlicznych górniczych maszyn, które

pozostały po poszukiwaniach srebra. Waligóra z kupcem w kilka niedziel zdołali bardziej zdewastować posiadłość niż cała wioska pospołu przez parę zim. Nadto rujnacja była świeża, łopuchem nieporosła i, co tu kryć, brzydka jakaś nad podziw. Taka jakby miejska. Wcale nie pasowała do Wilżyńskiej Doliny.

Zanim dotarła do dworu, nogi miała obłocone do kolan, a buty przemoknięte. Nie poprawiało jej to nastroju, oj nie. Nie napawało też ciepłymi uczuciami względem władzyki, który ani o drogi, ani o wieśniaków zadbać nie zamierzał.

– A ty, babo, do kogo? – zaśmiał się na jej widok jeden z pachółków, którzy wylegiwali się leniwie w drzwiach zrujnowanej gospody.

– Jaśnie pan nie przyjmują – dodał drugi, rozwalony na sianie niby starosta. – Nie widzicie, że zawarte? – zarechotał, wskazując na drzwi, które istotnie zaryglowano bardzo starannie.

Sęk w tym, że tuż za gankiem, który wejście do dworu bardzo pięknie ocieniał, ziała ogromna, czarna czeluść zarwanego dachu. Ściany także pozapadały się i zlekceważywszy wierzeje, Babunia bez trudu mogła wejść przez jedną z wielu wyrw, jakie się porobiły w drewnianych ścianach. Snuły się tam zresztą niedobitki zielononózek, które uszły szczęśliwie spod kupieckiego noża, i gdakały teraz ze zdumieniem nad upadkiem dawnego pana. Jego zresztą wiedźma również widziała przez rozwaloną południową ścianę. Drzemał sobie z ukontentowaniem na pryzmie siana, zasłanej lichą derką.

A skoro tak, nie zamierzała pozwolić, by powstrzymało ją paru przygłupich pachółków.

– To i już otwarte – oznajmiła flegmatycznie, po czym pstryknęła palcami.

Z drzwi tylko drzazgi poszły. Sypnęły szeroko, na kury i pachółków pospołu.

– Ożeż ty marcho stara! – rozdarł się jeden z pachółków, ugodzony solidną draską w policzek.

Żywa, szkarłatna jucha ciekła mu po szyi.

Wiedźma obróciła się ku niemu ze słodziutkim uśmiechem.

– Oj, jaki uparty. – Pogroziła mu palcem. – Koźlą masz, synku, minę,

bacz, by ci koźłące rogi nie wyrosły nocką.

Sługa władzyki usiłował się ciskać, ale dwóch kamratów pochwyciło go szybko i jęło mu coś klarować przyciszonymi głosami. Najwyraźniej obito im się to i owo o uszy o wiedźmich zbereźnych praktykach i na wszelki wypadek woleli babinki nie ruszać. Ot, z czystego szacunku dla starości.

Wlazła zatem do środka, nieniekpokojona przez nikogo, i przystanęła nad władzyką, kontemplując jego zmizerniałą fizjonomię. Wreszcie trąciła go w ramię kosturkiem. Solidnie, żeby uważanie miał.

– Posunęliście się, mości władzyko – rzekła kwaśno na powitanie.

Pan poderwał się z przestraczem, łapcie mu pospadały. A wzute miał, zauważyła z niesmakiem, zwyczajnie na bosc nogi. Jak pospolity łapserdak.

Ale źlić się i szastać próbował po staremu.

– A wy tu czego? – Podskoczył, czapkę na czoło nadział. – Wynocha mi stąd, a szybko, zanim nahajem przepędzę!

– No, no – wiedźma uśmiechnęła się z zadowoleniem – dobrze, że animusz macie. Bo z przyodziewkiem, widzę, krucho – dodała, obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem jego spłowiały, porwany na bokach kontusik.

Zupełnie nie zraziły jej srogie miny władzyki. Klapnęła, podgarnęła siana pod zadek.

– No, siadajcie, władzyko – poklepała miejsce obok. – My starzy ziomkowie jesteście, co się będziemy tak darli, hołocie na używanie.

Jaśnie pan pokręcił się trochę ze złością, chodakami w deskach powiercił, piórko w kołpaczku poszarpał, ale wreszcie usiadł. Tyle że wciąż naburmuszony okrutnie.

– Kto was tu do mnie przysłał? – burknął.

– E, no sama przylazłam – uspokoiła go wiedźma. – Z czystej ciekawości. Ale wieśniacy wciąż huczają. Wiecie, tutaj o wicherzycielskie nastroje łatwo... – zawiesiła znacząco głos.

Jaśnie pan poczerwieniał na gębie, wása mimowolnie podkręcił i przez moment wyglądał jak w starych dobrych czasach.

– Ja im to gminowładztwo ze łbów wybiję – syknął, a tak zajadle, że aż się Babunia Jagódka uśmiechnęła.

Zaraz mu jednak wąsy obwisły, policzki zapadły się, oczy straciły blask. Na oślep zmacał w sianie flaszeczkę, odkorkował i pociągnął potężnie.

– I pewnie wedle smoka przyszlście. – Łypnął na nią podejrzliwie. – To wam od razu rzeknę, że iść na niego nie pójdę. Nie i nie. Żadną mocą mnie nie zmusicie.

– No wiecie, mości władzyko – zakpiła Babunia. – Przecież to tchórzem trąci. I jakoś nie po pańsku.

Władzyka potoczył wokół dłonią. Trunek dodawał mu werwy.

– Bo iście po pańsku się miewam – zaśmiał się ponuro. – Dajcież, babo, spokój.

Babunia wzruszyła ramionami.

– Lepiej by się ogarnąć – powiedziała z lekka. – Kmiecie też narzekają, że chlewik to jest, nie folwark.

– Niech bab się swoich czepią – prychnął gniewnie władzyka. – Czy ja im w chałupy zaglądam?

– Ich władzyka, ich sprawa.

Jaśnie pan znów złapał flaszeczkę i pił dłuższą chwilę. Odrzucił wreszcie puste naczynie i poderwawszy się na równe nogi, jął krążyć wokół siana.

– A wiecie, co ja wam powiem? – zagadnął w końcu, zagładając jej w twarz. – A w rzyci mam całe to władzykowanie. I was też mam w rzyci. Ściągnęliście mnie na powrót do Doliny, nikt się o zgodę nie pytał. To mnie teraz miejcie, a co. Ale nie zrobię nic więcej, choćbyście sobie palce powykręcali od czarowania.

– Tu się akurat mylicie – wtrąciła wiedźma, bo nie lubiła, jak przypisywano jej cudze zasługi. – Nie ja was do Doliny ciągnęłam.

– Mnie za psie jaje, kto się do tego przyczynił! – zaryczał wściekle władzyka i z taką siłą pięścią w ścianę trzasnął, że się z resztek belek posypało próchno. A zaraz potem przybliżył się do niej szybko, wciąż zacietrzewiony i zły. – Chciecie wiedzieć, jak było? – wysyczał jej w twarz z jakimś ogromnym napięciem i znać było po nim, że jest to człowiek

cierpiący i niepewny swego. – Chcecie zaspokoić ciekawość?

Ale wiedźmę ciężko było zawstydzić.

– Cobym zaś miała nie chcieć? – wyszczerzyła popróżniałe zęby.

– A w tiumie siedziałem, a co! – Spojrzał na nią z wyzwaniem, żeby ocenić, jakie wrażenie wywarła ta rewelacja.

– To się nierzadko zdarza – skwitowała obojętnie wiedźma.

Władyka posłał jej złe spojrzenie i przez moment się wahał, czy przypadkiem nie ująć się honorem i nie przegonić nieproszonego gościa. Jednakże się lękał albo chciał z siebie wyrzucić wreszcie marę, która go dusiła przez długie zimowe miesiące, bo ostatecznie westchnął, sapnął i zaczął gadać:

– Wiecie, jak szła tu wojna. Raz w prawo, raz w lewo, a wszystko na opak. Myśmy do naszych wojsk mieli ciągnąć, aleśmy się zrazu na najemników napatoczyli.

– I krótka była rozprawa. – Wiedźma skinęła głową, wspomniawszy, co jej opowiadał Wronisz. – Słyszeliśmy o tym.

– Ledwośmy z jednej paści uszli – ciągnął posepnie władyka – a już nas książę Piorunek po lasach wyłapał. On się, ścierwo, od żalnickiej wojny z daleka trzymał, ale cuchthauzy wypełniał, jak tylko potrafił najgęściej. I kto się mu w rękę nawinał, a na zasobnego wyglądał, zaraz go chwycił. Dla okupu, a co. Jedni w wojnę krew leją, inni się bogacą. No, ale niektórzy nie mieli się za co wykupić – zaśmiał się popędliwie. – Ci pomału gnili.

Wiedźma milczała, mrużąc żółte, pałające oczy.

– I wiecie co, wiedźmo? – Władyka zaciął zęby i chwilę mocował się ze słowami. – Jażem się już z sobą pogodził. Już mi się za bożym słoneczkiem nie cniło. Bo za mnie okupu nie miał kto płacić. Z czegoż zresztą? Z tych wiosek trzech kaprawych? Z owcy dwóch kierdeli? – zaśmiał się głucho. – Ale dobrze mi było, w ziemi pogrzebanemu jak truposz. Lepiej niż tutaj. Wreszcie nikt mnie nie dręczył. Nikt niczego nie chciał. Oprawca żreć i pić dawał, a jak zapomniał, to człek półżywy leżał. I dobrze było. I błogo, jak po śmierci bym nie miał. Rozumiecie mnie, wiedźmo?

Babunia Jagódka odwróciła wzrok, poprzez wyrwę w ścianie

zapatrzyła się w wieczorne szczyty nad Doliną. Wiosenne słońko zapadło się w lasy, ale ponad drzewami na wysokich stokach wisiała fioletowosina poświata. Gdzieś w głębi gór, ukryte pod skorupą głazów, wciąż płonęły kopuły ojcowskiego dworca i kiedy dotykała dłonią ziemi, czuła, jak żar drąży skałę, bije ku jej palcom. Lecz powrotna ścieżka zamknęła się na dobre, zatrzęsnęła na głucho. Każdy miał swoje wygnanie. Nie tylko władyka.

– Mogłem nie być, kim jestem – wyszeptał głucho. – Kim być nie umiałem.

Wiedźma objęła się ramionami.

– Et, co tak będziemy gadać! – zawołał z fałszywą wesołością władyka. – Gorzałkę byście, wiedźmo, umieli wyczarować?

– A umiałabym – odparła płaskim głosem wiedźma i wyjęła z zapaski solidny dzbanek wódki.

Odkorkowali, przepili do siebie siarczyście. Jak towarzysze broni, choć sami nie wiedzieli dlaczego.

– Przyszli po mnie w nocy – podjął wreszcie władyka. – Tak mi się, znaczy, zdawało, na dnie wieży wciąż ciemno. Ludzie, coby nie oczadzić ze szczeniem, ból i strach przesypiali. Z rzadka tylko ten czy inny budził się i wrzeszczał, ile sił w płucach, ale wraz go towarzysze uciszali, a jeśli który za dużo wrzeszczał, prędko zamilkł na zawsze. Tkwiliśmy w tej półjawnie jakoby w przedsiönku śmierci. Nic nie było naprawdę. Nic się nie liczyło... – głos mu zaczął dygotać.

Babunia wcisnęła mu w garść dzbanek.

– Pijcie.

I władyka się napił. Potężnie, prosto od serca.

– Więc kiedy poruszyła się ziemia, myślałem, że już pomarłem – odezwał się z cicha. – Bośmy tam przecież jak żywcem pogrzebani byli, ni to ludzie, ni mary. Inni pod ściany biegli, po ścianach się wspinali. A ja nie. Mnie wszystko jedno było. Dopiero... – Przełknął ślinę. – Dopiero kiedy się okazało, że to szczuracy...

Wiedźma skinęła głową. Spomiędzy wszelkich magicznych plemion Gór Żmijowych, szczurzymi się najbardziej brzydzono – nie tylko dla ich obyczajów nikczemnych, ale i dlatego, że niegdyś władali nad wielką

połacią kraju, który teraz przynależał do ludzi. Zepchnięci do Gór Sowich, szczuracy wciąż odgryzali się człowieczym sąsiadom, jako na przykład w zaraniu ostatniej wojny, kiedy wyroili się zniecka na spichrzańskim gościńcu, wymordowawszy ładnych parę wiosek i miasteczek.

– Związali mnie jak cielaka i podziemiem wynieśli. – Władyka zacisnął ręce na kolanach, ale Babunia i tak widziała, że wszystko w nim chodzi, każda kość, każdy mięsień wibrują od wewnętrznego dygotu. – Co uczynili innym, tego rzecz nie potrafię. Mnie jednak nieśli na grzbietach, nieśli przez ziemię, przez noc, jakby już nigdy nie miał nastać dzień. Myślałem, że to przez was.

Babunia pokręciła głową.

– Kordelia was tutaj ściągnęła. Ukręciła was sobie z krwi, śliny i rozpaczy. Chciała, żeby było jak dawniej.

Władyka aż się zachnął.

– Dawniej to ja łeb powinienem ukręcić tej durnej babie. Zawždy za wiele chciała.

Wiedźma uśmiechnęła się ponuro.

– I wiele za was zapłaci, kiedy przyjdzie pora.

Na podwórku pachółkowie uczynili sobie zabawę, ścigając oparszywiąłego kota. Zwierzak uciekał szparko, w rumowisku się chował, a oni ganiłi za nim, kijami w ziemię tłukli i pohukiwali jak zbójce.

W gardle władyki gulgotała gorzałka, kiedy przyssał się do dzbanka niczym do matczyego cycka.

– Wsadzili mnie potem na furę – podjął zaraz opowieść. – Naszykowaną ją mieli, ot, dziadowski wózek i dwa bułane do niego. Jedź śmiało, tak się śmiali, nikt cię tutaj nie zeżre. W oczy ze mnie kpili. – Spojrzał na wiedźmę nabiegłymi krwią oczami. – I wiecie co, Babuniu? I precz pojechałem, a konie tak zacinałem, jakby mi tuzin biesów na ogonie siedziało.

– Dawniej byście nie zbiegli – zauważyła po cichu wiedźma.

– Ano nie – zgodził się ponuro władyka. – Kiedyś bym im w twarz pluł i niech żrą, jeśli zechcą. A wtedy nie. Ani nigdy potem.

Znów pili długo, milczeli, wsłuchując się we własne milczenie.

– Wiecie, co mnie najbardziej ubodło? – zagadnął włądyka. – Że mi na wózek talarów nakładli. Ot, jakoby rzepy. Pełne cztery worki. Żebym znów był za pana, tak się ze mnie śmiali.

Kot uciekł i pacholkiwie raczyli się teraz sprośnymi przyśpiewkami, za nic mając sobie pana i wszelką obyczajność.

– No to jestem pan! – zarechotał włądyka. – Pan ze szczurackiej łaski!

– Dajcież spokój, włądyko – napomniała go wiedźma. – Nie dręczcie się nad potrzebę.

Wyciągnął gwałtownie ręce, jakby ją chciał odepchnąć, lecz nawet tego nie uczynił. Zamarł w pół gestu, ramiona mu opadły. Tylko gęba pozostała zła i zacięta.

– Czym mnie się dręczyć, Babciu? – odpowiedział szyderczo. – Tym że za własnym rozumem trafiłem do ciemnicy, a ze szczurackiej litości i wolność odzyskałem, i do majątku przyszedłem, żem nigdy takiego nie miał? Co mi teraz rzekniecie? Że taka człowiecza mądrość, coby się kontentować tym, ile od bogów dostajesz, a o resztę nie dbać? Jeno że ja już nie chcę. Niczego więcej nie chcę.

Poderwał się z siana i zaczął się miotać po zrujnowanej izbie.

– Rozumiecie mnie, wiedźmo? – Odwrócił się ku niej, a na twarzy miał taką nienawiść przemożną, że aż się wzdrygnęła. – Skoro innej nie ma, taka moja wolność, żeby tego nie chcieć. Żeby się ci szczuracy łaską swą zachłysłi. Żeby od niej zdechli.

– Z wioską waszą pospołu – odrzekła posępnie wiedźma.

– Wioska? – zachnął się włądyka. – Wioska jest jak lebioda, jak perz i piołun na łąkach. Zawsze odrośnie od nowa. Narodzą baby dziecisków i krowy się wnet ocielą. Nie, świat nas, wiedźmo, nie kocha. Wyrwa trawą porasta, zapada się nad człkiem mogiłka. Nie ma ani śladu.

Babunia Jagódka długo szarpała rogi kwiecistej chustki. Gdyby włądyka patrzył uważniej, dostrzegłby, jak jej rysy rozplývają się i zestalają na nowo, a zmarszczki, starcze plamy, blizny i cała pokraczność znikają, żeby się zaraz pojawić. Nad Wilżyńską Doliną stała się już noc i przez zarwany dach do wnętrza dworu zaglądały gwiazdy. Pacholkiwie ryczeli, spiwszy się podłym piwskim, ryczało też na odległych halach wygłodniałe smoczysko, lecz tutaj, do wnętrza komnaty, nie sięgała

groza. A w każdym razie żadna inna, prócz więdźmy, która w tej jednej chwili spoglądała za siebie, ku utraconym miejscom, i utraconym nadziejom, i ludziom, których nie będzie jej już dane spotkać. Wszystkiemu, co odeszło i co odchodziło w każdej minucie, ponieważ, skoro raz zanurzyła się w czas, nie mogła go już zatrzymać. W każdym razie nie sama. A wciąż nie potrafiła zawrócić i błagać ojca o pomoc.

Obok niej jaśnie władyka, tak samo zasklepiony w uporze, pociągał zdrowo z gąsiora. Również przeciwko sobie. Przeciwko wszystkiemu i wszystkim.

– Nie, świat nas przesadnie nie kocha – zgodziła się bardzo cicho. – Ale też nie obchodzi go zbytnio nasza nienawiść.

Władyka zaśmiał się triumfalnie.

– W tym się, Babko, mylicie. Nienawiść zawsze zostaje. Jak teraz.

Kiedy pacholętkowie zmęczeni się rykami, a i piwo pokończyło się w beczce, więdźma z władyką długo jeszcze siedzieli w milczeniu na zrujnowanym folwarku. Ona okręciła się chustą, on baranem kozuszką. Dużo jeszcze pili, a gadali mało. Bo i co było powiedzieć?

– Kiedy jestem w gospodzie – odezwał się jeszcze władyka, skoro ranne zorze jęły się podnosić na niebie – kiedy gra muzyczka, wtedy nie pamiętam. Nie myślę, czy w tej właśnie chwili szcuracy idą po mnie podziemnym korytarzem, czy kopią pod podłogą, czy już przebijają belki. Nie duszę się własnym strachem.

Więdźma potrząsnęła głową, pobrzmiwał bowiem w słowach władyki, człeka wszak niemłodego, paniczny strach pacholęcia, co zaduszone kurczę podejmuje z podwórza i lament podnosi straszliwy nad przemijaniem stworzenia. Zmilczała jednak, ponieważ widziała wyraźnie, jak doszczętnie został ten człek pogruchotany, i nie sądziła, żeby mogła go pokrzepić litością albo prześmiewką.

Czasami tak właśnie się działo, wiedziała to doskonale. Nie pomagał czas, trunek ni insze odurzenia.

Dwór uczyniono na łagodnym wzniesieniu i widok na całą Dolinę roztaczał się z niego precudny. Nie przeoczyli zatem, kiedy pierwszym świtem zapłonęła stodoła na przeciwległym wzgórzu. Kościelny dzwon rychło rozdzwonił się na trwogę, lecz wilżyńskie obejścia pozostały nieme. Pozapierane na głucho przeczekiwały, aż się wypali pożoga.

Darmo dzwon kościelny bił, nawoływał o pomoc. Nikt się nie ruszył.

Pomiędzy płomieniami wirował skrzydlasty kształt, szybki i giętki jak zapowiedź śmierci. Nic dziwnego, że wieśniacy udawali sen, ponakrywawszy głowy poduszkami. Nie, tego smoka nie dało się sięgnąć ani oszczepem, ani nożem. Potwór, który kilka zim wcześniej zawitał do Wilżyńskiej Doliny jako drobiazg, igraszka i prześmiewka dla panów, powracał teraz z całą nieobjaśnialną grozą.

– Umielibyście zabić takiego smoka? – zagadnął wiedźmę włądyka.

– Cobym miała nie umieć. – Babunia wzruszyła ramionami. – Jeno że nie w tym rzecz.

I dalej pili, chociaż trunek nie rozweselał serca.

Słońce wspinało się w górę. W oborach ryczało niewydojone bydło.

Ludzie po chałupach błagali bogów o litość.

Smok, nazarłszy się do woli w spustoszonej obojściu, opadł na plac wioskowy i gasił pragnienie przy studni. Ostre kolce na jego łbie połyskiwały, jakby je uczyniono z górskiego kryształu.

– Niedobrze, kiedy człeka jego własna śmierć minie – wyszeptał włądyka. – Gdy mimo niego przejdzie, obdarłszy go ze wszystkiego.

Stał pośrodku izby, przy stercie słomy, w miejscu której niegdyś przy dębowym stole biesiadowało kilka tuzinów gości, a jego małżonka, Wisenka, zwijała w srebrnym koszyczku motki barwnej wełny. W pogruchotanym kominie głucho tłukły się kawki i na osmalonych ścianach nie został ani ślad po portretach jego antenatów.

– Można się jeszcze szastać. – Jaśnie pan patrzył przed siebie, wzrok miał mętny, zamglony. – Tańczyć, podrygiwać do skrzypek. Ale to wszystko na darmo, bo człowieka już nie ma. Tak i z nami, Babuniu. Obcyśmy tutaj, niebacznym, rozchwianym i zgoła zbędnym.

– W tym się, włądyko, mylicie.

– Inszego sobie weźcie! – Włodarz doliny parsknął, aż się opryskał śliną. – Młodszego, zuchwalszego i pełnego zapału.

– Nie mamy nikogo prócz was.

Mężczyzna się targnął gwałtownie, za gąsiorek pochwycił.

– Nic im nie jestem winny. Ani wam, skoro o tym mowa.

Skinęła w milczeniu. I dalej pili, jakby się miał trunek nigdy nie wyczerpać.

– Chciałbym – rzekł wreszcie z rozmysłem – chciałbym to z siebie otrząsnąć. Jak garstkę pyłu. Wiecie, ja nic tu nie mam. Wszystko się wypaliło. Chciałbym uciec daleko i ludziom nie patrzeć w twarz. Nie patrzeć w samego siebie. Jak długo będzie trzeba.

Patrzyła na niego z powagą.

– Tak się też może zdarzyć.

– Jeśli od smoka zginę?

– To rozstrzygniecie już sami.

Zaśmiał się. Drwiąco, z szyderstwem.

– A nie możecie mi pomóc? Poszachrować po trochu? Paluchami zamajtać, smoka w ropuchę obmienić?

– Mogę – zaczęła powoli – potwora górą przywalić, albo w kamień go zakląć, albo pod wodą ukryć. Jeno że on wciąż tu będzie. W baśniach, lękach, powiastkach. W przeczuciu śmierci. Mogę go w proch zetrzeć, ale nie mogę pokonać. Bo ja nie jestem od was. Krew we mnie wasza nie płynie. Kiedy mu spojrzę w źrenicę, nie siebie zobaczę, lecz magię.

Westchnął. Zadyszał gniewnie. Zaklął plugawo pod nosem.

– Nigdy nie szukałem smoka – poskarżył się frasobliwie. – Bab pożałowałem, bogactwa, sławy, piwa, sprośności. Ale nie smoka. A jednak przyłazł.

Ramiona mu dygotały.

– Bo i zawsze przychodzi.

– Ja się na to nie zgadzam! – zawołał zapalczywie władcyka i zaraz dodał ciszej: – Jeśli pójdę, nie wrócę. Możecie mi to obiecać?

Pokręciła przecząco głową. Targi nie przystawały do tego, co zamierzali uczynić.

– A i tak pójdę! – wrzasnął, podrywając się z siana. – Właśnie, że tak. Chociażby wam na złość. Śmiercią własną w was sypnę, a zadławcie się, ścierwa!

Głos mu się łamał od powstrzymanego płaczu.

– Jesteście pewni, władcyko? – Dotknęła jego ramienia.

Jaśnie pan strząsnął rękę ze złością. Na nogach ledwo się trzymał – wiedźmi trunek miał moc – i spojrzenie miał zmętniałe.

– Wiedzieliście, że pójdę – oskarżył ją z gwałtownością. – Że kiedyś się przemogę.

Otrzeptał kontusik z paździerzy, wyprostował na kołpaku piórko. Sprawdził, czy szabla w ręku chodzi jak trzeba. Potem długo w miejscu dreptał, mamrotał coś do siebie. Może się modlił.

– A wiecie, dlaczego idę? – Zaglądnął jej na koniec w gębę. – Bo musi się tutaj, kurwa, coś wreszcie komuś udać. I dopilnujcie tego, wiedźmo. Znaczy się, wedle smoka. Jakkolwiek – przełknął ślinę – jakkolwiek ze mną będzie.

– Ano dopilnuję – zgodziła się pochmurnie.

A potem wyruszył.

Smok srożył się, ogniem ział, ryczał. Aż wreszcie padł, cały złocisty i lśniący w czerwieni wschodzącego słońca.

Wiedźma stała na zboczu, wysoko nad Doliną. Nikt nie widział jej twarzy.

